

Federico  
Moccia

Chwila  
szczęścia



FEDERICO MOCCIA

CHWILA  
SZCZĘŚCIA

Tytuł oryginału: *Quell'attimo di felicità*

Projekt okładki: *Vavoq* (Wojciech Wawoczny)

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Jolanta Rososińska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Anna Powałowska/Agencja FREE

© andrewburgess/iStockphoto

© 2013 Federico Moccia, Italy

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Karolina Stańczyk

ISBN 978-83-7758-630-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

*Dla Marii Luny,  
mojej małej księżniczki*

Spytałem zebra  
jesteś białą zebra w czarne paski  
czy czarną zebra w białe paski?

A zebra odpowiedziała:

a ty jesteś hałaśliwym człowiekiem z cichymi dniami  
czy cichym człowiekiem z hałaśliwymi dniami?

Jesteś bałaganiarzem, który czasami bywa pedantem  
czy pedantem, który bywa bałaganiarzem?

Jesteś człowiekiem szczęśliwym, który bywa smutny  
czy smutnym, który bywa szczęśliwy?

Nigdy więcej nie spytam zebry o paski.

Shel Silverstein

# Spis treści

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

\* \* \*

W powieści zacytowano następujące utwory:

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla:

Przypisy

Pewnego dnia wszystko będzie wspomnieniem.

Nie, to nie tak. Raczej: „Pewnego dnia zostaną tylko wspomnienia”.

Coś w tym stylu. Powiedział mi to tata, leżąc na szpitalnym łóżku. Puścił do mnie oczko, jakby chciał dodać mi sił i dać do zrozumienia, że to nic poważnego, że wszystko się ułoży. Ale tak się nie stało. Następnego dnia już go nie było. Ani w szpitalu, ani na świecie. Gdziekolwiek bym szukał, i tak go nie znajdę. Gdybym wyszedł z domu, objechał cały Rzym, dotarł do Mediolanu, Turynu, potem do Francji, i jeszcze dalej, do Tajlandii, Malezji, już go nie znajdę. Kiedyś myślałem, że w taki czy inny sposób odszukanie go będzie możliwe. Teraz już nie. Nie ma go na tej planecie. Mam nadzieję, że przynajmniej Bóg istnieje, bo jeśli nie, to życie jest jednym wielkim oszustwem. Mój ojciec miał genialne powiedzenie: „Życie to śmiertelna choroba”. I jeszcze inne, które mnie rozśmieszało: „Alzheimer ma swoje dobre strony – każdego dnia poznajesz mnóstwo nowych ludzi”.

Właśnie dzięki mojemu ojcu zrozumiałem, jak ważny jest „każdy dzień”. Każdy dzień jest inny, każdy istotny, wyjątkowy, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Czasami jesteśmy tacy roztargnieni, że kolejny dzień nie wydaje nam się szczególnie ważki. Tymczasem codziennie może wydarzyć się coś, co odmieni nasze życie, codziennie może być ten nowy dzień. Na przykład dzisiaj mam przecucie, że to będzie właśnie taki dzień.

„Muszę z tobą porozmawiać”.

Tylko tyle było napisane, kiedy włączyłem rano telefon. Żadnego „Cześć, kochanie” ani „Czeeeeść”, jak czasami do mnie pisała. Ale to od niej, od Alessii, mojej dziewczyny. Jesteśmy razem od roku, a dziś są jej urodziny. Kończy dwadzieścia lat. Oto i ona, w swoim granatowym mini. Jeździ najnowszym modelem, tym większym, z dużymi kołami, bardzo modnym, który kosztuje „jedynie” czterdzieści tysięcy euro. Może sobie na to pozwolić.

Zaparkowała przy piazza dei Giuochi Delfici, przed pomnikiem. Matki spacerują z dziećmi. Jakaś opiekunka wysyła SMS-y. Dziecko, którego pilnuje, upada na ziemię. Nie podnosi go. W ogóle się nim nie przejmuje, przecież nie jest jej. Podnosi wzrok znad komórki, spogląda na dziecko, nic mu się nie stało, jakoś wstanie, więc spokojnie wraca do pisania wiadomości.

Alessia szybko przerzuca strony gazety, nigdy nie zrozumiałem, jak udaje jej się cokolwiek wyczytać w takim tempie. Kasztanowe włosy opadają jej na twarz. Siedzi na oparciu ławki, długie nogi postawiła tam, gdzie się siada. W niej nic nie jest zwyczajne. Jednak bardzo mi się podoba, tak samo jak pierwszego dnia albo nawet bardziej. Jak każdego dnia.



– Ale! – wołam do niej.

Szuka mnie wzrokiem, w końcu odnajduje i kiwa głową, jakby mówiła: „Tak, widzę cię”. Zwija gazetę i odkłada na ławkę. Jest poważna.

– Cześć, skarbie. Wszystkiego najlepszego!

Wymieniamy przelotny pocałunek. Jak dla mnie zbyt przelotny, a Alessia od razu się odsuwa. Wieje od niej chłodem.

– Proszę... – Staram się nad tym nie zastanawiać. – To dla ciebie. – Podaję jej torbę, Ale wydaje się zaskoczona. Przecież to jej urodziny, nie ma nic dziwnego w tym, że przyniosłem jej prezent. Wyjmuje z torby pakunek i nie patrząc na mnie, zaczyna go powoli rozpakowywać. Może jest zła, że nie wysłałem jej urodzinowego SMS-a tuż po północy, tylko dopiero dzisiaj rano, bardzo potrzebuje ciągłej uwagi. Może tylko mi się tak wydaje. Zdejmuje szybko papier, otwiera pudełko, przez krótką chwilę uśmiech gości na jej twarzy.

– Podoba ci się?

Bez słowa zarzuca kurtkę Moncler na plecy.

– To z nowej kolekcji, jest bardzo lekka. Przymierz, zobaczymy, czy dobra.

Wkłada, kurtka pasuje jak ulał.

– Pokaż, jak wyglądasz z rękami w kieszeniach.

Tak jak myślałem, najpierw wkłada prawą rękę i od razu trafia na małe pudełeczko. Zaskoczona wyjmuje je z kieszeni, obraca w dłoniach, przygląda mu się, ale bez uśmiechu, nie podnosi głowy, nie patrzy na mnie. Nic nie mówię. Zaczyna powoli rozpakowywać. Papier upada na ziemię, Alessia bez słowa wpatruje się w prezent. Drobiazg, ale kupiłem go specjalnie dla niej. Śnieżna kula z małym bałwankiem, który trzyma w rękach kartkę z napisem „Kocham Cię”. Tak postępujesz, kiedy nie jesteś w stanie powiedzieć tego na głos. Nigdy nie potrafiłem jej tego powiedzieć. Kocham cię. Kiedyś byłem bardzo blisko. Staliśmy pod jej domem i Alessia coś wyczuła.

– Co się dzieje? Co ci jest? – spytała.

– Nic. – Oto moja odpowiedź.

Nie powiedziałem jej, że ją kocham, nie miałem odwagi. Jesteśmy razem od roku, a ja nie powiedziałem jej tego ani razu. Alessia obraca w dłoniach kulę, potrząsa nią. Śnieg sypie na bałwanka, a ona zaczyna cichutko płakać. Duże łzy spływają powolutku po policzkach i chociaż spuściła głowę, a włosy opadły jej na twarz, i tak je widzę. Stoi bez słowa z dłońmi opuszczonymi wzdłuż ciała i drżącymi wargami. Jest mi bardzo przykro. Czuję się tak, jakbym przysporzył jej cierpienia, chociaż nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Alessio, to taki żart, chciałem cię rozbawić, to nie jest główny prezent.

Na próżno szukam słów, ale nie tracę entuzjazmu.

– Sprawdź w drugiej kieszeni! – Wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie. Alessia wsuwa lewą dłoń do drugiej kieszeni i wyjmuje kolejną paczuszkę: na opakowaniu

widnieje logo jubilera – Villani. Zdejmuje papier i otwiera pudełeczko.

– Są w kolorze twoich oczu.

Przez chwilę ogląda niebieskie kolczyki. Zamyka pudełko i wreszcie podnosi na mnie wzrok. Patrzy na mnie po raz pierwszy, odkąd wręczyłem jej prezenty. Wpatruję się w nią, desperacko szukając śladu uśmiechu. Wyciera usta brzegiem dłoni. Chowa wszystkie prezenty do torby. Spogląda na mnie po raz ostatni. Wreszcie ledwo zauważalnie się uśmiecha.

– Przykro mi...

Odchodzi. W tym momencie przypominam sobie słowo w słowo tamto zdanie:

„Płacz, módl się i żyj; pewnego dnia, kiedy będziesz na szczycie, ten straszny huragan wyda ci się niczym...”.

Ostatnie słowa mojego ojca. Ich autorem jest Arrigo Boito, o którym pisałem zresztą w maturalnym wypracowaniu poświęconym Scapigliaturze[\*]. Stąd pamiętam, kto je powiedział. Tak opuścił mnie ojciec. Natomiast dzisiaj odeszła Alessia. Może tylko na chwilę, może to jeszcze przemyśli, może jest zła, że nie wysłałem jej życzeń wczoraj o północy. A może wcale nie jest zła, wręcz przeciwnie, czuje się szczęśliwa i spotyka z kimś innym. Wszystko to tylko domysły. Pewne jest tylko, że, po pierwsze jest mi źle, a po drugie Alessia powiedziała jedynie „Przykro mi...”. Zostawiła mnie bez słowa wyjaśnienia.

– Dzień dobry.

Ilaria De Luca wita mnie z uśmiechem. Ma na oko pięćdziesiąt lat, sprężysty krok, ubrana niby klasycznie, a jednak nowocześnie.

– Co dla pani?

Kładzie przede mną „Repubblicę” i „Dove”. Patrzy na mnie w milczeniu, trochę zmieszana, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie miała odwagi. Udaję, że niczego nie zauważam, biorę od niej dziesięć euro, liczę szybko i wydaję resztę.

– Proszę, miłego dnia.

Przez chwilę stoi w kiosku, jakby właśnie coś przyszło jej do głowy i zamierzała ująć to w słowa. W końcu zmienia zdanie.

– Dziękuję, nawzajem.

Składa gazety i chowa je do torby. Odprowadzam ją wzrokiem. Idzie lekkim krokiem, ma ładną pupę... Zatapiam się we własnych myślach.

„Przykro mi...” Alessia powiedziała, że jej przykro. Co to oznacza? Przykro mi, ale nie spodobał mi się twój prezent. Przykro mi, ale mam pewien problem. Przykro mi, ale potrzebuję побыć sama. Przykro mi, ale kocham innego. Przykro mi... zaraz, to chyba jakieś żarty? To niemożliwe. W jednej chwili całe życie przesuwa mi się przed oczami. Podobno tak dzieje się tuż przed śmiercią. Ale my żyjemy, Alessio, prawda? To jeszcze nie koniec, proszę, powiedz, że to nie koniec. Spoglądam na komórkę. Żadnych wiadomości.

– Dzień dobry, Nicco. Poproszę „Il Tempo”.

Edoardo Salemi, właściciel pobliskiej restauracji na corso Francia, gdzie czasami chodzę coś zjeść. Zawsze daje mi zniżkę. Podaję mu gazetę. Oddała się szybkim krokiem. Tak. Sprzedaję gazety. Wcześniej pracował tu mój ojciec, pisywał również artykuły do mniej znaczącej prasy, najczęściej lokalnej, ale otrzymywał za nie wynagrodzenie. Czasami rysował historyjki obrazkowe i je sprzedawał, w tym też był bardzo dobry. Teraz pracuję tu z wujkiem i kuzynem. Ja jestem rano, a oni po południu i wieczorem. Co jakiś czas się zmieniamy. To niejedyne zajęcie, jakie mam. Cisza, żadnej wiadomości. Minął cały dzień. Pierwszy raz od roku nie wymieniliśmy między sobą ani jednego SMS-a. To się nigdy nie zdarzyło, żebyśmy przez cały dzień nie przesłali sobie choćby najkrótszej wiadomości. Miłość składa się właśnie z takich drobiazgów, czasami pozbawionych sensu, które wzbudzają śmiech lub niedowierzanie, a w danej chwili są dla nas najpiękniejsze. Miłość to te z pozoru nic nieznaczące wiadomości, które jednak mówią wszystko, i kiedy dostajesz je codziennie, nie zwracasz na nie uwagi, ale kiedy zaczyna ci ich brakować, stają się obsesją. Gdybyśmy wszyscy byli ciągle zakochani, świat byłby piękny. Co za bzdury opowiadam. Z miłości człowiek głupieje i jest w tym

coś pięknego, natomiast z braku miłości również głupieje, ale jest w tym coś wyniszczającego.

Tęsknię za Alessią. Coraz dotkliwiej odczuwam jej brak, z każdą chwilą tęsknię za nią coraz bardziej. Chciałbym do niej zadzwonić, wysłać SMS-a, pójść do niej z ogromnym bukietem czerwonych róż, takich długich, że ledwo byłoby mnie zza nich widać. Nigdy nie robiłem takich rzeczy. Za mało się starałem? Często o tym myślałem, ale zawsze odkładałem takie gesty na „kiedyś”... Kiedyś tak zrobię, mówiłem do siebie. Ten dzień jednak nigdy nie nadszedł. Kiedyś znaczy tak naprawdę nigdy. A teraz jest już za późno. Nasze życie składa się z wyrzeczeń. Wydaje nam się, że nadejdzie lepszy moment, że warto żyć, że wszystko się zmieni. Jutro, czekamy zawsze na jutro, choć ono przecież nie zawsze niesie to, czego się spodziewamy. Jak tamtego wieczoru, kiedy pożegnałem się z ojcem i wróciłem do domu.

Poszedłem coś przekąsić, pamiętam nawet dokładnie, co jadłem: szynkę parmeńską z mozzarellą i sałatę z pomidorami. Położyłem się spać, jakby nic nie miało się zdarzyć, jakbym miał całą wieczność na rozmowę z ojcem, na opowiedzenie mu o sobie i Alessii, z którą spotykałem się od jakiegoś czasu. Jakbym mógł jeszcze przeprosić go za swoje głupie zachowania z przeszłości, za zbuntowanego nastolatka, jakim byłem, za to, że nie potrafiłem wysłuchać go do końca. Kiedyś mu powiedziałem: „Spadaj, tato, to idiotyczne, co mówisz...”. Lubiłem mu się przeciwstawiać, dla zasady, bo wydawało mi się, że to jest cool. Przeważnie wcale nie myślałem tak, jak mówiłem, a przynajmniej tak to pamiętam.

Wchodzi Bruno, pracownik stacji benzynowej, jak zwykle nie wita się ani nie odzywa słowem, sięga po „Porta Portese”, kładzie pieniądze na talerzyku i wychodzi. Wrzucam monety do kasy. Taki już jest, ale nic mnie to nie obchodzi. Kiedy człowiekowi jest źle, potrafi trafnie ocenić różne sytuacje. Właściwie to chce mi się śmiać. Czy naprawdę co tydzień kupuje „Porta Portese”? O co mu chodzi? Od lat jest w tym samym miejscu, ubrany w tę samą koszulę, szarą kurtkę pracownika stacji benzynowej i te same buty. Jak się tak dobrze zastanowić, to nasze życie składa się z powtarzających się czynności. W pewnym sensie dzięki temu, że jestem przygnębiony, dokładniej postrzegam rzeczywistość, widzę ją wyraźniej, ją i te niedorzeczne aspekty życia. Nagle wszystko wydaje mi się dramatycznie niedorzeczne. Oprócz niej. Co teraz robi? Gdzie jest? Jedenasta trzydzieści. Powinna być w domu, już chyba wstała, tak, na pewno, jeśli wczoraj nie wróciła zbyt późno. A jeśli wróciła późno? A dlaczego miałyby wrócić późno? Pewnie spotkała się z przyjaciółkami, Laurą i Silvia. Rozmawiały o mnie. Zadawały pytania. Chyba że umówiły się ze swoimi chłopakami. Wtedy oni by się pytali: „A gdzie Nicco?”. Znam ją: na pewno zaczęła się tłumaczyć. Nicco jest zajęty... Umówił się z kumplami, poszedł grać w nogę. Nagle robi mi się strasznie smutno. Nie, one wiedzą. Przyjaciółki zawsze wiedzą. Kiedy widzisz czyjaś przyjaciółkę czy przyjaciela, myślisz: on wie... on wie wszystko. Nie wiem tego, co on, ale on zna prawdę. Tę prawdziwą, tę szczerą. Chciałbym spotkać Laurę i Silvia i przesłuchać je osobno albo poddać torturom jak w *Pile I, II, III, IV i V* (czy była też *Piła VI*?) i sprawdzić, czy ich wersje się pokrywają. Zmusić je do mówienia. Chociaż czasami lepiej jest nie

wiedzieć.

– Nie szukaj prawdy. Niczemu nie służy.

Kiedyś powiedział mi tak ojciec w drodze na stadion. Nie skomentowałem tego. Nie wiem, co miało znaczyć to zdanie, ale pozostało we mnie na zawsze. Ciekawe, ale nigdy nie poznałem dobrze moich rodziców. Czy się kiedyś rozstali, zdradzili, a potem sobie przebaczyli? Wiem tylko, że się kochali. Potem tata opuścił mamę, choć wcale tego nie chciał, a teraz nigdy już jej nie zostawi i to jest najpiękniejsze. Wreszcie jakiś SMS.

„Wiem i strasznie mi przykro. Zaraz będę”. Właśnie tego nie chciałem.

Gruby wchodzi do kiosku pewnym krokiem. Długie, czarne i gęste włosy związał z tyłu w kitkę kolorową gumką. Taką, jakiej zazwyczaj używają kobiety.

– Wiem wszystko. Nie mogę w to uwierzyć... Coś mi tu nie gra...

Mówi dalej, ale nie chce tego słuchać. Gwałtownie gestykułuje dłońmi, jakby chciał podkreślić, że jego rodzina pochodzi z Neapolu, że byli właścicielami fabryki, którą ktoś im odebrał czy zlicytował, czy też dziadek przegrał ją w karty. Do końca nie wiadomo. Gruby niejednokrotnie zmieniał tę opowieść.

Tak naprawdę nazywa się Domenico Sensi, studiuje ekonomię i handel, ale jak na razie zdał tylko trzy egzaminy.

Jego motto brzmi „Teraz się tym zajmę”. Dotyczy wszystkiego: diety, zapisania się na siłownię, obcięcia włosów, zmiany wyglądu i rozstania się z jedną z dwóch dziewczyn, z którymi spotyka się od ponad roku. Właśnie tak, ponieważ Gruby spotyka się jednocześnie z Beatrice i Deborah. Obie poznał dwudziestego siódmego kwietnia i od tamtej pory nie może się zdecydować. Przez pierwszy tydzień spotykał się z nimi na zmianę, całując raz jedną, raz drugą.

– Teraz podejmę decyzję. Problem w tym, że obie są dowcipne i miłe.

Po dwóch tygodniach był jeszcze bardziej niezdecydowany.

– Każda kocha się inaczej, ale jednak tak samo.

Szczerze mówiąc, i tym razem naprawdę nie wiem, co miał na myśli. Przyjaciół nie musisz rozumieć, akceptujesz ich. Niektórych poznajesz w szkole podstawowej, choć te znajomości mają raczej małe szanse na przetrwanie. Z przyjaźniami zawartymi w liceum jest łatwiej. Wspomina się wspólne odpisywanie zadań domowych i to, kto jak sobie radził i z jakich przedmiotów. Kształtują się tak zwane trzy P: przyjaźń, poczucie wspólnoty i przetrwanie, potem nie traci się już z sobą kontaktu. Przynajmniej tak było ze mną i z Grubym.

– Hej, Nicco, trzymasz się? Słuchasz mnie w ogóle?

– Jasne. Czy się trzymam? Masz jakieś inne pytanie?

– Tak. Tęsknisz za nią?

Minął dzień i odpowiedź brzmi „tak”, już za nią tęsknię. Ale nic nie mówię. Natomiast Gruby zarzuca mnie pytaniami:

– Dziwne te kobiety, nie? Co chwila im się zmienia, jakby seks w ogóle ich nie interesował, chcą uwagi, zabiegania o ich względy, chcą księcia z bajki. Robiłeś wszystko, co powinienesz? O niczym nie zapomniałeś?

– Na przykład o czym?

– No nie wiem... O rocznicy, o dniu, w którym się poznaliście, o piosence, którą

wspólnie usłyszeliście po raz pierwszy. Zawsze zabierałeś ją do tego samego lokalu? Nakryła cię na czymś? Mówię serio, jak tylko stracisz na chwilę czujność, od razu cię na tym przyłapią... Co ty myślisz? To nie kobiety, to potwory!

I dalej w tym duchu. Zalewa mnie potokiem słów.

Wchodzi jakiś mężczyzna, sięga po gazetę, patrzy z zaciekawieniem na Grubego i wychodzi.

Gruby siedzi na stercie czasopism ustawionej na podłodze. Zabawne jest to, że za taboret służy mu nowy numer „Salute”. Wierci się i nie przestaje mówić. Jakaś kobieta niezdecydowana przygląda się książkom. Gruby postanawia jej doradzić.

– Proszę wziąć tę, jest naprawdę dobra.

Wskazuje na *Projekt Rosie* Graeme’a Simsiona. Moim zdaniem wcale tej powieści nie czytał i nigdy nie przeczyta. Ale kobieta mu wierzy, daje się przekonać, płaci za książkę i wychodzi.

– Widzisz... dbam o twój biznes. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

Gruby mówi dalej. Najfajniejsze w pracy w kiosku jest to, że masz całe dni na czytanie i nic cię to nie kosztuje. Natrafiasz na informacje, których nigdy byś się nie spodziewał, i masz do dyspozycji gazetę, po które nigdy byś nie sięgnął, jak na przykład „Internazionale”. Zamieszcza jedną rzecz ekstra i tylko dlatego ją czytam: horoskop Roba Brezsny’ego. Zawsze trafia w sedno i mówi o sprawach, które w taki czy inny sposób cię dotyczą. Właśnie, nie czytałem ostatniego horoskopu... Udaję, że słucham Grubego, i idę po gazetę. Jednak nie znajduję odpowiedzi na pytanie, o co chodzi Alessii. Postanawiam przeczytać go na głos, żeby uciszyć Grubego.

– Posłuchaj, co mówi horoskop Roba Brezsny’ego...

Gruby milknie.

– „Żeby zbawić świat, musisz zacząć od zbawiania każdego po kolei – mawiał Charles Bukowski. – Reszta jest czystym romantyzmem albo polityką». Zachęcam Cię, by ta maksyma została twoim motywem przewodnim nadchodzącego tygodnia. Przełóż swoje wyższe ideały na czyny. Zamiast mówić o dobrych uczynkach, które chciałbyś zrobić, po prostu je zrób. I, o ile to możliwe, upewnij się, by każdy szczegół twojego codziennego życia odzwierciedlał twoją wizję prawdy i piękna”.

Gruby milczy, jakby rozmyślał nad słowami, które mu właśnie przeczytałem, a potem zaczyna mówić o czymś, co nie ma z nimi żadnego związku.

– Wiesz, że Kim Schmitz alias Kim Dotcom tudzież Kimble został aresztowany? Mieszkał w jakiejś twierdzy, widziałem zdjęcia: ci z FBI dotarli do jego wartej osiemnaście milionów dolarów willi pod Auckland, przypłynęli na pontonach, tak jak w filmach, i wyciągnęli go z domu. A mówi się, że pieniądze mogą wszystko. Gówno mogą! Nie wyleczą cię z niektórych chorób ani nie uchronią przed pójściem do pierdła!

Krótko, acz treściwie. W sam raz dla kogoś, kogo właśnie rzuciła dziewczyna.

– Cześć, Fabri.

Zjawia się mój kuzyn, rzucam mu klucze od rolety i wychodzę z kiosku.

– Weźmiesz jutrzejszą wieczorną zmianę?

– Jeszcze nie wiem... – odpowiadam w biegu i wskakuję do opla tigry, kabrioletu Grubego, który rusza jak zwykle z piskiem opon. Fabrizio wychodzi przed kiosk.

– Musisz ją wziąć, bo ja jutro wieczorem...

Nic więcej nie słyszę i unoszę dłoń w górę, trochę jak ci surferzy o jasnych kręconych włosach, umięśnionych brzuchach i wytatuowanych ciałach, którym uśmiech nie schodzi z twarzy i którzy mają w swoim samochodzie co najmniej jedną laskę. Ja mam tylko Grubego, do tego kiepskiego kierowcę. Tak naprawdę mój gest oznaczał, że zadzwonię do niego później.

– Dokąd jedziemy?

Gruby włącza The Police. Ma na sobie czarny podkoszulek i czarną koszulę, na szyi srebrny wisior, na nogach buty D&G za co najmniej czterysta euro. Jest prostym chłopakiem, jednym z tych małomiasteczkowych nuworyszy, którzy dziś rządzą. Królem obciachu. Brawurowo prowadzi tigrę. Jeśli miałbym wskazać jakiś nieudany samochód, to właśnie ten. Ale Gruby nie ma wątpliwości, że jego bryka wymiata. Pogłania muzykę, ma obgryzione paznokcie i krótkie pulchne palce, pobrudzone smarem, jakby coś naprawiał. Chociaż od dawna nie korzysta ani z motoru, ani ze skutera. Za to korzysta z każdego dostępnego programu dla maca. Ściąga wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, a Kim Dotcom alias Kim Tim Jim Vesctor, jak o nim mówią, był jego największym idolem.

– Nie mogę uwierzyć, że go aresztowali.

Przez chwilę nic nie mówi. Nagle nakręca się, jakby właśnie wpadł na jakiś pomysł.

– Pójdziemy coś zjeść do Caccolaro? Ja stawiam.

– Dobra.

Caccolaro... nie rozumiem, jak można tak nazwać jakiegokolwiek miejsce. Najbardziej absurdalne jest to, że cieszy się ono wielką popularnością wśród rzymskiej elity i wśród wszystkich, którzy chcą być na czasie.

Alessia często chodziła tam ze swoimi przyjaciółkami.

„Dzisiaj bawią się same dziewczyny, wszystkie w Caccolaro”.

Wierzyłem jej. Podobało mi się, że mamy do siebie zaufanie. Skoro mówiła, że idzie na spotkanie z dziewczynami, to znaczy, że tak było.

Gruby dziarsko prowadzi samochód, niemal ociera się o fiata fiorino, jego kierowca jedzie dalej, ale wystawia rękę przez okno, pokazując dwa palce. Gruby dwukrotnie wciska klakson i znika za zakrętem via della Farnesina.

Tamtego wieczoru poszedłem do Caccolaro. Chciałbym móc w pełni jej zaufać, ale wtedy nie umiałem. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Parkuję pożyczonego od siostry volkswagena polo po drugiej stronie ulicy. Wyłączam silnik. Nie hałasując zbyt, otwieram drzwiczki i wysiadam. Zostaję po swojej stronie ulicy, przechadzam się po



chodniku i zaglądam przez okna do knajpy. Jest. Siedzi u szczytu stołu, je pizzę i się śmieje. Kto siedzi obok? Wychylam się odrobinę do przodu, cofam o krok, by mieć lepszy widok. Teraz widzę je wszystkie: Francescę, Laure, Simonę i jeszcze jedną, której nie rozpoznaję, ponieważ siedzi do mnie tyłem. Są tu tylko dziewczyny, jej przyjaciółki, może ta, która siedzi tyłem, to Silvia. Czuję się podniesiony na duchu, biorę głęboki oddech i wpatruję się w Alessię. Widzę, jak z zaciekawieniem słucha jednej z przyjaciółek, potakuje, śmieje się i bierze kolejny kęs pizzy. Przed nią stoi dietetyczna cola, co za dziwny sposób na dietę. Alessia... Alessia tak ma. Obserwuję ją nadal, w tym wspomnieniu, ale nie znajduję słów, które mogłyby ją opisać. Kiedy kochasz, słowa nie wystarczą. W pewnej chwili odwraca się w moim kierunku, szuka spojrzeniem, jakby coś przeczuła. Widzę, jak wyjmuje komórkę i wybiera numer. W mig pojmuję, do kogo dzwoni, i szybko wsiadam do samochodu, żeby odebrać telefon.

– Cześć!

– Cześć!

– Wszystko dobrze? Masz zadyszkę...

– Ja? Nie... Wydaje ci się.

– Co robisz?

– Nic takiego, idę pograć do Bata...

– Nie wracaj za późno.

– Dobrze się bawicie?

– Tak... – Ścisza głos. – W kółko opowiadają to samo. Lepiej się bawię, kiedy jestem z tobą. Szkoda, że cię tu nie ma...

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi. Kiedy Alessia się odzywa, jej głos ma ciepłą barwę.

– Mógłbyś po mnie przyjechać, no wiesz, trochę później? – Reflektuje się. – Zapomniałam, przecież idziesz grać w pokera...

– Znajdę kogoś, kto mnie zastąpi. Nie ma sprawy. Jesteśmy umówieni.

Rozłącza się.

– I?

– Co? O co chodzi?

Gruby się śmieje.

– O czym myślałeś?

– Ja? O mnie i o tobie.

– Jasne, lepiej powiedz, że o niczym. Jesteśmy na miejscu.

Wysiadamy z samochodu.

Nigdy więcej nie sprawdzałem Alessii, kiedy wychodziła z przyjaciółkami. Może to był błąd?

Gruby bierze mnie pod ramię, kiedy wchodzimy do restauracji.

– Mam problem...

Kiwam głową. Gdybyś wiedział, ile ja ich mam. Nic nie mówię i po chwili jesteśmy już w Caccolaro.

– Cześć, Alfre, usiądziemy tutaj.

Lokal jest prawie pusty. Alfredo, który stoi za kasą, kiwa głową i wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: siadaj, gdzie chcesz, nie widzisz, że nikogo nie ma?

Gruby zmierza w głąb restauracji.

– Tutaj jest najchłodniej. – Opada na krzesło. – Uff...

Rozsiada się wygodnie, odsuwa sąsiednie krzesło i rzuca na nie marynarkę, dwa telefony kładzie na stole, wypełnia sobą całą przestrzeń. Zanim zdąży usiąść, podchodzi do nas kelnerka. Ma na oko osiemnaście lat, kolczyk w brwi, długie jasnoniebieskie włosy wygolone z jednego boku, pełne usta, zielone oczy i ciemną grzywkę. Gdyby nie jej nieśmiały uśmiech, wyglądałaby jak z obrazu Tamary Łempickiej.

– Co podać do picia?

– Wodę.

– Dla mnie piwo.

Gruby nie ma żadnych hamulców. Dziewczyna oddala się, kołysząc zmysłowo biodrami. Trudno tego nie zauważyć.

– Niezły tyłek, co? – Gruby wdziera się w moje rozmyślenia.

Nie chcę go więcej torturować, wzruszam ramionami. Teraz mogę oglądać się za kim chcę, znowu jestem singlem, wróciłem do gry, mogę robić z siebie kretyna, kiedy zechcę, właśnie, kretyna... Mogę zaczepiać dziewczyny. Jestem sam. Tak to wygląda. Jestem sam. Gruby zaczyna mówić, ale nie słucham go zbyt uważnie. Włączam telefon i udaję, że słucham jego opowieści, loguję się do Facebooka. Wchodzę na stronę Alessii. Niemożliwe, zmieniła swój status związku na: to skomplikowane... z przyjaciółkami. Wyłączam telefon. Wcześniej była w oficjalnym związku... ze mną. Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, a więc to prawda, coś się zmieniło. Kręci mi się w głowie. Gruby patrzy na mnie, ale niczego nie zauważa, ani przez chwilę nie przestaje mówić:

– Dojechaliliśmy do końca, nie mogę tak dłużej, nie chcę. Od ponad roku spotykam się jednocześnie z dwiema kobietami, okay, znam ludzi, którzy ciągną takie związki przez lata, czasami przez całe życie, ale najbardziej absurdalne w tym wszystkim jest to, że żadna z nich mnie na niczym nie przyłapała, niczego nie podejrzewają... Zdarzyło mi się nawet zostawić telefon u jednej lub drugiej... za każdym razem wysyłały SMS-y na drugi numer... co to ma znaczyć? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Odwraca się do mnie i szturcha w ramię, omal nie spadam z krzesła.

– Rozumiesz, co mówię?

– Jasne... – I tak w kółko mówi o tym samym. – Chcesz się z nią rozstać...

– Z którą?

– Skąd mam wiedzieć, jeśli sam tego nie wiesz? Ja mam za ciebie zdecydować?

– Dobrze by było... Czasami mam ochotę rzucić monetą, co wypadnie, to wypadnie... Nie musiałbym się nad niczym zastanawiać. Albo związać się z pierwszą napotkaną dziewczyną, właśnie, zagadam do pierwszej, która koło nas przejdzie. – Dokładnie w tym momencie podchodzi do nas kelnerka. – O, na przykład ona... Wychodzę z nią i koniec, nie będę musiał o niczym dyskutować, rozmyślać, wybierać, a potem jeśli nawet dopadną mnie jakieś wątpliwości, to co za problem, nie?

– Zdecydowaliście już?

Wybieram pierwsze lepsze danie z menu. Natomiast Gruby zaczyna się tłumaczyć przed dziewczyną:

– Sorry, jeszcze nie, to znaczy zdecydowałem się na ciebie, ale to był tylko taki przykład. Bo wiesz, czasami tak to się zaczyna, od żartu, potem wychodzą z tego najfajniejsze rzeczy, takie spontaniczne, bo miłość musi być spontaniczna... Mam rację?

Niewiarygodne. Gruby gada te głupoty, a ona się śmieje.

– Jak masz na imię?

– Lucia.

Rozmawiają dalej, jakby mnie nie było. Gruby przecież wie, że właśnie rzuciła mnie dziewczyna, że potrzebuję z nim pogadać, że to ja mam prawdziwy problem, a tymczasem rozmawia z tą osiemnastolatką, jakby nigdy nic, a ona go słucha, wpatrują się w siebie intensywnie, może nawet wymienili się już numerami telefonów. Lucia przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, dłonie oparła na biodrach i wydaje się szczerze ubawiona bzdurami, które opowiada jej Gruby. O, właśnie wybuchnęła śmiechem, machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć „Dosyć tego”, i poszła do kuchni z naszym zamówieniem. Cóż poradzić, niektórym wszystko przychodzi z łatwością. Tak jest z Grubym i z innymi, o których czytam czasami w gazetach.

Na przykład niektórzy bogacze. Jedni takimi się rodzą, inni takimi się stają, wymyślając po drodze niestworzone historie, w które sami by nie uwierzyli. Albo tacy brzydale, którzy mają u swego boku niewyobrażalnie piękne kobiety... No cóż, zdarzają się na tym świecie historie, których nie potrafię wytłumaczyć. Jak wygrane w lotto. Naprawdę są zwycięzcy? Dostają tę całą kasę i jeśli grali grupowo, to całą grupą idą odebrać wygraną? Nie boją się, że któryś z nich zatrzyma całą nagrodę i ucieknie? Przeważnie tak się dzieje w filmach, w przeciwnym razie nie byłoby sukcesu kasowego... Często wygrywa ten zły. Na przykład w gazetach pisze się o tych, którzy zostali złapani, i często na tym się kończy, jakby zostali aresztowani tylko na papierze. Może wszystko to nieprawda. Może jestem przybity, bo zostawiła mnie Alessia. Właściwie to mnie nie zostawiła, powiedziała tylko, że jej przykro, i odeszła. Czy ból po każdym rozstaniu jest taki sam? Bez względu na to, czy doświadcza go łobuziak, społecznik, szabrownik czy zwykły ratownik? Zwariowałem.

Gruby nie przestaje mówić, wygłupia się i popija piwo, które przyniosła mu kelnerka. Tak, teraz jestem pewny, że Lucia dała mu również swój numer telefonu.

Niewiarygodne, ale to wydaje się takie łatwe.

Dla mnie poznanie Alessii było jak bajka. Weszła na siłownię, stałem przy recepcji i odnawiałem abonament. Wtedy ją zobaczyłem. Bezwiednie upuściłem plecak na ziemię, wszystko się z niego wysypało, a ona się roześmiała. To był moment, odrzuciła na bok długie włosy i przechyliła głowę, jakby chciała powiedzieć: „Hej, niezdaro, czy naprawdę chcesz się we mnie zakochać?”.

Ja odczytałem jej spojrzenie zupełnie inaczej, mówiło: „Fajny jesteś, skoro nalegasz, jestem za”.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Jakie piękne są kobiety. W jednej chwili odkrywasz w nich mnóstwo szczegółów. Długie kolczyki, które niesfornie poruszają się wśród włosów, kolor lakieru na paznokciach, sukienkę z cienkiego materiału. Jest koniec maja i trudno się im oprzeć. Odkrywają swoje pachnące balsamem ciała, pokazują nogi, a kobiece kształty... Tracisz dla nich głowę, jak dla talii, która na co dzień skrywa się za różnego rodzaju paskami. Kiedy obejmujesz dziewczynę, jest to pierwsza rzecz, którą czujesz, zauważasz, która cię zaskakuje. Oprócz oczywiście piersi, nóg, oczu, no i pupy... Tego wszystkiego nie znajdziesz u mężczyzny, dlatego nigdy nie zrozumieć gejów: mają mniej piękna do przytulania.

Alessia przystaje, odwraca się uśmiechnięta, wie, że nadal na nią patrzę, pewna siebie, może nawet zbyt pewna, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Otwiera drzwi i znika w szatni. Stoję bez ruchu z kartkami w dłoni i rozdziawioną buzią, plecak nadal leży na podłodze.

– To jak, przedłuża pan abonament?

– Oczywiście.

Może Alessia pojawia się jako zachęta dla niezdecydowanych klientów siłowni. Ja wykupiłbym od razu abonament dożywotni.

Chwilę później rozpoczynam trening i daję z siebie wszystko. Ona jest w sąsiedniej sali. Ćwiczę na stepperze, ale kiedy wychylam się do przodu, widzę ją. Siedzi na atlasie, za całe obciążenie ma jedną pięciokilogramową płytkę, podnosi ją do góry i oddycha zgodnie z zaleceniami, wypuszcza powietrze w taki sposób, że... Mam ochotę poćwiczyć na maszynie, która stoi obok niej, zwłaszcza że podnoszę co najmniej dziesięć takich płytek! Ale wtedy wyszedłbym na klasycznego dupka. Może tego się właśnie spodziewa, więc postanawiam nic nie robić. Kończę ćwiczyć i idę do dystrybutora z napojami. Jestem spragniony, zwłaszcza jej. Spoglądam do sąsiedniej sali, ale nikogo nie widzę, może przeszła w głąb pomieszczenia. Po chwili słyszę brzęk monet wrzucanych do dystrybutora.

– Wrzuciłam dwa euro, co mogę ci zaproponować?

To ona, podeszła od tyłu tak cicho, że jej nie zauważyłem, i teraz stawia mi picie. Takie niespodziewane, drobne gesty sprawiają, że w jednej chwili czujesz się zarówno głupio, jak i szczęśliwie.

– Tak, dzięki.

– Nie. – Śmieje się. – Spytałam, na co masz ochotę.

– No, tak...

Podaje mi pomarańczowy powerade i odchodzi. Na razie tak to się kończy. Zalewa mnie fala uczucia i nie mam żadnych wątpliwości, może dlatego, że w tamtym okresie nie brakowało mi wiary w siebie. Próbowałam właśnie zakończyć trwający od kilku miesięcy związek, w którym czułam się królem świata albo raczej, jak mawiała Giorgia, tkwił we mnie kawał gnojka.

Giorgia siedzi naprzeciwko mnie, wpatrując się intensywnie, mówi pół żartem, pół serio.

– Wypędź go z siebie, do cholery, dlaczego odrzucasz naszą wspianą miłość?

Patrzę na nią bez słowa, jesteśmy w jej pięknym nowoczesnym domu pełnym obrazów i wygodnych kanap. Ma fantastyczną figurę, ładną buzię i chce ode mnie wyjaśnień, unosi brew, jakby mówiła: „Bo to jest wspiana miłość, prawda?”.

Ale widać też, że czuje się trochę nieswojo. W odpowiedzi kręcę głową, posyłam jej pewny siebie, spokojny uśmiech, który podpatrzyłem w filmach u Paula Newmana i Steve’a McQueena. Ci dwaj to dopiero byli królowie świata. Tak właśnie czuję się w tej chwili. Mam w sobie tę pewność siebie, tego gnojka, tego, nazwijmy rzecz po imieniu, skurwysyna, którego tak bardzo lubią kobiety. Tak, siedzi we mnie kawał gnojka, ale tylko dlatego, że moja kobieta na to pozwoliła.

– Posłuchaj, Giorgio, było nam razem bardzo dobrze, ale...

Robię pauzę, staram się z niej nie żartować, chcę, by zrozumiała, że to, co się dzieje, jest naturalną kolejną rzeczą.

– To już nie to samo.

O Boże, co za straszne zdanie: „To już nie to samo”, skąd, do cholery, przyszło mi ono do głowy? Zresztą sam nie wiem, jak jej to wyjaśnić. Nic nas nie łączy, nie ma żadnego uczucia, właśnie... Tak naprawdę nigdy go nie było. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, sprawy jakoś toczyły się do przodu, co jakiś czas bzykanko, niezbyt urozmaicone, ale jakoś to szło. Może dlatego w końcu się skończyło! Między nami nie było napiętności, a kiedy jej brakuje, po jakimś czasie związek się rozpada. Olśniło mnie, zrozumiałem, dlaczego nasza historia dobiegła końca: Giorgio, nie byłeś dla mnie niczym więcej niż niezbyt udaną relacją seksualną. Jednak, choć to prawda, nie mogę jej tego powiedzieć. Mężczyzna i kobieta nie powinni być wobec siebie do końca szczerzy. Może dla ciebie to był tylko seks, a dla niej wszystko inne z wyjątkiem seksu! Tak czy inaczej nie wolno ci tego powiedzieć. Musisz być niczym dobry aktor, zwłaszcza jeśli ona nie odpuszcza i nie chce uwierzyć, że to koniec.

– Czyli dla ciebie to wszystko, co było... – Giorgia wpatruje się we mnie intensywnie, jakby chciała powiedzieć: „A wiesz, ile tego było, prawda?”. – To dla ciebie nic nie znaczy? Wtedy w deszczu w samochodzie, a w kinie, w ostatnim rzędzie wśród tych wszystkich ludzi... Nic, to dla ciebie nic nie znaczy...

Milknie, spuszcza głowę i zaczyna płakać, a ja wpatruję się w nią bez słowa. Stój,

Nicco, jeśli teraz zrobisz jakiś ruch, wszystko zniszczysz. Odpuść, już masz to prawie za sobą, w przeciwnym razie to będzie ciągnąć się dalej, zaufaj mi, nie zbliżaj się do niej.

– Giorgio, ja...

To jest silniejsze ode mnie, nie dam rady, mam syndrom człowieka, który chce, by zawsze wszystko było w porządku. Na szczęście Giorgia przejmuję pałeczkę.

– Wynoś się stąd! – Odpycha mnie z całej siły. – Wynoś się, wyjdź z mojego domu!

Popycha mnie w stronę drzwi.

– Uspokój się, wychodzę.

– Powiedziałam, wynoś się stąd.

Popycha mnie coraz mocniej do drzwi wyjściowych.

– Wynocha, powiedziałaś! – Wpadam na komódkę, podrabiany antyk, który znajduje się w przedpokoju. Wazon, który na niej stoi, spada i rozbija się na kawałki. Giorgia szlocha coraz gwałtowniej.

– Ależ Giorgio, ten wazon był paskudny!

Nagle poważnieje.

– Idź stąd, wynoś się z mojego życia. – Wypycha mnie za próg i zamyka mi drzwi przed nosem. Stoję przez chwilę nieruchomo. Pewnie patrzy przez wizjer, robię smutną minę, zresztą, przecież próbowałem. Dobra, teraz mogę już iść.

Kiedy kończy się jakaś relacja, ważne, by do niej nie wracać. Dlaczego, skoro dociera do nas, że to nie jest to, że jesteśmy znudzeni, że ciągle się kłócimy, że już nas ten związek nie kręci, dlaczego pakujemy się w niego z powrotem? Dlaczego robimy ten cholerny błąd? Dlaczego pewnego dnia nie możemy się powstrzymać i sięgamy po telefon? Czyżbyśmy zapomnieli, jak to było? Nic na to nie poradzimy, jesteśmy przywiązani do idei bycia we dwoje.

Nie widziałem Giorgii od ponad roku, odkąd zacząłem spotykać się z Alessią. Prawdę mówiąc, to zerwałem z nią dopiero wtedy, kiedy poczułem, że związek z Alessią robi się poważny. Chyba trwałem przy Giorgii, bo dawało mi to poczucie bezpieczeństwa.

Lucia podaje kotlet i ziemniaki. Zabieram się niemrawo za jedzenie. Mówię „dziękuję”, i tak Gruby zabawi ją rozmową.

– Nie, nie, spotykam się z takim jednym, ale to jakaś masakra, jest strasznie zaborczy i zazdrosny...

– Dla mnie miłość bez wolności nie istnieje... Jeśli ograniczamy się nawzajem, to nie jest prawdziwa miłość, co nie?

Gruby potrafi opowiadać głupoty w taki sposób, że wszyscy mu wierzą, tak jak teraz Lucia, która wpatruje się w niego urzeczona, a on to oczywiście wykorzystuje.

– Jeśli ktoś cię kocha naprawdę, nie ma potrzeby być zazdrosnym, bo dla tej kobiety liczysz się tylko ty i już. Jeśli jest inaczej... Cóż, i tak niczego nie zmienisz, więc zazdrość również nie ma sensu.

Teraz Lucia wygląda inaczej, poważniej, jej osiemnastoletnie spojrzenie mówi: „Cholera, a więc to ty jesteś mężczyzną mojego życia, szkoda, że oboje jesteśmy zajęci”.

Gruby potakuje głową z zadowoleniem, unosi brew, jakby chciał powiedzieć: „No tak, ale wszystko da się jakoś załatwić, bo w miłości nie ma rzeczy niemożliwych”.

Nie wiem, czy to właśnie sobie powiedzieli, ale obawiam się, że tak. Jednak jednego jestem pewien. Zachowałem się wobec Giorgii jak skurwysyn i teraz za to płacę. Dziwne, czasami jesteś tak pewny swego, bez powodu, ale wiesz, że masz kontrolę nad sytuacją, decydujesz, kiedy coś się zaczyna i kiedy kończy. A innym razem jest zupełnie odwrotnie. Dopiero wtedy dociera do ciebie, czym jest miłość i ile cierpienia może przysporzyć. Ale też jaka jest piękna, cholera, bo miłość bierze cię w posiadanie, nikomu nie zagląda w oczy, doprowadza cię do szaleństwa, sprawia, że jesteś szczęśliwy jak nigdy wcześniej, a potem cię opuszcza, tak jak teraz, kiedy to nie ty rozdajesz karty... Na myśl, że nie wiem, gdzie jest teraz Alessia, robi mi się bardzo smutno.

– Resztą zajmie się on.

– Proszę. – Lucia podaje mi rachunek, uśmiechając się do Grubego.

– Myślałem, że ty zapraszasz. – Patrzę na niego zaskoczony.

– Zapłaciłem voucherem, ale ty zamówiłeś kotlet z ziemniakami i trzeba dopłacić... Daj dziesięć euro.

– Aha, czyli ty zapłaciłeś, ale ja mam dać teraz dziesięć euro?

– Gdzie tu problem?

– Jasne, nie ma. – Dla niego wszystko jest proste. Sięgam do kieszeni po portfel. Zaglądam do środka: pięćdziesiąt, dwadzieścia, dziesięć i pięć. Wyjmuję dziesięć euro i kładę na srebrnym talerzyku.

– No weź! Nie bądź kutwa!

Gruby, kiedy chce, potrafi być bardzo szybki, w mgnieniu oka wyjmuję z mojego portfela pięć euro i kładzie je na stole.

– Cześć, Lucio. Buźka! – Ręką daje znak, że wkrótce zadzwoni, a może tylko się zegna w sposób, w jaki robią to surferzy, do których on z pewnością się nie zalicza. Obejmuje mnie mocno za szyję, jak ma w zwyczaju, i wychodzimy z knajpy. – No, już... Nie złość się. Musisz być hojny, kto rozdaje dobro, ten dostaje dobro...

Nie wiem, co odpowiedzieć. Te pięć euro przekona Alessię, by do mnie zadzwoniła? Nie sądzę.



– Cześć wszystkim!

Wchodzę jak zwykle pełen zapału, ale nikt mi nie odpowiada.

„Biznes nie kręci się jak kiedyś, domy się nie sprzedają, rynek stoi na skraju przepaści, ale jeszcze jakoś się trzyma” – to słowa mojego szefa. Popołudniami od piętnastej do dwudziestej, a czasami do dwudziestej pierwszej lub dwudziestej drugiej, chociaż nikt nie liczy tu nadgodzin, pracuję w agencji nieruchomości B&B. Nazwa pochodzi od nazwiska właścicieli, braci Bandinich, ale co rusz ktoś sobie z tego żartuje, mówiąc, że lepiej by na tym wyszli, gdyby otworzyli *bed and breakfast*!

W rzeczywistości radzą sobie całkiem nieźle, mają w ofercie sporo domów, eleganckie penthouse’y i piękne wille na sprzedaż.

– Cześć, Nicco! – Jedyne, która mnie wita.

– Cześć, Benedetto.

Benedetta Pozzilli, zwana „Pozzi”. Ta ksywka tak naprawdę jest zdrobnieniem od *pozzanghera*, czyli kałuży! Przyłgnęła do niej, bo kojarzy się też z jej nazwiskiem. Być porównywanym do kałuży wydaje mi się okropne. Kałuża to brudna woda, która ochlapuje cię, gdy przejeżdża przez nią samochód, a kiedy w nią niechcący wdepniesz, przemoczysz buty i skarpetki. Nigdy nie skończyłem w Kałuży, mam na myśli Benedettę, a Gruby obiecał, że skopie mi tyłek, jeśli by mi się to kiedykolwiek przytrafiło.

– O czym myślisz, Nicco?

– Co? O niczym.

– No weź... Wariat z ciebie. – Szturcha mnie. – Wiesz, że nie da się myśleć o niczym, to niemożliwe, o czymś musisz myśleć, nawet jeśli to jakaś głupota. – Uśmiecha się, wtedy widzę, że ma zepsute zęby. Tego nie jestem w stanie wybaczyć żadnej kobiecie. Giorgia miała jeden martwy ząb z przodu. Natomiast Alessia wygląda jak z reklamy najlepszej na świecie pasty do zębów.

– Nicco?

– Tak, co jest?

– Rozumiem, myślisz o czymś głupim.

Patrzę na nią, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie powinienem raczej wspominać o jej uzębieniu ani o tym, że wszyscy mówią na nią Kałuża.

– Dobra, przyniosę ci kawę. Wiesz, mam dla ciebie niespodziankę... A nawet dwie! – Znika w głębi korytarza.

Siadam przy swoim biurku, zapadam się w czarny skórzany fotel i sprawdzam kalendarz: mam tylko dwa spotkania, które muszę potwierdzić, obejrzeć jeden dom, by wystawić go na sprzedaż, i inny, przeznaczony na wynajem.

– Jest kawa!

Siada na brzegu biurka. Benedetta jest wnuczką B&B i wszystko jej wolno. Przechodzi Gianni Salvetti, czterdziestopięcioletni zięć starszego z braci, Alfreda Bandiniego. Pracuje tu od dawna, posyła mi wymuszony uśmiech, moim zdaniem pełen nienawiści. Ma na sobie całkiem niezłą brązową marynarkę w grubą kratę, błękitną koszulę i zielony krawat z jakimś czerwonym rysunkiem, chyba czereśnią albo truskawką, nie, to wygląda jak róg. Krawat jest okropny. Niektórzy, choćby nie wiem jak się starali, nie są w stanie dobrze się ubrać. Nienawidzi mnie, bo pracuje w tym miejscu od lat i robi to samo co ja, choć jestem tu znacznie krócej. Gianni Salvetti to kompletny nieudacznik. Albo to ja jestem taki dobry. Jak zacząłem pracować w B&B? Nie, nie... Z całą pewnością nie zawdzięczam tej posady Kałuży!

Żona Alfreda Bandiniego zazwyczaj kupuje u mnie „Il Tempo”. Któregoś dnia wzięła „Ville & Casali”, „Astra”, „Di più” i chyba z dziesięć innych gazet. Kiedy wychodziła, zauważyłem, że utyka.

– Proszę pani, może pomogę?

Odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Chyba nie bardzo masz jak, musisz zostać tutaj...

– Nie, proszę się nie martwić. Jest ze mną Gruby. Domenico, pokaż się pani!

Gruby najpierw podnosi rękę, a potem wychyla się zza stosu magazynów ustawionych przy wystawie.

– Dzień dobry pani. – Całe szczęście schował pornosa, którego przeglądał. – Proszę się nie martwić, Nicco może wyjść na chwilę... Ma na to moją zgodę. Tylko nie wracaj za późno! – Gestem posyłam go do diabła i wychodzę z panią Bandini.

– Kto to jest, Niccolò, właściciel?

– Nie, to mój przyjaciel, który zagląda codziennie rano.

– Czym się zajmuje, nie studiuje?

Starsze panie zawsze wszystko chcą wiedzieć.

– Nie, proszę pani, mówi, że jest jak Steve Jobs.

– Kto?

– Ten, który wymyślił Apple'a, te komputery z jabłuszkiem...

– No tak, oczywiście, nie usłyszałam dobrze, niedawno zmarł, prawda?

– Tak. Widzi pani, Steve Jobs zapisał się do Reed College w Portlandzie, ale po pierwszym semestrze rzucił studia i zaczął pracować. Gruby chodził ze mną do liceum. Stwierdził, że to mu wystarczy, więcej nie potrzebuje się uczyć, pracuje przez internet, tworzy strony, w ten sposób zarabia.

W rzeczywistości sam nie bardzo wiem, czym dokładnie zajmuje się mój najlepszy przyjaciel.

– Aha. – Pani Bandini przynajmniej udaje, że rozumiała. – A ty?

– Ja pracuję tutaj, to rodzinny biznes.

Opowiadam jej trochę o sobie, o swoich dwóch siostrach, o wspaniałej miłości mamy i taty, że niedawno odszedł i zostaliśmy sami, że mama bardzo z tego powodu cierpi i że ja studiuje komunikację społeczną, ale jestem trochę w tyle.

– Może zamiast sprzedawać gazety, sam napiszę jakiś ciekawy artykuł! – Tym żartem kończę opowiadać o sobie. – Gdzie jest pani samochód?

– Przyszłam na piechotę, ale możesz mnie tu zostawić, nie chciałabym, żebyś miał przez Grubego jakieś kłopoty w kiosku, potem będziesz się musiał tłumaczyć przed wujkiem.

– Proszę się nie martwić. Można na nim polegać.

Bawi mnie, że mówiąc o nim, używa przezwiska. Gdyby to słyszał... Widzę, że dalej kuleje, ale nie mam odwagi spytać dlaczego.

– Mieszkam na via Pompeo Neri, to już niedaleko... Obudziłam się z rwą kulszową i miałam nadzieję, że przejdzie.

– Tu zaraz jest apteka. Mam samochód, jeśli pani chce, poproszę Grubego, by panią zawiózł.

– Dziękuję, nie trzeba, mam kierowcę. Ale to bardzo miło z twojej strony. Jesteśmy na miejscu. – Zabiera ode mnie torby z gazetami i wchodzi do kamienicy.

Kilka dni później zjawiała się w kiosku w towarzystwie kierowcy.

– Dzień dobry, pani Bandini.

– Cześć, Nicco, to dla ciebie.

Podaje mi wizytówkę z adresem i numerem telefonu agencji nieruchomości B&B.

– Chciałabym, żebyś zamienił słówko z moim mężem.

– Dziękuję. Skontaktuję się z nim.

Chwilę później wsiadała już do samochodu.

– Z nogą lepiej? – W odpowiedzi pokiwała głową i zniknęła we wnętrzu ciemnego maserati.

Jeszcze tego samego popołudnia poszedłem do agencji nieruchomości B&B na spotkanie z Alfredem Bandinim i od tamtej pory przychodzę tam codziennie. Mam umowę i całkiem przyzwoite wynagrodzenie.

– Pijesz gorzką? – Pozzi przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Od zawsze. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

– Nie. Jesteś na nieustającej diecie?

– Skąd, taka mi smakuje. Jest naprawdę dużo lepsza od słodkiej, spróbuj.

W odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Jesteś gotowy? – Kiwam głową, popijając kawę. – Mówiłam, że mam dwie niespodzianki. Od której zacząć, dobrej czy szalonej?

Całe szczęście, że żadna nie jest zła.

– Od dobrej.

– Proszę bardzo... Ta dam! – Kładzie na biurku teczkę. – Otwórz! – Wpatruję się w niebieską teczkę z logo agencji. – No, otwórz!

Pozzi, Kałuża, jest niecierpliwa. Otwieram teczkę. W środku znajdują się piękne zdjęcia.

– Czterystumetrowy penthouse z widokiem na Koloseum, okrągły dwustumetrowy taras z dużym jacuzzi, urządzone, superelegancki, cena cztery miliony euro. Jeśli uda ci się go sprzedać, wiesz, jaką prowizję dostaniesz? Wartą dużo więcej niż volkswagen polo, nikt ci nie podskoczy.

Jak widać, Pozzi kompletnie mnie nie zna. Samochód jest ostatnią rzeczą, którą bym kupił. Prędzej jakiś fajny skuter, ale w pierwszej kolejności wynajęłbym niewielki loft, w którym mógłbym się zaszyć. Życie z mamą i siostrą nie jest usłane różami. Przyglądam się zdjęciom, apartament jest naprawdę piękny. Położony na końcu via Cavour, rozciąga się z niego widok na Fori Imperiali, aż do piazza Venezia.

– Moim zdaniem cztery miliony euro za to cudo to darmocho.

– Jasne, musimy tylko znaleźć kogoś, kto zechce je kupić.

– Niccolò, czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli sprzedasz to mieszkanie, do kieszeni wpadnie ci co najmniej dwadzieścia tysięcy euro? I co ty na to? Jeszcze do ciebie nie dotarło, że właśnie dostałeś prezent? Takie wynagrodzenie przewiduje agencja za podobne transakcje. Chcesz to odpuścić?

– No... nie.

– Mam nadzieję. To ja poprosiłam wujka, żeby dał ci to zlecenie. Chcesz w końcu usłyszeć drugą wiadomość, tę szaloną?

Wiedziałem, że kryje się za tym jakiś podstęp. Pozzi patrzy na mnie roześmiana. Teraz za to zapłacę, będę musiał pocałować ją przy wszystkich, uklęknąć i poprosić o rękę.

– No to chcesz ją usłyszeć czy nie?

– Oczywiście, że chcę.

– Poznałam kogoś.

Uśmiecham się z zadowoleniem, a ona jest przekonana, że to z powodu tej wiadomości, a nie dlatego, że zostałem uratowany! Kim jest ten czubek, mam ochotę spytać. Kto pakuje się w coś takiego? Kto chce skończyć w Kałuży? Kiedy uda mu się od niej uwolnić? Jednak nie daję niczego po sobie poznać, patrzę na nią z życzliwym zainteresowaniem, w końcu załatwiła mi penthouse z widokiem na Koloseum i możliwość zarobienia dwudziestu tysięcy euro.

– Naprawdę. Ekstra. Bardzo się cieszę.

Zaczyna opowiadać:

– Ma na imię Luca, poznaliśmy się na imprezie i od momentu, kiedy go ujrzałam, wszyscy inni przestali się dla mnie liczyć. Wiesz, jak to jest, kiedy zaczynasz czuć i rozumieć, że to jest to, że nie może być inaczej, wystarczy jedno spojrzenie i ta osoba bierze we władanie twoje serce. – Pozzi wpatruje się we mnie nieprzytomnym wzrokiem.

To niedorzeczne, ale od razu zaczynam myśleć o Alessii. Nie daję tego po sobie poznać, jednak w głębi duszy jest mi bardzo smutno. Czy możliwe, żeby miłość była dla wszystkich taka sama? Słowa Pozzi idealnie oddają to, co czułem, gdy zobaczyłem Alessię na siłowni. Przy kolejnym spotkaniu rozmawialiśmy i żartowaliśmy. Alessia miała zarzucony na ramiona szaroniebieski ręcznik Nike'a, który w pewnej chwili zsunął się i spadł na podłogę. Jednocześnie schyliliśmy się, by go podnieść, i nasze dłonie się dotknęły. To takie nic nieznaczące sytuacje, które z czasem staną się ważne i które zapamiętasz na zawsze.

Tak oto doszedłem do strasznego wniosku: nie jestem w niczym lepszy od Pozzi, taki sam ze mnie nieudacznik jak z niej.

– Czaisz? Chciał mnie odwiedzić do domu, więc udałam, że nie mam samochodu, że do późna siedziałam w pracy, tam się przebrałam i przyjechałam taksówką prosto na imprezę... Jeździ pięknym niebieskim garbusem, wiesz, tym nowym, trochę mniejszym. Zgadnij, jaką muzykę włączył.

– Nie mam pojęcia.

– Najnowszą płytę Tiziana Ferra! *L'amore è una cosa semplice*. Pamiętasz ją?

– Wiem, która to...

– Ale nie pamiętasz? Słuchaliśmy jej razem parę dni temu, kiedy pojechaliśmy obejrzeć tamten dom w Salario...

– A tak, jasne – kłamię.

– Dokładnie tej piosenki słuchałam, jadąc na tę imprezę, na której się poznaliśmy... Rozumiesz? To znak...

– Może...

– Rozmawialiśmy pod moim domem do czwartej nad ranem!

Kiwam głową radośnie, przynajmniej mam nadzieję, że tak to wygląda, bo w tym momencie jestem w totalnej depresji. Już wiem, jak potoczył się tamten wieczór. Luca nie bardzo wiedział, jak się wywinąć, od początku było jasne, że nic z tego nie będzie, wykorzystał więc Pozzi do zrobienia mu szybkiej laski, zabawił się jej kosztem. Udaję dobrego przyjaciela.

– Co było dalej?

Benedetta zamyka oczy, kiwa głową i siedzi tak przez chwilę. O rany, co ona robi? Zasnęła? Zemdlała? Przestraszyła się czegoś? W końcu je otwiera i są to najszcześniejsze oczy na świecie.

– Pocałował mnie.

Jasne, ale nawet nie chce mi się zastanawiać, w jaki sposób to zrobił, o czym wtedy myślał, ile wysiłku go to kosztowało. Jestem zdania, że w niektórych sytuacjach mniej upokarzający jest system *self hand*. Lepiej zwalić konia, niż spotykać się z dziewczyną pokroju Pozzi. Z szacunku dla niej i dla samego siebie. Choć czasami mężczyźni sami wymierzają sobie za coś karę.

– Próbował posunąć się dalej, ale go powstrzymałam. Dobrze zrobiłam?

– Co?

Chyba śnię.

– Co się dziś z tobą dzieje, Niccolò? Wszystko dobrze?

– Tak, tak.

– Mam wrażenie, że mnie nie słuchasz, opowiadam ci o wszystkim, bo ci ufam... Rozumiesz, co powiedziałam? Nie pozwoliłam mu na więcej, chciał, ale wiesz, jak to potem jest. Wy, faceci, tak macie, nie mieści wam się w głowie, że dziewczyna może zakochać się od pierwszego wejrzenia, i kiedy zgodzi się od razu na zbyt wiele, uważacie ją za łatwą.

– Coś w tym jest.

– Widzisz? Ty też tak myślisz.

– Nie, chciałem powiedzieć, że masz rację. Większość faktycznie tak myśli, ale ja tak nie uważam, nie zawsze tak jest, nie to przesądza o tym, czy dziewczyna jest łatwa, czy nie...

Zanim z Alessią poszliśmy do łóżka, minął miesiąc i siedem dni. Powiedziała, że ma to być wyjątkowy wieczór. Myślałem, że spodziewa się jakiejś niespodzianki, romantycznej randki rodem z filmów czy książek, jaką wcale nie jest łatwo przygotować, i bałem się, że ją zawiodę... Tymczasem myliłem się, zakochany człowiek może wszystko. Jakbyś dostał szyfr otwierający specjalne drzwi, za którymi kryje się tajemnica... W życiu nie spodziewałbyś się takiego wyjątkowego wieczoru, a już na pewno nie tego, że sam będziesz jego autorem.

– Jak myślisz, Nicco, dobrze zrobiłam? To było trochę ryzykowne, prawda?

Nie, no jasne, świetnie sobie poradziłaś, ale idę o zakład, że więcej do ciebie nie zadzwonił. Tymczasem Pozzi nie przestaje mnie zaskakiwać.

– A wiesz, co jest najfajniejsze? Ktoś mógłby pomyśleć, że Luca więcej się nie odezwie...

– No tak...

– A on zadzwonił następnego dnia i poszliśmy na kolację do Duke! Rozumiesz? Do Duke! Uwielbiam to miejsce, można tam spotkać tylu ludzi, to nic, że ciągle tych samych. Dobrze dają jeść, choć w kółko to samo...

Straszna nudziara z tej Pozzi. Nicco... myśl o penthousie.

– Tak, tak, zgadzam się z tobą. – Potem pewnie ją posunął i wykasował jej numer.

– Jutro idziemy na kolację razem z parą jego przyjaciół, są bardzo mili, poznałam ich na imprezie... – Pozzi urywa, przyszedł jej do głowy ekstrapomysł. – Słuchaj, może przyslibyście razem z Alessią? Tamta dziewczyna jest bardzo do niej podobna, polubiłyby się, przy okazji ty poznasz Lucę i powiesz mi potem, co o nim myślisz. I jak?

– Rozstałem się z Alessią. – Nie wiem, dlaczego nie jestem w stanie skłamać ani znaleźć żadnej wymówki.

– Och, przykro mi.

– Alessia powiedziała mi dokładnie to samo.

Pozzi patrzy na mnie, zmieszana marszczy brwi i szybko stara się jakoś uratować sytuację.

– Wiesz co, mam bardzo fajną koleżankę, Antonellę, jak chcesz, mogę ją zaprosić.

– Nie, nie trzeba, dzięki.

Wstaje z mojego biurka.

– Proszę, tu są klucze do penthouse'a.

Jakby to mogło w jakiś sposób podnieść mnie na duchu, wypełnić wielką pustkę, którą zostawiła po sobie Alessia. W końcu Pozzi odchodzi.

Rozsiadam się wygodniej przy biurku, włączam komputer, oglądam raz jeszcze zdjęcia penthouse'a. Jest naprawdę piękny, zapiera dech w piersiach, dopracowany w każdym najmniejszym szczególe, zarówno na zewnątrz, jak i w środku, urządzony elegancko, niekrzykliwie, z gustem, idealnie. Nagle postanawiam wejść na profil Alessii na Facebooku. Szukam jej wśród kontaktów, ale zanim kliknę, zastanawiam się przez chwilę. Co napisała w okienku „status związku”? Wpatruję się w monitor, jeszcze nie otworzyłem strony. Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. Ale nie mogę się powstrzymać i klikam. Niewiarygodne: wolny/a. W sumie to lepiej niż: w związku z... i jeszcze może z podanym imieniem. Ale co to znaczy wolny/a? Że jest gotowa na nowy związek? „Hej, chłopaki, widzicie? Jestem wolna!” Już wiem, czego brakuje na Facebooku, ikonki „Nie lubię”. Jeśli coś mi się nie podoba, czegoś nie aprobuję, mogę tylko siedzieć cicho. A ja chcę, żeby była taka ikonka, dłoń z kciukiem skierowanym w dół, żebym mógł wzorem starożytnych Rzymian wyrazić swoje niezadowolenie. Czy to jasne, Zuckerberg? Proszę jeszcze o jedną ikonkę, z napisem „Phi!”. Wtedy natychmiast bym na nią kliknął i zamieścił komentarz: „Dlaczego, Alessio, dlaczego?”.

– Trzymaj. – Na moim biurku ląduje kolejna teczka.

Gianni Salvetti, ten miły, ten od umawiania spotkań. Koło niego stoi Marina, bardzo wysoka atrakcyjna dziewczyna, zatrudniona u nas na okres próbny. Nie bardzo wiadomo, kto ją przyjął i po co.

– Pamiętasz, że pokazujesz dziś o dziewiętnastej trzydzieści apartament na czwartym piętrze w Parioli? Tu są wszystkie szczegóły, nie spóźnij się.

– Włożyłam do środka dwie kopie planu mieszkania, gdyby oglądający chcieli je zatrzymać, oraz wykaz wszystkich kosztów związanych z centralnym ogrzewaniem i

utrzymaniem posesji. – Marina jest przynajmniej sympatyczna.

– Dzięki.

Uśmiecha się do mnie i odchodzi.

Gianni Salvetti odprowadza ją wzrokiem.

– Jak to się dzieje, że czasami one są równie piękne, jak głupie? To chyba kwestia montażu.

Oddała się, zrywając boki ze śmiechu z kiepskiego żartu, który rozbawił tylko jego, w tej swojej paskudnej marynarce, w oparach słodkawych perfum, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Jeśli myślał, że znajdzie uznanie w moich oczach, grubo się mylił. Na bożonarodzeniowej imprezie w agencji Salvetti pojawił się w towarzystwie swojej brzydkiej jak noc małżonki, która ciągle prychała. W jej przypadku montaż nie udał się pod żadnym względem. Otwieram teczkę. Zamieram. Via Mangili 48. Adres Alessii. Kiedy los wtrąca się w twoje życie, nic na to nie poradzisz, przegrałeś.



Parkuję na via Mangili 48. Niewiarygodne. Ileż razy siedziałem tu z nią wieczorami. Kiedy podjeżdżałem, uchylała odrobinę okno.

– Dobra, ostatni papieros i idę. – Zaczynała opowiadać. – Nie uwierzysz, Vane, moja przyjaciółka, kompletnie zwariowała. Rozstała się z Andrea i wyjechała z Simonem – mówi któregoś wieczoru.

– Aha.

– Wiesz, która to? – Patrzy na mnie, zapala papierosa, zaciąga się.

– Nie.

– No co ty! Vane, Vanessa!

Rozumiem, co mówi, ale Alessia ma dwieście przyjaciółek. Wpatruje się w końcówkę papierosa, która żarzy się tylko w połowie.

– Nieee... Ktoś mnie zdradza! Nicco, jesteś mi wierny? Masz inną?

– Ja? Absolutnie nie!

– Niewiarygodne... Do tego jeszcze odpowiedziałeś na moje pytanie!

Ponownie przypala papierosa, tym razem starannie, by mieć pewność, że będzie się palić równo i że nikt jej nie zdradza.

– To niedorzeczne, że mi odpowiedziałeś. Tyle że nie bardzo ci wierzę.

– Nie, no jasne.

Ale po chwili znowu opowiada o swojej przyjaciółce.

– No więc wyjechała na tydzień na Malediwy z tym Simonem, który notabene za wszystko zapłacił. I wiesz, co powiedziała rodzicom? Że jedzie do Parmy pracować jako hostessa podczas jakiejś konferencji! – Zaciąga się i kręci głową. – Coś takiego nie mieści mi się w głowie. Fakt, robiłam i gorsze rzeczy, ale tylko we Włoszech. Jednak wyjazd za granicę bez powiadamiania rodziców to co innego. A jeśli coś się stanie? Jeśli znikniesz na zawsze, a twoi rodzice nadal będą myśleli, że jesteś w Parmie?

– Jeśli ktoś znika na zawsze, w nosie ma, co myślą rodzice.

– Bo ty nie wierzysz w życie po życiu.

Pamiętam tamten wieczór, jakby to było wczoraj. Kiedy skończyła palić, poszliśmy na ostatnie piętro kamienicy, gdzie znajdują się pralnie, i zaczęliśmy się kochać. Wokół było ciemno, zapaliliśmy tylko jedną świeczkę, którą postawiliśmy na brzegu wanny. Byliśmy tak pochłonięci sobą, że nie usłyszeliśmy głosów dobiegających z zewnątrz. Kiedy się kochasz, świat wokół ciebie przestaje istnieć.

– Halo? Jest tu ktoś? – Dopiero wtedy dotarło do mnie, że pod drzwiami stoją jacyś ludzie. To byli państwo Fiastrri z czwartego piętra. Pani Fiastrri wychyliła się zza poręczy

schodów.

– Jest tam ktoś? Słyszeliśmy hałas.

Odsunąłem się od Alessii.

– Ale...

– Ćśśś... Poczekaj.

Mając na sobie jedynie podkoszulek, wyjrzałem przez drzwi. Pan Fiastri stał z tyłu i nie mógł mnie widzieć. Patrzyliśmy na siebie z jego małżonką bez słowa, ona z ciekawością, ja z nadzieją, że nic nie powie mężowi, pozostałym sąsiadom, portierowi ani mamie Alessii. W końcu pani Fiastri lekko się zarumieniła, jakby właśnie zrozumiała, co przed chwilą robiliśmy.

Wzruszyłem ramionami, uśmiechnąłem się. Przecież seks jest wspaniały, zwłaszcza kiedy kochasz się z właściwą osobą. Tak wtedy czułem i wcale się tego nie wstydziłem.

– Idziemy stąd.

– Kto tam jest?

– Nikogo nie ma. – Pani Fiastri delikatnie popchnęła męża, jakby chciała mu powiedzieć: „No, idź, czy naprawdę wszystko muszę ci tłumaczyć?”

Odeszli. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi i odgłos przekręcanego w zamku klucza. Roześmieliśmy się z Alessią w ciemności – nasza świeczka tymczasem się wypaliła. Leżeliśmy objęci, bez słowa, wszystko było takie naturalne, idealny moment, by powiedzieć coś ważnego, ale nie mogłem się na to zdobyć. W końcu ona wyszeptała:

– Nicco... Kocham cię. – Nie odezwałem się słowem. W ciemności widziałem jej piękne uśmiechnięte oczy, ale nie byłem w stanie nic powiedzieć, nawet „ja też” czy czegoś dowcipnego, na przykład „ja bardziej”, co w rzeczywistości wcale nie jest takie śmieszne, albo *idem*. Wyraża się w ten sposób znacznie więcej, zwłaszcza jeśli ona wie, o czym mówisz. A Alessia by wiedziała, bo *Uwierz w ducha* obejrzelśmy razem co najmniej dwa razy. Tymczasem nic z siebie nie wydusiłem. Może miała rację, że ode mnie odeszła. Chociaż mogła powiedzieć coś więcej niż „przykro mi”.

Puk, puk. Ktoś stuka w szybę samochodu. Podskakuję gwałtownie.

– Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć. Przyjechaliśmy wcześniej i zauważyłam identyfikator. – Pokazuje na tablicę rozdzielczą. – Jest pan z B&B, prawda?

– Tak, tak, już idę.

Biore identyfikator i wysiadam z samochodu. Kobieta, na oko pięćdziesięcio-, może pięćdziesięciopięcioletnia, jest pulchna, ma blond włosy i niebieskie oczy, w uszach wielkie kolczyki Bulgari, raczej podrabiane, nie mogę odczytać widniejącego na nich napisu. Mężczyzna jest od niej młodszy, ręce trzyma w kieszeniach szarych flanelowych podniszczonych spodni. Ubrany jest w skórzaną kurtkę i błękitną koszulkę polo firmy Lacoste, ma gęste ciemne włosy i znudzony wyraz twarzy. Kobieta bierze go pod rękę. Mogłaby być jego matką, ale on przypomina Rumuna. Kobieta patrzy na mnie i mocniej przyciąga towarzysza do siebie.

– Czasami biorą go za mojego syna... Pan też uważa, że Thomas wygląda na dużo młodszego ode mnie?

Owszem, ale nie mówię jej tego.

– Ludzie czasami nie patrzą uważnie.

Jest w siódmym niebie, uśmiecha się promiennie i jeszcze silniej tuli do siebie jego ramię.

– To będzie nasz dom! Jestem pewna, że nam się spodoba i że przyniesie nam szczęście... Czuję to!

Wciskam domofon. Kobieta nie przestaje mówić:

– Jemu podobają się wszystkie włoskie mieszkania. Jest Rumunem.

– Naprawdę? – Przybieram zdziwiony wyraz twarzy, który oznacza „w ogóle nie wygląda na Rumuna”.

– Halo? – słyhać głos przez domofon.

– Tu Niccolò Mariani z agencji B&B.

– A, tak... – Drzwi się otwierają.

– Proszę, tędy. – Puszczam ich przodem. Pod kamienicę podjeżdża z dużą prędkością bmw spider i parkuje po drugiej stronie ulicy. Za kierownicą siedzi przystojny chłopak. Szybko wybiera numer w komórce, mówi coś i się rozłącza. Chyba dzwonił do któregoś z lokatorów. Zmarnował pieniądze na połączenie telefoniczne zamiast podejść do domofonu. Choć dla niego nie jest to żadne marnotrawstwo, raczej udogodnienie, forsya ma dość. Wysiada z samochodu. Zapala papierosa i zaczesuje dłonią włosy do tyłu. Jest dobrze ubrany. Bogaty i przystojny. Co pali? Zanim zdążyłem zauważyć, drzwi windy się zamykają. Może takie same papierosy jak Alessia, może to są jej papierosy, których zapomniała zabrać wczoraj wieczorem z jego domu. Nie, niemożliwe. Robi mi się niedobrze. Stoję bez słowa, w końcu moja klientka pyta:

– Na które piętro jedziemy?

Drzwi w tej windzie zamykają się automatycznie, nawet jeśli od razu nie rusza.

– Na czwarte.

Wjeżdżamy w milczeniu. Jedno z nich jest mocno uperfumowane, a może oboje. Kątem oka obserwuję ich odbicie w lustrze. Kobieta całuje mężczyznę. Ma grube wargi i przylega do niego całym ciałem. Ślini się, a on ani na chwilę nie rozchyła ust. Widać, że za nią nie przepada, natomiast ona za nim szaleje. On pewnie szaleje za jej pieniędzmi. Ciekawe, czym się ta kobieta zajmuje, że może sobie pozwolić na takie wydatki.

– Jesteśmy na miejscu.

Wciskam dzwonek i zanim właścicielka nam otworzy, czytam wizytówkę na drzwiach mieszkania. W samą porę.

– Dzień dobry, pani Lorenzi. Oto nasi klienci.

– Dzień dobry, jacy państwo punktualni, zapraszam do środka. Wybaczcie ten

bałagan.

– Proszę się nie przejmować, pani Lorenzi, mieszkanie wygląda idealnie.

Nie widziała pokoju mojej młodszej siostry Valerii, więc nie wie, co to bałagan. Pokazuję tej dziwnej parze mieszkanie.

– Tu jest salon, który wychodzi na jadalnię. Ile tu jest metrów? Trzysta pięćdziesiąt, prawda?

– Mniej więcej tyle.

W głosie pani Lorenzi pobrzmiwa odrobina dumy, ale i smutku, bo ma świadomość, że wkrótce to mieszkanie przestanie być jej.

– Fiuuu... – Rumun gwizdże przeciągle.

Pewnie, mam ochotę powiedzieć, ty nie powinieneś nawet oglądać takiego lokalu. Czym się zajmujesz? Co robisz każdego dnia? Co pożytecznego zrobiłeś do tej pory? Jak poznałeś tę kobietę? Ale nic nie mówię, podchodzę do okna. Moi klienci rozmawiają z właścicielką, pytają o taras, ogrzewanie, garaż i dozorcę. Patrzą na ulicę. Samochód nadal stoi zaparkowany w tym samym miejscu. Alessia jeszcze nie zeszła. Jeśli ten przystojniak czeka właśnie na nią, to musi uzbroić się w cierpliwość. Zawsze trzeba było na nią czekać. Wreszcie wychodziła roześmiana, rozbawiona, biegła jak szalona, wpadała do samochodu i całowała mnie w usta, ale nie tak jak ta dziana baba swojego Rumuna. Alessia prawie mnie pożerała.

– Chyba się nie gniewasz, że musiałeś chwilę poczekać?

– Chwilę? Pół godziny.

– Dwanaście minut i pięćdziesiąt sekund.

– Tak, prawda – zgadzałem się z nią. – Minęły jak z bicia trzask.

Zawsze mówiliśmy to samo i wybuchaliśmy śmiechem. Potem ruszaliśmy, by pójść do kina, na kolację, w jakieś nowe miejsce, które wyszukała Alessia. Czasami nie robiliśmy nic konkretnego. Kiedy jest ci z kimś dobrze, nieważne, co robicie, ale jak. To się tyczy wszystkiego. Również czekania. Mężczyzna przestaje kochać kobietę, kiedy czekając na nią, zaczyna się niecierpliwic. Mnie jeszcze czekanie nie zmęczyło. Nigdy by mnie nie zmęczyło. Samochód nadal stoi zaparkowany. Spoglądam na zegarek. Minęło jedenaście minut. Bez wątpienia czeka na Alessię. Otwieram okno, ale w tej samej chwili podchodzi do mnie pani Lorenzi z klientami.

– Pokazałam państwu pozostałe pokoje, sypialnie, kuchnię, pokój gościnny i tarasy.

– Mieszkanie naprawdę piękne, a widok... Widać całe corso Francia. – Pulchna blondyna jest pełna entuzjazmu.

– Tak.

Rumun przyznaje jej rację w bardzo oszczędnych słowach. Po raz pierwszy przez jego twarz przebiega cień uśmiechu. Może w ten sposób wyraża swój entuzjazm.

– Wołałam pana... – pani Lorenzi podchodzi do mnie – ale chyba mnie pan nie

słyszał.

– Tak, przepraszam.

– Nie musi pan przepraszać, pokazywanie mieszkania tej pani to sama przyjemność.

– Wymieniają się uśmiechami. Gospodyni odprowadza nas do drzwi. – Zapraszam ponownie, jeśli będą mieli państwo ochotę.

– Dziękujemy bardzo. – Panie już wyglądają na zaprzyjaźnione. Kiedy wychodzimy na korytarz, otwierają się drzwi naprzeciwko. To pani Fiastrri, ta, która przyłapała mnie półnagiego w pralni z Alessią. Od tamtej pory nie widzieliśmy się ani razu, że też musieliśmy wpaść na siebie właśnie teraz. Pani Fiastrri stawia na podeście worek ze śmieciami i napotyka moje spojrzenie. Mruży oczy, potem szeroko je otwiera, rozpoznała mnie, pamięta nasze poprzednie spotkanie.

– Dobry wieczór – zwracam się do niej. Tym razem się nie rumieni, kiwa głową, pozdrawiając wszystkich jednocześnie, i zamyka za sobą drzwi. Próbuje ściągnąć windę, ale ktoś nas ubiegł i winda zjeżdża na dół.

– Jak wam się podobało mieszkanie?

– Piękne! Bardzo eleganckie i świetnie utrzymane.

– Brakuje siłowni.

Z siłownią czy bez, Rumun i tak nie byłby zadowolony.

– Kochanie, przecież możemy zrobić siłownię sami.

– W sumie masz rację.

Rumun myśli przez chwilę. Odślania w uśmiechu duże krzywe zęby.

– Bardzo mi się podoba.

Zdaje się, że umie powiedzieć tylko to: „Podoba mi się” i „Nie podoba”. Zresztą pewnie i tak robi tylko to, co mu się podoba.

– Myśli pan, że zejda trochę z ceny?

– Wiecie, za ile jest wystawione do sprzedaży? – Spoglądam do dokumentów.

– Tak.

Nie pamiętam dokładnie, ale znajduję kwotę. Obniżyli ją już trzykrotnie.

– Milion dwieście tysięcy.

– To niemało... Może moglibyśmy spróbować ponegocjować?

W dokumentach koło kwoty widnieje dopisek „stop”, więcej zejść z ceny nie da rady.

– Nie sądzę.

Kobieta patrzy przymilnie, uśmiecha się, przechyla na bok głowę, jakby chciała mnie przekonać. Ale mnie nic do tego, proszę pani. Poza tym, ma pani swojego Thomasa, czego jeszcze pani szuka? Płaci pani i już, prawda? Również za dom.

– Weźmiemy je. – Potężna dłoń Rumuna zamyka moją teczkę. Facet patrzy na mnie i kiwa głową.

Kobieta jest zaskoczona.

– Ależ Thomas...

– Weźmiemy je. Podoba mi się.

Przyciąga ją mocno i obejmuje. Tym razem to on przywiera do niej całym ciałem i całuje. Kobieta uśmiecha się półprzytomnie, jakby właśnie miała orgazm.

– Mnie też bardzo się podoba. Będzie nam tam świetnie.

Wsiadamy do windy. Kręci mi się w głowie, już nie czuję zapachu tych dwojga, czuję zapach Alessii. Zamykam oczy i wracam myślami do tamtego dnia, kiedy jechaliśmy na ostatnie piętro. Jesteśmy w windzie. Alessia wciska guzik z numerem cztery, a nie trzy, gdzie mieszka.

– Ale... – mówię.

– Tak? – Patrzy na mnie dwuznacznie, jakby chciała powiedzieć: „Masz coś przeciwko temu?”. Zaczyna rozpinąć bluzkę. – Nicco... *fa caldo*.

Naśladuje znaną reklamę. Patrzę na nią bez słowa, ale jakoś mnie to nie bawi. Winda jedzie w górę.

– Co miałaś na myśli, mówiąc: „robiłam gorsze rzeczy”?

Alessia wybucha śmiechem.

– Wiedziałam, że nie odpuszczisz, że będziesz umierać z ciekawości, że jeszcze do tego wrócisz.

– Powiedz, jakie gorsze rzeczy robiłaś?

– Widzisz... Jesteś jak każdy Włoch. Zazdrosny i zaborczy jak Sycylijczyk. To moja kobieta, do kurwy nędzy...

Pamiętam, że powiedziała to w bezbłędnym dialekcie sycylijskim, którego nie powstydzilby się Andrea Camilleri i z miejsca zaangażowałaby ją do jednego ze swoich kryminałów o komisarzu Montalbano.

Docieramy na ostatnie piętro. Alessia wybiega z windy i szybko przemierza schody prowadzące na strych, starając się nie stukać obcasami. Wyjmuje klucz i otwiera żelazne drzwi do pralni. Czy ten klucz wzięła specjalnie na dzisiejszy wieczór, czy też miała go od zawsze? Ile razy wcześniej była w tej pralni? W takim razie miała rację: do kurwy nędzy, jestem Sycylijczykiem! Kiedy pokonuję ostatnie stopnie, Alessia zaczyna się rozbierać, patrzy na mnie bez słowa, w końcu całkiem naga staje przede mną na kamiennej posadzce pralni. Jestem bardzo podniecony.

Alessia dolewa oliwy do ognia.

– Dzisiaj chcę robić jeszcze gorsze rzeczy. – Siada na brzegu wanny. – Weź mnie, Sycylijczyku, do kurwy nędzy...

Rozchyła uda, widzę idealnie przycięte włosy łonowe.

– A pan jest szczęśliwy, że je bierzemy? To ponad milion euro! Niecodziennie ludzie wydają tyle pieniędzy, prawda?

Kobieta wydaje się lekko urażona moim roztargnieniem. Odciąga mnie od strychu, pralni, Alessii, od tego przyjemnego wspomnienia. Niektóre wydarzenia zostają w naszej pamięci na zawsze, wystarczy poczuć zapach, który się z nimi kojarzy i wracają. Jednak znajduję się tu i teraz, z klientami.

– Jesteśmy na miejscu, proszę...

Puszczam ich przodem, ale kobieta nie zmienia tematu.

– Spytałam, czy jest pan szczęśliwy.

– Właśnie, spytała, czy jesteś szczęśliwy. – Wtrąca się Thomas, który na wzmiankę o mieszkaniu jakby się ożywił.

Bmw już odjechało. Spoglądam na zegarek: minęło dwanaście minut i pięćdziesiąt pięć sekund. A więc to ona jechała windą przed nami. To Alessia umówiła się z tym przystojniakiem. Odwracam się do swoich klientów, którzy czekają na moją odpowiedź. Prawda, kupili mieszkanie, a ja dostanę prowizję, ale w tym momencie nie jestem w stanie skłamać.

– Nie. Nie jestem szczęśliwy.

Może powinienem dorzucić: „Mam nadzieję, że wam niczego nie brakuje, w końcu kupiliście piękne mieszkanie, i będziecie żyli długo i szczęśliwie, że wasz związek przetrwa”... Ale w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi.

Patrzą na siebie zdezorientowani, nie takiej odpowiedzi oczekiwali, nie wiedzą, co powiedzieć, a ja odczuwam dziwną przyjemność, widząc ich zmieszanie.

Dzwoni moja komórka i wyciągam ją bez zażenowania.

– Przepraszam, muszę odebrać.

– Nicco, gdzie jesteś? Muszę z tobą pogadać.

– Już jadę.

– Tylko szybko. Czekam w domu.

Rozłączam się.

– Skoro zdecydowaliście się na zakup, spotkamy się w biurze w celu ustalenia wysokości zaliczki, to moja wizytówka. Lecę. Nagły wypadek. Cieszę się, że postanowiliście kupić to piękne mieszkanie.

Zawsze daję za wygraną. Nieprawda, wcale się nie cieszę, nic mnie to nie obchodzi, ale myślę o agencji, o pieniądzach, o tym, co powiedzą w biurze. Chciałbym umieć zdystansować się od wszystkiego i wszystkich. Również od mojej starszej siostry Fabioli, która właśnie do mnie zadzwoniła. „Muszę pogadać”. O czym? Co się stało? Odkąd zmarł ojciec, o nic mnie nie prosiła. Widywaliśmy się w domu przy okazji różnych spotkań, uroczystości, kolacji, ale nigdy nie rozmawialiśmy, zachowywaliśmy się jakby nigdy nic, jakby nic się nie stało. Tymczasem teraz ona mnie potrzebuje. A ja? Czego ja potrzebuję?

Drzwi wejściowe są otwarte, moja siostra siedzi na schodach. Latem na klatce schodowej jest chłodno. Ciemne blond włosy opadają Fabioli na twarz, ma na sobie dzinsy i koszulkę w kolorze liliowo-fioletowym z miękkiej indyjskiej bawełny. Dwa jasne sznureczki zwisają wzdłuż haftów na dekolcie. Trzyma papierosa.

– Sporo czasu jechałeś. Gdzie byłeś?

– Wróciłaś do palenia?

– Tak.

– Od kiedy?

– Od miesiąca, ale nic ci do tego. Przyszedłeś mnie przesłuchiwać?

Mówiąc to, się uśmiecha. Siadam obok niej. Fabiola zawsze mnie ciekawiła. Odkąd pamiętam, sprawiała wrażenie starszej, niż była, postępowała słusznie, ale po swojemu. Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Na przykład kiedy wychodziła za męża, wyprawiła trzy wesela. Pierwsze po uroczystości w kościele w Rzymie, a potem kolejne we Florencji i Mediolanie. Kilka lat temu była w Stanach i odnowiła przysięgę w Malibu.

Fabiola mieszka na via dei Tre Orologi w obłądnym penthousie z widokiem na Villa Borghese. Jest pięknie urządzone, cały w bieli, tylko niektóre ściany pomalowano na żywe kolory: żółty, fioletowy, niebieski lub zielony. Wygląda jak mieszkanie artysty fotografa. Wszystko tu ze sobą harmonizuje, biel jest barwą dominującą i całość prezentuje się równie oryginalnie, jak elegancko. Fabiola wykazała się nie lada odwagą i udowodniła, że ma dobry gust.

– Brakuje ci taty? – Zaciąga się papierosem i spogląda na mnie.

Po to do mnie zadzwoniłaś, mam ochotę ją spytać, to dlatego mnie tu ściągnęłaś? Ale takie pytanie byłoby nietaktowne, poza tym po raz pierwszy ze mną o tym rozmawia. W głębi duszy miałem nadzieję, że nigdy nie poruszymy tego tematu, a jeśli już się on pojawi, będę w stanie kontrolować sytuację. Tymczasem czuję ucisk w gardle. Oplatam ręce wokół kolan i mocno je do siebie przyciągam. Kiwam głową.

– Tak. Brakuje.

Chciałbym powiedzieć znacznie więcej: że czasami mam ochotę rwać sobie włosy z głowy, bo wariuję, kiedy uświadamiam sobie, że taty już nie ma. Wpadam w panikę na myśl, że któregoś dnia będę chciał go o coś spytać, o jakieś głupstwo, nic ważnego, a jego nie będzie. Już nigdy go nie będzie. Chociaż czasami wyobrażam sobie, że mnie słucha, i wtedy z nim rozmawiam, proszę go o radę, mówię mu o mamie, która nie radzi sobie z sytuacją, z bólem po jego stracie. Każda nasza taka rozmowa, zwłaszcza o mamie, kończy się dla mnie płaczem. Ale tego siostrze nie mówię.

– Fabi, o co chodzi?



Znowu na mnie patrzy, uśmiecha się, mierzwi mi włosy i poważnieje.

– Nicco, jesteś już dużym chłopcem. Teraz ty jesteś głową rodziny, wiesz? Nie możemy udawać, że nic się nie stało, ale musimy iść dalej.

Milknie, chyba chciałyby coś dodać, ale może mi się tylko tak wydaje.

– Zauważyłeś, jak Francesco robi się podobny do taty? Im jest starszy, tym bardziej go przypomina.

Trudno się z nią nie zgodzić. Francesco to jej trzyletni synek, też zwróciłem uwagę na podobieństwo do naszego ojca. Uwielbiam tego malucha, jest niesamowity. Ma oczy po dziadku i czasami, kiedy na mnie patrzy, odnoszę wrażenie, że mój tata znajduje się w nim i za jego pośrednictwem chce mi coś powiedzieć, ale po chwili Francesco odzywa się do mnie ze śmiechem i mówi: „Jeszcze”. Bo przeważnie się z nim wygłupiam, a on nigdy nie ma dość. „Jeszcze raz, Nicco! Zrób tak jeszcze raz!”

– Jestem z Vittorioem tylko ze względu na małego. – Fabiola wstaje, podchodzi do drzwi wyjściowych, zaciąga się ostatni raz papierosem i wyrzuca daleko niedopałek. Wraca na miejsce. – Tylko ze względu na Francesca. – Siada trochę dalej i wpatruje się we mnie.

Nie wiem, co powiedzieć, tego się nie spodziewałem. Musieli się nieźle pokłócić. Oczami wyobraźni widzę tę scenę: oto siostra mówi mężowi coś, o czym myślała od dawna, ale co zawsze dusiła w sobie. Mówi i natychmiast tego żałuje – nie dlatego, że to nieprawda, tylko dlatego, że pewnych rzeczy mówić się nie powinno. Tak to musiało wyglądać.

– Widziałam się z Claudiem.

Jak to widziała się z Claudiem? Jej dawny chłopak z czasów liceum i studiów stwarzał same problemy, był zaborczym i zazdrosnym męskim szowinistą. Chodzili ze sobą, dopóki Fabiola nie poznała Vittoria. Chyba właśnie z jego powodu się rozstali. I co teraz? Wrócił Claudio, a z nim kłopoty.

– Akurat z Claudiem?

– Właśnie. Spotkaliśmy się na klasowej kolacji, na której byli wszyscy z liceum. Skrzyknęliśmy się na Facebooku. Było dziwnie, jakby czas się cofnął.

– Fabiola...

Patrzy na mnie, ale nic nie mówi. Co ma oznaczać to milczenie? Znowu się z nim spotyka? Fabiola, żona Vittoria, przede wszystkim mama Francesca, kocha się ze swoim byłym chłopakiem z liceum? Wiem, co powiedziałyby Alessia: „Jesteś burżujem i myślisz jak burżuj. I co z tego, że jest mężatką? A może mówisz tak, bo to twoja siostra? Bo ma syna?”.

Kiedyś rozmawialiśmy na podobny temat. Opowiedziała mi o swojej przyjaciółce, strasznie się zaciętrzewiła, cokolwiek bym powiedział, było źle, w żadnej kwestii nie przyznawała mi racji. „Jesteś zwykłym burżujem” – orzekła. Tak się skończyła dyskusja, broniła swojej przyjaciółki do samego końca. Teraz się zastanawiam: czy próbowała

usprawiedliwić przyjaciółkę, czy siebie?

– Chcesz wiedzieć, czy poszłam z nim do łóżka?

Bezpośredniość siostry mnie zaskakuje. Nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach. Z Valerią czasami tak, ale z Fabiolą nigdy.

– Nie, dziękuję, nie chcę wiedzieć.

– I tak ci powiem. Nie poszłam. – Nie wiem, dlaczego oddycham z ulgą. Jeszcze nie wszystko stracone. – Przynajmniej na razie.

– Co ty gadasz? Nie wolno ci, nie możesz... To nie fair.

Dociera do mnie, że sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Fabiola chyba też to zauważa, bo się uśmiecha i zapala kolejnego papierosa.

– Palenie też jest niewskazane, ale lubię.

– „Lubię”? Palenie to co innego. Nie porównuj go ze zdradą! Zobowiązałaś się do czegoś, wyszłaś za mąż i to trzykrotnie.

– Razem z Malibu czterokrotnie.

– A najważniejsze, że masz dziecko.

Fabiola pali w milczeniu. Do drzwi kamienicy podchodzi mężczyzna, otwiera je kluczem i przemierza hol. Ma na nogach eleganckie mokasyny, których tupot odbija się echem po pustej przestrzeni.

– Dzień dobry – wita się uprzejmie, a my mu odpowiadamy.

Ściąga windę i czekając, przygląda nam się z zaciekawieniem. Zna Fabiolę, ale nie wie, co myśleć o mnie: jestem przyjacielem, kimś obcym, kochankiem, byłym chłopakiem? Nie, wyglądam zbyt młodo. Przypatruje mi się i mam ochotę mu powiedzieć, że Fabiola to moja siostra. Ale on odzywa się pierwszy.

– Przepraszam, ale tu nie wolno palić.

Fabiola nie zaszczyca go nawet spojrzeniem.

– Wiem. – Zaciąga się ponownie, jakby nigdy nic. Mężczyzna kręci głową i wsiada do windy, która właśnie przyjechała.

– Zawracają głowę.

– Ma rację, tu nie wolno palić.

– Gdybym nie paliła, powiedziałyby, że nie wolno siedzieć na schodach. Niektórzy są na tym świecie tylko po to, żeby zawracać innym głowę... Może ktoś robił im to samo w poprzednim życiu.

Fabiola uważa, że wszystko skądś się bierze, że istnieje przeznaczenie. Według niej jakiegokolwiek działania nie mają sensu. Nie warto walczyć, dyskutować, zmieniać.

– Wszystko jest z góry zaplanowane.

– Dopuść przynajmniej taką możliwość, że coś da się zrobić, że choć odrobinę wpływamy na zmiany w naszym życiu, w przeciwnym razie jaki sens ma podejmowanie

przez nas decyzji?

– Niech ci będzie...

Pamiętam, jak staliśmy przy katafalku z trumną taty. Podeszła do mnie z tymi słowami:

– Widzisz? Jednak wyszło na moje: nie mamy nic do powiedzenia.

Zrozumiałem, że nawiązywała do naszej rozmowy sprzed roku. Jakby na to czekała, jakby wiedziała, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie mogła powiedzieć mi to zdanie. A ja nie znalazłem żadnej odpowiedzi.

– Wiesz, wydaje mi się, że Vittorio czegoś się domyśla.

– Ale czego, skoro nic się nie wydarzyło?

– Rozmawiamy z Claudiem codziennie, myślę o nim non stop. Vittorio musiał zauważyć, że się oddalam, że myślami jestem gdzie indziej.

W ostatnich dniach przed naszym rozstaniem Alessia ciągle była nieobecna duchem.

Fabiola odwraca się i patrzy na mnie przez chwilę.

– Wcale nie musisz kochać, żeby się z kimś bzykać. – Wzrusza ramionami.

Nie znałem swojej siostry od tej strony, zachowuje się jak nastolatka. Fabiola zawsze postępowała metodycznie. Kiedy chodziła do szkoły, wszystko szykowała sobie dzień wcześniej, bluzkę, spódnicę, odpowiednie buty. Zostawiała otwartą książkę do przedmiotu, z którego mogła być pytana następnego dnia, a na niej kładła zeszyt z notatkami. Nie spotkałem nikogo bardziej skrupulatnego od niej. Zawsze była optymistką, wierzyła, że jeśli przeczyta zadany temat raz jeszcze, to wyjdzie jej to na dobre, będzie pomocne podczas ewentualnej odpowiedzi. Ale teraz wygląda na zupełnie inną osobę.

– Wiesz co? Nie rozumiem, dlaczego do mnie zadzwoniłaś. Zazwyczaj dzwoni się po radę, a mnie się wydaje, że ty już zdecydowałaś.

– Chyba jesteś zły. – Fabiola zaciąga się papierosem.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Po co do ciebie zadzwoniłam, skoro zdecydowałam? Och, braciszku, chciałam cię tylko zobaczyć, dawno cię tu nie było. Wiesz, jak Francesco za tobą szaleje? Uwielbia zabawę w liście.

To taka zabawa, którą wymyśliłem: sadzam go sobie na barana i biegam pod drzewami tam, gdzie liście są nisko, udając, że to niebezpieczne. Ale uważam, żeby nie poranił się gałęziami i nie zrobił sobie żadnej krzywdy.

– No tak... Zabawa w liście.

Kiedy nie mogę iść z nim do parku, wpadam do domu, wtedy mamy zabawę w drzwi, która też mu się niebywale podoba. Siada mi na barana i przechodzimy przez drzwi. Krzyczy zachwycony, kiedy muszę kucnąć, a ja lubię, jak szczypie mnie w policzki ze strachu, choć nic nie mówi i udaje, że w ogóle się nie boi. Pamiętam, jak bawiłem się z

nim, kiedy był młodszy. Chowałem się w ciemnym pokoju, a on wchodził jakby nigdy nic, szukał mnie bez cienia lęku, nie miał z tym żadnego problemu. Miał półtora roku i wcale się nie bał. Niesamowite. A wiecie dlaczego? Bo nie znał strachu. Kiedyś przemierzył cały ciemny pokój, aż zobaczył mnie przycupniętego za łóżkiem. „Nicco!”, krzyknął i podbiegł, objął mnie, a potem się odsunął i spojrzał roześmiany. Wiedział, że z mojej strony nic mu nie grozi, strach jeszcze dla niego nie istniał. To świat nas potem zmienia. Jego zmienił kilka miesięcy później. W korytarzu paliło się światło, schowałem się za drzwiami ciemnej łazienki. Francesco podszedł powoli, widziałem jego odbicie w lustrze, nagle przystanął na progu, wychylił się odrobinę do przodu, żeby sprawdzić, czy jestem w środku, ale po raz pierwszy ciemność i to, że nie wiedział, co mogłoby się w tej ciemnej łazience wydarzyć, zmusiły go do ucieczki. Pobiegł do kuchni do Fabioli i już nie wrócił. Przestraszył się. Może to wina jakiejś usłyszonej bajki albo obejrzanej w telewizji kreskówki, tak czy inaczej został „zbrukany”. Zastanawiam się, jakie to uczucie dla dziecka doświadczyć po raz pierwszy lęku.

Też byłem dzieckiem, też przez to przechodziłem i jedna osoba na pewno to widziała: mój ojciec. Przy Francescu myślę o swoim tacie. Za każdym razem, kiedy się z nim bawię, wygłupiam, szamocę, zastanawiam się, co robił ze mną ojciec. Z pewnością mnóstwo rzeczy, ale niewiele pamiętam. Zachowujemy w pamięci różne głupstwa, a nie jesteśmy w stanie utrwalić tego, co byśmy chcieli. Widziałem świetny film, *Dziwne dni*, w którym bohaterowie, dzięki wszczepionemu w skórę mikroczypowi, nagrywali to, czego byli świadkami. Naprawdę dobry. Niektóre filmy mogłyby stać się rzeczywistością. Jeśli coś zostało wymyślone, następnym krokiem powinno być wdrożenie tego w życie.

– Nicco, chcesz mi coś powiedzieć?

– Słucham? – Moja siostra chyba zauważyła, że myślami byłem bardzo daleko. – Nie.

– Na pewno? Wszystko u ciebie w porządku?

Chciałbym opowiedzieć jej o Alessii, która niespodziewanie zniknęła z mojego życia, o facecie, który dzisiaj po nią przyjechał, i o losie, który ze mnie drwi, wysyłając mnie służbowo właśnie do jej kamienicy, ale zamiast tego mówię po prostu:

– Tak, wszystko w porządku, naprawdę, powiedziałbym ci, gdyby było inaczej.

– To dobrze. Francesco pytał dziś o ciebie, dawno nas nie odwiedzałeś.

– Wiem, niedługo przyjdę.

– Okay.

Wstaje, poprawia dzinsy, zbiega szybko po schodach i wsiada do windy.

– Zdzwonimy się.

Wcisną guzik z numerem swojego piętra, ale zanim zamkną się drzwi, zdąży mi jeszcze powiedzieć:

– Okłamałam cię, przepraszam, przespałam się z Claudiem.

Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

Jak to? Ale drzwi od windy już się zamknęły. Specjalnie wyczekała do ostatniego

momentu, żeby nie musieć o tym rozmawiać, żebym nie zadawał pytań. Chciała zrzucić z siebie ten ciężar, ale nie przysparzać sobie z tego powodu kłopotów. Tak się nie robi.

„Każda czynność ciągnie za sobą serię wydarzeń”.

To studiowała Alessia, kiedy się poznaliśmy. Tak zwaną jogę drsti, czyli wizję, karmę, rodzaj stoickiej filozofii, według której wszystko to, co nas spotyka, zwiastuje naszą przyszłość.

Ale teraz myślę o Fabioli. Poszła na całość i będzie musiała ponieść konsekwencje. Najbardziej niedorzeczne jest to, że od razu myślę o Francescu i moim ojcu jednocześnie. Co by powiedzieli? Jak by ją ocenili? Poprosiliby o wyjaśnienia? Wiem, co mówiłby tata: „Jak to, przecież masz dziecko, powinnaś być spełniona i szczęśliwa, skąd w tobie taki niepokój? Czego ci brakuje, czego szukasz?”. Ale mój tata nie zada już jej tych pytań. Natomiast Francesco jest zbyt mały, może tylko by się uśmiechnął i pomyślał: „Przynajmniej mama jest teraz szczęśliwa”. Ja mógłbym ją o to spytać, ale nie dała mi okazji. W uszach dźwięczą mi słowa Fabioli: „Teraz ty jesteś głową rodziny”. No tak, tylko nawet jeśli pominiemy to, że nikt się ze mną nie liczy, jest jeszcze jeden mały szczegół: wcale tego nie chciałem.

Chciałbym być silniejszy, bardziej zdecydowany, bardziej męski. Chciałbym umieć śmiać się z tej sytuacji, nie przejmować się nią, skoczyć z Grubym do baru albo wypić piwo na ulicy w centrum miasta, w tym pubie pełnym cudzoziemców, Trinity College, albo wskoczyć w dres i pobiec nocą do ekskluzywnej dzielnicy Camilluccia. Tymczasem nie potrafię. Jestem pod domem Alessii, zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i zgasilem silnik. Chcę wiedzieć, czy umówiła się z tym przystojniakiem. Włączam radio i szukam jakiejś fajnej piosenki. Zmieniam stację jedną za drugą. *Just Give Me a Reason* Pink, *Umbrella* Rihanny, *Amami* Emmy, nie, ta się nie nadaje, *When I Was Your Man* Bruna Marsa. Wszystkie dołujące. Kiedy jest ci źle, nic nie pasuje. Kolejna stacja. Cholera. Znowu jest tak, jakby los ze mnie drwił. „Tylko dla ciebie zmienię skórę, żeby nie czuć mijających bez ciebie pór roku”...

Nasza piosenka. Smutno mi. Mam wrażenie, że teraz słowa mają inne znaczenie. „Tylko dla ciebie”. To się zdarzyło właśnie wtedy, u niej w domu. Jej rodzice wyjechali na weekend i Alessia do mnie zadzwoniła.

– Co robisz dziś wieczorem? Jesteś zajęty?

– Tak, tobą.

– Świetnie, tylko cię sprawdzam...

Po czym się roześmiała. Śmiała się przez telefon jak marzenie. Czasami lekko, a czasami tak pięknie, że nie potrafię tego opisać, wiem tylko, że uwielbiałem jej słuchać. Nie odzywałem się, a im dłużej milczałem, tym ona dłużej się śmiała.

– Dosyć, już dłużej nie mogę, strasznie mnie bawisz.

– Ale ja nic nie mówię.

– Właśnie, dobra, wystarczy.

– Jak to wystarczy! Przecież nie powiedziałem ani słowa!

To rozbawiło ją jeszcze bardziej. W końcu się uspokoiła.

– Basta, brzuch mnie rozboleł. Wpadnij do mnie. Za ile będziesz?

– Już jestem.

Znowu się roześmiała. Nagle wyszeptała:

– Zostaniesz u mnie na noc? Pragnę cię.

Rozłączyła się, nie mówiąc nic więcej, bo niczego więcej nie trzeba było mówić.

Podjeżdża samochód, parkuje niedaleko wejścia. Wysiada jakaś para. Poznają ich, mieszkają na drugim piętrze, bardzo spokojni ludzie. O czymś rozmawiają, może o minionym wieczorze albo o planach na następny dzień, albo o znajomych, z którymi zjedli kolację.

W końcu docierają do mnie ich słowa:

– Masz klucze? – I odpowiedź: – Tak.

Znikają za drzwiami kamienicy. Ulica ponownie pogrąża się w ciszy. Zaparkowałem pod zepsutą latarnią, w najciemniejszym miejscu. Słyszę ostatnią zwrotkę.

„Jak śnieg, który nie okryje całego miasta, jak noc jestem cichy, jeśli upadam, to tylko przez ciebie”...

Może też słuchają teraz tej piosenki, może on pieści jej uda, podciąga odrobinę sukienkę... Jej rodzice tym razem nigdzie nie wyjechali, więc może on zabrał ją do siebie. A może gdzieś się zatrzymali. Na samą myśl o tym ogarnia mnie przygnębienie.

„Jak noc jestem cichy, jeśli upadam, to tylko przez ciebie”...

Piosenka się skończyła.

– Hej... Wejź, ale szybko przyjechałeś!

Szaleńczo jej pragnąłem. Pamiętam, jakby to było wczoraj: czułem się niczym nastolatek, potrafiła mnie rozpaść jak nikt inny.

Idzie przodem. Biała sukienka w czerwone kwiaty pieści jej długie, zgrabne nogi. Na stopach ma sandały na niezbyt wysokich korkowych obcasach, białe, lakierowane z czerwonymi płatkami.

– Masz ochotę na coś do picia?

Zadaje pytanie, nie patrząc na mnie, idzie dalej. Wcale mi się nie chce pić. Patrzę na jej figi zarysowane pod cienką sukienką. Przystaje i się odwraca.

– To jak? Masz na coś ochotę czy nie?

Podchodzę do niej i zatrzymuję się, patrzy na mnie z zaciekawioną, jesteśmy bardzo blisko siebie.

– O co chodzi?

– O to, że jesteś piękna.

– I...?

I... nawet wtedy nie potrafiłem jej *tego* powiedzieć.

– I mam ochotę cię pocałować.

Nie daję jej dojść słowa, przyciągam ją mocno do siebie i całuję namiętnie, długo, pozbawiając tchu, desperacko, jakbym coś przeczuwał... A może byłem po prostu naiwny i szczęśliwy. Sam nie wiem. Chwilę później lądujemy w sypialni rodziców i zaczynamy się rozbierać. Zdejmuje powoli sukienkę, ma na sobie czarną koronkową bieliznę z cienkiej bawełny. W snopie światła wpadającym przez okno widzę, jak pochyla się i odkłada sukienkę na krzesło, nagle odwraca się do mnie.

– Hej! Nie patrz na mnie.

– Jak mam nie...

Szybko wskakuje pod kołdrę.

– Wariat... – Uśmiecha się i sięga ręką do pleców, rozpiną i zdejmuję stanik, potem figi i rzuca je na podłogę. W ułamku sekundy znajduję się obok niej, oddycham nią, muskam wargami jej skórę, całuję piersi, przygryzam delikatnie sutek, pieczę uda, w końcu rozchyłam jej nogi i wsuwam w nią palce. Jest podniecona, czuję, jak porusza się rytmicznie pod moim dotykiem. Pochylam się nad jej ciałem.

– Uważaj...

– Oczywiście... – Uśmiecham się do niej.

– Masz prezerwatywę?

– Przecież uważam.

– Akurat... Jeśli tak uważasz, jak przed chwilą mnie całowałeś, to zaraz będę w ciąży.

Wybucham śmiechem. Wstaję i wydaję z kieszeni spodni prezerwatywę.

– Jak długo ją nosisz przy sobie?

– Wziąłem dziś wieczorem.

– Na pewno? Nie jest dziurawa?

– No co ty! – Próbuję otworzyć paczuszkę. Alessia nie odrywa ode mnie wzroku.

– Pomóc ci?

– Nie, dzięki, sam to zrobię.

Nie mogę rozerwać opakowania, wyslizguje mi się z dłoni. Sięgam do niego zębami.

– Nie rób tak, przedziurawisz ją.

– Nie bój się, uważam.

W końcu rozrywam paczuszkę, wydaję prezerwatywę i rozwijam ją. A jeśli ją przedziurawiłem? – przechodzi mi przez myśl. Może nadmuchać ją i sprawdzić? Nie, tylko bym się wygłupił. W szkole napełnialiśmy prezerwatywy wodą i obrzucali się nimi! Nie, to nie czas na żarty. Zakładam kondom, jestem spokojny i żadne wariactwa nie przychodzą mi do głowy. Wracam do łóżka, całuję Alessię, rozchyłam jej uda i delikatnie kładę się na niej. Bardzo jej pragnę...

– Poczekaj, brakuje tu czegoś...

Nie wiem, co ma na myśli, leży pode mną, przesuwa się odrobinę na bok i szuka czegoś dłonią na komódce. W końcu natrafia na radio i włącza je. Właśnie zaczyna się ta piosenka.

„Tylko dla ciebie przekonam gwiazdy, by namalowały na niebie coś, co będzie przypominać ciebie”...

– To będzie nasza piosenka, zapamiętasz? Na zawsze nasza.

Zaczęliśmy się kochać i było pięknie, powoli, namiętnie, bez dziwactw. Potem z butelką szampana weszliśmy do wanny rodziców.

– Poczekaj, wstawię do lodówki drugą butelkę, to po powrocie nie zauważą, że tej brakuje.



– Mmm... wyśmienity, idealnie schłodzony.

Patrząc na Alessię i zastanawiam się, czy tak samo robiła z innym chłopakiem. Uśmiechamy się do siebie, ale ona nie ma pojęcia, o czym myślę. Chciałbym wiedzieć o niej wszystko, wdrzeć się do jej głowy, przejrzeć wspomnienia, zobaczyć, jak daleko posunęła się z poprzednimi chłopakami, co z nimi robiła, co oni z nią robili, czy brała go do ust...

– O czym myślisz?

– Ja? O tym, jak dobry jest ten szampan i jak fajnie mi z tobą.

– Tak. – Poważnieje. – Coś ci powiem, Nicco. Nigdy nie zaprosiłam do siebie żadnego ze swoich poprzednich chłopaków. Jesteś pierwszy, wierzysz mi?

– Oczywiście... Dlaczego miałbym ci nie wierzyć?

– Tak tylko pytam. – Unosi kieliszek do ust.

Kiwam głową i też upijam szampana. „Poprzednich chłopaków”. O co tu chodzi? Ilu ich jest? To znaczy, ilu ich było? Żaden nie wszedł na górę... Podnieca mnie to. Dlaczego miałbym jej nie wierzyć? Gładzę ją po kostce. A ona ilu chłopaków odwiedzała? Alessia unosi pomału stopę i wsuwa mi ją między nogi, gładzi mnie, popijając szampana. Gwałtownie dotyka mojego członka.

– Au!

– Przepraszam, nie chciałam. – Śmieje się zza kieliszka.

– Nic nie szkodzi.

Nieprawda, zabolalo jak diabli. Alessia znów zaczyna mnie pieścić. Masuje mnie stopą, jest delikatna i ostrożna. Dobrze jej to wychodzi. Zamykam oczy, odchylam do tyłu głowę, podoba mi się jak nie wiem co.

– Mamy trochę mało miejsca w tej wannie.

– Aha.

Ale jest bosko. Jestem bardzo podniecony, ale muszę się temu oprzeć. O czym mogę myśleć? O gazetach. Jest wczesny ranek, podjeżdża kurier i wyładowuje prasę. Zgarniam wszystkie gazety. Przesuwam je, składam na pół, układam jedną na drugiej, to męczące zadanie i bardzo nudne. Tymczasem Alessia dalej mnie pieści... Teraz zabieram się za gazetki dla dzieci, za komiksy. Czuję, jak Alessia się przemieszcza, woda spływa mi z ramion. Otwieram oczy. Stoi nade mną z szeroko rozstawionymi nogami. Jej szparka jest cała mokra, kropelki wody i odrobina piany lśnią między włosami łonowymi.

Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się jej oprzeć. Prasa ekonomiczna, ogrodnicza, z ofertami pracy. Alessia siada okrakiem na moich nogach, pochyla się do przodu i zanurza w wodzie. Prasa kulinarna. Bierze go do ust i całuje. Miesięczniki krawieckie. Prasa poświęcona alkoholom. Przesuwa się wyżej, jestem już w niej, zaczyna mnie ujeżdżać. Prasa myśliwska, samochodowa, motocyklowa. Alessia porusza się coraz szybciej. Odchyła do tyłu głowę, krzyczy z rozkoszy, jej fantastyczne piersi, mokre,

lśniące, namydlone tańczą przed moimi oczami. Jeszcze przyspiesza. Prasa żeglarska, wakacyjna, rybacka. Gazety porno. Nieee! Tylko nie te! Już dłużej nie mogę. Udaje mi się unieść ją odrobinę do góry i oboje szczytujemy jednocześnie, w ciepłej wodzie, bez obaw, przytulając się do siebie. Przez chwilę leżymy bez ruchu, ona na mnie, pachnąca, mokra, z ustami przylegającymi do moich warg. Uśmiecha się. W końcu szepce cichutko:

– Było pięknie, skarbie... Kocham cię.

Milczę przez chwilę, w końcu mówię tylko:

– Tak.

Nie potrafiłem powiedzieć jej nic więcej, ani tamtego wieczoru, ani nigdy później. Teraz siedzę w samochodzie pod jej domem. I chyba nie ma już nic, co moglibyśmy sobie powiedzieć. Spoglądam na zegarek, minęła godzina i czterdzieści minut. Jak dotąd przyjechali tylko ci państwo. Może już ją odprowadził? Może to nie on? A jeśli w ogóle nie wychodziła? Albo wróciła do domu minutę przed tym, jak podjechałem? Jest za piętnaście pierwsza. Dobra, o pierwszej odjeżdżam. Daję sobie jeszcze tylko kwadrans, jak się nie pojawi, spadam stąd. Myślami wracam do dzisiejszych klientów, do ich decyzji dotyczącej zakupu apartamentu. Jaki niesympatyczny jest ten Rumun, w ogóle jak wielu nefajnych ludzi jest na świecie. Tęsknię za tatą. Co by mi poradził w tej sytuacji? Czy w ogóle bym mu o niej opowiedział? Niewykluczone. „Wiesz, tato, wczoraj całą noc tkwiłem pod domem Alessii...”

A on by zażartował, jak to miał w zwyczaju.

– Po co? Czegoś zapomniałeś?

Może bym się zezłościł, a może nie. Dopiero teraz widzę, ile razy wkurzało mnie, kiedy się ze mnie nabijałeś. Nie rozumiałem, że robiłeś to z miłości. Dzisiaj to ja wygłupiam się z Franceskiem, czasami się na mnie złości, ale robię to, bo go kocham, jest mały i bezbronny, mam ochotę go zjeść, i myślę, że ty czułeś to samo do mnie, ale ja tego już nie pamiętam. Nie zorientowałem się w porę. Brakuje mi ciebie, tato. Bardziej niż czegokolwiek na świecie, bo na wszystko inne jest jeszcze czas. Tęsknię za tobą bardziej niż za Alessią, bo ją mogę jeszcze odzyskać. Spoglądam na zegarek, za minutę pierwsza. Poczekam do piętnaście po i wracam, przysięgam. Ale wiem, że wcale tak się nie stanie, że dalej będę czekać. Mam czas. No proszę. Mój upór został nagrodzony. Pięć po drugiej podjeżdża niebieskie bmw z przystojniakiem za kierownicą. Ciekaw jestem, co powie. Wsiadam z samochodu i zmierzam w stronę wejścia.

Szybkim krokiem przecinam ulicę, prawie biegnę w ich kierunku.

– No wreszcie!

Przystojniak odwraca się i patrzy na mnie z zaciekawieniem. Jasne, co ty wiesz? Skąd masz wiedzieć, co zniszczyłeś, kto był przed tobą, kto został odstawiony na bok bez słowa wyjaśnienia czy raczej z obraźliwym „przykro mi...”.

Staję w pół kroku. Chłopak jest wysoki, postawny. Ma szerokie ramiona, a jego dłonie teraz, kiedy lepiej je widzę, wydają mi się olbrzymie, ciężkie. Mogłyby chyba zrobić sporą krzywdę. Od strony pasażera wysiada ona.

– Cześć, Niccolò... Co się stało?

Daniela Martini z drugiego piętra, była fotomodelka, która, jak mówią, obraca się w jakimś szemranym towarzystwie. Według mnie to sympatyczna, roześmiana dziewczyna, a ludzie tak tylko gadają. Chociaż prawdą jest, że ilekroć czekałem pod domem na Alessię, widywałem Danielę w różnych samochodach. Czasami czekał na nią kierowca. Kiedyś jechaliśmy razem na górę i winda stanęła między piętrami. Dostałem ataku paniki, zacząłem kopać w drzwi.

– Kurwa! Otwierać! Otwierać, kurwa!

Nie przestawałem kopać, serce waliło mi jak oszalałe, byłem cały spocony i roztrzęsiony.

– Zaraz ruszymy. – Jej głos był tak spokojny i opanowany, że natychmiast oprzytomniałem.

Chwilę później oddychałem już normalnie, rytm serca się uspokoił. Daniela zaczęła ze mną rozmawiać.

– Jesteś chłopakiem Alessii, prawda? Tej z trzeciego piętra. Jak masz na imię?

– Niccolò.

– Fajna z was para.

– Dzięki.

– Długo jesteście razem?

– Od siedmiu miesięcy.

– Jak się poznaliście?

– Na siłowni... Ale odkąd zacząłem pracować, już tam nie chodzę.

– Czym się zajmujesz?

– Różnymi rzeczami. Studiuję komunikację, pracuję w rodzinnym biznesie, mamy kiosk z prasą, a popołudniami w agencji nieruchomości.

– Naprawdę? To musi być ciekawe zajęcie. Może będę zmieniać mieszkanie. Jeśli tak, przyjdę do ciebie. Zajmiesz się mną?

– Oczywiście. Mamy bardzo dużo ofert z tych okolic.

Gadaliśmy, dopóki winda nie ruszyła. Kiedy Daniela wysiadała, przeprosiłem ją za ten atak hysterii, ale tylko się uśmiechnęła.

– Nie ma sprawy. Mój chłopak też tak reagował, miał klaustrofobię. Generalnie niczego ani nikogo się nie bał, ale jak tylko znalazł się w windzie czy zamkniętym pomieszczeniu, wszystko rozwalał. Może właśnie dlatego się rozstaliśmy.

Jednego jestem pewien: wcale nie interesowało jej moje życie, chciała tylko odwrócić moją uwagę od tego, że tkwimy w zamknięciu, i to się jej udało. Naturalnie nie zmieniła mieszkania.

– Niccolò?

Patrzy na mnie wyczekująco. Stojący obok niej facet nic nie mówi, pewnie się zastanawia, co łączy taką kobietę jak Daniela Martini z kimś takim jak ja. Szukam w myślach jakiejś wymówki, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Jestem zbyt zmęczony.

– Przepraszam, ale pokłóciłem się z Alessią... To znaczy, rozstaliśmy się. Prawdę mówiąc, to ona ze mną zerwała i nie wiem nawet dlaczego...

Daniela Martini wygląda na poruszoną moimi słowami. Może urzekła ją moja szczerość. W końcu wzrusza ramionami.

– Przykro mi...

– To samo powiedziała Alessia.

Facet wybucha śmiechem.

– Słuchajcie... Sorry, mnie też jest bardzo przykro, ale, Dani, czy możemy już iść na górę?

Bez słowa wyjmuje klucze i otwiera drzwi.

– Na razie, Niccolò. – Daniela wchodzi do środka i odwraca się w moją stronę. – Mogę ci coś poradzić? Niczego dzisiaj nie rozwiążesz. Wracaj do domu.

– Tak, dobranoc.

Idąc do samochodu, słyszę ich rozmowę.

– No weź, dobiłeś go tym śmiechem.

– Wiem, ale on gadał jak w programie Marii de Filippi.

– Co mają do tego *Uomini e donne*?

– Nie w tym, w tym z kopertami...

Ona też wybucha śmiechem. Tego już za wiele. Daniela wyobraziła sobie mnie jako jednego z tych nieudaczników, uczestników *C'è posta per te*. W życiu nie zgłoszę się do tego programu, nawet jeśli listonosz przyniesie mi zaproszenie wysłane przez samą Alessię.

Akurat. Po pierwsze bardzo dobrze znam ten program, oglądałem go niejednokrotnie, a po drugie natychmiast bym do niego przystąpił, jeśli zaproszenie wyszłoby od Alessii.

Myślałem, że jestem inny. Tymczasem okazuje się, że postępuję dokładnie tak samo, jak ludzie niemający własnego zdania i ślepo zgadzający się z opiniami innych. Albo jak ci, którzy oglądają w telewizji niektóre programy i się do tego nie przyznają, ponieważ nie są one wystarczająco cool, trendy albo smart. Cała seria modnych słów... Czyli sam nie jesteś modny, skoro oglądasz takie programy!

Któregoś wieczoru byłem u Alessii i oglądałem *C'è posta per te*. Przedstawiono historię chłopaka, który nie znał własnego ojca. Po dwudziestu latach ten mężczyzna zdobył się wreszcie na odwagę i zdecydował na spotkanie. Wzruszyłem się. Nie wiem, czy to dlatego, że dopiero co straciłem tatę, czy żal faceta w telewizji wydawał się bardzo szczerzy. Alessia przyszła z kuchni i zapytała:

– Co się dzieje, płaczesz?

– Nie, skądże, coś mi wpadło do oka...

– Aha, jakaś biedna muszka! Chodź, wrażliwcu, jedzenie gotowe.

Oglądaliśmy program w kuchni i w pewnej chwili zacząłem łkać. Alessia wstała, obeszła stół, mocno mnie objęła i powiedziała:

– Wiem, dlaczego płaczesz, kochanie. Nie chodzi o historię tego chłopaka i jego ojca. Chodzi o twoją tatę, którego już nie ma. Często jakieś wydarzenia przywołują inne i wyzwalają w nas ból, którym nie potrafimy podzielić się z nikim, nawet z samym sobą.

Spojrzałem na nią i pokiwałem bez słowa głową. Nie umiałem powstrzymać łez. Alessia uśmiechnęła się do mnie.

– Nie martw się, płacz jest potrzebny. To znaczy, że bardzo go kochałeś i bardzo za nim tęsknisz.

Wtedy zrozumiałem, że ją kocham. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jak po seksie, kiedy jesteś zaskoczony tym, co czujesz, ponieważ do tej pory było jakoś inaczej, a nagle dociera do ciebie, że zdarzyło się coś wyjątkowego. Jakby ktoś zaczarował tę chwilę, pojąłem, że Alessia to ta jedyna i że odczytała moje uczucia w najdrobniejszym szczególe. Jednak nawet wtedy nie potrafiłem wyznać jej miłości. Więc nie mam prawa teraz się skarżyć! Włączam silnik i odjeżdżam w kierunku domu, nie wiedząc, że ten wieczór jeszcze się nie skończył i że będzie to jedna z najtrudniejszych nocy w moim życiu.

Parkuję samochód, wysiadam.

– Właśnie na ciebie czekałam!

Ciągnie mnie za kurtkę i przyciska do ściany budynku.

– Gdzie ty, kurwa, byłeś? Wiesz, która godzina?

– Wpół do trzeciej. Co z tego? – Zdejmuję jej rękę z szyi i poprawiam sobie koszulę. – Serio, można wiedzieć, jaki masz problem, siostrzyczko?

Valeria się śmieje. Moja młodsza siostra jest naprawdę zwariowana.

– Mam, kurwa, same problemy i tylko na ciebie mogę liczyć! Zawsze wracasz wcześniej, co dziś robiłeś, że jesteś z powrotem o tej porze?

– Nic.

– Akurat, nic. – Zapala papierosa i znów wybucha śmiechem. – To o której wracasz, jak coś robisz? O świcie? Kłopoty z dziewczynami, co?

Uśmiecha się w ciemnej sieni, rozświetlonej tylko żarzącym się końcem papierosa, kiedy się nim zaciąga. Widać jej białe, równe zęby i ciemne oczy. Ma rozpuszczone długie włosy i ciemną karnację skóry. Jest śliczna, wygląda jak Indianka. Tyle razy jej to mówiono, że sama w to uwierzyła. Zrobiła sobie plemienne tatuaże, nosi dziwne kółka, pierścionki w kształcie węża i srebrne bransoletki. Robi wszystko, by wyglądać jak squaw, do tego jest zbuntowana i nikogo się nie słucha. Ponownie zaciąga się papierosem.

– Chuj z tym, twoja sprawa, wszyscy mamy problemy, kłopoty to moje drugie imię...

Milknie i obserwuje mnie, czekając na reakcję. Ale nic z tego.

– Słuchaj, Vale, miałem ciężką noc, nie moglibyśmy iść spać i pogadać jutro?

Wypuszcza dym.

– Byłoby bosko! Też najchętniej wzięłabym prysznic i wskoczyła do łóżka, ale jest jeden mały szkopuł: mamy problem, Pepe tu jedzie.

– Co? Dlaczego mówisz „mamy”? Co ja mam wspólnego z Pepem?

Znowu zaciąga się papierosem, chyba chce udowodnić, że panuje nad sytuacją. Moim zdaniem jest tak szurnięta, że to może być prawda.

– Pepe tu jedzie i jeśli nie zejść do niego, zdemoluje nam dom, więc jest to także twój problem.

Przez chwilę nic nie mówię. Wiem, że powinienem był przyjąć ofertę dyrektora agencji i wynająć za niewielkie pieniądze małe mieszkanie blisko biura, ale ja wolałem zostać w domu. Nie chciałem, by mama czuła się opuszczona, no i odkąd nie ma taty, raczej nam się nie przelewa. Ale przede wszystkim ze względu na Valerię, która

mieszkając sama z mamą, przysparzałyby jej wielu zmartwień.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz do niego zejść? Sorry, ale chyba sama chciałaś się z nim spotykać, prawda?

Pepe to mięśniak z Tor Bella Monaca i nie dzielnica jest tu najważniejsza. Owszem, niebezpieczna, ale ani lepsza, ani gorsza od innych, chodzi o to, kim jest Pepe. Otóż w Tor Bella Monaca sieje strach. Kiedy Valeria opowiadała mi o nim po raz pierwszy, wybuchnąłem śmiechem. Siedzieliśmy przy stole.

– Mam dla ciebie newsa, *brother*... – Jadłem spokojnie wyśmienite gnocchi przyrządzone przez mamę. – Mam narzeczonego.

– Co za wielkie słowo... A kim jest ten nieszczęśnik?

– Chyba trafiłam na kogoś, kto utrzyma mnie w ryzach.

– Twarda sztuka.

– Nazywa się Pepe.

– Jest cudzoziemcem? – Zamieram z gnocco nadzianym na widelec.

– Nie.

– Piłkarzem?

– Nie! – Valeria się śmieje. – Pepe to jego przezwisko.

– Skąd się wzięło? Ma ciemną skórę?

– Trochę, ale to nie dlatego. Przewisko wzięło się chyba stąd, że pewnego razu jakiś facet gapił się na jego dziewczynę, więc Pepe podszedł do niego i wsypał mu do gardła całą zawartość pieprzniczki... Tak się mówi?

– Nie wiem.

– Skoro mówi się solniczka, to pieprzniczka chyba też?

Wtedy pomyślałem, że Valeria, która ma skłonność do przesady, żartuje. Ale kilka dni później porozmawiałem z Grubym i zrozumiałem, że sytuacja jest dużo poważniejsza.

– Co?! Z Pepem? Czy twoja siostra kompletnie zwariowała? Życie jej niemiłe? Ten facet pobił swoją ostatnią dziewczynę, a kiedy w jej obronie stanęli ojciec i brat, im też się dostało. Moim zdaniem to jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Rzymie, do tego handluje dragami. Jego przezwisko wzięło się stąd, że koka, którą rozprowadza, nie jest czysta, jest kiepskiej jakości, ale i tak wszyscy od niego kupują, bo się go boją.

Nie dowiedziałem się wprawdzie, skąd się wzięło jego przezwisko, ale jednego byłem pewien: tym razem Valeria wiele ryzykowała.

– A dlaczego do niego nie zejdziesz?

– Bo on chce to. – Pokazuje mi telefon.

– Gwizdnęłaś mu?

– To moja komórka.

– Do czego jest mu potrzebna? – Chyba się domyślam, ale wolę nie martwić się na

zapas.

– Do przeczytania moich SMS-ów.

– A ty nie chcesz mu jej dać, ponieważ są w niej wiadomości, których nie powinien czytać. Nie możesz po prostu ich usunąć i dać mu komórkę?

– Nie. To kwestia zasad.

– Posłuchaj Valerio, jeśli chociaż połowa informacji, które na jego temat słyszałem, jest prawdziwa, nie wygląda mi on na człowieka, który trzyma się jakichkolwiek zasad.

– Pora, żeby zaczął!

– Czy to właśnie ty musisz go ich uczyć?

– My!

– Jacy my?

– Ja i ty.

– Zwariowałaś! Nie mam zamiaru nikogo niczego uczyć, tym bardziej Pepego... Nie chcę z nim nawet rozmawiać, a już na pewno nie o zasadach!

Valeria siada na schodach ze skrzyżowanymi nogami, zaciąga się po raz ostatni papierosem i rzuca go na posadzkę.

– Spodziewałam się tego. Gdyby tata żył, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ze złością, której nie mogę okazać siostrze, dociskam niedopałek obcasem.

– Gdyby tata żył, nie paliłabyś na klatce, może w ogóle nie związałaabyś się z tym całym Pepem, a jeśli nawet, to tata spędzałby całe noce i dni na przekonywaniu ciebie, żebyś z nim zerwała...

– Tak, ale taty już nie ma.

Valeria chowa głowę między kolana. Patrzę na nią bez słowa. Jest mi przykro, że tak na nią naskoczyłem. Ona jest z nas najmłodsza. Co czuje po śmierci taty? Nie mam pojęcia.

– Vale, czy możemy odpuścić kwestię zasad? Proszę cię, zrób to dla mnie, mam teraz ciężki okres...

– Ja też... – Valeria podnosi głowę i spogląda na mnie.

– Rozumiem, ale teraz sama stwarzasz problem! Nie możemy go jakoś rozwiązać?

– Jak?

– Dając Pepemu ten przeklęty telefon.

– Nie mogę...

– Dlaczego?

– Kilka miesięcy temu poznałam fajnego chłopaka.

– I co z tego?

– Całowaliśmy się.



– Całowałaś się z nim, będąc jednocześnie z Pepem?

– Tak.

– Chyba upadłaś na głowę! Naprawdę szukasz guza. – Wpatruje się we mnie przestraszona, ale się nie odzywa. – Chodzisz z Pepem i całujesz się z innym?

– On mi się podoba.

– Oczywiście! W ogóle w to nie wątpię. Ale dlaczego najpierw nie zerwiesz z Pepem?

– Próbowałam, ale Pepe nie chce się rozstać.

Nie wiem, co powiedzieć, tym razem to ja milczę przez chwilę.

– Czy ten chłopak wie, że chodzisz z innym?

– Tak.

– Wie, że to Pepe?

– Tak.

– Wie również, kim jest Pepe?

– Tak, bardzo dobrze to wie!

– W takim razie to jakiś kolejny killer, jeszcze bardziej brutalny niż Pepe.

– Nieprawda. To normalny i bardzo spokojny chłopak. Poeta.

– Nie, kamikadze! Jeśli całuje cię, wiedząc, że jesteś z Pepem, musi być samobójcą!

– Pocałował mnie na dowód, że się go nie boi.

– Czy w takim razie nie lepiej wysłać jego na spotkanie z Pepem? Może się dogadają, może ten poeta go przekona, opowie mu o zasadach, których należy przestrzegać. O, na przykład przedłoży mu wszystko w rymach!

– Nie bądź idiotą. Wiesz, że jeśli pójdzie do Pepego, ten go zabije!

– Właśnie, więc ja mam iść zamiast niego!

– Ty mnie nie całowałaś.

– Nie, ale sprawiłbym ci porządne lanie!

– Nicco, zawsze potrafisz być taki przekonujący.

– Dziękuję bardzo... Hej, jaja sobie ze mnie robisz? W życiu nikogo do niczego nie przekonałem. Nie udało mi się przekonać ciebie do „normalnego” życia... A teraz? Teraz chcesz, żebym przekonał Pepego do przestrzegania twoich zasad!

– Och!

– Jasne! Och! Łatwo powiedzieć.

– Nie chcesz mi pomóc...

Znowu wkłada głowę między kolana i wpatruje się w posadzkę.

– Powiedz mi jedno, Valerio, czy on też ma jakieś przezwisko? Może Cacio... Świetnie by to brzmiało w kronice kryminalnej: „Cacio i Pepe w morzu krwi”.

- Jest poetą i wcale mnie nie śmieszysz.
- Ty mnie też nie. Chciałbym o wszystkim zapomnieć i iść spać.
- Gadaj zdrów... Ja też bym chciała.
- Jest tylko jeden drobny szczegół: ja nie całowałem się z nikim, chodząc z Pepem!
- Rozumiem, ale co się stało, to się nie odstanie. Co mam zrobić?
- Daj mu ten cholerny telefon, on się uspokoi, a my pójdziemy spać. Resztą zajmiemy się jutro.
- Nie mogę...
- Z powodu zasad? Odłóż je na bok na chwilę!
- Tam są jego SMS-y.
- Poety?
- Tak, Ernesta.
- A więc to Ernesto wpędził cię w kłopoty. Nie możesz ich usunąć?
- Nie. Za bardzo mi się podobają!
- W porządku. W takim razie zapisz je sobie na komputerze, w jakimś zeszycie, gdziekolwiek, tylko wyrzuć je z telefonu. Valerio, do jasnej cholery!
- Nie chcę... – Zaczyna cichutko płakać. – To niesprawiedliwe.
- Co jest niesprawiedliwe?
- One są moje.

W tym momencie nadjeżdża rozpędzony harley. Hałas silnika zakłóca nocną ciszę, kierowca co rusz gwałtownie wciska pedał gazu, mając wszystko i wszystkich w nosie. Valeria patrzy na mnie przestraszona.

- To on.
- Super! Właśnie na to czekałem. Pepe jest ukoronowaniem dzisiejszego wieczoru. Wzdycham, ale zanim zdążę powiedzieć coś jeszcze, słyszę jego donośny głos:
- Vale, do kurwy nędzy, gdzie jesteś? Złaź!
- A domofon? Zbyt proste, nie? – Kręcę głową z niedowierzaniem.
- Otóż to. – Valeria uśmiecha się nieznacznie.
- Cóż... – Biorę głęboki oddech i kieruję się do wyjścia.

Sięgam po telefon i wybieram numer Grubego. Jest sygnał, na szczęście Gruby ma włączoną komórkę. Może doradzi mi, co powiedzieć, zasugeruje, co zrobić, o ile w ogóle odbierze! Rozłączam się i wychodzę na ulicę. Facet siedzi na harleyu 1200, który pod nim wydaje się maleńki. Ma na sobie obcisłą koszulkę uwydatniającą wszystkie mięśnie, nawet te najmniejsze, które mnie wydają się bardzo duże. Wygląda jak postać z pełnej przemocy kreskówki, której przestraszył się sam autor. Jest uosobieniem przemocy. Potężne mięśnie czworogłowe ud za chwilę rozerwą mu chyba dzinsy. Wyłącza silnik.

Ma ogoloną głowę i lekki zarost. Nie wiem, w jakim jest wieku, ale jego spojrzenie mówi, że niejedno w życiu widział. Wpatruje się w ciemność, szukając wygłodniałym wzrokiem ofiary, w końcu widzi mnie.

- Cześć, Pepe.
- A ty, kurwa, kto?
- Niccolò, brat Valerii.
- Powiedz jej, żeby zeszła.

Nie lubi zawierać nowych znajomości.

- Zaraz! – Nie lubi w ogóle niczego.

– Słuchaj, Pepe, wiem, że czasami sprawy się trochę komplikują... – Unosi brew i patrzy na mnie lekko zdezorientowany. Moim zdaniem w jego spojrzeniu kryje się zdumienie: „Niewiarygodne, ten robak śmie się do mnie odezwać”. Nie daję mu dojść do słowa. – W zeszłym tygodniu rozstałem się z dziewczyną.

Robię pauzę, by nadać odpowiednią wagę swojemu wyznaniu, i liczę na to, że mnie zrozumie. Jego twarz nie wyraża absolutnie niczego. Wiem tylko, że dziś opowiadałem już o swojej sytuacji dwukrotnie. Mam nadzieję, że nie będę musiał robić tego po raz trzeci.

- Co mnie to, kurwa, obchodzi?
- No nic... Ja tylko...
- Chuj mi do tego. Każ lepiej swojej siorze zejść na dół.
- Chodzi o to, że...
- Nic nie kumasz. Wolisz, żebym to ja wszedł na górę?

Patrzy na mnie w taki sposób, że od razu wiem, jak to się skończy i czym wszyscy ryzykujemy. Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Pepe zsiada z motoru, kładzie na siedzeniu kask i staje przede mną. Jest ogromny. Jeśli spotykasz kogoś takiego na swojej drodze, bez zastanowienia przechodzisz na drugą stronę ulicy. Wygląda jak bohater amerykańskiego filmu podrasowany w Photoshopie. Tymczasem Pepe jest jak najbardziej prawdziwy, do tego nie mogę przejść na drugą stronę ulicy.

– Jak będzie? Słuchaj, braciszku Valerii, sprowadź ją natychmiast na dół, tracę cierpliwość.

- Ale...
- Nie mów, że jej nie ma. Napisała, że wraca do domu.
- Jest w domu.
- Grzeczny chłopczyk. Niech szybko złazi, ma coś dla mnie.
- Wiem, komórkę.
- Więc ci powiedziała.

Dałem ciała. Chciałbym móc mu po prostu powiedzieć: „Słuchaj, stary, co ja mam do

tego? Dajcie mi spokój, jest mi źle, zostawiła mnie dziewczyna, Alessia, i opowiadam o tym po raz trzeci tego samego dnia”. Ale nic by to nie dało. Postanawiam zmienić kierunek rozmowy, czym zaskakuję samego siebie.

– Siostra nie ma przede mną tajemnic, opowiedziała mi o komórce i o tym, że chcesz ją wziąć...

– O tym też ci powiedziała?

Jak to „o tym też”? Wolno myśli ten Pepe. Co innego miała mi powiedzieć? W tym cały problem!

– Wiesz, jakie są dziewczyny, prawda? Valeria bije je wszystkie na głowę, zresztą znasz ją. Jest bardzo dumna, ma różne fiksacje, myśli pod prąd, nie masz pojęcia, jak wyglądają nasze dyskusje...

Mówię to i zaczynam myśleć zupełnie o czym innym, przychodzą mi do głowy niedorzeczne obrazy, na przykład jak wygląda akt seksualny między tą bestią a moją siostrą! Jak Valeria mogła wpaść na pomysł związania się z kimś takim, zgodzić się na... Nie śmiem sobie tego wyobrazić. Czy można zrezygnować z roli brata? Tym razem Valeria przeszła samą siebie. Mówię dalej niepewnym głosem, mając nadzieję, że moje słowa brzmią przekonująco. Ten człowiek to bydlę, patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem, jak katatonik. Ma pękniętą wargę, pewnie po jakiejś bójce, i szramę na brwi. W jego twarzy nie ma niczego ładnego.

– Widzisz, Pepe, taka jest moja siostra i w pewnym sensie ją rozumiem. Oddanie ci komórki to dla niej sprzeniewierzenie się zasadom. Chodzi tylko o zasady, ona nie ma niczego do ukrycia.

Uśmiecham się niewyraźnie i mam nadzieję, że jestem wiarygodny. Chyba dobrze mówiłem, może to kupi. Cieszę się, że nie wspomniałem o tacie, o tym, że teraz Valeria zwraca się do mnie, bo nie ma nikogo innego. Zachowałem godność. Może sama mu o tym wspomniała i Pepe doceni, że nie wykorzystałem śmierci taty.

– Słuchaj, chuju...

Nic z tego. Nagle wykonuje tak szybki i gwałtowny ruch, że sam nie wiem, jak w podartej koszuli ląduję kilka centymetrów od jego twarzy. W otaczającej nas ciszy słyszę cichutkie dzwonienie: to dyndające guziki, które ocalały. Lubiłem tę koszulę, granatową, firmy Replay, z guzikami z masy perłowej, ponieważ dostałem ją od Alessii. Nie ma sensu wspominać o tym Pepemu.

– Niccolò? Co się dzieje?

Pepe i ja zadzieramy głowy.

– Wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Poczekam, aż wejdziesz.

Mama nadal stoi w oknie, nie spuszcza ze mnie wzroku. Patrzą na nią uważniej.

Gwiazdy okalające jej głowę nadają jej mistyczny wygląd. Pepe poprawia mi koszulę, wygładza ją i próbuje zapiąć, ale jego wysiłki spełzają na niczym, gdyż nie ostał się prawie żaden guzik.

– Dobrze mówi, idź już...

Otwartą dłonią popycha mnie tak mocno, że zapiera mi dech w piersiach, zataczam się niepewnie, ale utrzymuję na nogach. Kiedy się odwracam, Pepe jest już daleko. Jego harley z rykiem silnika jedzie przez chwilę na tylnym kole, po czym Pepe pochyła się i znika za rogiem, a wraz z nim jego tłumiona agresja. Wracam do klatki. Valeria wybiega mi naprzeciw.

– Jak poszło?

– Jak widzisz, świetnie.

Pokazuję jej, co zostało z mojej koszuli.

– Tylko tyle? W takim razie poszło ci super!

Wsiadamy do windy, wciskam czwórkę.

– Valerio, odpuść, dobrze? Będę ci wdzięczny...

– Uuu, mówisz do mnie Valerio, znaczy, że nie jest dobrze.

– Faktycznie, jest bardzo źle.

– Jeśli chodzi o koszulę, to ci ją odkupię. Pokaż. To Replay, dostanę bez problemu. – Odsuwam od siebie jej dłonie. – Chcesz w takim samym kolorze? Bo jeśli wolisz jakąś inną, to nie ma sprawy. To się nawet dobrze składa, koszule Replay nie są wcale takie drogie.

– Możesz się zamknąć? Ta koszula była pierwszym prezentem, jaki dostałem od Alessii. Proszę cię, nie mów już ani słowa.

Docieramy na nasze piętro. Mama stoi w drzwiach.

– O, ty też wróciłaś. Gdzie byłaś? Nie widziałam, jak wchodzisz.

– W sieni, czekałam na Nicca.

– Można wiedzieć, kto to był?

– Nikt ważny, mamó, zawracał głowę. – Staram się zbagatelizować jej obawy.

– Pokaż mi się. – Obraca mnie, szuka śladów na twarzy. Oddycha z ulgą. W końcu dzięki niej Pepe nie zdążył mnie stłuc. – A koszula? Dlaczego jest taka poszarpana? On ci to zrobił? O czym rozmawialiście?

– Mamó, o niczym ważnym, już ci mówiłem. To głupstwo.

Opowiedzieć jakąś bajeczkę o mieszkaniu na sprzedaż czy do wynajęcia? Lepiej nie. Zaniepokoiłaby się moją pracą i skomentowała jak zwykle czymś w stylu: „Widzisz, że mieliśmy z tatą rację, kiedy nalegaliśmy, żebyś skończył studia? A ty tracisz czas na dorywcze zajęcia”. O dziwo, zanim zdecyduję się, co powiedzieć, odzywa się Valeria.

– Mamó, Nicco nie ma z tym nic wspólnego. To był Pepe.

– To ten chłopak, który tu wydzwania i nawet się nie przedstawia, taki z ochrypłym głosem? Dziś wieczorem też dzwonił.

– Dlatego przyjechał, że mnie nie zastał. Ale to już koniec, mamó, nie martw się, skończyłam z nim. Już nie jesteśmy razem.

– Dobrze... A ty wcielasz się w rolę starszego brata, by bronić siostry! Chciałeś się z nim bić? Czy naprawdę niczego cię z ojcem nie nauczyliśmy?

Wybucham śmiechem.

– Mamó, ja miałbym się bić z tym osiłkiem? Nie widziałaś, jak wygląda? Jest jak niedźwiedź. Nie powaliłby go nawet najlepszy zapaśnik wrestlingu!

– Czego?

– Wiesz, mamó, to ci zawodnicy, których widzisz czasami na Italia Uno i zawsze pytasz się wtedy, czy oni udają, czy robią to naprawdę.

– Już wiem. Nawet oni nie daliby mu rady?

– Nawet oni wszyscy razem wzięci. Ja chciałem go tylko trochę uspokoić. Valerii udało się rozjuszyc bestię...

– Więc to moja wina... Ja pragnęłam tylko wolności, a on nie chciał tego uszanować.

– O czym ty mówisz, Valerio?

– O tym, że podoba mi się inny, mamó. Staralam mu się to wytłumaczyć na wszystkie możliwe sposoby, ale do niego nic nie dociera.

– Może nie wyraziłaś się jasno.

– Dosyć! Zostawcie mnie w spokoju. Nie mam ochoty na wasze reprimendy, jasne?

Znika w swoim pokoju, trzaskając drzwiami. Brak mi słów.

– Nicco, możesz mi to wyjaśnić? Twoja siostra spotyka się z kimś innym?

– Tak.

– Z takim samym jak ten?

– Mam nadzieję, że jest inny. Valeria mówi, że to poeta.

– Czy nie mogli załatwić tego między sobą? Jak się nazywa ten z ochrypłym głosem?

– Pepe.

– No właśnie, Pepe i poeta? Tymczasem poszedłeś ty i skończyło się na podartej koszuli, którą podarowała ci Alessia.

– Masz rację, mamó, powinienem był się trzymać od tego z daleka.

– Wiecie, że to dla mnie trudny okres... Wszystkim nam potrzebna jest odrobina spokoju.

Milczę, chciałbym coś powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Patrzę na mamę i nagle zdaję sobie z czegoś sprawę: jest sama. Postarzała się, znikł gdzieś jej zwykły humor. Gdyby tata żył, od razu skomentowałyby zaistniałą sytuację. Śmiałyby się z Pepego. Śmiałyby się z mojej podartej koszuli. Pewnie powiedziałyby: „Nie

przejmuj się, Nicco, czy teraz nie nosi się poszarpanych koszul?”. Tymczasem nie dostrzega już komizmu w codziennym życiu. Kiedy los odbiera ci ukochaną osobę, nie masz powodów do śmiechu. Na domiar złego zostawia cię samego z Valerią. Naprawdę nie ma się z czego śmiać. Valeria wszystko utrudnia. Jeśli jest coś, co mogłoby skomplikować życie innym, ona to znajdzie! Jestem zmęczony.

W końcu odzywa się mama:

– Czy nie moglibyście brać przykładu z Fabioli? Ona w życiu nie przysporzyła mi żadnych zmartwień.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Stoję oniemiały. Wpatruję się w mamę i mam ochotę wyrąbać jej całą prawdę: „Mamo, Fabiola? Ona jest jeszcze bardziej pokrecona, wróciła do Claudia! Pamiętasz tego dupka, który zatruwał nam życie, kiedy chodzili ze sobą, będąc w liceum i na uniwerku? Właśnie, o nim mówię! Fabiola zaczęła znowu się z nim spotykać, chociaż ma synka, męża, dom i pracę!”.

Ale nie wspominam o tym.

– Masz rację, mamó. Postaramy się. Pogadam jutro z Valerią.

Głaszcz mnie po policzku.

– Dziękuję.

Głupio się czuję. Wyobrażam sobie mamę pośród publiczności Marii de Filippi. Patrzy na mnie, uśmiecha się, trzyma za mnie kciuki. Siedzę na kanapie, na środku telewizyjnego studia stoi duża koperta, która się otwiera. Chciałbym zobaczyć w niej Alessię, tymczasem pojawia się Pepe z jakimś chudym długowłosym koleśkiem, którego nie znam. To chyba poeta. Jedno jest pewne: nie czuję się najlepiej.

Obudziłem się w środku nocy zlany potem, nie pamiętając, o czym śniłem. Dlaczego niektóre wspomnienia nasz umysł cenzuruje, a inne pozostają wyryte w naszej pamięci, wyraźne i niezapomniane? Nie ma na to żadnego sensownego wyjaśnienia, po prostu tak jest. Rozmyślałem jeszcze przez chwilę, ale nie mogę przypomnieć sobie swojego snu.

Spoglądam na zegarek. Jest dziesięć po czwartej. Często budzę się o tej porze. Również o czwartej dziesięć. Zsumowałem cyfry tej godziny, wyszło pięć. Dodałem liczby godzin i minut – czternaście. Szukałem odpowiadających im liter, jakichś skojarzeń, ale nic nie znalazłem. A jednak to zawsze jest właśnie ta godzina, dziesięć po czwartej.

Kręcę się po mieszkaniu, wokół panuje obezwładniająca cisza, jakby dom był zawieszony w ciemnej próżni. Nie słychać samochodów, nawet w oddali, ani karetki jadącej na sygnale, żadnego włączonego alarmu czy huków fajerwerków, które tak często rozświetlają niebo nad Frascati, jakby zawsze była tam okazja do świętowania.

Noc ustępuje miejsca nadchodzącemu dniowi, niebo się rozjaśnia. Idę do kuchni, odkręcam kran, nalewam wody do szklanki i piję. Również w budynku panuje cisza. Nie słychać jadącej windy. Nikt nie wraca lekko zawiany z imprezy, nawet ta dziewczyna z ostatniego piętra, którą często widywałem podtrzymywaną przez różnych chłopaków albo przez jej byłego, który dawno już stracił rachubę, jeśli chodzi o liczbę imprez i jej przypadkowych znajomych.

Upijam jeszcze trochę wody i odstawiam szklankę do lewej komory zlewu, tam gdzie mama myje warzywa. W mieszkaniu panuje przyjemny chłód, jak to w maju.

Idę boso korytarzem w stronę swojego pokoju, po drodze zaglądam do Valerii. Delikatnie naciskam klamkę, żeby nie hałasować. Moja siostra śpi, oddycha spokojnie, wydarzenia z nocy nie zakłócają jej snu. Szczęściara. Ja nie mogłem zasnąć, wierciłem się w łóżku niespokojnie. Z nerwów bolał mnie brzuch. Myślałem o spotkaniu z Pepem i o tym, że wyszedłem z niego bez uszczerbku na zdrowiu, tylko w podartej koszuli. Przyglądam się Valerii, wokół leżą porozrzucane rzeczy: iPad, iPhone z miłosnymi wyznaniem „nowego”, poety, książka o dziwnym tytule *1Q84*, stoi filiżanka z resztką herbaty albo rumianku. Vale ma taki spokojny sen, po jej twarzy błąka się cień uśmiechu. Zazdroszczę jej. Zamykam drzwi. Wydaje nam się, że znamy ludzi, którzy żyją obok nas, ale jesteśmy w błędzie. Nie znamy ich myśli, lęków, obaw. Często mylnie ich oceniamy, porównujemy do siebie samych, przymierzamy do swoich zwyczajów, do własnego postrzegania świata.

Valeria jest zupełnie inna niż ja, chociaż to moja siostra. Może nigdy jej nie poznam ani nie zrozumieć, pozostaje mi tylko kochać ją bezwarunkowo.

Idę dalej. Drzwi do pokoju mamy są lekko uchylone, zaglądam do środka. Spod nie do końca opuszczonej rolety wpada światło poranka, oświetlając łóżko i spokojnie śpiącą mamę. Nie śmiem wejść, czuję się niezręcznie, jakbym miał sprofanować to



miejsce, nie uszanować go. Do mych nozdrzy dociera ładny zapach wypranych ubrań. Zamykam drzwi, naciskam klamkę i przytrzymuję ją, aż usłyszę charakterystyczne kliknięcie.

Podejmuję swoją wędrówkę po korytarzu. Terakota pod moimi stopami jest chłodna. Znam układ płytek na pamięć, w końcu przemierzam tę trasę od lat. Coś mi nie pasuje. Jak w łamigłówce w „La Settimana Enigmistica”: patrzysz na dwa obrazki, które na pierwszy rzut oka wyglądają identycznie, jednak kiedy przyjrzesz im się uważniej, widać drobne różnice. Tutaj jest tylko jedna różnica: w pokoju mamy, mojej siostry i moim, w całym domu z pozoru brakuje tylko jednego, a tak naprawdę brakuje wszystkiego. Brakuje mojego taty.

Na fotelu przy łóżku zostawiał naszykowane ubranie na kolejny dzień. Na podłodze stały jego kapcie, za drzwiami wisiał szlafrok, na kanapie leżała gazeta, klucze zawsze odkładał na komodę przy wejściu, a pustą szklankę stawiał koło zlewu, nie w środku jak my wszyscy i jak prosiła mama, tylko obok. Nie był buntownikiem, nie, robił tak, bo był wyjątkowy. Ani mnie, ani moim siostrom nie przysłoby to do głowy. Ale jego już nie ma, kiedy o tym myślę, mam wrażenie, że spadam w przepaść. Więc wolę myśleć, że to sen, że jest inaczej, że nie ma tej nocy, tego czasu. Wyobrażam sobie, że gdybym znowu zajrzał do pokoju mamy, zastałbym tatę leżącego w łóżku i czytającego przy zapalonym świetle. Tak, unosi palec wskazujący do ust na znak, żebym zachował ciszę, i głową wskazuje na śpiącą u jego boku mamę. Ale wiem, że tak nie jest i nigdy nie będzie. Chyba właśnie coś zrozumiałem: czwarta dziesiąta to godzina, o której odszedł tata, a ja nie zdążyłem się z nim pożegnać.

Wracam do swojego pokoju, zamykam drzwi i siadam na łóżku. Myślę o tym, że nasze życie to ciągle łapanie równowagi. Kiedy wydaje ci się, że już ją osiągnąłeś, wydarza się coś, co sprawia, że ponownie ją tracisz. Upadasz do przodu lub do tyłu i znowu próbujesz ją złapać. Czasami nie jest to możliwe, więc musisz zmienić swoje życie, a to z kolei bywa trudne. Zanim się obejrzyś, wygląda ono zupełnie inaczej.

Wydarzenia poprzedniego dnia wprawiły mnie w ponury nastrój. Nagle przypominam sobie, co mi się śniło, zanim obudziłem się o czwartej dziesiątej. Byłem z tatą na plaży i zbieraliśmy oszlifowane przez wodę kamyki.

– Zobacz, tato, co mam!

Biegłem do niego radośnie, by pokazać mu denko od butelki, które znalazłem. Zwykłe, wyblakłe, trochę zmatowiałe i w ogóle nieostre, wyżarte przez słońce i sól.

– Fajne, prawda?

– Piękne, wrzuć je tutaj.

Włożyłem szkiełko do siatki i pobiegłem szukać kolejnych trofeów: szorstkich gładkich gładkich kamyków, fragmentów przedmiotów, gąbek. Najbardziej cieszyło mnie, że jesteśmy tu tylko my dwaj, moje siostry zostały w domu z mamą i to było nasze popołudnie. Pamiętam, że kilka lat temu rozmawialiśmy o tamtej plaży.

– Jak się nazywała?

– Nie powiem.

– Proszę, tato, naprawdę nie pamiętam... Tylko że była długa, ciągnęła się u stóp rzymskich willi i prowadziło do niej mnóstwo schodków.

Tata się roześmiał.

– To pamiętasz? Nie powiem ci, bo zaraz zabierzesz tam jakąś dziewczynę, a ja chciałbym, żebyśmy wrócili tam kiedyś we dwóch. Może pewnego dnia zaprowadzisz tam swojego syna. Niech wypadły na tę plażę pozostaną męską tradycją.

Ton jego głosu był bardzo poważny, najpierw wybuchnęliśmy śmiechem, ale potem obiecaliśmy sobie:

– Pewnego dnia wrócimy tam razem. W pobliżu robimy pyszną pizzę.

Nie starczyło nam czasu. Z plaży i kamieni zostało tylko wspomnienie. Jak na razie nie znam również kobiety, z którą mógłbym mieć syna. Przypomniałem sobie, co jeszcze powiedział tata w moim śnie.

– Zobaczysz... Jutro cię zaskoczy.

Schylony układam gazety. Przede mną staje ktoś w eleganckich mokasynach i miękkich skarpetkach w kolorze miodu. Bez wątpienia kobieta.

– Dzień dobry, Niccolò.

Kładę ostatnią paczkę z numerami „Ville & Casali” i się odwracam.

– Pani De Luca, co za niespodzianka... Co pani tu robi tak wcześnie rano?

Patrzy na mnie, ale nie odpowiada od razu, jakbym zadał niewłaściwe pytanie, jakby szukała na nie odpowiedzi. Przez chwilę żałuję, że się w ogóle odezwałem, trzeba było o nic nie pytać. Ale pani De Luca się uśmiecha.

– Tak wyszło...

Nie brzmi to przekonująco. Jest jej przykro? Chciała powiedzieć coś innego, udzielić innej odpowiedzi, jeśli takowa istnieje? Chyba za bardzo kombinuję.

– Czym mogę pani służyć?

– Proszę to, co pan właśnie odłożył na miejsce.

– „Ville & Casali”? To dobry magazyn, choć raczej drogi. Kosztuje pięć euro siedemdziesiąt. Ciekawe artykuły, świetne okazje mieszkaniowe z całych Włoch, no i mnóstwo zdjęć. Łatwo sobie wyobrazić te miejsca i widok, jaki się roztacza z danego domu.

– Ach tak.

Podaję jej magazyn, a ona wręcza mi sześć euro.

– Czyżby chciała pani zmienić dom? Proszę wybaczyć to pytanie, ale popołudniami pracuję w agencji nieruchomości, więc może mógłbym jakoś pani pomóc.

– Tak, wiem.

Widzi moje zaskoczenie, faktycznie nie miałem pojęcia, że słyszała o mojej pracy w agencji. Nasza dzielnica jest jak małe miasteczko, wszyscy wszystko o sobie wiedzą, ale skąd się o tym dowiedziała? Sama spytała? Ktoś jej przypadkiem powiedział? Jak to się stało? Zanim zadam sobie kolejne pytania, odzywa się pani De Luca.

– Wiem, ponieważ prowadziłeś sprzedaż domu mojej przyjaciółki, Lorenzy Mainy.

– Ach, oczywiście, dobrze nam poszło.

– Właśnie, mówiła mi. Tak czy inaczej, na razie nie zamierzam się przeprowadzać. Jeśli to się zmieni, będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

Pani De Luca jest sympatyczna, chociaż po każdym zdaniu milknie, jakby chciała coś dodać... Ale może mi się tylko tak wydaje.

– Do widzenia.

– Proszę poczekać...

– Tak? – Odwraca się do mnie.

Patrzy na mnie z nadzieją, że zrobię to, co jej zdaniem należy, powiem coś, co dusi w sobie. Przykro mi, że tak nie jest. To kwestia zwykłej uczciwości.

– Zapomniała pani reszty... – Podaję jej trzy monety.

– Siema, Nicco!

Wchodzi do kiosku jak zwykle w świetnym nastroju.

– Siema, Gruby, jak leci?

– Wszystko idzie super! Dla ciebie!

Kładzie na leżącym na ladzie „Oggi” pachnącą torebkę i butelkę.

– Kawa i rogaliki. Z baru Due Pini, rogalik z czekoladą i cappuccino bez cukru, tak jak lubisz.

Wyjmuję z torebki rogalik. Jest jeszcze ciepły, kawałki czekolady wypływają z obu stron.

– Pachnie apetycznie. Co chcesz w zamian?

– O rany, ale jesteś podejrzliwy. – Siada na stołku w głębi kiosku, między „Porta Portese” i „Leggo”.

Biorę gryza rogalika i przelewam cappuccino do plastikowego kubeczka, który znalazłem w papierowej torbie.

– Dziwisz się? Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebyś coś mi podarował i za chwilę nie poprosił, żebym cię gdzieś podwiózł, że zepsuł ci się motor albo masz problem z samochodem, albo czy nie mógłbym zrobić czegoś tam...

Biorę kolejnego gryza i popijam kawą.

– Jednak to jest tak dobre, że warte wszystkiego... Gdzie mam cię zawieźć?

– Widzisz? Tym razem się mylisz! – Gruby kręci głową.

– Niech ci będzie, ale to pierwszy raz, kiedy nie mam racji. Dzwoniłem do ciebie wczoraj w nocy, ale nie odebrałeś.

– Widziałem, byłem zajęty. Stąd dzisiejsze śniadanie. Przyniosłeś mi szczęście i chciałem z tobą to uczcić.

– Ale co?

– Tę laskę z pubu, Lucię.

– Nie wierzę! Niemożliwe. Jaja sobie ze mnie robisz?

– Absolutnie nie. – Wskazuje na torbę ze śniadaniem. – Czy przyniósłbym ci to wszystko, gdybym nie mówił prawdy? – Trudno się z nim nie zgodzić. – Było niesamowicie. Zadzwoiła do mnie wczoraj i zaprosiła do siebie. Jak myślisz, gdzie ona mieszka?

– Nie wiem... – Zastanawiam się. Dziwnie ubrana, z piercingiem i tatuażami. – Powiedziałbym, że na piazza Vittorio albo nie, na San Giovanni.

Gruby kręci głową.

– Pigneto? – usiłuję zgadnąć.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Na via della Camilluccia. Mieszka w obłądnej willi z widokiem na posąg Madonniny. Dla niej praca w pubie to zabawa, niczego jej nie brak. Jeździ czerwonym dwuosobowym maserati. Pojechaliśmy do Alaski na lody i w drodze powrotnej dała mi poprowadzić. Jechałem dwieście po via della Camilluccia. Kojarzysz tych żołnierzy przed ambasadą? Ledwo mnie zauważyli, tak grzałem.

– No ekstra...

– Przysięgam... Zaproponowała, żebym wypróbował brykę na obwodnicy. Jadąc, zastanawiałem się, czego ode mnie chce, po co zadzwoniła, i wtedy rozległ się dźwięk mojej komórki. To byłeś ty. Spojrzałem na nią i mówię, że to mój kumpel Nicco, a ona... Dobra, oszczędzę ci tego.

– Nie, nie, powiedz.

– Jak chcesz. Powiedziała: „Ach, ten smutas?”.

– Naprawdę tak się wyraziła?

– Naprawdę. Ja jej na to, że masz problemy, a ona, że to widać. W końcu mówię: „Wiesz co? Nie będę odbierać”. A ona: „Świetnie! Przecież mamy się dzisiaj zabawić!” i zaczyna rozpinać mi pasek...

– Dość już, Gruby, nie wciskaj mi kitu.

– Przysięgam! Mnie też nie chciało się wierzyć, że taka dziana laska, która studiuje sztuki piękne i jeździ czerwonym kabrioletem maserati, chce mi zrobić laskę na środku obwodnicy tylko dlatego, że nie odebrałem od ciebie telefonu. To jakiś absurd! Chyba zasłużyłeś na rogała i cappuccino, nie?

– Tak czy inaczej, umiesz wprowadzić mnie w dobry nastrój tymi swoimi opowieściami.

– Dlaczego zawsze uważasz, że ściemniam? Nawet wtedy, kiedy powiedziałem ci, że spotykam się z dwiema zajebistymi laskami... W końcu tak było, co nie? – Patrzę na niego, kręcę głową, ale przytakuję. Niestety ma rację. – No widzisz? O co chodziło wczoraj w nocy?

Opowiadam mu o Pepem i Valerii, o jej zasadach w kwestiach komórki i o nowym chłopaku, poecie.

– Twoja siostra jest porąbana, ale w pozytywnym znaczeniu. Nieustannie pakuje się w kłopoty, nic jej nie powstrzyma.

– W jakim sensie?

– Każda dziewczyna, która spotyka się z Pepem, normalnie robiłaby w majtki ze strachu, a ona nic...

– Masz rację. To ją chyba kręci.

– Mówisz? Skąd wiesz?

– Nie wiem, ale wcale nie chcę się dowiedzieć.

– Tu robisz błąd. Chodzi o kwestie psychologiczne, mogą ci się kiedyś przydać... Sam zobaczysz, że to w życiu podstawa. Może Valeria związała się z Pepem z nadzieją, że odnajdzie w nim ojca, kiedy tak się nie stało, wybrała poetę, żeby wynagrodzić sobie porażkę, oraz poezję i subtelność, by go ukarać.

– Kogo?

– No, Pepego!

– Moim zdaniem ukarała mnie i dość już tych bzdur.

– Uspokój się, twoja siostra teraz, po śmierci ojca, potrzebuje wsparcia. Bardziej niż ktokolwiek z was, jest najmłodsza. Spróbuj ją zrozumieć, Nicco... No weź, przecież to nie w twoim stylu.

Wpatruję się w niego. Mówi zupełnie poważnie. Mam ochotę go spytać: „A ja? Kto pomyśli o tym, co ja czuję? Kto zatroszczy się o mnie?”, ale odpuszczam. Natomiast on nie daje mi spokoju.

– Poza tym jestem pewny, że kobiety gorzej radzą sobie z bólem po stracie bliskiego, oprócz twojej mamy, która jest niezwykła. Zobaczysz, że Fabiola też coś wykombinuje, może zrewolucjonizuje swoje życie tylko dlatego, że zabrakło w nim tego kawałka układanki. Twój ojciec był kimś bardzo ważnym w waszym domu, serio, nie pierdolę.

Gruby ma taką zdolność do jasnego formułowania myśli, że czasami mu jej zazdroszczę. Mówi bez zastanowienia, szczerze, niczym się nie przejmuje. Kontynuuje, jakby w jego opowieści nie było niczego osobliwego.

– Wracając do tego, co mówiłem wcześniej. Pojechałem do domu Lucii, który praktycznie rzecz biorąc, stoi w parku. Po jednej stronie znajduje się dom rodziców, a po drugiej jej. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojej sypialni, której okna wychodzą na tyły domu, na najspokojniejsze miejsce na świecie. Przez przeszklone balkonowe drzwi widać ogród oliwny, po zadaszeniu tarasu pnie się glicynia. Zapaliła wszystkie świece wokół łóżka i włączyła muzykę. Wiesz, jaką płytę?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Patrzę na niego, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ostatniego Tiziana Ferra *Hai delle isole negli occhi*. Rozebrała się i weszła do łóżka. Nicco, to było niewiarygodne. Tak musi wyglądać raj... Po wszystkim zaparzyliśmy kawę i usiedliśmy na tarasie, pod glicynią. Widać stamtąd Monte Mario, możesz oglądać mecze na Stadio Olimpico. Wyobrażasz sobie? Patrzysz na Squadra Magica, leżąc w łóżku, i do tego za darmo!

– Wyobrażam sobie.

– Wiesz, co było w tym wszystkim najdziwniejsze?

– Nie, co?

– Nie sądzę, by mógł mnie jeszcze zaskoczyć.

– Rano wrócili jej starzy i zaprosili mnie na śniadanie! Siedziałem z nimi przy jednym stole, obsługiwany przez Filipinczyków, którzy przygotowali niebiańskie jedzenie. Jej ojciec to niezły model, ale bardzo miły, nie miał żadnego problemu...

– Z czym?

– No wiesz, że chwilę wcześniej posuwałem jego córkę...

– A, o to chodzi...

– Co więcej, był jak do rany przyłoż! Pomogłem ustawić mu Sky, którego nie odbierał w sypialni, może to dlatego. Totalny bzdet, poluzowała się wtyczka od jednego z nadajników. Ślepiec by sobie poradził.

Słucham jego opowieści i nie wierzę własnym uszom. Jak to się dzieje, że przytrafiają mu się takie niedorzeczne sytuacje? Z jaką łatwością idzie do łóżka z dziewczyną, jak z tą Lucią z pubu, która nie jest co prawda w moim typie, ale nie mogę jej nic zarzucić. Nie tylko robi rundę po mieście jej maserati, nie tylko ląduje u niej w sypialni na kolejną „rundę”, ale jeszcze zostaje na śniadaniu z jej starymi.

– Jeśli rozstanę się z Beatrice i Deborah, powinienem związać się z Lucią. Myślę, że mamy wiele wspólnego. Chociaż uważam, że jeśli ktoś z jej kasą, superrodzicami i Filipińczykami, którzy gotują jak marzenie, idzie pracować do pubu dla tego kutasa Alfreda, musi mieć jakiś problem.

– No tak...

– Dobra, Nicco, spadam. Może spotkamy się wieczorem na ponte Milvio albo pójdziemy coś zjeść. Mój kumpel otwiera nowy lokal. Wpadnę po ciebie o ósmej. Na razie.

Wychodzi. Ma na sobie niebieski luźny podkoszulek, który ukrywa kilkukilogramową nadwagę, i granatowe bermudy z mnóstwem kieszeni, na nogach buty z rozwiązanymi sznurówkami. Na szyi zawiesił różne wisiorki, łańcuszki i sznureczki z medalikami, które pogrząkują w rytm jego kroków. Mój przyjaciel nosi się tak, jakby mieszkał w Nowym Jorku. Tymczasem jesteśmy w północnym Rzymie, a Gruby czasami sprawia wrażenie, jakby znajdował się w innym świecie.



Idę coś zjeść przed pracą w agencji nieruchomości.

Nie wracam do domu, bo mam za mało czasu, a poza tym boję się, że Pepe postanowi nas odwiedzić. Udaję się na via Flaminia, gdzie przed piazzale Flaminio, pod numerem 57/59, jest bardzo fajny bar, Caffè dei Pittori. Wybieram to miejsce po pierwsze dlatego, że przychodzą tam dziewczyny z pobliskiego uniwersytetu, studentki architektury albo jakiegoś pokrewnego kierunku. Są ładne, energiczne i pełne życia, lubię obserwować, jak dyskutują z ożywieniem. Sprawiają wrażenie pewnych siebie i swoich życiowych wyborów, nastrojają mnie optymistycznie. Po drugie dlatego, że właściciel baru, Alessandro, zawsze daje mi zniżkę. Może z wdzięczności za to, że znalazłem mu mieszkanie do wynajęcia nad barem w dobrej cenie.

- Cześć, Nicco, co ci podać? Masz ochotę na świeżutkie lasagne?
- Nie, dzięki, wolę coś lżejszego.
- Mamy curry z kurczaka z ryżem basmati i warzywami. Pasuje?
- Idealnie.
- Usiądź na zewnątrz, zaraz przyniosę jedzenie.
- Chyba nie ma miejsca.
- Przed chwilą zwolnił się stolik numer trzy. Podeślę dziewczynę, żeby posprzątała.

Siadam na zewnątrz. Jest piękny dzień, koniec maja, i pogoda w Rzymie idealna. Patrzę na swoją hondę SH 150, która świetnie sprawdza się w mieście. Niedawno zdjąłem z niej pokrowiec, choć kilka dni temu była ulewa. Miejmy nadzieję, że słoneczna pogoda utrzyma się jak najdłużej. Rozmyślałem o pogodzie i o mijających porach roku. Nie do wiary! Alessia naprawdę dała mi do wiwatu. Do stolika podchodzi mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna, na identyfikatorze jest napisane „Marlene”. Młodzi ludzie w dzisiejszych czasach mają coraz bardziej dziwaczne imiona.

- Cześć, co podać do picia?
- Coca-colę i wodę.
- Gazowaną czy niegazowaną?
- Niegazowaną. Dziękuję.

Ściera blat stolika wilgotną, lepką ściereczką i znika w barze. Mam wrażenie, że więcej brudu zostawiła, niż sprzątnęła. Pochylam się i przyglądam szklanej tafli, w jasnym świetle dnia widać oleiste smugi pozostawione po poprzednich posiłkach, na dowód, że lokal Alessandra pracuje pełną parą.

- Proszę, twoje curry i pieczywo.

Szybko się prostuję, nie chcę, by Alessandro zauważył, że przeprowadzam inspekcję

jego stolika.

– Dzięki.

– Jeśli będziesz chciał dokładkę, daj znać.

– Okay.

Zabieram się za jedzenie. Pachnie pysznie.

– Widziałem wczoraj Alessię. – Alessandro stoi naprzeciw mnie, z dłońmi na biodrach i przewieszoną przez ramię serwetką, zdecydowanie czystsza od ścierki Marlene. Widział Alessię. No jasne, Alessia wie, że często tu wpadam, i przyszła specjalnie... Chciała mnie spotkać, porozmawiać, przeprosić, tęskni za mną, to jasne... Cóż innego mogłaby robić taka dziewczyna jak ona w takim miejscu jak to?

– Widziałem ją w Ethic na via di Vigna Stelluti.

– Aha.

– Byłem tam po prezent dla siostry. Alessia mierzyła jakąś sukienkę. Ładna dziewczyna z niej. Szczęściarz z ciebie, że masz taką ślicznotkę.

Powinienem powiedzieć mu: „Jaki szczęściarz? Zostawiła mnie. Z kim tam była?”. Ale tylko przytakuję.

– Przepraszam cię, ale muszę wracać do środka, mamy mnóstwo klientów.

Alessandro znika w barze. Nakładam na widelec kawałek kurczaka z ryżem basmati, ale bez przyjemności. Mam ochotę pobiec za Alessandrem i spytać, jak wyglądała, poprosić, żeby opisał mi ją dokładnie, bo już nie jesteśmy razem. Jakie miała włosy? Czy takie same jak wcześniej? Podobno kiedy kobieta zmienia uczesanie, znaczy, że zmienia partnera. Zresztą może to bzdura zasłyszana w jakimś filmie. Alessia nie zmieniła fryzury, a jej życie wygląda zupełnie inaczej, spotyka się z kimś albo wybiera między dwoma chłopakami, albo jest z kobietą, nie, z kobietą na pewno nie. Ale właściwie dlaczego nie? Może rozstając się ze mną, miała na myśli: „Przykro mi... Spotykam się z kobietą”. Oto dlaczego było jej przykro! Zwariowałem, nie myślę jasno. Wydłubuję spośród ziarenek ryżu kawałek grillowanego warzywa. Bakłażan albo grzyb, trudno powiedzieć, jest bez smaku, ale nie ma to dla mnie znaczenia, nie jestem głodny, niczego nie potrzebuję, to znaczy potrzebuję Alessii, chcę wiedzieć, co się z nią dzieje. Wracam myślami do słów Alessandra. Skoro powiedział, że jest ładna i że szczęściarz ze mnie, to znaczy, że była sama, że nic nie zmieniło się w jej wyglądzie, ani włosy, ani ubiór, żadnych tatuaży czy dziwnych warkoczyków, które wskazywałyby na ważne zmiany w jej życiu, na obecność nowego mężczyzny. Dla Alessandra wszystko było jak dawniej, a ja byłem farciarzem. Zabieram się ponownie za jedzenie, nadziewam na widelec duży kawałek kurczaka i wolno go przeżuвам. Chciałbym poczuć spokój i błogość, ale coś mi nie gra, jak w tym kawałku kurczaka, w którym natrafiłem na chrząstkę. Wypluwam go na dłoń, odkładam na brzeg talerza i przykrywam serwetką. Jedno jest pewne: kiepsko ze mną. Upijam łyk wody.

– Niccolò?

Momentami brakuje mi tchu. Co się dzisiaj dzieje? Przede mną stoi pani De Luca. Przełykam wodę i usiłuję przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu.

– Dzień dobry, co pani tu robi?

– Nic, szłam drugą stroną ulicy i cię zauważyłam, byłeś taki smutny i zamyślony.

Myślałam o Alessii, ale oczywiście nie mówię jej tego. Patrzy na mnie z litością w oczach. Wstaję.

– Proszę usiąść, zje pani coś?

Robię jej miejsce obok siebie, przypominając sobie o zasadach dobrego wychowania, które przecież mi wpojono.

– Dziękuję, już jadłam.

– Może napije się pani kawy?

– Nie, idę do centrum, ale usiądę na chwilę, bo muszę ci coś powiedzieć.

Z sąsiedniego stolika zabieram papierowe serwetki i przecieram nimi blat, po czym odkładam je na krzesło.

– Proszę.

Siada, a ja jestem bardzo zaintrygowany. Naprawdę szła do centrum i znalazła się tu przypadkiem, czy mnie śledziła? Wie, że pracuję w agencji nieruchomości, może wie także, że po pracy w kiosku wcale nie wracam do domu, tylko przychodzę tutaj. Teraz rozumiem, dlaczego tak często wpadała do kiosku, skąd te wahania w jej głosie: chciała mi coś powiedzieć. Przyglądam się jej uważniej. Jest bardzo atrakcyjna, kogoś mi przypomina... ma około pięćdziesięciu lat, u niektórych kobiet trudno określić dokładnie wiek. Do stolika podchodzi Marlene.

– Cześć...

Nie ma żadnych oporów, wszystkich traktuje jak swoich rówieśników albo przyjaciół. Pani De Luca wydaje się zaskoczona jej bezpośredniością, ale po chwili uśmiecha się z zadowoleniem.

– Chcesz zamówić coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Może coś do picia? Sok z owoców? Mamy słodkie czerwone pomarańcze z Sycylii.

Marlene uśmiecha się do pani De Luca, która w końcu daje się namówić.

– W takim razie poproszę sok.

– Zaraz przyniosę.

Cieszy się, że przekonała klientkę do złożenia zamówienia, i rusza do baru, by zaraz je zrealizować. Siedzimy bez słowa. Już wiem, kogo przypomina moja towarzyszka. Tę włoską aktorkę, Barbarę De Rossi, ma podobne rysy i łagodne spojrzenie, chociaż w jej oczach prawie zawsze maluje się smutek, jakby przeżyła coś, z czego się jeszcze nie otrząsnęła.

– Możesz mówić do mnie Ilario, jeśli masz ochotę.

Kiwam głową na znak zgody.

– Niccolò, proszę cię, jedz.

– Nie jestem za bardzo głodny.

Nakładam na widelec trochę curry i ryżu. Sytuacja robi się niezręczna. Czego chce ode mnie pani De Luca, to znaczy Ilaria? Wiem, że starsze kobiety z młodszymi mężczyznami nikogo w dzisiejszych czasach nie dziwią, ale czy z aż tyle młodszymi? Tylko tego mi brakowało. Poza tym wie o mnie i o Alessii, widziała nas razem kilka razy w kiosku, kiedy Alessia do mnie wpadła. Kiedyś nawet ze mną pracowała przez cały ranek. Potraktowała to jak wyzwanie.

– Chcę wiedzieć, jak to jest.

– Nie, proszę cię, Alessio, daj spokój.

– Dlaczego? Wstydzisz się? Zapomniałeś, że żadna praca nie hańbi? Karol Wojtyła powiedział kiedyś, że ogrom pracy jest w człowieku.

– Widać, że niewielu Włochów go słuchało.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo wśród sprzedawców pizzy nie ma już ani jednego Włocha!

– Chyba zarazili się od intelektualistów... Praca intelektualna trzyma człowieka z dala od społeczności. Natomiast praca fizyczna prowadzi go w stronę ludzi...

– Dobrze.

– Franz Kafka.

– Ten od karalucha?

– Nicco, mówiąc tak, upokarzasz geniuszy.

– Okay, ale Kafka znany jest głównie z tego, prawda?

– Owszem, ale również jako autor *Procesu* i *Zamku*... Wracając do meritum, sprzedawanie gazet na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Poza tym jestem ciekawa, co klienci ci opowiadają. To też jest element kultury.

Pewnego ranka stanęła więc za ladą i dla wszystkich była bardzo miła. Również dla tych klientów, którzy mówią jedynie „Il Tempo” albo „Corriere” i kładą monety na talerzyku przy kasie lub rzucają je między gazety.

– Och, przepraszam.

– Nie się nie stało, miłego dnia.

Nic nie można jej było zarzucić. Okazała się bardzo cierpliwa i uprzejma. Pamiętam, że tamtego dnia przyszła również pani De Luca, no tak, Ilaria, i przedstawiłem jej Alessię.

– Gratuluję. Jest pani świetną sprzedawczynią.

Może Ilaria wie, że się rozstaliśmy, i dlatego tu jest. Obserwuję ją kątem oka, sprawia

wrażenie zdenerwowanej.

– Proszę, twój sok. – Marlene stawia szklanke na wreszcie czystym stoliku. – Przyniosłam również cukier, jeśli byś chciała... Tak na wszelki wypadek.

– Dziękuję, ale wolę bez cukru.

– Jak sobie życzysz.

Marlene wzrusza ramionami i odchodzi, zabierając ze sobą cukier. Ilaria upija łyk soku.

– Miała rację, pyszne pomarańcze. – W końcu zaczyna mówić: – Jesteś bardzo podobny do swojego taty. Masz taką samą łagodność w spojrzeniu, uśmiech, nawet dłonie... – Patrzy na moje ręce, a potem na mnie. – Twój ojciec był wyjątkowy.

Po co ludzie mówią takie rzeczy? Co na to odpowiedzieć? Że o tym nie wiedziałem? Przecież to mój tata! Znałem go lepiej niż ktokolwiek inny, przeżyłem z nim dwadzieścia trzy lata. A może się mylę, może nie znałem go tak dobrze... Na przykład nie miałem pojęcia, że znał tę kobietę. Patrzę na nią i kiwam głową.

– Tak, był wyjątkowy.

Widzę, że jest wzruszona, wygląda jeszcze ładniej, na jej twarzy maluje się uczucie spokoju, jakby zdjęła z siebie jakiś ciężar.

Tato, jak ją poznałeś? Mama o tym wiedziała? Miałeś z nią romans? Zawsze myślałem, że mój ojciec mógł zdradzić mamę, jak każdy inny mężczyzna: dla seksu, dla zabawy, ale nigdy z nudów albo z miłości. A jak to było z Ilarią? Przyglądam się jej uważniej. KobiECE kształty, duży biust, wąska talia, zadbane dłonie. Nie ma obrączki, nosi niewiele biżuterii, jest delikatnie umalowana, włosy starannie uczesane, bez śladu siwizny, wokół oczu ma drobne kreseczki, ale trudno nazwać je zmarszczkami. Tato, powiedziałeś mamie o tej kobiecie? Z drugiej strony, spotykałem na swojej drodze różne dziewczyny, o których nie wspominałem Alessii tylko dlatego, że chciałem uniknąć niepotrzebnych dyskusji. Na przykład kiedyś spotkałem w centrum swoją byłą, Federicę, i poszliśmy na kawę. Innym razem zadzwoniła Giorgia, która złapała gumę niedaleko mojego domu i nie miała jak wrócić. Nie opowiedziałem o tym Alessii, żeby uniknąć ewentualnej kłótni.

W tej kwestii Alessia była kategoryczna.

– Masz mi o wszystkim mówić – zażądała tego samego wieczoru, kiedy podwoziłem Giorgię do domu. – Nawet jeśli spotkasz swoją byłą i tylko ją gdzieś podrzucisz!

O kurwa, pomyślałem wtedy, widziała mnie! Nogi się pode mną ugięły, ale zachowałem kamienną twarz.

– Oczywiście, Alessio.

– Więc jak... Nie masz mi nic do powiedzenia?

Odczekałem chwilę, spojrzałem jej prosto w oczy i odpowiedziałem pewnym głosem:

– Absolutnie nic.

– Na pewno?

– Oczywiście, nic się nie zmieni, jeśli spytasz mnie o to jeszcze raz.

Objęła mnie.

– Cieszę się, nic nie powinno kłaść się cieniem na nasz związek. – Pocałowała mnie w usta i dodała: – Musimy zawsze wszystko sobie mówić!

A tymczasem ona ostatnim razem nie powiedziała mi wszystkiego, tylko „Przykro mi”.

Ilaria wypija do końca sok z pomarańczy.

– Wiesz, tyle razy zastanawiałam się, jak ci o tym powiedzieć, pomyślałam, że jesteś jedynym, który potrafiłby mnie zrozumieć... Chodzi o mnie i twojego tatę...

– Nicco! Wiedziałam, że cię tu znajdę!

Nie wierzę własnym oczom. Valeria, pełna niezrozumiałego, zważywszy ostatnie wydarzenia, entuzjazmu, rzuca torebkę na krzesło obok mnie i siada przy sąsiednim stoliku.

– Ernesto, chodź tutaj!

Przy niej pojawia się dziwne skrzyżowanie Johna Lennona, tego faceta od *Light My Fire* i Sergia Muñiza, tylko bledsze, nie tak przystojne i bardziej ujarane, przynajmniej w moim mniemaniu.

– Co tu robisz, Valerio?

– Mój przyjaciel bardzo chciał cię poznać. Och...

Dopiero teraz zauważyła siedzącą naprzeciw mnie panią De Luca.

– Przeszkodziłam wam, przepraszam, mówiliście o czymś ważnym?

– Tylko sobie rozmawialiśmy, nie przejmuj się. – Ilaria uśmiecha się usprawiedliwiająco.

Jak to, tylko sobie rozmawialiśmy, mam ochotę krzyknąć! Chciałaś zdradzić mi swój sekret, opowiedzieć o czymś, co dotyczyło ciebie i ojca! Teraz mogę tylko się tego domyślać.

– W takim razie w porządku. – Valeria uśmiecha się i wyciąga dłoń. – Jestem Valeria, jego siostra. Miło mi.

– Ilaria De Luca. – Podaje jej rękę w formalnym uścisku.

Nie miałem wątpliwości, że wiedziała o Valerii, jak mój ojciec mógłby o niej nie wspomnieć? Ilaria wstaje, omiata nas wzrokiem i w końcu żegna się ze mną.

– Muszę już iść, Nicco. Wiesz, ile kosztuje sok?

– Nie ma o czym mówić.

– Dziękuję i do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Odchodzi szybkim, pewnym krokiem w kierunku piazza del Popolo. Wygląda na dużo

młodsza. Valeria odprowadza ją wzrokiem, natomiast Ernesto pałaszuje chipsy.

– Piękna kobieta! – Moja siostra klepie mnie po plecach. – Nie znałam cię od tej strony.

– Od jakiej? – Patrzę na nią niechętnie.

– Że romansujesz z kobietami starszymi od siebie... i to niemało.

– Ma co najmniej czterdzieści pięć lat. – Ernesto wtrąca się do rozmowy.

Jego również obdarzam niechętnym spojrzeniem. Już go nie lubię. Chciałbym, żeby teraz pojawił się tu Pepe. Wygląda na to, że wszyscy tędy przechodzą, on przynajmniej na coś by się przydał.

– Nic nie łączy mnie z Ilarią.

Valeria wybucha śmiechem i nalewa sobie do szklanki moją coca-colę.

– Przestań! Z daleka było widać, że rozmawiacie o czymś osobistym, coś ci wyznawała, może mówiła, co jej się podoba albo co chciałyby zrobić, to było takie oczywiste.

– Oczywiste? O czym ty mówisz?

Valeria pije coca-colę, Ernesto dalej zajada chipsy.

– Wyglądaliście jak para kochanków przyłapana na gorącym uczynku.

– Nie mam nic wspólnego z Ilarią De Luca. Jest moją klientką, codziennie przychodzi do kiosku – tu wyraźnie podkreślam – po gazety, jasne? Chce zmienić mieszkanie i ma dać znać w agencji, kiedy i dokąd chciałyby się przeprowadzić. Zaproponowałem jej pomoc... – To powinno przekonać smarkułę. – Może to było takie oczywiste, że zauważyłaś z daleka.

Valeria wzrusza ramionami i podkrada Ernestowi ostatniego chipsa.

– Jak chcesz... Nie zmienia to faktu, że jest piękną kobietą. Wiesz, kogo mi przypomina? Tę włoską aktorkę, taką ładną, jak ona się nazywa?

– Wiem, o kim mówisz, o Barbarze De Rossi! – Ernesto upija łyk coli.

– O, właśnie o niej.

– Nie zauważyłem. – Udaję, że nie zwróciłem na to uwagi.

– Cholera, podobne jak dwie krople wody.

Valeria i Ernesto jednocześnie wybuchają śmiechem.

– Przyszliście tu bawić się w znajdowanie podobieństw?

Valeria patrzy na mnie zaskoczona.

– Coś ty taki narwany, czyżbyśmy obrazili ci Ilarię? To był komplement! – Nie daję mi czasu na odpowiedź. – Ernesto chciał ci podziękować.

Ernesto dopija coca-colę Valerii, która pierwotnie była moją coca-colą.

– No tak. – Wyciera brodę. – Wiesz, szkoda, że poznajemy się w takich okolicznościach, naprawdę mi przykro, dlatego chciałem zaprosić ciebie, waszą starszą

siostrę i mamę do swojego domu w Bracciano, może w jakąś niedzielę, zrobimy grilla. Moi rodzice produkują bardzo dobre wino.

Valeria patrzy na niego z uwielbieniem, kiedy wygłasza swoje przemówienie, które pewnie szykował od rana. Trzyma mu dłoń na ramieniu i jest taka dumna, jakby występował z jakimś odkrywczym referatem. Mam ochotę powiedzieć, że jej Ernesto nie mówi niczego niezwykłego, że sam jest całkiem zwyczajny.

Ale wiem, że nic by to nie dało. Kiedy Valeria dostaje bzika na czyimś punkcie, nic do niej nie dociera, traktuje go tak, jakby to był ostatni księżę z bajki na świecie.

– Rozumiesz? Szanuję cię, stary. Nie każdy stanąłby w obronie zasad siostry – dodaje Ernesto.

Cholera. Muszę znosić tych dwoje zamiast wysłuchać sekretu Ilarii De Luca, naszej Barbary De Rossi. Miała mi coś do powiedzenia o moim „wyjątkowym” ojcu. Może pokazałaby mi go w innym świetle, pomogła pogodzić się z jego odejściem... Nie, nie sędzę. Patrzę na Ernesta, który nadal mówi, ani na chwilę nie przestaje, jest pewny siebie, elokwentny. Wcale go nie słucham. Nie wiem nawet, czy jego słowa mają jakiś sens. Chyba wolę Pepego. Uśmiecham się do Ernesta, udaję, że się z nim zgadzam. Wiem, że prędzej czy później tych dwóch się spotka. Ponownie spoglądam na Ernesta i oczami wyobraźni widzę go w szpitalu.

– No wiesz, Niccolò, nie musisz już się między nas mieszać. – Dopiero teraz dociera do mnie znaczenie jego słów. Niewiarygodne. Jest niemal zły. Przyciąga do siebie Valerię. – Teraz ja się nią zajmę, serio... Ustawię również Pepego.

Mówi to lekkim tonem, z ironią akcentując przezwisko byłego chłopaka Valerii. Nie mam wątpliwości, Ernesto nigdy nie spotkał Pepego, nie ma pojęcia, kim on jest.

– Oczywiście... Po prostu wczoraj wieczorem nie było cię z nami, a nie chciałem wplątywać mamy w kłopoty Valerii. Cieszę się, że bierzesz to na siebie, naprawdę. Jeśli mogę coś ci doradzić, to dobrze by było jak najszybciej wyjaśnić całą sytuację z Pepem. On nadal myśli, że jest z Valerią.

– Nieprawda! – Moja siostra odsuwa się od Ernesta. Jest wściekła. – Zerwałam z nim ponad tydzień temu. Powiedziałam mu również, że w moim życiu jest ktoś inny...

Valeria patrzy zdecydowanie na Ernesta, który kiwa głową, jakby mówił: „Dobrze zrobiłaś, skarbie”, a ja nie wierzę własnym uszom. Czy wypada poprosić Ernesta o poinformowanie, kiedy będzie wyjaśniał swoje sprawy z Pepem? Bardzo chciałbym przy tym być, byle z daleka.

– Fakt, że twoja siostra popełniła błąd, nie znaczy, że ma za niego płacić do końca życia albo zmarnować sobie najlepsze lata, nie sądzisz? – W głosie Ernesta pobrzmiwa niezwykła pewność siebie.

– Sędzę. A o jakim błędzie mówisz?

Ernesto patrzy na mnie zdumiony, chyba zaczyna wątpić w moją zdolność rozumienia, po czym spogląda na Valerię, szukając wsparcia.



– Noo... że związała się z Pepem!

– Ach, o to chodzi, absolutnie się z tobą zgadzam. Moja siostra nie lubi po prostu, kiedy ktoś krytykuje jej wybory. Ale teraz dzięki temu, że zmusiłeś ją w pewnym sensie do racjonalnego myślenia i wszystko to przedstawić Pepemu, możemy się tylko cieszyć.

Przez chwilę myślę, czy nie spytać o jego przezwisko, wszystko zaczyna się na P, poeta, Pepe, ale odpuszczam, bo cała ta historia – zostaliśmy przy literce P – jest dla mnie popieprzona.

– Chcecie coś jeszcze zamówić?

Ernesto i Valeria wymieniają się spojrzeniami.

– Nie, dzięki.

– W takim razie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zapłacę i uciekam do biura.

Zostawiam pieniądze i się żegnam. Wyglądają na urażonych, jakby spodziewali się innej reakcji z mojej strony. Ale nie wiem, co innego mógłbym zrobić, a poza tym dlaczego miałbym spełniać ich oczekiwania?

Wchodzę do agencji.

– Cześć wszystkim.

Cisza, ktoś mamrocze „Cześć”, ktoś inny jakieś niezrozumiałe słowo. Atmosfera jak na pogrzebie. A to agencja, która nieźle sobie radzi na rynku, strach pomyśleć, co by było, gdyby sprawy nie szły po naszej myśli. Podchodzę do swojego biurka, rozglądam się, ale nigdzie nie widzę Benedetty „Kałuży”. Co się z nią stało? Wzięła wolny dzień? Jest z klientem? Spoglądam na tablicę z grafiką. Nie ma wyznaczonych spotkań. Dokładnie w tym momencie dostaję SMS-a. Przez chwilę łudzę się, że to od Alessii. Szukała mnie w domu, w kiosku, w Caffè dei Pittori. Otwieram kopertkę. „Stała się straszna rzecz. Proszę cię, przyjdź do mnie. W biurze powiedziałam, że się źle czuję, ale jest dużo gorzej!” Kasuję wiadomość i siadam za biurkiem. Wolałbym, żeby ta wiadomość, nawet o tej samej treści, była od Alessii. Tymczasem jest od Pozzi. Co mam robić? Przeglądam kalendarz. Nie mam żadnych spotkań, nie mogę się wymigać, a ona jest wnuczką właściciela agencji, więc w razie kłopotów wybroni mnie przed nimi.

– Wychodzę na chwilę.

Nikt się nie odzywa. Fajnie się tu pracuje, nikt nie dyskutuje, ale i nikt ze sobą nie rozmawia.

Wpadnę do Kałuży, w końcu jaki ona może mieć kłopot? Szybko go rozwiążę, a jak nie, to przynajmniej jej wysłucham i się zastanowię. To lepsze niż siedzenie w tej grobowej atmosferze. Dziwne to życie, ostatnio wszyscy mają same problemy i zwracają się z nimi do mnie. Kiedy ja będę mógł z kimś porozmawiać? Już to widzę. Może pogadam o swoich sprawach z Pozzi? Jeszcze o tym nie wiem, ale tego popołudnia sprawy potoczą się z niespodziewaną szybkością.

Wciskam guzik domofonu.

- Tak?
- To ja.
- Czwarte piętro.

Wchodzę do klatki i wsiadam do windy. Pamiętam mieszkanie Kałuży. Lepiej, żebym zaczął myśleć o niej Benedetta, bo mogę się pomylić, kiedy zaczniemy rozmawiać. Kupiła nieduży apartament na viale Angelico i urządziła parapetówkę. Wzdłuż ulicy stoją same wysokie budynki, pełno tu jaskółek i rozłożystych platanów, o ile pamiętam, z jej mieszkania rozciąga się widok na całe miasto. Z pewnością ten widok nijak się ma do tego, co można zobaczyć z domu, w którym był dzisiaj Gruby. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy to porównanie, ale wzbudza ono mój niepokój. Winda dociera na czwarte piętro, jestem na miejscu, drzwi do mieszkania Benedetty, w głębi po prawej stronie, są otwarte.

- Można?

Wchodzę niepewnym krokiem, przymykam je odrobinę. Czuję się jak w filmie, gdzie za wpół otwartymi drzwiami czai się morderca. Ale to nie ten przypadek.

- Wejdz, jestem w salonie.

Zamykam za sobą drzwi i idę korytarzem. Jeśli dobrze pamiętam, to salon jest za kuchnią i łazienką. Faktycznie, widzę niebieską kanapę i obrazy z nowoczesnym malarstwem na ścianie. Nagle Benedetta z płaczem rzuca mi się na szyję.

– Jestem załamana... nie... mia... poj... ja... że... on... on... osz... nie wyobrażasz sobie.

Płacze, łka, pociąga nosem i mocno mnie przytula, nie mogę oddychać.

- Rozumiesz, co powiedziałam?

– Nie za bardzo... Tylko „nie wyobrażasz sobie”, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wyjaśnia coś wtulona we mnie, ledwo łapiąc oddech.

- Cho... to, że... stra... się... po...

– Nadal nic nie rozumiem! Mówisz jak w *Kole fortuny*, same pojedyncze litery tu i ówdzie.

Pozzi zaczyna się śmiać, pociąga nosem. Usiłuję oderwać ją od siebie, ale jeszcze mocniej się we mnie wpija.

- Jeśli się nie odsuniesz, niczego nie zrozumiem.
- Wstyd mi, że widzisz mnie w takim stanie.

Niby dlaczego, chciałbym spytać, co jest w tobie innego dzisiaj niż zazwyczaj? Ale to może zbyt brutalny żart. W końcu uwalnia mnie z objęć, niezdecydowana, zalekniona, rozedrgana. Taksuje mnie spojrzeniem lśniącego od łez oczu, po policzkach spływają resztki tuszu. Górna warga nadal lekko drży, Benedetta ma zwichrzone włosy, jest nieumalowana, ale muszę przyznać, że ogólnie nie wygląda źle. Ma w sobie jakąś łagodność, której brakuje jej na co dzień. Dopiero teraz widzę, że jest boso, ubrana tylko w długi biały, sięgający kolan podkoszulek. Nie ma chyba stanika, ale nie chcę wykazywać zbyt dużego zainteresowania podobnymi detalami. Nie umiałbym powiedzieć, czy jest w majtkach, ale jej wydatne piersi, swobodne pod trykotem, zauważyłby nawet ślepy. Sterczące sutki rozwiewają wszelkie wątpliwości.

– Nie patrz na mnie.

Chyba się zorientowała.

– Nie patrzę.

– Nieprawda.

– No dobra, rzuciłem niewinnie okiem.

– Wygłupiasz się... – Znowu się śmieje.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Luca od czterech lat spotyka się z Carlą Salbini.

Od razu wydało mi się dziwne, że ten facet zakochał się w Pozzi.

– Czaisz, Nicco? Carla Salbini!

– Sorry, ale nie przypominam sobie. – Patrzę na nią skonsternowany.

– To moja przyjaciółka z liceum. Kiedyś przyszła do nas do agencji, jej rodzice chcieli sprzedać dom nad morzem we Fregene.

– Kiedy to było?

– Jakiś czas temu.

– Benedetto! Naprawdę myślisz, że przy natłoku spraw pamiętam jakichś Salbinich sprzedających dom nad morzem we Fregene? Co to był za dom? Coś ważnego?

– Nie.

– No proszę cię, zwykły dom!

– Masz rację.

– Problem w tym, że jesteś za bardzo wymagająca.

– W związku z tą sprawą z domem?

– Nie, generalnie, we wszystkim!

– Co to ma wspólnego z faktem, że Luca od czterech lat jest z dziewczyną, z którą chodziłam do liceum? Mógłby nawet spotykać się z jakąś obcą, nieważne, chodzi o to, że mi o tym nie powiedział!

Opada na kanapę, krzyżuje nogi i składa dłonie na piersiach, zabezpieczając się tym

samym przed jakimiś nieprzewidzianymi ruchami.

Kręci głową z niedowierzaniem, powtarzając pod nosem w kółko to samo.

– Niemożliwe... Niemożliwe.

Tymczasem ja zastanawiam się, ilu znam facetów, którzy zachowywali się w ten sposób. Gruby – tysiąc razy, ja – parę razy, właściciel agencji nieruchomości – na bank, moi licealni koledzy – wiem, że tak było. Wielu miało przygodę, przeważnie krótką, w trakcie trwania oficjalnego związku, może nawet mój tata z Ilarią De Luca. Przez pojawienie się Valerii i Ernesta nie jestem tego pewny w stu procentach, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było. Prawie wszyscy po jakimś czasie zakończyli romans albo zostali przyłapani. Niektórzy ciągnęli tę trudną ekwilibrystyczną grę, ukrywając przed obiema kobietami, sprytnymi, czujnymi i podejrzliwymi, wszelkie sygnały, które mogłyby doprowadzić do ich zdemaskowania. Jeden z nich to Gruby, ale on – zważywszy jego ostatni podbój – lubi ryzyko samo w sobie. Ciekaw jestem, jak Pozzi się dowiedziała o Luce i Carli.

– A wiesz, jak to odkryłam?

Już nie płacze, spoważniała, no i odczytała moje myśli. To się ostatnio często zdarza. Czy ja naprawdę jestem taki przewidywalny?

– Jeśli chcesz mi o tym opowiedzieć...

– Jasne. To było banalne. Zauważyłam, że w soboty i niedziele jest zawsze zajęty, a w tygodniu przychodził do mnie wieczorami, po kolacji, po piłce nożnej albo siłowni, nigdy przed dwudziestą drugą trzydzieści i zawsze najedzony. Czy to nie wydałoby ci się podejrzane?

– No faktycznie...

Pamiętam, że kiedy byłem z Federicą i zacząłem spotykać się z Giorgia, robiłem dokładnie tak samo.

– Kiedy przychodził do mnie, wyłączał komórkę.

– Och... – Też tak robiłem. Czyżbyśmy byli tak banalnie identyczni?

– Wiesz, co zrobiłam? Wystawiłam go na próbę! Pewnego dnia powiedziałam, że moja przyjaciółka wynajęła dom na weekend i że nas zaprasza, i spytałam, czy pojedziemy. Zaczął przebąkiwać o jakiejś rodzinnej uroczystości. Więc tydzień później wspomniałam o imprezie z okazji otwarcia nowego lokalu w pobliżu piazza Navona, a on wymyślił historię o znajomych spoza Rzymu, którzy mają go odwiedzić. Wtedy postanowiłam przyprzeć go do muru.

– Jak?

– Poszłam do niego do biura w porze obiadowej, byłam pewna, że prędzej czy później zadzwoni do niego telefon, i tak się stało.

– Sprytnie.

– W końcu do wszystkiego się przyznał.

Oczami wyobraźni widzę tego Lucę i siedzącą naprzeciwko niego Kałużę, która sprawdza, czy odbierze telefon, czy nie, aż w końcu, wykończony, wszystko jej wyznaje. Moim zdaniem dziesięć minut po jej przyjściu pożałował pierwszego bzykanka.

- Rozumiesz? Drań...
- Bardzo dobrze rozumiem.
- Dlaczego wy, faceci, jesteście takimi sukinsynami?
- Dlaczego mówisz „wy faceci”?
- Bo jesteś facetem i kto wie, ile razy zachowałeś się tak samo jak Luca.
- Może nie zawsze byłem fair, ale nigdy w taki sposób.
- Jeszcze nie wiesz w jaki! Zobacz...

Wstaje i podchodzi do stolika. Pozzi jest niczego sobie, jak tak na nią patrzę, ma zgrabne nogi i ładną pupę. Odwraca się. No nie, o jej twarzy nie można powiedzieć, że jest niczego sobie, ma za wielki nos.

– Zobacz, co mi napisał. – Zbiera ze stolika listy i wraca, siada obok mnie i zaczyna je czytać. – „Kochanie, odkąd cię poznałem, moje życie bardzo się zmieniło. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy...” Rozumiesz? Powinam przeczytać je Carli! Zasłużył sobie. Dlaczego jesteście takimi sukinsynami!

– Znowu to samo. Dlaczego ciągle mówisz, że *jesteśmy* sukinsynami? – Mnie na przykład nie przyszłoby do głowy puszczać w obiegu prywatnych listów.

– Niech ci będzie, dlaczego są. – Pozzi pociąga nosem. – Dlaczego nie mogę trafić na takiego faceta jak ty? Zawsze łąduję z tymi innymi? Posłuchaj tego... – Czyta kolejny list. – „Jesteś jak marzenie, nigdy wcześniej z nikim nie kochałem się tak jak z tobą!” Widzisz, jaki z niego skurczybyk, wszystko robiłam dla niego. Zakochałam się, Nicco, a zakochana kobieta przed niczym się nie cofnie. Skurczybyk! Nienawidzę go, kawał skurwysyna!

Wybucho płaczem i znowu rzuca mi się na szyję. Jest naprawdę załamana. Usiłuję ją uspokoić. Choć w rzeczywistości nie widzę tu żadnego dramatu, to co się stało, uważam za naturalną kolej rzeczy. Jeśli kobieta pragnie pewności i poczucia bezpieczeństwa, to zanim pójdzie z facetem do łóżka, powinna poznać go trochę lepiej. Oczywiście, nawet jeśli wie o nim całkiem sporo, może się zdarzyć, że rozstaną się po pierwszym razie. Nikt i nic nie gwarantuje, że związek przetrwa rok czy pół roku, nie mówiąc o trzech latach! Pozzi wciąż płacze i czyta kolejne listy. Włącza komputer i pokazuje mi maile Luki oraz zdjęcie, które ma w komórce. Chłopak jest całkiem przystojny, roześmiany i wesoły, ale na pierwszy rzut oka widać, że to typ, który lubi się zabawić, nie trzeba być geniuszem, by to zrozumieć. Taka dziewczyna jak Pozzi powinna dać ciche przyzwolenie, oboje wiecie, że on ma inną, a jeśli jeszcze nie ma, to zaraz sobie znajdzie. Jednak mało która kobieta jest w tych sprawach realistką. Kobiety to marzycielki, jak raz zaczną, snują swoje wizje do upadłego!

- Wiesz, byłam pewna, że pojedziemy razem na wakacje. Chciałam zrobić mu

niespodziankę. – Otwiera szufladę i wyjmuję z niej dwa bilety. – Korfu w Grecji, tygodniowy pobyt all inclusive w pięknej willi położonej nad samym morzem, z bezpośrednim wyjściem na prywatną plażę. Z kim teraz pojedę?

Przy ostatnim zdaniu znowu wybucha płaczem.

– Proszę cię, Benedetto, nie płacz, tak się czasami zdarza.

– Ale dlaczego zawsze mnie?

Nie mam odwagi spytać, czy już wcześniej przez to przechodziła. Nic nie mówię, głaszczę ją po włosach. Ona wypłakuje się w moją koszulę, a ja wzdycham i wznoszę oczy ku niebu. Dlaczego ja? Dlaczego dzisiaj? Przecież w moim śnie ten dzień miał być pełen niespodzianek. To jakiś żart? Może chodziło o Ilarię De Luca i jej niewyjawiony sekret, a może o spotkanie z siostrą i Ernestem albo to zawracanie głowy z Pozzi. Jak się tak nad tym zastanowić, to nie wydała na tę Grecję za wiele. Kto wykupuje lipcowe wakacje w maju? W życiu o czymś takim nie słyszałem. Było jasne, że się nie uda, sama sobie przyniosła pecha. Lepiej jej tego nie mówić.

– No już, Bene, nie płacz. Zobaczysz, że w końcu spotkasz właściwą osobę.

Cholera, nie należało tego mówić. Wpadła w histerię, potrząsa gwałtownie głową i tupie.

– Nieee! Ja chcę jego!

– Benedetto, ale on spotyka się z twoją przyjaciółką...

– Ona nie jest moją przyjaciółką!

Jak to nie? Przecież sama powiedziała! Dobra, to nie jest moment na dyskusje.

– Tak, masz rację...

– Nie przytakuj mi we wszystkim, jakbym była skończoną kretynką!

Znowu tupie, podkoszulek podjeżdża jej wyżej, odkrywając nogi. Oddycha spokojniej i już nie płacze.

– Co chcesz usłyszeć? Cokolwiek teraz powiem, będzie źle...

– Niestety masz rację.

Powoli dochodzi do siebie. Chyba podoba się jej, jak głaszczę ją po włosach.

– Ty jeden jesteś w stanie mnie zrozumieć.

Jej głos jest niski i ciepły. Benedetta mości się na kanapie i wtula w moje ramiona. Podkoszulek podsuwa się jeszcze wyżej. Tylko tego brakowało! Nie ma na sobie majtek, odsłonięte biodro jest całkiem nagie! Jakby tego było mało, odzywa się niskim i ciepłym głosem:

– Wiedziałam, że mogę się do ciebie zwrócić. – Nie wiem, co powiedzieć, ale nie przestaję głaskać jej po włosach. Napiera na mnie piersiami. – Zawsze mnie rozumiałeś, jest między nami niezwykła nić porozumienia.

Podciąga nogi, zapada się mocniej w moich objęciach. Mam mętlik w głowie. Czuję rozlewające się po brzuchu ciepło, przełykam ślinę. Podkoszulek poszedł już całkiem w

górze.

– Zawsze myślałam o nas jak o bohaterach *Kiedy Harry poznał Sally*. Pamiętasz ten film?

– Tak.

– Podobał ci się?

– Tak.

Nie mogę wydobyć z siebie niczego więcej ponad przeciągłe „Tak”, jakbym właśnie wszystko rozumiał i nie był w stanie zareagować, jakbym sam nie wiedział, czego oczekuję od sytuacji, w której się znaleźliśmy.

Benedetta porusza się w moich ramionach.

– Powinniśmy kiedyś obejrzeć go razem.

– Tak.

Podciąga się, oczy skrywa za włosami, ale widzę, że się uśmiecha.

– W pewnym momencie ich przyjaźń przeradza się w coś innego.

Tym razem nie mówię nawet „tak”. Uśmiecham się niepewnie, ale Pozzi to wystarczy. Jest szybka. Całuje mnie w usta, przesuwa językiem po moich wargach, choć mam je zamknięte. Poddaję się, momentalnie wsuwa mi język do ust. Jej słone wargi są wilgotne od łez. Natomiast moje są jak niedojrzała brzoskwinia, nieśmiałe i zamknięte, nie może ich ugryźć, choć bardzo się stara. Nie mam najmniejszej ochoty się z nią całować! W końcu jednak daję za wygraną, bo inne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy. To okropne: czujesz jej smak, wiesz, co jadła, wszystko ci przeszkadza, nie rozumiesz, dlaczego tak się dzieje.

Pozzi idzie do przodu jak burza, rozpina mi koszulę, pasek i spodnie. Ściąga podkoszulek i opiera mi na nagim torsie swoje duże piersi. Ociera się o mnie, a ja jestem coraz bardziej podniecony. Minął prawie miesiąc od rozstania z Alessią – nie jest to żadne usprawiedliwienie, ale nie mam niczego innego na swoją obronę. Co tam, niech się dzieje, co chce. Zdesperowany myślę tylko o tym, żeby ją wykorzystać. Swoją drogą nisko upadłem – od razu przechodzę do kategorii facetów sukinsynów. Może nawet jestem na szczycie listy, jako że wykorzystuję słabość tej kobiety. Zniosłem cierpliwie jej nudne i smutne wynurzenia tylko po to, by teraz ją przelecieć.

Od Benedetty wychodzę o dziewiętnastej piętnaście.

Natychmiast sprawdzam komórkę. Jestem niemal pewny, że dzwoniła Alessia, intuicja mi to mówi, a poczucie winy bardzo wyostrza zmysły. Spoglądam na wyświetlacz. Mam wrażenie, że gram w pokera, odkrywam po kolei karty, by przekonać się, czy dostałem brakującą damę kier... Jest, wiedziałem, nieodebrane połączenie! Cholera! Numer prywatny. To Alessia. Kiedy kończą jej się środki na karcie, dzwoni z domu i wtedy wyświetla się numer prywatny. Co robić? Jak sprawdzić, czy to na pewno ona? Żadne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy.

Wsiadam na swoją hondę, wkładam do ucha słuchawkę, przestawiam telefon na tryb on-line i ruszam. Nie wziąłem u Pozzi prysznic i czuję się brudny. Jadę niespiesznie, ciepły wiatr od zachodu owiewa mi twarz. Najtrudniejszy moment przychodzi po seksie. Wtedy wszystko staje się jasne, to chwila prawdy, wiadomo, czy dana kobieta cię kręci, czy nie. Jeśli od razu wstajesz i idziesz do łazienki, nic cię ona nie obchodzi, jeśli ubierasz się i wychodzisz, sytuacja robi się dramatyczna. Jeśli natomiast leżysz koło niej, przytulasz ją i całujesz, i masz ochotę znowu ją przelecieć, to albo ci na niej zależy, albo jesteś świetnym aktorem. Z Pozzi trochę pograłem, potem chwilę pogadaliśmy, a potem sprawy poszły jak poszły. Jakoś staram się sobie to wytłumaczyć, w końcu nikt nie umarł, a seks jest dla ludzi. Ktoś temu zaprzeczy? Problem w tym, że kiedy znajdziesz się w takiej sytuacji, o wszystkim zapominasz. Zamykasz oczy i dajesz się ponieść, podniecenie bierze górę nad rozumem i seks, nawet z taką dziewczyną jak Pozzi, sprawia ci przyjemność. Każdy facet przyzna mi rację. Inaczej sprawa wygląda z punktu widzenia kobiet, które forsują teorię „czystości”: owszem, uprawiają seks, ale tylko kiedy kochają. Chcecie mi wmówić, że wszystkie dziewczyny, które się bzykają, robią to z miłości? Wolne żarty!

Nagle przypominam sobie ostatnie tygodnie z Alessią. Nie chciała się kochać, całowaliśmy się, owszem, ale kiedy przychodziła mi ochota na seks, ona sztywniała. Powstrzymywała moją dłoń. Nie ma nic gorszego, zwłaszcza jeśli wcześniej próbowało się razem wszystkiego. Twoje ciało przeszywa wtedy ból, równie dokuczliwy jak skrzywienie kredy po tablicy. Czujesz się jak po upadku na nartach w połowie trasy podczas jazdy na orczyku. Nie wiem, dlaczego przyszedł mi do głowy ten obraz, ale pamiętam, że rozczarowanie, jakie czułem, wypadając z orczyka, było okropne. Skrzyżowałem narty albo popełniłem jakiś inny głupi błąd i wylądowałem bezładnie w miękkim śniegu niczym worek kartofli. Widziałem ten pieprzony talerzyk, jak dyndając na boki, wraca na swoje miejsce. Najbardziej wstydziłem się osoby jadącej z tyłu. Widziała mnie zagrzebanego w śniegu, próbującego się z niego wydostać, i musiała jechać zygzakiem, by mnie ominąć.

Jeszcze gorzej czułem się z Alessią, kiedy powstrzymała moją dłoń i wyszła z sypialni.



Czekałem w łóżku, myślałem, że poszła do łazienki, ale po jakimś czasie zrozumiałem, że już nie wróci. Wstałem, włożyłem koszulę w spodnie i poszedłem jej szukać. Zostałem ją w kuchni. Siedziała na taborecie i jadła winogrona, miała włączony cicho telewizor, ale na Canale 5 leciały reklamy, więc nawet nic nie oglądała. Stałem w drzwiach i przyglądałem się jej, była zwrócona do mnie tyłem. Patrzyłem na włosy opadające na ramiona, częściowo schowany profil, na jej ręce i palce, którymi obracała poszczególne owoce, odrywała je od gałązki i wsadzała do ust. Pojąłem wtedy, jak bardzo ją kocham, i uświadomiłem sobie, że nigdy jej tego nie powiedziałem. Ale uznałem, że to nie czas ani miejsce na wyznania, więcostałem jeszcze chwilę bez słowa, udając, że wszystko jest w porządku, i w końcu się odezwałem:

– Smaczne te winogrona?

Odwróciła się do mnie i spojrzała z ogromnym smutkiem w oczach, w których czał się wyrzut, ale w końcu uśmiechnęła się nieznacznie i powiedziała:

– Są przepyszne, spróbuj.

Wstała, podeszła do mnie i z czułością włożyła mi do ust jedno winogrono. Faktycznie było bardzo dobre, nie za kwaśne, nie za słodkie. Przeżuwając owoc i rozkoszując się jego smakiem, myślałem o swoich uczuciach do Alessii, o tym, że nie było w niej niczego, co by mi się nie podobało, co by mi przeszkadzało. Jednak nie potrafiłem powiedzieć jej, że ją kocham. Jak się nad tym teraz zastanawiam, to był chyba ostatni moment, żeby jej wyznać miłość. Mogłem opowiedzieć o tym, co czułem, obserwując ją chwilę wcześniej. Albo spytać, co się dzieje, dlaczego nie chce już ze mną być.

Nic nie zrobiłem, mówiłem o jakichś głupotach, których już nie pamiętam, potem zaproponowałem, żebyśmy poszli na pizzę i do kina.

Dokądś się wybraliśmy, byle nie siedzieć razem w domu, nie musieć rozmawiać. Zawsze jest nadzieja, że sprawy rozwiążą się same i że wszystko wróci do normy, a nawet będzie lepiej. Jednak w naszym przypadku tak się nie stało.

Dziwne, ale z Benedettą od razu postawiłem sprawę jasno. Jest dużo łatwiej, kiedy kobieta mało cię obchodzi, widzisz to już podczas pierwszego stosunku. Nie chcesz, żeby trwał wieczność, nie starasz się wytrzymać jak najdłużej, w nosie masz jej rozkosz, myślisz tylko o swojej. Posuwasz ją, owszem, z przyjemnością, ale kiedy masz dojść, dochodzisz i koniec. Nie jesteś egoistą, jesteś szczery. Podobnie jak dramatycznie szczerą jest cisza, która potem następuje. Po serii jęków i zwierzęcych odgłosów, które chwilę wcześniej z siebie wydawałeś, nagle uświadamiasz sobie, co właśnie zrobiłeś: świństwo. W moim przypadku megaświństwo: posunąłem Benedettę Kałużę.

Leżymy spoceni obok siebie w jej łóżku. Wpatruję się w sufit i przełykam ślinę, muszę coś powiedzieć, teraz albo nigdy.

– Przepraszam, Benedetto, nie wiem, co mnie napadło. Czułem twoją bliskość... Powinienem był się powstrzymać, pomyśleć o tym, co nas łączy, o naszej przyjaźni.

Podkreślałem ostatnie słowo, chcę jej przypomnieć, jaką wartość ma dla mnie nasza znajomość: mam nadzieję, że jej nie utracimy i że nic się nie zmieni w pracy...

Benedetta leży u mego boku, wpatruje się we mnie bez słowa. Już nie płacze, co gorsza, myśli jasno, jest zdeterminowana, czego dowodzi jej pierwsze słowo.

– Żałujesz?

Nie wiem, co odpowiedzieć, to pytanie brzmi jak groźba. Nic nie mówię. Benedetta nie traci rezonu. Drąży dalej:

– Powiedz mi jedno: nadal kochasz Alessię?

Wiesz, że to pułapka, równie niebezpieczna jak te, które niespodziewanie podrywają się do góry, splecione sznurami ukrytymi w trawie, tak sprawnie zastawiane przez Rambo, ale nic sobie z tego nie robisz.

– Tak. Bardzo ją kocham.

Wreszcie mówię to głośno, bez lęku. Miałem powiedzieć to Alessii, nie Benedecie! Z kolei ona błyskawicznie wykorzystuje okazję i wbija mi szpilę.

– W takim razie dlaczego ją zdradziłeś?

– Jak to zdradziłem? Przecież mówiłem ci, że się rozstaliśmy.

– Mimo to nie powinieneś jej zdradzać. Przecież ją kochasz, prawda? Nie ma znaczenia, czy jesteście razem, czy nie.

Patrzę na nią przerażony, głos mi odebrało. Nie wierzę! Jak wy rozumujecie? Jesteście fanatyczkami miłości! Nie powinienem jej „zdradzić”? Co to ma znaczyć, można zdradzić ideały, marzenia, pasję, kobietę, z którą się jest. Dlaczego miałem jej nie zdradzać? Bo mam nadzieję? A może ona w tym czasie bzyka się z innym albo, co gorsza, jest zakochana! Zawsze będę kochał kobiety z tym ich dziwnym tokiem rozumowania, ale nigdy ich nie pojmem. Niemniej jednak dzięki słowom Benedetty odzyskuję rozsądek i jasno stawiam sprawę.

– Masz rację, popełniłem błąd, powinienem był się powstrzymać, nie dać ci się uwieść...

– Co?! – Benedetta wytrzeszcza oczy, otwiera szeroko usta ze zdumienia. – Chcesz powiedzieć, że to się stało z mojej winy? Ty nie masz z tym nic wspólnego, nic nie zrobiłeś, nie chciałeś?

Pamiętam doskonale, co zrobiła, jak to zrobiła, jak dała się ponieść i jaką rozkosz jej to dało... Ale powstrzymuję się od komentarzy, w końcu jest wnuczką braci Bandinich.

– Bene, przestań, to nie ma nic do rzeczy... – Mam ochotę zwrócić się do niej per „Kałuża”! Jest cholerną kałużą, w którą wdeptujesz przez nieostrożność, i tym razem padło na mnie! Mimo to zachowuję spokój. – Chciałem powiedzieć, że oboje daliśmy się ponieść pożądaniu, pragnieniu bycia szczęśliwym i kochanym. Daliśmy się oszukać naszym marzeniom i w tym trudnym dla nas obojga okresie nie wiedzieliśmy, co robimy...

– Czyli nie wiedziałeś, że mnie całujesz? Że się ze mną kochasz?

– Oczywiście, że wiedziałem, ale zdaję sobie również sprawę, że naprawdę marzyłeś, by być w ramionach Luki... A ja...

– Po pierwsze nie marzyłam, by być w czyichkolwiek ramionach, a już na pewno nie Luki, doskonale wiedziałam, co robię. Ty nie? Marzyłeś o Alessii?

Co mam zrobić? Co odpowiedzieć? Chciałbym się znaleźć w filmie Alda, Giovanniego i Giacoma: Aldo, nie mając pojęcia, jak odpowiedzieć na pytanie swojej dziewczyny, wali ją w głowę, dziewczyna mdleje, a gdy odzyskuje przytomność, Aldo wyjaśnia, że spadła jej na głowę dachówka. Ale życie to nie film. Obrócenie sytuacji w żart, zmiana dekoracji, lepsze lub gorsze zakończenie nie rozwiążą problemów. Życie polega na stawianiu czoła popełnionym błędom, braniu ich na siebie, umiejętności zakończenia związku odpowiednimi słowami... Przynajmniej tak mówił tata. „Odpowiednie słowa”. Patrzę na Benedettę, hm, chyba mam.

– Benedetto... Ja nadal jestem zakochany w Alessii. Przepraszam, jeśli poczułaś, że nie potraktowałem cię z szacunkiem, być może dzieje się coś między nami, ale na razie nie jestem gotowy, jest za wcześnie.

Spróbowałem zawrzeć w tych słowach wszystko po trochu: przyznanie się do błędu, prośbę o wybaczenie, brak gotowości... Może to kupi. Spoglądam na nią z niepewnym uśmiechem, z odrobiną nadziei i poczucia winy. Mierzy mnie wzrokiem przez chwilę, w końcu się odzywa:

– Wypierdalaj. – To jednak nie były odpowiednie słowa. Teraz wrzeszczy jak opętana. – Jesteś takim samym sukinsynem jak wszyscy, a nawet gorszym, bo uważałam cię za przyjaciela.

Wyrzuca mnie za drzwi. Cóż, przynajmniej wszystko sobie wyjaśniliśmy, po jakimś czasie jej przejdzie.

Dzwoni mój telefon, nie chciałbym, żeby okazał się gwoździem do trumny. Wyjmuję go z kieszeni, patrzę na wyświetlacz, uff, to na szczęście Gruby. Odbieram, a on od razu na mnie napada.

– Siema, Nicco, gdzie ty się, kurwa, podziewasz?

Ten jego slang.

– Wracam do domu.

– Co tak długo? Czekał na ciebie na dole od dziesięciu minut. Dzwoniłem wcześniej, ale chyba nie wyświetlał się mój numer, to dlatego nie oddzwoniłeś? – A więc to był on. Czuję przygnębienie. Rozwiązał moje nadzieje, że dzwoniła Alessia.

– Co jest, nie pamiętasz, że mieliśmy iść na otwarcie lokalu mojego kumpla?

– No tak.

– O rany, ale masz głos... Jak z za grobu, co cię tak zdołowało?

– Nic. Jutro ci opowiem.

– Jakie jutro? Kurwa, nie rozumiesz, że czeka nas ekstrawieczór, wyżerka, picie, i to full wypas, bo jesteśmy zaproszeni i nie zapłacimy ani grosza! No weź, cokolwiek tam zmalowałaś, po dzisiejszej nocy wszystko zobaczysz w lepszym świetle.

Tymi ostatnimi słowami udaje mu się mnie przekonać.

– Okay. Już jadę.

– Takiego cię, kurwa, lubię!

Rozłącza się. Przyznaję niechętnie, że ostatnio jestem mało asertywny. Za mało.

Jak zwykle na odcinku między piazza della Minerva i piazza delle Coppelie panuje duży ruch.

Na szczęście wieczór jest piękny. Tego tylko brakowało, żeby padał deszcz. Zatrzymuję się na placu. W Maccheroni pełno. Kiedy byłem młodszy, nie przepadałem za imprezami z okazji inauguracji jakiegoś miejsca, ponieważ wiązało się to ze spotkaniem zbyt wielu obcych ludzi naraz i to mnie krępowało. Uśmiecham się na wspomnienie swoich dawnych lęków i rażno wchodzę do środka. Widzę ich, siedzą w głębi sali przy stoliku. Gruby jest w swoim żywiole, śmieje się, gestykuje, wstaje i podaje swoim gościom kartę dań, żartuje z kelnerami, poklepuje ich po plecach i już po chwili wszyscy go lubią. W końcu mnie zauważa.

– Zobaczcie, kto przyszedł.

Siedzi przy stole z trzema dziewczynami, które odwracają się w moją stronę. Nie wierzę własnym oczom, jedną z nich jest Lucia, dziewczyna z pubu.

– Cześć, Nicco, jak leci?

– Dobrze.

Siadam między nimi. W głębi widzę Luciana, właściciela lokalu. Ożenił się ze śliczną australijską modelką, która, o ile się nie mylę, pełniła rolę Matki Natury w *Ciao Darwin*. Ją też zauważam, idzie do kuchni z naczyniem brudnych talerzy, jest odrobinę spocona i chyba zmęczona, ale nadal wygląda pięknie. Ciekawe, czy tego właśnie szukała we Włoszech.

Gruby zamyka menu.

– Na co masz ochotę? Robią wspaniałą pastę alla gricia.

Przysuwa się do Lucii, całuje ją, pod stolikiem podciąga jej koszulkę i odsłania brzuch. Dziewczyna ma w pępku kolczyk i Gruby zaczyna się nim bawić.

– Głos aniołów... – Niemal kładzie się na niej, ale dostaje kuksańca w plecy i szybko się prostuje. Zgniółby ją. Grubi ludzie, którzy poruszają się z kocią zwinnością, zawsze wprawiają mnie w zdumienie. Coraz bardziej zaskakuje mnie jego zachowanie. Chodzi z dwiema dziewczynami naraz i publicznie całuje trzecią.

Lucii w końcu udaje się go poskromić i obciągnąć podkoszulek, a jej dwie koleżanki mi się przedstawiają.

– Cześć, mam na imię Ilenia.

– Ja jestem Tiziana.

– Cześć, Niccolò. – Do stolika podchodzi kelner. – Co ci przynieść? Zjadłbyś pastę alla gricia?

Chyba nie mam wyboru.

– Okay, niech będzie gricia i piwo.

– Jakie?

– Małe jasne.

Szybko zaznacza coś na tablicy i się oddala.

– Właśnie się dowiedziałyśmy, bardzo nam przykro.

– O czym? – Patrzę na nie skonsternowany.

– No wiesz, to się każdemu zdarza, a potem nagle budzisz się, jak to się mówi, z ręką w nocniku.

Wybuchają śmiechem jak wariatki, poszturchują się. Tiziana upija wielki łyk piwa, omal się nie dławiąc, odwraca się do mnie i kręci głową. Na mojej twarzy maluje się chyba wyraz bezbrzeżnego niedowierzania. Patrzę na Grubego, ale on tylko rozkłada ręce, jakby mówił, że nic nie mógł na to poradzić, że torturami wymusiły od niego zeznania. Ale nie sądzę, żeby tak to się odbyło.

Ilenia spogląda na mnie uśmiechnięta, chyba przejęła się moim rozstaniem z Alessią.

– Rozchmurz się, mój związek też się rozpadł, tyle że raczej od początku nie miał szans, natomiast wasza relacja, jak mówił Gruby, zmierzała w dobrym kierunku.

– No proszę cię, urodzinowa niespodzianka zajebista. – Tiziana odrywa się od kufla.

– Pewnie. Strasznie chciałabym mieć kurtkę Moncler, choć kosztuje fortunę!

– Żeby tak mój facet coś takiego mi sprezentował! No a ten pomysł, żeby do kieszeni włożyć różne paczuski, naprawdę, wzruszyłam się...

Patrzę na Grubego, który siedzi u szczytu stołu, obejmując swoją nową dziewczynę, jakby od dawna byli parą. Opowiedział nawet o moich niespodziankach ukrytych w kieszeniach kurtki... Czasami szczerze go nienawidzę. To jest jedna z takich chwil.

Ilenia i Tiziana rozmawiają między sobą.

– Nie ma znaczenia czy to Moncler.

– Oczywiście, że ma! Po ilości wydanej na ciebie kasy poznasz, jak mocno facet cię kocha!

– A jeśli go nie stać?

– Odłóż. Jeśli jest dżentelmenem, będzie traktować cię jak damę!

Przyglądam się to jednej, to drugiej. Klepią bzdury zasłyszane w sobotnich talk-show na Rai Uno albo u fryzjera czy wyczytane w obraźliwych postach umieszczanych na stronach „Affari Italiani”, zwłaszcza po ukazaniu się jakiegoś artykułu na temat Ruedy Belén lub Nicole Minetti. Internauci piętnują autorów artykułów za to, że poruszają błahe tematy, a przecież sami są pierwszymi czytelnikami i komentatorami tych tekstów.

– Wy, kobiety, jesteście zbyt skomplikowane... Potrzebujecie innego faceta, ale nie potraficie się do tego przyznać. – Gruby uwielbia tego typu dyskusje.

Patrzy na Lucię, która również włącza się do rozmowy.

– Podobnie jest z mężczyznami, prawda?

– Masz rację, skarbie, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny...

Mocno się obejmują i wpatrują w siebie jak dwoje zakochanych, potem całują się z taką czułością, że Ilenia i Tiziana wymieniają rozanielone spojrzenia, które mówią: „Jacy oni piękni...”. Gruby gładzi Lucię po ramieniu, całuje ją w usta, jakby to były lody z Alaski, najlepsze czekoladowe lody w Rzymie. Zachowuje się, jakby byli sami.

– Pasta alla gricia dla pana.

Głos kelnera wyrywa mnie z zamyślenia, przerywając film z Grubym i Lucią w rolach głównych, który robił się coraz śmielszy. Stawia przede mną talerz.

– A tu jest piwo.

Zanim zdążę podziękować, już jest przy sąsiednim stoliku, wyciąga z kieszeni tablet i przyjmuje zamówienie od kolejnych klientów.

Lucia gwałtownie odsuwa się od Grubego.

– Która jest godzina? Cholera, już dziesiąta! Dziewczyny, musimy spadać. – Odwraca się do niego. – Dziś wieczorem pracują na próbę ze mną w pubie. To dla nich szansa.

Ilenia i Tiziana zadzierają lekko nosa.

– Poza tym chcemy pobyć trochę razem, rzadko się widzimy.

Lucia potakuje.

– To prawda, no już, zbieramy się. – Otwiera torbę.

Gruby kładzie na niej swoją pulchną, wielką dłoń i puszcza do dziewczyny oczko.

– Zostaw to nam.

– Jesteście super! – Lucia całuje go w usta.

– Cześć, chłopaki. – Żegnają się.

– Nicco, opowiesz nam, co dalej z Alessią, okay? Daj znać.

– Oczywiście...

Przyłączam się do tej maskarady. Spoglądam na przyjaciela.

– Wielkie dzięki, stary, umiesz milczeć jak grób.

– No weź, to miłe. Drzwi do tych dziewczyn stoją dla ciebie otworem.

– Dzięki, ale zatrzymaj je dla siebie.

Myślę o Kałuży i zastanawiam się, ile mogę opowiedzieć. Odprowadzam wzrokiem koleżanki Grubego, zarzucają na ramiona wielkie torby, kurtki z ćwiekami, jedna zapina wokół talii szeroki pasek. Robią dużo zamieszania, potrącają naczynia na stole, przewracają nawet szklankę, rzeczy spadają im na krzesła. Odchodzą, zostawiając za sobą woń perfum zbyt słodkich, by mogły uchodzić za dziewczyny z ekskluzywnej dzielnicy Camilluccia.

– Wiem, że jesteśmy gośćmi właściciela, ale Lucia przynajmniej sięgnęła do portfela, tamte dwie to zwykłe „uciekinierki”.

Jem pastę alla gricia, popijam piwem i wycieram usta serwetką.

Gruby kręci głową.

– Znasz tę historię?

– Nie.

– Była kiedyś taka dziewczyna, Elena Pistoni. Niezła laska, blondynka, wysoka, tyłek jak u J.Lo, cipka jak u Paris Hilton, jedna z tych, o których Pino mówi, że są piękne, ale mają pusto w głowie.

Pino jest tatuażystą z Neapolu, mieszka na via Morlupo w pobliżu via Flaminia, mówi na tyle płynnie po angielsku, że każe zwracać się do siebie per Naples Pine.

– Elena zawsze przychodziła na kolację spóźniona, kiedy wszyscy siedzieli już przy stole, i za każdym razem historia się powtarzała... „Cześć wszystkim, jak leci, ludzie, dzisiaj bawimy się na całego!”. Witaała się ze wszystkimi, po czym zamawiała u kelnera zawsze to samo danie... Stek z mięsa krojonego w poprzek włókien, twierdziła, że wygląda jak otwarta książka... „Coś dla ducha, coś dla ciała!”, mówiła i śmiała się do rozpuku z tego idiotyzmu. Buzia jej się nie zamykała, paplała bez sensu, aż podawano jej stek, wtedy nabierała wody w usta, jadła w całkowitym milczeniu, a kiedy skończyła, wzdychała z zadowoleniem: „O tak, to było wyborne”, opowiadała jeszcze jakieś głupoty, w końcu spoglądała na zegarek. „O rany, obiecałam Franci, że po nią wpadnę! Spotkamy się później na ponte Milvio, okay?” Nie pytając, czy ma zostawić jakąś kasę za jedzenie, wstawiała od stołu i znikaała. Oczywiście na ponte Milvio nikt jej nigdy nie widział! Historia zawsze kończyła się tak samo, miała spotkanie z Franci, z Luisą, z Didą albo jakąś inną koleżanką i rachunek, którego nie regulowała! Pomalutku jej przyjaciółki nauczyły się robić tak samo, zamawiały zawsze stek i nie płaciły złamanego grosza, dopóki Simo Fiori, najgłupsza z całego grona... Pamiętasz ją, nie? – Potakuję, delektując się pastą alla gricia. Jest pyszna, dobrze, że dałem się na nią namówić. – No wiesz, ta, która naśladowała Barbarę D’Urso, choć bardziej przypominała Alessię Marcuzzi.

– Tak, pamiętam... Całkiem niezłe jej szło.

– Ale co?

– No, naśladowanie Federiki Panicucci...

– Dobra, tak czy inaczej, postanowiła zabawić się w uciekinierkę, niestety wybrała nieodpowiednie towarzystwo. Jej wybryk przeszedł do historii.

Tego sobie nie przypominam, ale, o dziwo, opowieść Grubego przykuła moją uwagę.

– Opowiedz.

Uśmiecha się zadowolony.

– Byli w Mò-Mò Republic i zgadnij, kto siedział przy stoliku?

– Nie wiem.



– Pepe.

– Wow.

Nadzievam na widelec makaron i czyszczę nim talerz, zgarniając resztki sera i pieprzu, czyli *pepe*, tak à propos, po czym pałaszuję z przyjemnością.

– Simo Fiori ledwo zdążyła pożegnać się słowami: „Cześć wszystkim... Do zobaczenia na ponte Milvio”, a już znalazła się w łazience, do której zaciągnął ją Pepe.

– Naprawdę? – Teraz jestem lekko zaniepokojony. – I co było potem?

– Tego wieczoru oprócz steku skosztowała również kiełbaski... naturalnej! Ha, ha, ha...

Wybuchą śmiechem, prawie się zakrztusił, ale szybko popija wodą. W jednej chwili przypominam sobie mnóstwo różnych spraw. Jak wychodziliśmy gdzieś razem z Alessią, Grubym i z moimi przyjaciółmi: Andrea Batem i Guidem Pietrą.

Andrea Bato kocha mangę i nieustannie kupuje japońskie komiksy. Jego pokój wygląda jak z magazynu o wnętrzach, naszpikowany współczesną technologią i wiszącymi na ścianach obrazami. Ojciec Andrei jest politykiem, mają kupę szmalu i mieszkają w apartamencie w dzielnicy Parioli. Natomiast Guido Pietra ma świra na punkcie kultury, studiuje na wydziale nauk humanistycznych i zdarza mu się nie podchodzić do egzaminów na znak protestu przeciwko systemowi. „Społeczeństwo masowe zaczęło pragnąć już nie kultury, lecz rozrywki” – to podobno słowa Hannah Arendt, które Guido najczęściej nam cytuje. Mimo to na pierwszym roku zdał pięć egzaminów, a na drugim sześć i w przyszłości chciałby uczyć w jakiejś szkole na obrzeżach miasta. Inne zdanie, które często powtarza, to słowa Nelsona Mandeli: „Edukacja jest najpotężniejszą bronią, jakiej można użyć, by zmienić świat”. Pamiętam nasze spotkania: ja, Pietra, Bato i Gruby, który puszczał w ruch piwo i skręty, nawet jeśli byliśmy w lokalu. Wieczorami często graliśmy w Texas Hold'em albo na PlayStation. Pietra palił mnóstwo skrętów i nigdy nie miał dziewczyny, Bato palił równie dużo i miewał kilka kobiet jednocześnie, czym oczywiście nie zaskarbił sobie sympatii Alessii. Tamtego wieczoru, w przeddzień najfajniejszego święta w całym roku, Bato zagadnął mnie w kuchni.

– Martwię się...

– Czym?

– Jutro są walentynki, a ja nie wiem, co mam robić, z którą dziewczyną świętować. Może powinienem zostać w domu? – Uśmiecha się do siebie. – Bardzo lubię walentynki, chciałbym gdzieś wyjść i obchodzić je ze wszystkimi swoimi kobietami, a aktualnie mam ich cztery.

Alessia patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i zwraca się do Andrei.

– Co? Uważasz, że tak jest zajebiście?

– Nie, skąd, to ja jestem zajebisty! – odpowiada jej uprzejmie.

– To widać! Masz tyle kobiet, bo nie potrafisz być z jedną i udowodnić, że jesteś

mężczyzną. Jesteś chaotyczny, tylko zabawaci w głowie.

– Nicco, słyszałeś, co powiedziała o mnie twoja zmiłowata dziewczyna? – Bato nie pozostaje jej dłużny.

– Słyszałem.

Kiedy wracam do stołu, Alessia wstaje i wychodzi na taras.

– Kurwa, Bato, właśnie teraz musiałeś wyjechać z walentynkami?

– Po co ją tu przyprowadziłeś? Mamy grać w pokera, a ty przychodzisz z laską... Czy ja przyszedłem ze swoimi?

– Nie, ale mogłeś powstrzymać się od mówienia, ile ich masz. – Bato wzrusza ramionami, zwija skręta, przesuwając ostatni raz językiem po bibułce i opala papierosa odrobinę ze wszystkich stron nad płomieniem zapalniczki, by wysuszyć ślinę. – To są, kurwa, twoje sprawy...

– Co to ma do rzeczy?

Patrzę na niego.

– Brawo, urządziłeś scenę.

Uśmiecha się do mnie tępo, chyba nic do niego nie dotarło.

Dołączam na tarasie do Alessii. Stoi z założonymi rękami i wpatruje się w miasto, w stronę niewidocznego stąd morza... Choć nie jestem pewny, czy to właściwy kierunek.

– Przepraszam, Alessio, wiesz, jaki jest Andrea.

– Nie, nie mam pojęcia. Jaki jest? Ja wiem tylko, że jest zawsze ujarany. Popatrz na nich, popatrz na swoich przyjaciół. – Odwraca się i wskazuje na nich podbródkiem, który wydaje mi się bardziej spiczasty i kanciasty niż zazwyczaj. – Banda nieudaczników, którzy ciągle grają w pokera.

– W Texas Hold'em.

– Niewiarygodne... Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie, tak tylko powiedziałem, sorry.

– Niech będzie Texas Hold'em, cokolwiek to jest. Palą skręty, piją piwo, kim oni są? Jeden ściąga i sprzedaje programy, drugi udaje intelektualistę, ale nie uczestniczy w życiu społeczeństwa, bo ono go mierzi, zwłaszcza kobiety, a trzeci ma ich na pęczki, żyje z pieniędzy tatusia i kolekcjonuje komiksy. Spójrz na nich...

Obserwuję ich zza szyby. Gruby upija łyk piwa i głośno beka. Bato się śmieje i podaje mu skręta. Pietra tasuje karty.

– Spytaj ich, co teraz czytają i czy w ogóle kiedykolwiek przeczytali jakąś książkę. – Wpatruję się w moich przyjaciół. – Spytaj, czy wiedzą, kim jest Camus.

Wchodzę do salonu, Alessia zostaje na tarasie.

– Jaką książkę aktualnie czytacie i co wiecie o Camusie?

Patrzę na mnie zdumieni.

– Pocięło cię?

– Co ci się stało?

– Fajki tak na ciebie działają?

Bato zaciąga się skrętem i wskazuje na taras.

– Pani nauczycielka chce nas przepytąć?

– W takim razie ja czytam *Dylana Doga*, a Camus to koniak. – Gruby udziela szybkiej odpowiedzi.

– Co ty opowiadasz! – Pietra kręci głową.

– Wiem, co mówię. Całkiem sporo kosztuje. Kupowałem go jako bożonarodzeniowy prezent od mojego ojca dla jego szefa.

– Jeśli ona pyta, jaką książkę czytasz, chodzi raczej o Alberta Camusa, a nie o koniak, nie sądzisz?

– Niech ci będzie, ale moja odpowiedź nie była zła.

Pietra patrzy na mnie z niepokojem.

– Ja czytam *Zapiski starego świntucha* Bukowskiego, ale przeczytałem również *Obcego* oraz widziałem *Pierwszego człowieka*, wspaniały film, chyba Gianniego Amelii. Twoim zdaniem to czyni nas lepszymi? A może ciebie? Mimo to nic nie zyskałem, nadal nie mam dziewczyny.

– Natomiast ja niczego nie przeczytałem ani nie obejrzałem, a spotykam się z czterema dziewczynami naraz. – Bato podaje skręta Grubemu.

– Widzisz? Nie ma reguły. – Pietra rozkłada rękę.

Wychodzę na taras.

– Co ci powiedzieli?

– Różne rzeczy... Niektórzy słyszeli o Camusie.

– Mówisz tak, żeby mnie zadowolić? Odwieź mnie do domu.

– Mówię prawdę!

Wychodzi, z nikim się nie żegnając. Idę za nią.

– Uwierz mi. Guido widział nawet film *Amelia Pierwszy człowiek*.

– Właśnie, film, ale nie są odcytani.

Nie chciała nam uwierzyć. Tamtego wieczoru, odwożąc ją, usiłowałem wszelkimi sposobami ją rozbawić, wprowadzić w lepszy nastrój, ale mi się nie udało.

Podjechaliśmy pod jej dom.

– Cześć. – Całuje mnie pospiesznie w usta, bardziej z obowiązku, jakby to była ostatnia rzecz, na którą ma ochotę, wysiada z samochodu, otwiera drzwi klatki i znika w środku, nie odwracając się ani razu.

Wracam do swoich przyjaciół, siadam przy stole i również zadaję im pytanie.

– Czy Texas Hold'em wynalazł Włoch?

– Nie, chyba Amerykanin.

– Jesteś pewny?

Gruby nie ma wątpliwości.

– Wiadomo na sto procent, że gra została wymyślona w Robstown, w stanie Teksas.

– Skąd wiesz?

– Czytałem artykuł, poza tym Dotcom o tym mówił, a on jest jej prawdziwym pasjonatem.

Gadamy dalej o błahostkach, Bato podaje mi skręta.

– Masz, Nicco, odpręż się i nie przejmuj... Nawet jeśli gównu wiesz, nam to nie przeszkadza.

Biorę macha i zaczynamy grać. Nieważne, jak potoczy się gra. Czuję, że schodzi ze mnie napięcie, piję piwo, jestem zrelaksowany i dobrze odnajduję się w tym towarzystwie, jest bezpiecznie i spokojnie. Nie myślę o Alessii, która czasami lubi skomplikować człowiekowi życie. Prawdziwy przyjaciel to taki, który wszystko o tobie wie i takiego cię akceptuje.

– Patrz, jaki tłum wali!

W drzwiach Macceroni przystaje grupa ludzi. Gruby podrywa się z miejsca z niezwykłą zwinnością i zajmuje sąsiednie krzesła, przestawia naczynia na stole, tworząc wrażenie, że siedzi tu mnóstwo osób.

– To obcokrajowcy, chyba Niemcy, nie chcę, żeby usiedli koło nas, wolę zostawić trochę miejsca dla jakiejś fajnej cudzoziemki.

Przy kasie stoi trzech napakowanych koleśi à la Franz Anton Beckenbauer i jeden skromniejszej postury, który zwawo dyskutuje z właścicielem. Luciano rozgląda się wokół, patrzy także w naszym kierunku i kręci głową, tłumacząc, że nie ma wolnych miejsc, zmartwiony utratą potencjalnych klientów. Korzystam z okazji.

– Skop mi tyłek.

Gruby wsuwa pozostawione przez dziewczyny frytki.

– Nie trzeba... Twoje życie jest wystarczająco skomplikowane.

– Dlaczego?

– Bo twoja siostra nie chce dłużej chodzić z Pepem i cała historia z pewnością nie skończy się na pogaduszkach z tobą!

Jem makaron, wycieram usta serwetką, piję piwo.

– Nie wiem dlaczego, ale jakoś się tym nie przejmuję.

– Ja bym nie mógł spać, ale skoro chcesz, to jak skończysz jeść, skopię ci tyłek.

– Nie chcesz wiedzieć, z jakiego powodu?

– Nie smakuje ci pasta alla gricia? Dokończę ją za ciebie.

– Bardzo mi smakuje, ty mnie wkurzasz.

Metodycznie i niewzruszenie pochłania frytki. Nadziewa jedną z nich na widelec i wymierza nią we mnie.

– Prawdziwy przyjaciel nie żąda wyjaśnień, jest blisko i jeśli trzeba, robi, o co go proszą.

– Ładnie powiedziane. To twoje?

– Tak. Powiedziałaś, żeby skopać ci tyłek... Zrobię to. Najwyższa pora przyznać, że ślepo ci wierzę.

Unosi brew, jakby mówił, że taka jest rola prawdziwego przyjaciela. Wsuwa do ust kolejną frytkę i zaczyna ją gryźć, nagle wytrzeszcza oczy, nie może złapać oddechu, więc szybko ją połyka, popija piwem i patrzy na mnie osłupiały. Chyba zrozumiał.

Kiwam głową.

– Kałuża? Nie! Opowiadaj!

Nie skopie mi tyłka, jest tak ciekawy, że ledwo może usiedzieć.

– To świntucha, co nie? Mów, co ci zrobiła, albo nie, jak to się stało? Krzyczała? Jęczała? Pukałeś ją jak narąbaną sanitariuszkę? Była jak mniszka, która wróciła na właściwą drogę? Albo jak siostra Paola w ramionach kibola? Czy to było jak seks z Franceskiem Tottim?

Ostatnie pytanie rozśmiesza mnie do łez. Gruby ma niezwykle dar naginania rzeczywistości, jest w tym prawdziwym mistrzem. Może właśnie dlatego kobiety go uwielbiają.

– Proszę cię, skop mi tyłek i dajmy sobie z tym spokój. Nic więcej ci nie powiem.

– Jak to nic mi nie powiesz?! Kurwa, puknąłeś Kałużę! Jeszcze to do mnie nie dotarło... Nie miałem pojęcia, że jest z tobą tak źle. – Patrzy na mnie z niepokojem. – Historia z Alessią doprowadziła cię prawie do ostateczności.

– Co masz na myśli?

– Kałuża to przedostatni krok, ostatnim jest samobójstwo!

Na moim talerzu została jedna kluska, prowadzę ją wzdłuż brzegu niczym hokejowy krążek. Ha. Przypomniał mi się film science fiction, który niedawno widziałem na Sky. *Rollerball* z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. Jego akcja rozgrywa się w roku dwa tysiące osiemnastym w świecie bez wojen i podziału na państwa, w którym główną rozrywką jest tytułowy rollerball. W pełnej przemocy grze dwie drużyny składające się z zawodników na wrotkach i motocyklach walczą na torze w kształcie koła, żeby wrzucić metalową kulę do magnetycznego otworu. Głównym bohaterem jest samotny mężczyzna, którego zostawiła kobieta. Czy dlatego tak mi się spodobał? Zgarniam z talerza resztkę masła, sera i pieprzu. Dla tego dania warto było tu przyjść.

– Chyba trochę przesadzasz, Kałuża ma swoje zalety.

– Taa, jasne. Pies z kulawą nogą by jej nie tknął.

Śmieje się jak wariat. Nie wiem do końca, co znaczy to wyrażenie, ale on je uwielbia. Nie tylko on. Jest taki kemping w Talamone, który nazywa się Pies z Kulawą Nogą.

Upijam łyk piwa, kawałkiem chleba wycieram talerz.

– Mówię poważnie. Ma, na przykład, bardzo zgrabne nogi.

– I ciągle je zakrywa?

– Jest wysoka, ma metr siedemdziesiąt pięć albo nawet metr osiemdziesiąt.

– Żartujesz?

– Ma okrągłe piersi, trochę gruszkowate, nie za duże, nie za małe.

– Może to nie była ona?

– Niech ci będzie, ma wielkie wiszące cycki, niebieskie oczy i blond włosy.

– I jeszcze warkocze... Przecież to z piosenki Lucia Battistiego. – Nagle wyraz jego twarzy się zmienia, ze zdumienia otwiera szeroko oczy. – Specjalnie dla niej Lucio powinien był napisać piosenkę. – Podbródkiem wskazuje na drzwi.

Odwracam się i widzę trochę zagubioną dziewczynę z przewodnikiem w rękę i małą torebką przerzuconą przez ramię. Rozgląda się wokół, ma piegi, duże niebieskie oczy, krótkie włosy. Na szyi modny naszyjnik z dziwnymi trójkącikami, które opadają w zagłębienie między piersiami. Jej biust jest idealny, równy, jędrny, spowity delikatnym stanikiem. Ona również sprawia wrażenie delikatnej. Ma na sobie długą ciemnoniebieską spódnicę i buty na płaskich obcasach. Jest bardzo ładna i bardzo cudzoziemska. Uśmiecha się promiennie do właściciela restauracji, który podchodzi do niej, rozkładając ramiona.

Odczytuję ten gest jako „Przykro nam, ale nie mamy wolnych miejsc”.

Za sobą słyszę jakieś poruszenie. Gruby zerwał się na nogi, niemal przewracając krzesło. Zsunął na bok wszystkie rzeczy, zwalniając miejsce obok nas, i teraz macha rękami jak rozbitek uwięziony od lat na bezludnej wyspie na widok płynącego w oddali statku. Scena żywcem wyjęta z filmu *Cast Away – poza światem*, tylko Gruby ma pełniejsze kształty i nie jest tak zamożny jak Tom Hanks.

– Hej, tu jest wolne miejsce, chodź, zapraszamy. *Alò, auf Widersehen, paracadò doswidanija...*

Im więcej, tym lepiej. Jak w słowniku z cyklu „Poznajmy się we wszystkich językach świata”.

Dziewczyna zauważa nas i uśmiecha się, potem patrzy na właściciela, pytając o radę, co ma zrobić. Luciano jest z początku dezorientowany, ale w końcu kiwa głową i pokazuje jej drogę do naszego stolika.

Gruby szeroko rozkłada ramiona i wpatruje się w dziewczynę roześmiany. Ona zastanawia się jeszcze przez chwilę, ale w końcu wzrusza ramionami i idzie w naszą stronę. Kilka osób przy sąsiednich stolikach odwraca się za nią. Muszę przyznać, że jest piękna. Goście, widząc, że zmierza do naszego stolika, nie potrafią ukryć zdumienia. Mam ochotę im powiedzieć: „Ludzie, Gruby to Gruby, nie ma sobie równych, wie, jak to

się robi...”.

A on odsuwa krzesło, gestem zaprasza, by usiadła, i podaje jej rękę. Dziewczyna się przedstawia.

– Paulina, Paula.

Spogląda w stronę drzwi, jakby na kogoś czekała, może na swojego chłopaka. Wtedy tego nie wiedziałem, ale czekała na moją przyszłość.

Gruby wita się z nią jak stary znajomy.

– *Ciao.*

Cmoka ją w policzek. Następnie mój kumpel mówi coś, czego nie zrozumiałem, ale ona chyba też nie. Niezrażony kontynuuje swoją bełkotliwą mieszanką włoskiego i angielskiego.

– To *chair* jest dla ciebie. – Prosi kelnera o dodatkową szklanę. – *Acqua?* – Nalewa jej wodę.

– *Sì, grazie. Czekam na moją amica.*

Gruby siada naprzeciwko niej.

– Jestem Gruby, a to *my friend* Niccolò, *Nicco for you.*

Dziewczyna patrzy na mnie.

– *Ciao...* – Podaje mi dłoń. – *Paulina.* – Szybko ją zabiera, wstaje i woła kogoś za mną. – *Hej, Ania, tutaj!*

Dokładnie w tym momencie gasną wszystkie światła, nie rozumiem, co się dzieje. Lokal pogrąża się w ciemnościach, rozglądam się, widzę tylko zarys sylwetek, wyglądają jak zbiór naszkicowanych profili. Przez otwierające się kuchenne drzwi wpada snop światła. Wjeżdża wielki tort udekorowany świeczkami. W restauracji rozbrzmiewa muzyka.

Przy sąsiednim stoliku dziewczyny i chłopaki głośno klaszczą.

– Wszystkiego najlepszego, Simono! Wszystkiego dobrego, kochanie! Najlepszego, Simo!

Wstają z krzeseł, przytulają i całują jubilatkę, która nie wiadomo czemu wybucha płaczem. Tort ze świeczkami sunie w rytm piosenki, oświetlając kolejne stoliki. Z tyłu, za dwoma kelnerami, pojawia się ona. Macha do Pauliny, dając znak, że nie może się przedostać. Jest wysoka, kasztanowe długie włosy opadają na ramiona, zielone oczy i śnieżnobiałe zęby lśnią w blasku świec. Ma piegi, okrągłą buzię, prosty nos i pełne wargi.

– *Ciao.* – Dociera do naszego stolika. Jest jak prezent ukryty za tortem albo reklama piwa, martini, knajpy, wyspy czy nowego samochodu, który musisz natychmiast mieć. Wygląda jak postać z filmu. Tymczasem jest prawdziwa i siada obok mnie.

– *Ciao, jestem Ania, grazie, że zaprosiliście nas do swojego tavolo.*

Kiwam głową nieprzytomny i jestem w stanie wykrztusić z siebie jedynie:

– *Nicco.*

Dziewczyny zaczynają rozmawiać szybko w swoim języku. Jeśli mówiłyby wolniej,



też niewiele bym zrozumiał.

– *Miło z ich strony, że pozwolili nam się przysiąść.*

– *Może na kogoś czekają.*

– *Zobaczmy.*

– *Może nikt nie przyjdzie.*

Gruby jest bardzo uprzejmy i troskliwy. Nalewa wodę drugiej dziewczynie i woła kelnera.

– Przepraszam... Mógłbyś przynieść menu w innym języku? O ile macie.

– W jakim?

– Po polsku.

– Niestety, nie mamy. Może być *in English*? – to pytanie kieruje do naszych nowych znajomych.

– Sì – odpowiada Paulina.

– Zaraz przyniosę. – Kilkanaście sekund później chłopak podaje nam nowe karty dań.

Gruby otwiera jedną i podaje Paulinie, ja wręczam drugą Ani, która przygląda mi się z zaciekawieniem i coś do mnie mówi.

– *Wy już qualcosa mangiare?*

Jej słowa brzmią pięknie, choć niezbyt poprawnie. Teraz żałuję, że w liceum, kiedy była taka możliwość, zamiast uczyć się obcych języków, opierdalałem się, paliłem w łazience i oglądałem komiksy Bata. Przynosił *Dago*, w którym się zaczytywałem, podróżując przez stulecia. Przygody w czasach Republiki Weneckiej, papieża Celestyna V... Przenosiłem się do przeszłości zamiast myśleć o przyszłości. Gdybym choć trochę lepiej znał angielski, już bym się jakoś próbował dogadać, one najwidoczniej nieźle sobie radzą z tym językiem, a i po włosku rozumieją co nieco, dobrze się przygotowały do tej podróży.

– Stary! Pomyśleć, że nie chciałeś tu przyjść!

– Daj spokój.

Patrzę na Anię, palec wskazujący oparła o skroń i z uwagą studiuje kartę dań. Nie odrywając wzroku od menu, drugą ręką szuka czegoś w swojej torbie w kształcie worka. W końcu wyjmuje ołówek, obiema dłońmi zbiera włosy, zwija je z tyłu i wsuwa ołówek między nie. Fryzura trzyma się nieźle, włosy już jej nie przeszkadzają i może skupić się na przeglądaniu karty.

– *Znasz te dania?* – prosi o pomoc przyjaciółkę.

– *Tylko jeśli jest napisane, że to mięso albo ryby... cała reszta jest trudna do rozszyfrowania...*

Gruby przywołuje kelnerkę i zamawia dwa piwa.

– Też się napijecie? Chcecie *birra*, *beer*?

Dziewczyny spoglądają na siebie i zgodnie kiwają głowami.

– Sì, grazie.

– Okay, poprosimy cztery corony.

– Ciągłe mówią *grazie*, to fajne...

– Są dobrze wychowane. – Gruby wzrusza ramionami.

Kelner przyjmuje zamówienie i się oddala.

Gruby mnie obejmuje.

– Stary, dociera do ciebie... Dopiero co pukałeś Kałużę, a jak wszystko dobrze pójdzie, przeleczysz tę tutaj. – Brodą wskazuje na Anię. – Od pucybuta do milionera!

– Przestań!

– Nic nie rozumieją... to cudzoziemki. Skąd *are you*?

– Z Varsavia. – Paulina uśmiecha się do niego, po czym zwraca do przyjaciółki. – *Co zamawiasz?*

– *Nie wiem, poproszę ich o pomoc.*

– *Ale przecież oni nie rozumieją.*

– *Porównają z włoskim menu.*

– *Dobry pomysł.*

Nie wiem, o czym rozmawiają, ale wyglądają na zadowolone. Ania podaje mi kartę dań po włosku.

– *Powiem danie e tu zamawiać, okay?*

– *Sì.* – Zgadzam się, choć nie zrozumiałem dokładnie, o co chodzi.

– *Co to jest?* – Wskazuje na penne all'arrabbiata.

– *Bardzo good, z pomidorami... e...* – Zwracam się do Grubego. – Jak się mówi peperoncino?

– *Peperoncin...*

– *No, zabieramy „o”...*

– *I dodaj „s”...*

– *Nic z tego nie będzie.*

Spoglądam do menu. Jest taki zespół z papryczką w nazwie, jak oni się nazywają? Red Hot... Patrzę na Anię.

– *Nie wiem nome... jak Red Hot...*

– *Red Hot Chili Peppers! To masz in mente?*

Nie. W ten sposób się nie dogadamy. Próbuję pokazać jej na migi, że danie jest pikantne, udaję, że nagle zrobiło mi się słabo, zamykam oczy i gwałtownie poruszam dłonią przy ustach.

– *Czy to jest caldo?*

– Nie... pikantne!

– *Och, okay!* – Wybuchają śmiechem. Gruby i Paulina też się śmieją. Kelner przynosi corony z cytrynką w środku. Gruby podaje butelki dziewczynom, stukamy się we czwórkę i wznosimy toast.

– *For your wakacje in Italia.* Miłego pobytu!

– Tak, i za nas dwóch również.

– Za naszą specjalną jazdę z nimi, też się zabawimy! – Gruby głośno uderza swoją butelką o moją.

– Stary! Przecież one to rozumieją!

– Nic nie rozumieją. Zobacz, jakie zadowolone.

– *A to? Jest buono?* – Ania wskazuje na inne danie.

Spoglądam do włoskiego menu. Lasagne z karczochami. Ożeż, jak ja mam jej to wytłumaczyć? Zabawiam się w kalambury. Robię dłonią ruch, jakbym kroił coś na plasterki, chodzi mi o cienkie plastry kruchego ciasta.

– Prosciutto?

– Nie. – Kręcę głową. – Nie szynka.

Pokazuję w angielskim menu na słowo „karczochoy”, udaję, że siekam je na drobne kawałki, biorę chleb, kruszę go i posypuję nim warzywa.

– *Kanapka!*

Poddaję się.

– Tak, ale nie jest smaczne, *not good...* Lepiej pasta alla gricia, jadłem, super.

– *Gricia? Jak gryczana? To brzmi jak smutne danie... Wy Italiani jesteście zabawni!* Spaghetti, chitarra, pizza, sole... *Chciałabym mieć chłopaka Włocha.*

– *Przestań, mogą cię zrozumieć.*

– Gruby, o czym one rozmawiają?

– Podobamy im się.

– Jasne, według ciebie wszystko zawsze idzie po twojej myśli!

– Wierz mi. – Potakuje z zamkniętymi oczami, jakby zjadł wszystkie rozumy. – Zrozumiałem kilka zdań, parę kluczowych słów i...

– Co? Chyba dziewczyny wreszcie coś uzgodniły!

– *Chcemy pasta alla gricia!* – krzyczą jednocześnie i stukają się widelcami, jak małe dzieci, które chcą papu. Śmieją się głośno i kilka osób spogląda w naszą stronę.

Z sąsiedniego stołu dostajemy cztery kawałki urodzinowego tortu. Odwracamy się. Ruchem dłoni pozdrawia nas brunetka z grzywką, o dużych ciemnych oczach.

– Dziękujemy. Wszystkiego najlepszego!

To ona jest jubilatką. Obok siedzi jej chłopak, trochę przy kości, przerywa jedzenie

tortu i całuje ją, nie wycierając uprzednio ust. Żółty krem dodaje smaku temu buziakowi.

Ania zbiera palcem z brzegu talerzyka odrobinę kremu i wsadza do ust.

– *Mmm, bardzo dobre.* – Spogląda na mnie rozbawiona z palcem w buzi, ale nie ma w tym żadnego podtekstu.

Gruby objaśnia coś Pauli. Naśladuje chyba kangura, podskakuje na krześle, poruszając ramionami, następnie imituje patelnię, na której coś smaży, podrzuca do góry i to coś wpada mu do ust.

Podchodzi kelner.

– Jesteście gotowi? Mogę przyjąć zamówienie?

Gruby zamyka menu.

– Tak. Dwa razy pasta alla gricia, raz saltimbocca alla romana i raz obsmażana cykoria... – Spogląda na mnie. – Co zamawia twoja Ania?

Podzielił nas już na pary. Kiedy wychodzę gdzieś z Grubym i z pozostałymi kolegami i dziewczynami, zawsze jest to rodzaj gry, takie seksualne Ryzyko. Pierwsza część wieczoru to badanie terenu, nieśmiałe kroki, jakiś żarcik, maksymalnie po półgodzinie wszyscy sami dobierają się w pary. Kiedy jestem tylko z Grubym, akcja rozgrywa się znacznie szybciej. Problem pojawia się w przypadku nieparzystej liczby osób, kiedy jeden z nas pozostaje bez pary, ale wtedy nie jest to już gra w Ryzyko, ale ryzyk fizyk.

Ania i Paulina idą przed nami, trzymając się za ręce. Co jakiś czas Ania odłącza się i przystaje przed jakąś witryną. Paula podchodzi do niej, Ania coś jej pokazuje i Paulina potakuje. Via della Scrofa, Isola del Sole, Panteon. Rozglądają się dookoła, w ich oczach blaskiem odbija się historia Rzymu, fasady kamienic i kościoły. Obie są zachwycone i zaciekawione, pokazują sobie nawzajem różne zabytki i mówią coś po polsku. Boję się, że nawet jeśli byśmy je rozumieli, i tak nie potrafilibyśmy odpowiedzieć na ich pytania.

Ale nie doceniłem Grubego.

– Tak, w tysiąc *quattrocento*...

– *Jesteś sicuro?* – Patrzą na niego zdezorientowane.

– Tak, jak włoska *cioccolato*, jest *the best*.

Już się chyba zorientowały, że Gruby to ściemniacz. Kręcą głowami i szukają w przewodniku prawdziwych informacji. W Giolitti kupujemy lody. Podwójne śmietankowe, czekoladowe i zabajone. Gruby zamówił dla wszystkich takie same, istna smakowa dyktatura. Dziewczyny zachłannie jedzą swoje porcje, nie przepuszczą żadnej kropelce.

Cała ręka Grubego umazana jest w rozpuszczonej czekoladzie, mimo to zachwala swój wybór.

– I jak? *What do you* myślisz? Mam rację, że włoska *cioccolato* jest najlepsza *of the world*?

– Sì! Sì! – przytakują dziewczyny.

– Eh, *sì, sì*. Jakże chciałbym być tym lodem!

– Uspokój się, jestem pewny, że nas rozumieją.

– Nawet jeśli, to co w tym złego? To takie słodkie pragnienie.

Zadowolony rozprawia się ze swoim różkiem.

Idziemy dalej *via di Campo Marzio*, mijamy *piazza del Parlamento*, zaułek della Lupa, przed pizzerią Leoncino witamy się z przyjaciółmi Grubego, którzy tam siedzą.

– *Qui si mangia bene la pizza*.

– *Co?* – Naprawdę nic nie rozumieją.

– Tu *pizza* jest *fantastica*.

– *Och... Super*.

– Jeden dzień musimy *provare*.

– Coś niecoś jednak umiesz. – Patrzą na niego zaskoczony.

– Wszystko z piosenek, znam tylko takie zdania.

– Aha.

– Ale robią wrażenie! W pewnych sytuacjach sprawdzają się wyjątkowo dobrze, jako że wszystkie są bardzo romantyczne.

Skrećamy w via Tomacelli, mijamy Ara Pacis, restaurację Gusto, dochodzimy do via Ripetta. Co jakiś czas ktoś próbuje zaczepiać nasze towarzyski, wtedy dziewczyny odwracają się do nas i proszą o pomoc:

– *Gruby, Nicco, please.*

Nie musimy nawet wyciągać rąk z kieszeni. Tak to działa, skoro my je poderwaliśmy, są nasze. Nie ma się o co kłócić, wystarczy cudzoziemek dla wszystkich. Spacerujemy z tymi fantastycznymi dziewczynami. Mam mieszane uczucia. Zawsze myślałem, że tylko dziani faceci w błyszczących ciuchach, rozchełstanych koszulach, siatkowych podkoszulkach, dopasowanych kurtkach, paskach D&G z wielkimi kłamrami, w kapeluszach od Louisa Vuittona lub Gucciego i w butach Fendi mają szansę na randkę z cudzoziemką. Są kolorowi, mają nażelowane włosy, noszą sportowe buty na grubej podeszwie i obcisłe džinsy z obniżonym stanem. Ale dziś wieczorem ten mit został obalony. Nagle dopada mnie wątpliwość: czy te Polki nie traktują nas przypadkiem jak takich właśnie facetów? Ale zanim znajdę odpowiedź na to pytanie, Ania bierze mnie za rękę.

– *Możecie portarci na ten ponte z kłódkami d'amore?*

Nie rozumiem, o czym mówi, ale Ania pokazuje mi kłódkę od roweru przypiętego do słupa i udaje, że rzuca za siebie klucz.

– *Ponte d'amore. W Warszawie tutti o tym mówią!*

Gruby w lot łapie, o co im chodzi.

– *One chcą przypiąć z nami kłódki! Niech żyje Moccia... Dziś wieczorem bzykanko!*

Docieramy do ponte Milvio. Na murze siedzi parę osób. Pełno tu napisów i do połowy opróżnionych butelek piwa. Spacerujemy w blasku latarni. Gruby trzyma Paulinę za rękę, coś jej opowiada, a ona słucha go w skupieniu. Jest niesamowity, plecie banialuki we wszystkich językach świata.

Podchodzi do nas czarnoskóry chłopak, zaraz pojawia się jego kolega w zawadiackim kapeluszu.

– *Haszysz, koka, marihuana?*

Niewiele się różni od sprzedawców na stadionach, którzy oferują „piwo, chipsy, coca-colę”.

Szybko ich spławiamy. Gruby oddała się na chwilę i zaraz wraca.

– *Trzymaj, ta jest dla was.*

Jak udało mu się skombinować kłódki?

– *Kupiłem je od tamtego Marokańczyka. Tylko on nie sprzedaje dragów. Chciał dziesięć euro, ale się wytargowałem. Jesteś mi winien piątaka.*

– W takim razie ile zapłaciłeś?

– Pięć! Nie policzyłem ci za robociznę!

Gruby oddała się z Pauliną. Ania, widząc kłódkę, cieszy się jak mała dziewczynka, podskakuje i chwytą mnie za rękę.

– Andiamo też? – Ruchem głowy wskazuje na murek. Trzecią latarnię oplata łańcuch. Niedawno go tam zawieszono. – *Chciałabym zamknąć kłódkę con te, wydajesz się davvero simpatico, może qualcosa cię spotkało, bo jesteś un po' smutny, ale questo dodaje ci tylko uroku... Rzucamy?*

Nie rozumiem ani w ząb, co powiedziała, ale jeśli miałbym sądzić po jej spojrzeniu, coś miłego.

– Tak. – Ciągłe przytakuję. Podchodzimy do trzeciej latarni, zapinamy kłódkę, odwracamy się tyłem i wrzucamy kluczyk do Tybru.

Ania natychmiast przechyla się przez murek, by śledzić lot klucza.

– *Tam!* – Pokazuje na rzekę. – *Widziałam. Super!* – Wygląda na uradowaną, odwraca się do mnie i całuje mnie w usta. – *Ekstra, jesteś taki dolce.*

Bierze mnie za rękę i idziemy w stronę Grubego, który oczywiście posunął się znacznie dalej. Posadził Paulę na murku, obejmuje ją i namiętnie całuje. Od ponad roku spotyka się z dwiema dziewczynami, dopiero co poderwał osiemnastolatkę z pubu, a teraz całuje cudzoziemkę. Jest absolutnie nieprzewidywalny.

Wreszcie odrywa się od Pauliny.

– To wy! Kłódką założoną? Jesteście już jak dwa gołąbeczki?

– Skądże! Ty natomiast zachowujesz się jak napalony królik!

– Gadanie, nic z tego nie będzie.

– Skąd wiesz?

– Zacząłem majstrować przy jej pasku, ale mnie powstrzymała... A tobie jak poszło? Pocałowałaś ją?

– Tak.

– Jak było?

– Dobrze.

– Brawo, chłopie... Widzisz, jak się postarasz, stać cię na znacznie więcej niż Kałużę. Jestem pewny, że przed chwilą, chociaż nie chcesz mi tego powiedzieć, zdobyłeś małe mistrzostwo... Mam rację? – Staje naprzeciwko i szczypie mnie między nogami, gwizdząc. – Fiuu, fiuu.

– Przestań! – Odsuwam się gwałtownie.

Ania i Paula wybuchają śmiechem. Mija nas Bato z dwiema dziewczynami.

– Nieźle się bawicie, co?

Znam jedną z nich, studiuje na uniwerku, widziałem ją parę razy u Daniele na piazza

Bologna, tam gdzie serwują drinki za dwa euro. Może nawet zna Alessię? Tej drugiej nigdy wcześniej nie widziałem. Jest bardzo ładna. Ma kolczyk w nosie i w prawym uchu, długie kasztanowe włosy opadają jej na ramiona. Granatowo-śliwkowa zwiewna sukienka spowija jej ciało, podkreślając brak stanika.

– Ona zrobiła stół, który mam u siebie w pokoju.

– Naprawdę? Piękny... – Udaję, że wiem, o czym mówi.

Dziewczyna przygląda mi się, ale chyba nie uwierzyła w moje zapewnienia.

– My spadamy, spotkamy się później. – Gruby uwalnia nas z niezręcznej sytuacji.

Cudem udaje nam się znaleźć wolny stolik przed Chioschetto di Ponte Milvio. W barze jest pełno ludzi. Rozglądam się wokół, nie widzę nikogo znajomego, zresztą nie mam powodów do obaw. Niestety.

Gruby, który miałby się czego obawiać, zachowuje się swobodniej niż ja. Zamawia dla dziewczyn drinki.

– Ja biorę rum, a ty?

– Dla mnie corona, jeśli mają.

– Zamówię dla was shoty, okay? Zobaczycie, że wam posmakują. Zgadzacie się?

– Sì!

– Ekstra, ciągle mówią sì i grazie. Gdzie w tym jest podstęp?

– Zawsze jest jakiś podstęp.

– Racja.

Kelner nosi napoje. Gruby spogląda na rachunek.

– Cholera, dwadzieścia cztery euro... Słono sobie tutaj liczą. Będziemy musieli zrobić zrzutkę.

– Jasne. – Nasze zrzutki wyglądają zwykle tak, że Gruby każe mi za wszystko płacić. Przecież pracuję! Sięgam po portfel do tylnej kieszeni dżinsów, ale Ania przytrzymuje moją dłoń.

– *Nie, chciatybyśmy pagare, przynajmniej ora. Zapłaciliście per tutto.* – Odwraca się, by zdjąć torebkę z oparcia krzesła, ale jej tam nie ma. – *To jakiś żart? Gdzie moja torba?* – zwraca się do Pauliny.

– *Nie mam z tym nic wspólnego... Naprawdę myślisz, że zrobiłabym ci taki dowcip?*

– *Wszystko mi ukradli... pieniądze, czeki podróżne, kartę kredytową, paszport, nawet iPhone'a...*

Mówią szybko i są bardzo wzburzone.

– Co się stało?

– Macie *some* problem?

– *Tak!* – Ania dalej mówi po polsku, pokazuje torebkę przyjaciółki, potem puste oparcie krzesła.



– Ukradli ci ją! Cholera, tego tylko brakowało! Zostańcie tutaj. Gruby, chodź ze mną. Złodziej nie może być daleko, pewnie chce kupić trochę zioła, a skończyła mu się kasa od rodziców! Idź w tamtą stronę, okay?

Rozbiegamy się w przeciwnych kierunkach. Rozglądamy się za kimś, kto się dziwnie zachowuje, coś chowa albo, nie daj Boże, wyrzuca torebkę do rzeki. Nikogo takiego nie widzę. Idę dalej, patrząc ludziom pod nogi, może złodziej wziął pieniądze i rzucił torebkę na ziemię. Nic nie ma. Co chwila na kogoś wpadam.

– Przepraszam... Przepraszam...

– Patrz, gdzie idziesz!

– Sorry, przepraszam.

Nagle zderzam się z jakimś człowiekiem, ledwo udaje mi się zachować równowagę.

– Kurwa, jak łąsisz! – Nie wierzę własnym oczom. Ostatnia osoba, którą chciałbym spotkać. – Chyba robisz to specjalnie... – Bierze się pod boki, pręży mięśnie, ma podwinięte rękawy koszuli i widać jego przedramiona pokryte tatuażami. Mięsień czworoboczny jest tak nabrzmiały, jakby pod koszulą miał jakąś ortopedyczną protezę.

– Yyy, nie... sorry, Pepe... – Przez chwilę żaden z nas nic nie mówi. Zaraz się zacznie. Załatwi mnie tak, że nie znajdą mnie nawet w Tybrze. Albo kopnie mnie w jaja tak mocno, że będę śpiewał anielskim głosem w letnim chórze w Ostii. Albo po prostu mnie spoliczkuje, a ja stracę przytomność. Jak moja siostra mogła spotykać się z kimś takim? Ledwie cię dotknie, połamie ci wszystkie kości. Valeria jest dla mnie zagadką. Z kim teraz chodzi? Z poetą. A Pepe jest wkurwiony na Valerię, na poetę i na mnie.

– To nie tak, Pepe, naprawdę cię nie zauważyłem. Szukam torebki.

– Torebki? – Wydaje się bardzo zainteresowany.

– Tak, torebki jednej dziewczyny... – Zaczynam opowiadać mu wszystko po kolei. – Poszliśmy zjeść do Maccheroni.

– Znam to miejsce.

Mówię o spacerze, pomijam wątek kłódek, jest zbyt romantyczny.

– W końcu dotarliśmy tutaj. – Wyjaśniam mu, że Ania miała w torebce wszystkie ważne rzeczy, dokładnie mu ją opisuję. – Jak zwykle my, Włosi, pokażemy się z tej najgorszej strony.

– Dobra, wracaj do stolika i nie ruszajcie się stamtąd.

Odwraca się na pięcie i rusza w przeciwnym kierunku. Widzę, jak sięga po telefon i dzwoni do kogoś.

– Halo, Gianca? To ja.

Więcej nie słyszę. Wracam do baru. Ania i Paulina patrzą na mnie z daleka z nadzieją w oczach. Kiedy podchodzę bliżej, Ania kręci głową, jakby wiedziała, że nic nie znalazłem.

– Nic, sorry.

Z drugiej strony nadchodzi Gruby.

– Nic nie ma, tam jest ciemno jak w dupie. Będziemy musieli wrócić tu jutro za dnia, jeśli zabrali pieniądze i telefon i wyrzucili torebkę w krzaki nad rzeką, to jest szansa, że ją znajdziemy. – Zwraca się do dziewczyn. – Może lepiej *to look for* torebka... jak się mówi torebka?

– Może *packet*?

– No co ty. Jutro musimy wziąć ze sobą słownik.

– W iPhone nie ma?

– Nie wiem, ale tu jest kiepski zasięg i zanim znajdziemy słowo, zapomnimy, do czego było nam potrzebne!

– Lepiej wrócić *tomorrow*, kiedy jest *sole*. O ile nie będzie padać!

– *Dobra*, okay – zmartwione dziewczyny przytakują.

– Co robimy, płacimy? – pyta Gruby.

– Chyba tak, to znaczy ja płacę, prawda?

– Właśnie, miałeś pecha.

– Dlaczego?

– Bo jedyny raz, kiedy chciał zapłacić ktoś inny, ukradziono mu torebkę.

– Co to ma do rzeczy! Wkurza mnie, że jak zwykle wychodzimy na dupków!

– Przepraszam...

Odwracam się i widzę chłopaka o chytrym wyrazie twarzy i wyżełowanych włosach zaczesanych do tyłu, zgodnie z wymogami najnowszych trendów.

– Ty jesteś Nicco?

– Tak, co się stało?

– Nic, spokojnie. Jesteś proszony do kasy.

– Skapowali się, że chciałeś wiać. – Gruby się śmieje.

– Ćśśś.

Idę za chłopakiem.

– Tędy.

Wchodzimy do baru. Na ladzie przy kasie leży torebka. Obok stoi Pepe z polskim paszportem w ręku.

– To ona? Anna... – Pokazuje mi otwarty paszport.

Na zdjęciu ma ciemniejsze włosy, ale ten sam owal twarzy, piegi, oczy... To ona.

– Tak. – Mówię trochę drżącym głosem. Kurwa, jeszcze czego. Odzywam się ponownie, tym razem w moim głosie słyhać pewność. – Tak. To ona.

– Trzymaj! – Rzuca we mnie torebką, trafia w brzuch. – Przynajmniej nie wyjdziemy jak zwykle na dupków.

Przyjmuję cios, ale nie daję po sobie poznać, że zabolęło.

– Dzięki. Co mam zrobić w zamian? Zapłacić?

– Nie.

– Postawić komuś drinka? Nie wiem, kolejkę piwa?

Chłopak z wyżełowanymi włosami patrzy na Pepego z ciekawością i chyba nadzieją. Pepe unosi dłoń.

– Wszystko w porządku. Chciałem, żebyś przyszedł tutaj po torebkę. Możesz powiedzieć, że sam ją znalazłeś, dziewczyna będzie ci wdzięczna.

– Tak... – Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać. – Okay. Na pewno nie chcecie, żebym coś postawił?

– Nie, na pewno.

Odwracam się i kieruję do wyjścia.

– Hej, Nicco...

– Tak? – Przystaję w drzwiach baru.

– Kiedy będziesz ją posuwał, pomyśl o nas.

Pepe i nażelowany chłopak wybuchają śmiechem. Chłopak chyba trochę przesadza, wygląda, jakby miał zaraz umrzeć ze śmiechu, w końcu Pepe daje mu kuksańca w ramię, a jego kompan odlatuje na kilka metrów.

– Aua.

Nic nie mówię i wychodzę.

Przeciskam się przez tłum z torebką w dłoni, za plecami słyszę śmiech i nagle wyobrażam sobie swoją siostrę w łóżku z Pepem. Staram się wyrzucić ten obraz i w końcu mi się udaje. Docieram do naszego stolika.

Ania rozmawia z Pauliną, wygląda na rozbawioną, a nie zmartwioną. Odwraca się i spogląda na mnie. Pokazuję jej torebkę.

– Czy to jest *yours*?

– *O kurczę!* – Zrywa się z krzesła, przewraca je i wskakuje na mnie. – *Niemożliwe!* – Obejmuje mnie w pasie długimi nogami i obsypuje pocałunkami. – *Dzięki! Grazie!*

Jej dzinsowa spódnica podciągnęła się odrobinę do góry, wszyscy patrzą na nas z ciekawością, ktoś klaszcze. Jakiś chłopak mówi coś do swojego kumpla, nie rozumiem co, ale z ruchu warg odczytuję odpowiedź.

– Niezła laska.

Patrę ponad głowami ludzi, w stronę wejścia na most... Chciałbym, żeby teraz pojawiła się tu Alessia, idzie z przyjaciółką, rozmawiają, nagle mnie zauważa, przerywa rozmowę, podbiega do mnie i mówi, że jej przykro, że się pomyliła i żeby ta dziewczyna ze mnie zeszła. Ale Alessii tutaj nie ma. Dziwne, przez cały wieczór ani razu o niej nie pomyślałem, aż do teraz.

Ania schodzi ze mnie i spogląda mi w oczy.

– Grazie. – Obejmuje moją twarz dłońmi i całuje mnie w usta. Znacznie dłużej niż za pierwszym razem i znacznie przyjemniej.

Nasz wieczór wcale się nie kończy. Teraz Ania i Paulina patrzą na nas inaczej. Jesteśmy facetami, którzy robią, co do nich należy, bossami dzielnicy, rządzą na ponte Milvio... Tylko Gruby nie może wyjść ze zdumienia.

– Jak to jest możliwe, przecież Pepe miał ci obić pysk, tymczasem zrobił z ciebie bohatera. Jeśli dziś będziemy się bzykać, jest to w dużej mierze jego zasługa.

– W kółko to samo! Masz jakąś obsesję. Od początku tylko jedno ci w głowie. Nie rozumiem cię, masz dwie dziewczyny, teraz jeszcze tę z pubu, czy nie możesz po prostu fajnie spędzić wieczoru, bez względu na to, jak się zakończy? Co cię tak pcha do zaliczania jednej dziewczyny po drugiej? Pietra pewnie by cię zrozumiał...

– Oczywiście, on wszystko kuma. Natomiast ty niekoniecznie.

– Co to ma znaczyć?

– Nic ponad to, co powiedziałem.

– Czyli co?

– Niekoniecznie ktoś, kto przeczytał stertę książek Junga, Poppera, Kafki, Nietzschego, wie, o co chodzi w życiu. W internecie można znaleźć całą masę fragmentów ich powieści.

– I co z tego?

– To z tego, że wystarczy kliknąć, by uchodzić za odczytanego.

– Poddaję się, nic z tego nie rozumiem, ani Guida Pietry, ani jego filozofii... Twoim zdaniem jego postrzeganie świata różni się od naszego tym, że on wykorzystuje kulturę...

– A co powiedziałem?

Szkoda gadać. Pomyśleć, że Pietra był jedynym, którego Alessia oszczędzała w naszych rozmowach.

– Jest raczej brzydki, ale mówi lepiej niż Totti!

– Kochanie, co to za porównania!

– Wiem, ale Totti jest przynajmniej przystojny!

Dość tych wspomnień. Ania bierze mnie pod ramię, przytula się i szeptem:

– *Pokażecie nam najbardziej romantica miejsca w Roma? Chciałybyśmy odbyć taką romantica wycieczkę!*

Rozumiem, że chcą jeszcze gdzieś pójść.

– Dokąd je zabierzemy?

– Już moja w tym głowa, wsiadaj do samochodu.

Gruby otwiera dach swojego opla tigry i zaprasza dziewczyny na tylne siedzenie. Moszczę się na fotelu pasażera, zapinam pas i odwracam się do nich.

– Zaczynamy wycieczkę!

– Opuszczamy ponte Milvio. Zobaczymy jedno z *most important place* w Rzymie...

– *Jakie?*

– Posąg Madonnina!

– *Hurra!* – wołają zachwycone.

Gruby wciska gaz do dechy i chwilę później mkniemy via della Camilluccia, przez piazza Walter Rossi i via Trionfale, mijamy Villa Stuart i docieramy do restauracji Zodiaco. Wsiadamy z samochodu. Na ogrodzeniu wisi tabliczka informująca, że w tym miejscu znajduje się ścieżka zakochanych, a wokół niej wisi mnóstwo klódek. Kluczyki od nich leżą w pobliskich krzakach, do Tybru, choć można go stąd zobaczyć, jest kilka kilometrów.

Dziewczyny robią zdjęcia.

– Hej, ty, pstrykniesz nam fotkę?

Młody chłopak z Bangladeszu bierze od Ani aparat.

– Tylko nie zwiej, okay? – Nie mam pewności, czy zna włoski.

Chłopak potrząsa aparatem.

– Tym? Fajny... brakuje jakiś gadżet!

Może lepiej, że kiepsko rozumie.

– Zrób jeszcze kilka.

Oddaje nam aparat, daje mu euro, chłopak odchodzi w swoją stronę, a my ruszamy na spacer.

– To jest *strada panoramica*, bardzo *pericolosa*, *dangerous*. Dużo *cars* szybko jeździ...

Gruby przysłuchuje się moim zmaganiom językowym.

– Trochę przekręcasz. – Spogląda na dziewczyny. – On *mangia words*, prawda?

– *Brzmi to bardzo seksownie*. – Obie wybuchają śmiechem.

Ania siada na tyle samochodu, pomaga Pauli usiąść obok siebie, ściskają się za ręce i przytrzymują maski, by nie spaść.

– Uoo! – krzyczą obie owiewane ciepłym wiatrem tego cudownego majowego wieczoru. Przyłączam się do wybuchu ich radości.

– Taaak!

Gruby nie pozostaje w tyle.

– Dzięki, Pepee!

Idziemy w stronę winoteki Dom Champagneria w dzielnicy Monti na via degli Zingari 49. Wchodzimy do środka i siadamy w małej salce. Nie ma nikogo. Natychmiast

podchodzi do nas chuda dziewczyna, wysoka i bardzo elegancka, idealnie pasuje do tego miejsca.

– Czym mogę was poczęstować?

Gruby szturcha mnie łokciem i szeptem:

– Dlaczego chce nas częstować? Tu się nie płaci? To znaczy ty nie płacisz? Ha, dlatego chciałeś tu przyjść.

Nawet nie chce mi się odpowiadać. Zwracam się do kelnerki:

– Czego dobrego moglibyśmy spróbować?

– Polecam różowe wino z winnicy Antinori, właśnie je dostaliśmy, nazywa się Gherardo, a jeśli wolicie coś z bąbelkami, to mamy wyborne Franciacorta Ca' del Bosco.

– A dla nich? – Gruby wskazuje na dziewczyny. – Nie ma czegoś bardziej oryginalnego? To Polki.

– Nasz barman poleca koktajl Teraz Polska.

– Co to jest?

– Wódka z cytryną i sokiem malinowym, w kieliszku wygląda jak polska flaga.

Gruby rozpięta się wygodnie na kanapie.

– Świetnie! Jak masz na imię?

– Chantal.

– Dla nich Teraz Polska, Chantal, a dla nas szampan. Ty wybierz.

Dziewczyna oddała się w stronę kuchni.

Ania i Paulina są zaciekawione.

– Teraz Polska? *Czy to forte? Łatwo się upijam!*

Niepokoi ich zawartość alkoholu w drinku.

– Spokojnie, nie jest mocne!

– Okay... *Jak udało ci się znaleźć borsę?* – pokazują torbę Ani.

– Bez problemu... Popytałem tu i ówdzie.

Nie rozumieją.

– Jak Sherlock Holmes... – Udaję, że trzymam w ręku lupę i szukam czegoś na podłodze.

– *Och, Sherlock Holmes! Był o nim film. Wyglądasz jak jego asystent, sai...* – wskazuje na mnie – *jak Jude Law!*

– Taa, chciałby! – Gruby śmieje się jak wariat.

– *Naprawdę!* – Ania nie ma wątpliwości co do mojego podobieństwa do słynnego aktora. – *Kto to jest Pepe?* – Patrzymy z Grubym na siebie trochę zakłopotani. Ania nie odpuszcza. – *Wcześniej avete gridato „Grazie, Pepee!”.* *Co takiego zrobił?*

Znowu wymieniamy się spojrzeniami.

W tym momencie przychodzi Chantal i ratuje nas z opresji.

Gruby wykazuje się reflekssem.

– Pepe powiedział nam o tym miejscu. O tym *fantastico* drink Teraz Polska!

Wszyscy czworo sięgamy po kieliszki i stukamy się nimi głośno.

– Dzięki, Pepee! – krzyczą jednocześnie Ania i Paulina.

Wybuchamy śmiechem, zamawiamy jeszcze jedną kolejkę i pomału zaczynamy się dogadywać, a przynajmniej wydaje mi się, że między jednym a drugim drinkiem to właśnie zrozumiałem: obie studiują na uniwersytecie, Ania nie ma chłopaka, a Paulina ma.

– Nie jestem *jealous*. – Gruby wzrusza ramionami.

Paulina daje mu kuksańca w ramię. Od dawna marzyły o wycieczce do Włoch, zostaną jeszcze kilka dni, a potem mają zamiar pojechać do Grecji albo na włoskie wyspy.

– *Sycylia albo Sardinia.*

– Sardinia.

– *Och, Sardinia, bardzo bella, widziałam zdjęcia wyspy, cudowna, a costa przepiękna...*

– Tak – mówi Gruby z przejęciem. – Na północy wyspy znajduje się posiadłość Billionaire należąca do Flavia Briatorego i wille Berlusconiego.

– Billionaire jest zamknięta, poza tym co je to obchodzi! Po co opowiadasz im o Briatore i Berlusconim?

– Przecież wiedzą, o kogo chodzi. Prawda? Znacie bunga-bunga?

– Sì!!! *Czytałyśmy w gazetach. Znacie ich? Urządzali niesamowite party...*

– Jasne, czemu nie. Codziennie wieczorem chodzimy z nimi na miasto.

– *Możemy tam pojechać, mieszkają w Milan...* – Spoglądają na siebie i wybuchają śmiechem. Coraz bardziej jestem skłonny podejrzewać, że świetnie mówią po włosku i bawią się naszym kosztem.

Dopijamy drinki. Chantal przynosi rachunek, płacimy i wychodzimy. Spacerujemy wąskimi uliczkami dzielnicy Monti. Tu i ówdzie natrafiamy na słabo oświetlone sklepiki, które lata świetności dawno mają za sobą. Naprzeciwko nas idzie gruba kobieta, czerwona koszulka opina jej olbrzymie piersi, odznaczające się pod spódnicą samonośne pończochy są zbyt obcisłe. W słabym świetle ledwo widać jej zniszczoną twarz, wydatny nos i płowóżółte włosy spięte wysoko dużą kłamrą w kształcie żółwia. Stawia drobne kroki, a stukot obcasów roznosi się echem po okolicy. Wygląda jak relikwiaz zamierzchłych czasów.

– Chodźcie tędy, to miejsce jest ekstra.

Ania bierze mnie pod rękę.

– *Czy to kolejna suggestione Pepe?* – Patrzy na mnie zalotnie i nic już z tego nie rozumiem. Może jestem bardziej pijany od niej, choć nie piłem koktajlu Teraz Polska!



Wchodzimy do Ciuri Ciuri na via Leonina.

– Tu jest jak na Sycylii!

– Sì, Sicilia.

Dziewczyny siadają przy barze, Gruby obejmuje je obie, po czym zwraca się do kelnera:

– Kolego, daj tym paniom do spróbowania wszystkiego po trochu.

– Nie ma sprawy, od różnorodności smaków rozbolą je głowy. – Stawia przed dziewczynami małe talerzyki z pannelle, plackami z mąki z ciecierzycy, sfincione, kawałkami palermitańskiej pizzy i arancini di riso, ryżowymi kulkami w panierce.

Ania i Paulina próbują wszystkich potraw.

– To jest *insalata*... słona. Potem będzie *dolce*.

Chłopak jest bardzo sympatyczny. Na plakietce przyklepionej do czarnego fartucha widnieje jego imię: Giuseppe. Ania i Paulina zamawiają również coś słodkiego: sycylijskie ciasto cassata i rurki z kremem cannolo.

– Wolicie cannolo palermitańskie czy katańskie?

– Jaka jest różnica?

– Cannolo z Katanii jest z cynamonem, a z Palermo z czekoladą. Walczą o prymat, które lepsze. Jak dla mnie wszystkie są tak samo smaczne, również te robione w Messynie i Trapani.

– W takim razie daj im jedno i drugie!

Jaki to problem dla Grubego? Przecież ja płacę. Dyskretnie otwieram portfel, na szczęście mam kartę do bankomatu i kartę kredytową, choć ta ostatnia jest służbowa. Ale Ania i Paula mogłyby być moimi klientkami, prawda? Próbujemy jeszcze migdałowej i pistacjowej granity i wychodzimy.

– *Mmm... pycha! Niesamowite. Nigdy nie jadłam takich dobrych rzeczy. Już przytyłam ze dwa kilo!*

Docieramy spacerkiem do drewnianego mostka przed Koloseum. Jest pięknie oświetlony. Dziewczyny rozmawiają. Paula otwiera przewodnik i wertuje kartki. Ania patrzy na rysunek i wskazuje na coś u stóp Koloseum.

– *Racja. To są chyba te rzymskie ruiny, fantastyczne...*

– *Tak – mówi Paulina. – Najlepsze, że wtedy nie było nas nawet na świecie!*

Gruby, choć nie zrozumiał ani słowa, wtrąca się do rozmowy.

– Jak w *Gladiatorze*! Widziałyście film? Jak podobał wam się Russell Crowe? On ma zespół i gra na *batteria*... – Patrzy na mnie. – Chyba tak się mówi na perkusję? – Naśladuje odgłosy perkusji, uderzając wyimaginowanymi pałeczkami niczym Bonzo z Led Zeppelin.

Ania i Paulina podrygują do rytmu. Robimy sobie wspólne zdjęcie na tle Koloseum i ruszamy w stronę samochodu. Robi się chłodno, więc Gruby rozkłada dach.

Zaproponował, by usiąść w innej konfiguracji, bo, jak to ujął, łatwiej będzie rozgrzać dziewczyny.

Siedzę na tylnym siedzeniu koło Ani. Wygląda przez okno z zaciekawieniem, podziwia Rzym nocą. Jak w kalejdoskopie przesuwają się kolejne obrazy: oświetlone knajpy, rozmawiający ludzie, grupki młodzieży oparte o samochody lub siedzące wokół fontann.

– *Jutro możemy przejechać się na tym, będzie fajnie!* – mówi Ania do Pauliny, która przytakuje w odpowiedzi.

– Chyba chcą przejechać się na karuzeli, widziałem, jak na nią pokazywała.

– Brawo, stary, co za spostrzegawczość, ale jutro ty robisz za sponsora.

– Okay. – Zwraca się do Pauliny. – Pewnie, jutro zrobimy *all together!*

Bierze ją za rękę. Paulina patrzy na niego czule, przysuwa się i przytula do jego ramienia. Ania nadal wygląda przez okno, jakby chciała trzymać mnie na dystans. Obie dłonie oparła na udach. Wyciągam rękę, by jej dotknąć, i dokładnie w tym momencie Ania zmienia pozycję. Gwałtownie cofam dłoń i wstrzymuję oddech. Po chwili ponawiam próbę, tym razem nasze palce się dotykają. Ania podskakuje zaskoczona, ale zaraz bierze mnie za rękę. Nadal obserwuje rzymskie ulice, jakby nic się nie wydarzyło. Jednak ja czuję, że odniosłem małe zwycięstwo, może to głupie, ale tak to postrzegam. Nie muszę dodawać, że Gruby i Paula ciągle się całują, on kontroluje drogę kątem oka i jakoś udaje nam się nie wylądować w Tybrze.

Parkujemy samochód na via del Tritone. Gruby z Pauliną idą przed nami, mój przyjaciel namawia dziewczynę na kontynuowanie wieczoru u niej w pokoju. Usłyszałem tylko „w twoim pokoju” i „Chcę tylko rozmawiać z tobą przez całą noc” i potem jej zdecydowaną odpowiedź: „*Nie ma takiej opcji*”.

Ania bierze mnie pod rękę i opiera się na moim ramieniu. Gruby i Paulina idą w stronę hotelu, my kierujemy się do fontanny di Trevi. Plac jest pusty, spotykamy jedynie Marokańczyka, który usiłuje nakłonić nas do kupienia kwiatka, ale kręcę głową i w końcu daje nam spokój. Zaraz jednak zmieniam zdanie. Doganiam go, daję dwa euro i biorę jedną różę. Odchodzi bez słowa, nawet nie dziękuje.

Ania stoi na środku placu. Wręczam jej kwiat.

– *For you. Róża dla róży.*

Zanurza w nią nos i mocno wciąga powietrze. Mam nadzieję, że płatki nie opadną. Uff, utrzymały się.

Ania zaczyna coś mówić, znacznie szybciej, niż robiła to dotychczas.

– *Cieszę się, że tu jestem. Wiesz, że dziś wieczorem miało nas nie być w Maccheroni? Zarezerwowałyśmy inną knajpę, ale przyszłyśmy za późno i nasz stolik przepadł. Widzisz, jak działa przeznaczenie... mogliśmy się w ogóle nie spotkać.*

Sądząc po wyrazie jej twarzy, powiedziała mi coś niezwykłego, a ja nie wiem, co jej odpowiedzieć. Stawiam na spontaniczność i mówię, co czuję:

– Niedawno rozstałem się z dziewczyną, z którą byłem przez rok. Nadal o niej myślę. Jesteś śliczna, zawsze chciałem mieć dziewczynę cudzoziemkę. Widziałem, jak przytrafia się to innym, dużo mniej ciekawym osobom ode mnie... No cóż... Nie jest to miłosne wyznanie rodem z filmów, ale... – Spoglądam w niebo. – Księżyc jest wysoko, a niebo pełne gwiazd. Wygląda na to, że jedna z nich zeszła na ziemię, by mnie odnaleźć.

– *Chcesz mnie pocałować? To właśnie powiedziałaś? Czy czegoś nie zrozumiałam? Jesteś taki zabawny i słodki. Lubię cię.*

Nie jestem pewien, czy to odpowiedź na moje słowa, ale przysuwam się do niej. Ania zamyka oczy i zaczynamy się całować. Z początku nieśmiało i lękliwie, po chwili nieco odważniej i w końcu namiętnie. Pocałunek wiele przed nami odkrywa. Nie mówię, że całowałem się z tabunem dziewczyn, zresztą nigdy ich nie liczyłem, ale wiem, że pierwszy pocałunek z każdą z nich ujawnił przede mną coś, co potem się sprawdzało.

Na przykład Kałuża niezamierzenie opowiedziała mi trochę o sobie swoim pierwszym pocałunkiem. Tylko że ja jej nie wysłuchałem. Powinienem był zrozumieć od razu, że nic z tego nie wyjdzie. Nasze pocałunki były gwałtowne, niezdecydowane, urywane, a gdy napierała na mnie mocniej, stukaliśmy się zębami. Śmiać mi się chce na to wspomnienie, ale się powstrzymuję i już nie myślę o niczym innym, skupiam się na Ani. Podoba mi się nasz pocałunek, nie ma końca, nie jest nudny, nie ma się go dość. Zatracam się, nie mam wątpliwości, że się rozumiemy. To pocałunek we wszystkich językach świata.

– Gdzie byłeś? – Gruby stoi przy samochodzie i pali papierosa. – Zaczynałem się martwić. – Wyrzucił niedopałek, a ja wsiadam do auta. – Zaprosiła cię do siebie? Próbowałem namówić Paulinę na dalszy ciąg w pokoju, ale nic nie wskórałem.

– Byliśmy przy fontannie di Trevi.

– Wrzuciłeś pieniądze?

– Tak.

– Pomyślałeś życzenie?

– Tak. Chodź, jedziemy, bo już świta.

Ruszamy. Ulice są puste. Jedziemy via del Tritone, przez piazza Barberini i potem via Veneto.

– Powąchaj... – Podsuwa mi dłoń pod nos. – Niezły zapach? Prawdziwe perfumy!

– Przestań! – Odsuwam jego rękę.

– Co, brzydzisz się? Gdybyś słyszał, jak jęczała, jest gorąca jak czekolada z bitą śmietaną! No i te cycki! Jędrne, wielkie, przysięgam, ledwo mieszczą się w dłoni.

Jego opowieść brzmi jak streszczenie pornosa. Włącza muzykę. Odpreżam się. Gruby co chwila na mnie zerka.

– Jak się czujesz? Chyba lepiej, prawda?

Potakuję, jestem zbyt zmęczony, by się odezwać.

– Gdyby każdy dzień był taki jak dzisiaj... Najpierw posunąłeś Kałużę, a teraz masz tę wspaniałą Polkę, w sam raz na *love story*. Czego chcieć więcej od życia!

Zamykam oczy. Gruby nastawia swoją ulubioną stację 102.70. Śpiewa Ligabue *Questa è la mia vita*. Gruby prowadzi, a ja błędzę. Na szczęście tylko w myślach. Oddycham głęboko. Tak, to jest moje życie. Czego pragnę więcej? Pragnę Alessii. Chciałbym, żeby mnie kochała albo przynajmniej wyjaśniła, z jakiego powodu zrobiło jej się przykro. Życie jest nieprzewidywalne. Oto trwasz z kimś w pełnej harmonii, spotykacie się wzrokiem w miejscu pełnym ludzi, na imprezie, w knajpie czy na ulicy, i to jedno spojrzenie wystarczy, by zrozumieć się w lot. Jak wtedy. Obserwuję ją rozmawiającą z przyjaciółkami, odrzuca włosy do tyłu, zaczesuje je palcami za uszy, odsłaniając profil, patrzę na jej poruszające się usta. Siedzi na brzegu bordowej kanapy, jesteśmy na urodzinach jej koleżanki Stefanii. Dawno się nie widziały i mają mnóstwo spraw do omówienia. Chodzę między stolikami, oglądam obrazy na ścianach, jem tartinki, pijam czymkolwiek i generalnie się nudzę. Niedawno odszedł tata i nic dla mnie nie ma sensu.

– Cześć, Nicco. Słyszałam o twoim tacie, bardzo mi przykro.

– Dzięki.

Dziewczyna obraca w palcach do połowy napełniony kieliszek. Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi. Dziwnie wydyma usta, unosi podbródek i opróżnia kieliszek do dna, odstawia go na półkę biblioteczki, zasłaniając nim fotografię jakiegoś starszego mężczyzny. Spogląda na mnie po raz ostatni, uśmiecha się nieznacznie i odchodzi. Francesca Ferrante, tak się nazywa. Czasami przypominamy sobie różne szczegóły po fakcie, kiedy do niczego nie są nam potrzebne. Odwracam się i napotykam wzrok Alessii. Nigdy się tak intensywnie we mnie nie wpatrywała, przesywa mnie na wskroś. Pod jej spojrzeniem czuję się nagi, jakby była dużo dojrzała ode mnie, dużo starsza. Może dlatego jej nie pasuję, że jest kobietą dojrzałą ode mnie. W końcu uśmiecha się i wraca do rozmowy z koleżanką.

– Muszę ją przelecieć. Nie pozwolę, by tak po prostu opuściła Włochy.

Gruby wdziera się w moje rozmyślania i przywraca mnie do rzeczywistości. Hamuje gwałtownie, jesteśmy pod moim domem.

– Na szczęście mamy cały tydzień. Radzę pospieszyć ci się z Anią, inaczej jej też zatknę swoją flagę, choć jak dla mnie jest trochę za chuda.

Zabawny jest, to zatykanie flagi... Jakby jego życie seksualne polegało na rywalizacji z Reinholdem Messnerem. Niemniej jednak przesadza, uznając Anię za zbyt chudą. Moim zdaniem ona ma idealną figurę. Wysiadam.

– Cześć, do jutra.

– Wszystko już zaplanowane. Idziemy z nimi na kolację! Jutro ja płacę, obiecuję.

– Czemu nie. Już się nie mogę doczekać.

Zatrząskuję za sobą drzwiczki. Gruby rusza z piskiem opon i dwukrotnie wciska klakson, w nosie mając, że jest piąta rano i że ludzie o tej porze śpią, zwłaszcza w sobotę. Znika za zakrętem.

Idę w stronę domu, mając nadzieję, że nie ma tam Fabioli, jej męża Vittoria i byłego chłopaka Claudia, poety, Valerii, a zwłaszcza Pepego. W sumie Pepe, po którym spodziewałem się największych kłopotów, dzisiaj bardzo mi pomógł.

Wchodzę po schodach, zatrzymuję się przy parapecie, na którym stoi wyszczerbiona gliniana doniczka z czerwonym geranium. Wygląda na to, że ktoś je podlewa. Przez uchylone okno wpada rześki poranny wiatr, w oddali, między kamienicami San Lorenzo wschodzi słońce. Pokonuję ostatnie stopnie i otwieram drzwi mieszkania. Wchodzę, zamykam je cicho za sobą, dwukrotnie przekręcam klucz w zamku i na palcach idę korytarzem. W panującej wokół ciszy słyszę oddech śpiącej mamy i siostry. Wyobrażam je sobie, jak leżą w łóżkach, spokojne, spowite błogim snem. Ale to niemożliwe. Na razie nie. Jakbyśmy wszyscy razem układali od dawna puzzle. Albo z małych drewnianych prostokątów budowali wieżę, jak w tej grze, w którą teraz bawię się z Franceskiem. Przystaję przed gabinetem taty, czarny skórzany fotel stoi nieruchomo naprzeciwko stołu. Opieram się o framugę i wyobrażam sobie, że tata tu jest. Pisze coś na komputerze, w pewnej chwili przerywa i odwraca się do mnie.

– Wróciłeś, siadaj, już prawie skończyłem. – W jego głosie słychać satysfakcję.

Wskazuje czarną kanapę na prawo od stolika, pod biblioteczką. Siadam i czekam, aż skończy pracę i wyśle to opowiadanie, rysunek czy dowcip, które tworzy dla rozmaitych czasopism. Brakuje tego jednego kawałka układanki, która już nigdy nie będzie kompletna. Mam ochotę głośno tupać, jak często robi Francesco, kiedy nie może dopasować brakującego klocka albo otworzyć jakiejś aplikacji na iPadzie Valerii. Uderza wtedy rytmicznie palcem w ekran i patrzy na mnie, jakby mówił, że w końcu da radę. Nie wyręczam go, tylko się uśmiecham. Uparty jest. Czy też taki byłem w wieku trzech lat? Jak patrzył na mnie mój tata? Tęsknię za jego ciepłymi dłońmi, którymi gładził mnie po policzkach. Wtedy mnie to irytowało, dziś przytrzymałbym jego ręce, zamknął oczy i zrobił wszystko, by nie pozwolić mu odejść.

Słońce stoi wysoko na niebie. Hotelowy portier, Roberto, powiedział, że jeszcze nie wyszła, więc czekam. Siedzę przy małym stoliku w barze naprzeciwko i piję kawę. Obserwuję przechodniów. Na przylegającej do hotelu małej via Rasella jest pełno cudzoziemców: Chińczyków, Francuzów, Niemców, Hiszpanów. Słucham, jak rozmawiają w swoich językach, sprawiają wrażenie odprężonych, może dlatego, że są na wakacjach. Jest piękna sobota, a najlepsze ciągle przed nimi. Na wakacjach nie mamy żadnych obowiązków, problemy zostawiamy we własnym kraju. Nowe miejsca nie chcą gościć naszych kłopotów i lęków.

Grupka Chińczyków skupia się wokół kobiety, która wygląda bardzo poważnie. Trzyma nad głową czerwoną flagę i coś opowiada. Niektórzy się śmieją, może ich przewodniczka jest dowcipna, a może to Rzym wprawia ich w dobry nastrój. Kawalek dalej trzymająca się za rękę para z Ameryki Południowej przystaje przed sklepem, ona coś pokazuje, on kiwa głową, całują się delikatnie. Podoba im się to, co zobaczyli na wystawie, ale niczego nie kupują, może ich też dopadł kryzys, odchodzą, nadal trzymając się za rękę. Tylko miłość jest odporna na kryzys. Ale czy ja powinienem się wypowiadać na ten temat?

Alessia do mnie nie zadzwoniła. Spoglądam na telefon, nic. Żadnej wiadomości, emotikonu, żadnego połączenia od numeru prywatnego, którego nie mógłbym zidentyfikować. Gdyby na ekranie pojawiła się informacja o takim połączeniu, miałbym nadzieję, że zastrzegając numer, chciała sprawdzić, czy odbiorę, chciała usłyszeć mój głos, jak w próżnię mówię „Halo? halo?”. Może zanim odłożyłbym słuchawkę, spytałbym jeszcze, czy to ona, czy to Alessia. Pewnie i tak by się rozłączyła, ale jedno wiedziałaby na pewno: że w moim życiu nie pojawił się nikt inny, jest tylko ona. Myślę zresztą, że o tym wie. Na tyle dobrze, że nie da mi tej satysfakcji i nie zadzwoni, nie ujawniając numeru. Odkładam telefon na blat stolika i postanawiam więcej o tym nie myśleć. Podnoszę wzrok i widzę wychodzącą z hotelu Anię. Jej ciemnobrązowe włosy lśnią w blasku słońca, chyba umyła je rano, są lekkie i falujące. Rozgląda się wokół niezdecydowana, w którą stronę ruszyć. Ubrana jest w koszulkę w paski we wszystkich kolorach tęczy – kojarzy mi się z moimi ulubionymi wielosmakowymi lodami, od truskawki do mięty, które bez względu na to, w jakiej występują kolejności, zawsze pozostawiają po sobie świeży smak. Ania ma na sobie cienkie błękitne spodnie, dopasowane w talii i podkreślające jej kształty, zwłaszcza fantastyczną pupę, i granatowe espadryle. Zamiast opaski, założyła duże szylkretowe okulary przeciwsłoneczne. Wygląda wspaniale, ma piękne zielone oczy, delikatne piegi, zero makijażu. Torbę w śmietankowym kolorze przewiesiła przez ramię, w dłoni trzyma przewodnik, rozgląda się dookoła, aż w końcu mnie zauważa.

Macham do niej. Chowa przewodnik do torby i szybkim krokiem zmierza w moją stronę.

– Ciao.

Mam taki odruch, by się odwrócić. Nie wierzę, że mówi do mnie, wydaje mi się, że to jakiś żart, że za moimi plecami siedzi ktoś inny.

– *Ciao, Ania! Masz ochotę na colazione? Mają buonissimi cornetti.*

– *Kolacja?!*

– No, śniadanie, zobacz. – Biorę ją za rękę, prowadzę do środka i pokazuję rogaliki.

– *Ach, croissanty, często jem je rano do kawy.*

– Super, masz ochotę?

Kiwa głową na znak, że chce. Wracamy na zewnątrz i siadamy w słońcu.

– Gdzie Paulina?

– *Ona wstaje presto, jest bardzo attiva, biega...* – Widzi, że prawie nic nie zrozumiałem. Siedząc, markuje bieg.

– *Aa, sport!*

– *Tak... sport.*

Śmieje się, chyba bawią ją moje nieśmiałe próby mówienia po polsku. Przynoszą nam zamówione rogaliki i cappuccino. Ania sięga po paragon, który kelner położył na stoliku pod talerzykiem, ale ubiegam ją.

– Nie! Jesteś w *moja città*, kiedy przyjadę do *Varsavia*, ty będziesz płacić!

– Okay! – Wzrusza ramionami. Wie, że tak się nigdy nie stanie. Kelner bierze ode mnie dziesięć euro i szybko wydaje resztę.

– Nauczę cię, jak *Italiani* jedzą śniadanie. Weź croissant, zamocz go w cappuccino, ale tylko dwa lub trzy razy, *delicatamente*. – Trzymam rogalik za końcówkę i zanurzam go w kawie, najpierw dwoma szybkimi ruchami, potem jeszcze raz, na trochę dłużej, po czym wkładam go do ust, uważając, by się nie zabrudzić. – Mmm! Niebo w gębie! *Perfetto*, ciasto croissant jest bardzo miękkie. – Trzymam rogalik w rękę, rozdzielam go na pół, odrywam kolejne warstwy ciasta, pokazując jej, jakie jest delikatne, lekkie, jasne, nie za słodkie, w sam raz. – Mmm. – Prowadzę jej dłoń, w której trzyma croissant. – *Uno, due... e tre...* – Ania zjada końcówkę rogalika umazaną w piance z cappuccino.

Jest tak nasączony, że strużka kawy wypływa jej z ust i skapuje po brodzie. Szybko sięgam po serwetkę i osuszam wilgotne miejsce. Ania również bierze serwetkę i wyciera buzię.

– *Pycha, delizioso.*

– *Sì, jak twój bacio...* Tak samo *fantastico* smakuje.

Chyba zrozumiała, co mówię, i spodobały jej się moje słowa. Przysuwa się do mnie i całuje mnie bardzo czule. Jej wargi są miękkie i ciepłe, mają słodki posmak cappuccino i rogalika. Odsuwa się, patrzy na mnie swoimi pięknymi oczami i bierze głęboki oddech.

– *Kochany chłopak z ciebie. Przepraszam za to, co Paulina powiedziała o twojej byłej*



*dziewczynnie. Uważam, że postąpiła źle i nawet jeśli myśli, że znajdzie kogoś lepszego od ciebie, myli się. Jesteś taki miły, a dzień taki śliczny, pełen słońca.* – Rozgląda się wokół. – *I tu jest tak pięknie... Nie powinnam ci tego mówić, ale chyba się w tobie zakochałam...* – Po czym znowu namiętnie mnie całuje. W końcu Ania przygryza moją dolną wargę, zaczyna bawić się językiem, przesuwając go, jakby chciała zmienić jego położenie. Pocałunek jest jak przepustka, jak lustrzanka w aparacie fotograficznym, jak odlew z gliny. Uwiecznia każdy szczegół, smak i charakter osoby, która cię całuje. Na zawsze zostanie ze mną ten wyjątkowy, niepowtarzalny moment, ta chwila szczęścia.

Nagle odnoszę dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Gruby? Ktoś inny? Odsuwam się od Ani. Przed nami stoi młody chłopak z Bangladeszu. Wpatruje się w nas, stąd moje odczucie. Odślania wielkie zęby w szerokim uśmiechu, wygląda jak Królik Bugs, z za siebie wyciąga bukiet.

– Róża, chcesz różę? Ona jest szczęśliwa z różą.

– Dziękuję, ale nie skorzystamy. Jemy śniadanie i nie chcemy, by nam przeszkadzano.

– Taa, śniadanie... – Patrzy na mnie dwuznacznie. – Może chcesz zapalniczkę?

– Nie, dziękuję.

– DVD? Trawkę?

– Niczego nie potrzebujemy.

– Na pewno? – Kładzie kwiaty na stole i spod podkoszulka wyciąga polaroid. – No to zdjęcie, no weź, zrobię wam zdjęcie, obejmijcie się jak wtedy, kiedy jedliście śniadanie...

Patrzę na Anię, która wzrusza ramionami, jakby mówiła, że nie ma nic przeciwko temu.

– Okay. Ile będzie mnie kosztować to zdjęcie?

– Dziesięć euro.

– Za dziesięć euro mogę mieć cały polaroid! Pomyliłeś adres, kolego, nie jestem turystą. Idź łowić ryby tam, gdzie nie ma rekinów.

Ania marszczy nos, usiłuje zrozumieć, o czym rozmawiamy, ale to dla niej zbyt trudne.

– Siedem euro.

– Dam ci trzy, zrobisz zdjęcie i spadasz, w przeciwnym razie skopię ci tyłek.

– Cztery, w przeciwnym razie doniosę na ciebie na międzynarodową niebieską linię.

– Jest coś takiego?

– Nie.

Wybucham śmiechem.

– Dobra, rób to zdjęcie.

Obejmuję Anię, przytulamy się policzkami.

Chłopak mówi *cheese*, uśmiechamy się posłusznie. Polaroid wydaje z siebie dziwny dźwięk, charczy i choć to przestarzały model, w końcu wypluwa z siebie fotografię. Chłopak trzyma ją przez chwilę na wietrze, widzę, jak pojawia się zarys naszych twarzy. Sięgam do kieszeni spodni po portfel, wydaję z niego pięć euro i podaję chłopakowi, on w tym czasie wręcza zdjęcie Ani.

– Jesteśmy kwita? – rzuca, puszczając do mnie oko.

– Nawet nie próbuj, umówiliśmy się na cztery euro.

– A tak, cztery... – Zaczyna szukać reszty, Ania pokazuje mi zdjęcie.

– Ti piace? *Fajnie* insieme *wyglądamy*. – Patrzy to na mnie, to na chłopaka, w końcu wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, bym już go odprawił.

– Dobra, spadaj... To ja powinienem zadzwonić na międzynarodową niebieską linię i złożyć na ciebie doniesienie.

Przemierzamy spacerkiem całą *via del Tritone*, docieramy do *Galleria Sordi* i robimy rundę po sklepach. Wchodzimy do *Zary*. Ania szpera między wieszakami, jest szybka i zdecydowana. W końcu wybiera kilka spódnic, jedną sukienkę i znika w przymierzalni. Siedzę w fotelu, rozglądam się wokół i muszę przyznać, że ten sklep jest naprawdę ładny. Metalowe rury, wielkie okna, półki z surowego drewna, fotele i kanapy z ciemnej podniszczonej skóry.

Ania wychodzi z przymierzalni i robi dla mnie pokaz w rytm muzyki *One Direction*, chyba leci *What Makes You Beautiful*. Jest na bosaka, idzie szybkim krokiem, trochę podskakuje, w tej niebieskiej sukience wygląda bosko.

– Wow!

Na płaskich ekranach zawieszonych w sklepie leci teledysk do piosenki. Pięciu chłopaków spaceruje po plaży, wygłupiają się, potem dołączają do nich trzy dziewczyny i robi się intrygująco. Nie muszę dodawać, że dziewczyny są bardzo ładne.

– *Cosa myślisz, jestem bella?* – Ania patrzy na mnie wyczekująco.

Gdyby to ona zagrała w teledysku *One Direction*, zwariowałiby na jej punkcie.

– Jesteś *perfetta*.

Po chwili znowu wyłania się z przymierzalni, prezentując na sobie co rusz nowe ubrania: błękitną koszulkę, białą bluzkę na guziczki, granatową marynarkę, jasnoniebieską sukienkę. Siedzę na kanapie, patrzę na nią i czuję się jak *Richard Gere* w *Pretty Woman*, w scenie, w której *Julia Roberts* przymierza mnóstwo fantastycznych strojów. Nie dzielę się z Anią tym porównaniem z dwóch względów: po pierwsze bądź co bądź jest to film o prostytutce i mogłaby uznać moje skojarzenie za mało zabawne, a po drugie w filmie za wszystko płaci *Richard Gere*, co z kolei mogłoby się okazać mało zabawne dla mnie.

Teraz śpiewa *Carly Rae Jepsen*, a na ekranach leci teledysk. Widzieliście go? Na początku gość kosi trawę, a zbudowany jest tak, że niejeden tenisista albo piłkarz by się nie powstydział. Jak to możliwe, zastanawiam się, że u nas koszą trawę sami faceci z

brzuskiem? Nasze kosiarki są wolniejsze? Potem pojawia się dziewczyna, która myje samochód, jest cała w pianie i pręży się na masce, wygląda jak z pornosa. Nasze dziewczyny nie myją w ten sposób samochodów, w ogóle tego nie robią, jeżdżą do wypasionych myjni, gdzie ogromne obrotowe szczotki wykonują za nie całą robotę, choć mam wrażenie, że prędzej porysują karoserię, niż ją wyczyszczą. Kolejne wideo, ta sama piosenka, ale zaśpiewana przez Justina Biebera, Selenę Gomez, Ashley Tisdale i innych. Tańczą, śpiewają i wygłupiają się jak zwykle dzieciaki naśladowujące występy przed kamerą zainstalowaną w swoim komputerze. Kiedyś z Grubym zrobiliśmy coś podobnego z okazji urodzin Bata. Nagraliśmy wariacką wersję jego ulubionej piosenki *Can't Nobody Hold Me Down* Puffa Daddy'ego i bardzo się wszystkim spodobała. Ale my to my! Jednak kiedy patrzę na tę grupę młodych miliarderów, którzy zachowują się tak luzacko, no cóż, robi to na mnie wrażenie. Może pieniądz nie przekreśla faktu, że jest się nastolatkiem. Niestety na to pytanie nie znam odpowiedzi.

Ania stoi przy kasie, wybrała kilka ubrań z tych, które przymierzyła. Idziemy via del Corso w stronę piazza del Popolo. Wyjmuje z torby przewodnik, wchodzimy do kościoła San Marcello, a potem do Gesù e Maria. Są przepiękne. Nigdy wcześniej w nich nie byłem. Mieszkam w Rzymie od urodzenia i nie mogę powiedzieć, bym dużo tu widział! Kiedy oglądasz własne miasto z turystą, zauważasz mnóstwo drobiazgów. On wyczytuje różne ciekawe rzeczy w przewodniku, a ty dostrzegasz miejsca, które wcześniej ci umknęły. Docieramy do Panteonu. Coś podobnego! W sklepieniu jest wielki otwór. Widać płynące na niebie chmury i słońce, które wpada pod kątem do środka, oświetlając grobowiec Boskiego Juliusza, taki podpis widnieje pod spodem. Czuję się jak w filmie o Indianie Jonesie. Pytam Anię, czy jest jakieś uzasadnienie tego „boskiego”.

– Pokaż... – Wertuje kartki przewodnika, w końcu znajduje to, czego szuka, i wskazuje na oświetloną statuetkę... Nie ma uzasadnienia, to przypadek. Wychodzimy z Panteonu i idziemy na granitę do Tazza d'Oro po prawej stronie placu. Podchodzi do nas barmanka, kładę na ladzie paragon.

– Tak?

– Poprosimy dwie granity z podwójną śmietaną.

– To znaczy jak?

– Na spodzie i na górze.

Jak może tego nie wiedzieć? Niektóre kelnerki bywają zdumiewające. Na szczęście zjawia się właściciel, odsuwa ją uprzejmie i zabiera się za realizację zamówień. Bierze kilka plastikowych kubeczków i wyciska na dno bitą śmietaną, następnie otwiera pojemniczek z aluminiową klapką, w którym znajduje się kawowa granita, napełnia nią kubeczki do połowy, po czym całość przykrywa kolejną warstwą bitej śmietany.

– Gotowe, jedna, druga, trzecia... – Podaje nam granity, zabiera paragony, przedziera je i oddaje z powrotem. Wychodzimy. Ania je deser i widać, że jej smakuje, ale źle się do tego zabrała.

– Nie tak... musisz to *mix* z kawą. – Pokazuję, jak powinno się to jeść. Sięgam

łyżeczką prawie na samo dno kubeczka, nabieram trochę kawy, potem bitą śmietaną i całość wkładam Ani do ust. Śmietana, którą robią w Tazza d'Oro, ma lekko słodki smak, a kawa jest odrobinę gorzka, razem tworzą wyborną mieszankę. Idziemy teraz via del Seminario, po lewej stronie jest Dakota, sklep z przeróżnymi towarami w niskich cenach. Sprzedają niemal wszystko: od swetrów po skarpetki, od sportowych butów po skórzane kurtki, od kolorowych koszul w kwiatki po nowoczesne łyżwy, a każda rzecz za kilka euro. Ale to jeszcze nie koniec, są tu również szafy, stare maszyny do pisania, dziewiętnastowieczne stoliki, niekoniecznie autentyczne.

Ania oblizuje łyżeczkę z bitej śmietany. Prawie skończyła swoją granitę, bardzo jej smakowała. A tym miejscem jest zachwycona. Ogląda kolejne przedmioty, otwiera szuflady, szafy, bierze do ręki stare fotografie, wciska pedał wiekowej maszyny do szycia. Wertuje przewodnik.

– *Nie ma o tym ani słowa! To posto jest cool, pokazuje inną storia di Roma. Ci pisarze, którzy tu mieszkali! I jak tanio!*

Wychodzimy.

– Musimy tu przyjść, do tej *ristorante*... – wskazuję na Sacrestię. – Bardzo dobra, pizza jest *fantastic like you!*

Całuje mnie i bierze za rękę. Wyglądamy jak dwoje spacerujących po Rzymie turystów. Zerkam na jej ładny profil, który co rusz zasłaniają tańczące na słońcu włosy, na prosty nos, kształt oczu, rozchylone usta. Daję się jej prowadzić, zamykam oczy i zatracam się w swoich rozmyśleniach, przez chwilę czuję się naprawdę szczęśliwy. To takie zaskakująco piękne wzruszające uczucie, o którym już zapomniałeś, gdy chcesz je zatrzymać, ulatuje. Ale jest nadzieja, że znowu go doświadczysz. Nie czułem się tak od śmierci taty. Nad wszystkim ciążyło to uczucie bólu i straty. Kiedy jesteśmy w takim stanie, odbija się to na naszym codziennym życiu. Alessia ode mnie odeszła, Valeria nie studiuje, ciągle zmienia wydział, chodzi raz z Pepem, raz z poetą! Fabiola, mama trzyletniego chłopczyka, chce wrócić do czasów, gdy była nastolatką, i związać się ponownie z licealną miłością. Moim zdaniem nasze życie nie ma szans być takie samo jak kiedyś. Siłą rzeczy będzie inne, gdyż wszystko się zmienia, my się zmieniamy, nasze uczucia, nasze zachowania.

Ania spogląda na mnie, delikatnie ściskam ją za rękę, jakbym dawał jakiś znak. Jest uśmiechnięta i zrelaksowana, nie patrzy w przewodnik, zdaje się na mnie. Czy mógłbym spędzić życie z cudzoziemką? Z kobietą, która mówi w innym języku, urodziła się w innym kraju, w innej kulturze, która nie jest przyzwyczajona do naszej kuchni? Latem jeździliśmy z rodzicami do Anzio, wśród ich przyjaciół tylko jeden miał za żonę cudzoziemkę, Angielkę o imieniu Sarah. Była chuda, miała bardzo jasną karnację i równie jasne płowe włosy. Nosila zielone bikini, którego górna część była trochę za luźna, więc kiedy się nachylała, odsłaniała kawałek piersi i sutek. Najdziwniejsze, że on również był biały, jak całe jej ciało. Na jej skórze nie odznaczały się nawet paski od kostiumu. Na plaży jadła tylko spaghetti z sosem pomidorowym, które zawsze przynosiła z domu. Kiedyś zostawiła otwarty pojemnik i poszła opłukać coś pod

prysznicem. Wziąłem czysty widelec i spróbowałem odrobinę makaronu. Był zimny i miękki, kompletnie rozgotowany, jedynie sos pomidorowy okazał się nie najgorszy, ale to akurat jest łatwe w przygotowaniu. Wyplułem wszystko i zasypałem piaskiem, zanim wróciła. Usiadła na rozkładanym plastikowym leżaku, który zostawiał na plecach odcisniętą nazwę producenta „Ondina” i do którego człowiek się przyklejał.

– Hej! – Ania przystaje i potrząsa mnie za ramię. – *O czym myślisz? Jakbyś był na innej planecie... Nadal myślisz o niej?*

– Przepraszam, ale *don't understand...* Możesz mówić wolniej?

Ania bezradnie macha ręką. Jest naprawdę śliczna i fantastycznie zbudowana. Nachodzi mnie pewna wątpliwość. Czy umie gotować? Jeśli szykuje spaghetti, czy wychodzi jej rozgotowane? Cóż, w najgorszym wypadku sam nauczę się gotować!

Kupuję kapelusze w marynarskim stylu, ponieważ zrobiło się naprawdę gorąco. Obejmuję Anię, odsuwam iPhone'a na wyciągnięcie ręki i robię nam zdjęcie. Wychodzę na nim z zamkniętymi oczami.

– Poczekaj. Zrób jeszcze jedno, *I was sleeping!*

Ania się śmieje i znowu do mnie przytula. Już mam pstryknąć, kiedy podchodzi do nas młody chłopak. Wygląda na Albańczyka, jest szczupły, wysoki i wysportowany.

– Chcecie, żebym wam zrobił zdjęcie?

Akurat, w sekundę zniknąłby z moim iPhone'em, a ja musiałbym się rzucić w pościg i raczej nie miałbym szans na dogonienie swojej komórki.

– Dzięki, poradzimy sobie. – Chłopak chce coś dodać, ale go ubiegam. – To nas bawi.

Albańczyk odchodzi. Ania podaje mi swoją torbę.

– *Możesz potrzymać un momento? Muszę zrobić qualcosa.* – Zdejmuje mi z głowy kapelusz i z początku nie wiem, co zamierza zrobić, ale zaraz widzę, jak zmierza w kierunku małej fontanny, więc pewnie chce go zmoczyć, bo zrobiło się upalnie. Podstawia oba kapelusze pod strumień wody, wyżyma je, wkłada swój na głowę i wraca do mnie. Cienkie strużki wody spływają jej po policzkach i brodzie, ociera je wierzchem dłoni, zanim spadną same.

– *Proszę, załóż, fa caldo.* – Podaje mi kapelusz, który natychmiast zakładam na głowę. – Bene.

Faktycznie, od razu czuję się lepiej. Ania wyjmuję z torby plastikową butelkę z resztką wody na dzień.

– *Pójdę ją napełnić.*

– Wiesz, jak nazywamy te fontanny? *Nasoni*. Tak jak nos, tylko duży. – Wskazuję na swój nos, gdyby nie zrozumiała.

– *Okay! W takim razie naleję wody z nasone.*

Wraca do mnie krokiem modelki na wybiegu. Chyba robi to specjalnie. Palec wskazujący skierowała na butelkę, którą postawiła sobie na drugiej ręce, wygląda jak z reklamy, zwłaszcza że towarzyszą jej dźwięki muzyki. Rozpoznaję *She* Elvisa Costello. Ania rytmicznie porusza biodrami, a ja czuję, że wariuję na jej punkcie. „*She may be the face I can't forget. A trace of pleasure or regret*”. Patrzę na nią z uwielbieniem, jest taka piękna.

Nagle chwyta butelkę w dłoń i szybko podbiega do mnie.

– *Mój telefon!*

Ta muzyka, to był jej dzwonek. Wyjmuję z torby komórkę.

– *O nie! Paulina!*

– Co?

W tym momencie rozlega się głośne trąbienie klaksonu.

– Siema! – To Gruby. Siedzi w odkrytym aucie, ma pomarańczową błyszczącą koszulę i zaczesane do tyłu, mocno wyželowane włosy a na nosie wielkie ray-bany. Na obu nadgarstkach widnieją białe frotki, jakie nosili tenisiści w latach siedemdziesiątych, jakby tego było mało, na szyi wisi metalowy łańcuch podobny do tych, które zakłada się mastifom neapolitańskim tuż przed nielegalną walką. Jeśli chciał rzucać się w oczy, wybrał najlepszy sposób. Pomyśleć, że ma dziewczynę, co ja mówię, trzy dziewczyny. Paula siedzi obok niego, jej okulary słoneczne są dużo skromniejsze, a złoty łańcuszek na szyi niemal niewidoczny.

– Siema, Nicco, co robicie? Chodźcie z nami!

Patrzę na Anię, która kiwa głową. Podbiegamy do samochodu, wskakujemy jak Starsky i Hutch na tylne siedzenie. Gruby rusza z impetem i mknie po uliczkach w centrum miasta, opony piszczą na rozgrzanym słońcem bruku.

– Czy ty widzisz, jaką ma przyczepność moja tigra? Słyszysz, jak chodzą koła na zakrętach? – Skręca gwałtownie w prawo, na skutek czego Paulina ląduje twarzą między jego nogami.

– Hej, nie tak szybko, *baby*. Jeszcze będzie na to czas!

Paula kręci głową ze śmiechem. Gruby wjeżdża na pełnym gazie w Lungotevere.

– Słuchaj, stary... – Odwraca się i klepie mnie w kolano. – Wszystko zorganizowałem!

– W porządku, ale patrz przed siebie.

– Ta bestia jest przygwożdżona do drogi. Ledwo dotknę hamulca, a staje w miejscu. Chcesz zobaczyć?

Nie czeka na moją odpowiedź, tylko wciska hamulec. Ja i Ania uderzamy o przednie siedzenia, potem spadamy na podłogę. Dwójka naszych przyjaciół z przodu na szczęście ma zapięte pasy, więc zostają na swoich miejscach.

– A nie mówiłem?

Część samochodów trąbi, inne wyprzedzają nas, a kierowcy kręcą z niedowierzaniem głowami.

– Zwariowałeś? A gdyby ktoś za nami jechał?

Żuje gumę z pewną siebie miną, zamyka nawet oczy.

– Widziałem, że nikt nie jedzie! Widziałem!

Paulina świetnie się bawi, Ania znacznie gorzej. Rozciera kolano, siada z powrotem i zapina pas.

– *To wyścigi samochodowe, czy co? Fajnie, ale uprzedź mnie prossima volta!*

Gruby jedzie slalomem między samochodami w stronę corso Francia, potem skręca w lewo.

– Poczekaj, zatrzymaj się pod biurem B&B, muszę coś wziąć!

– Okay. À propos... – Ustawia wsteczne lusterko tak, by mnie zobaczyć. Ja widzę tylko jego oczy. – Napisała do ciebie?

– Kto?

– Kałuża, a kto inny? – Patrzy na mnie uważniej. – O, sorry, masz rację, nie pomyślałem o tym, naprawdę sorry, nie chciałem... Wiesz, kiedy o niej nie myślisz?

– Tak, tak, wiem...

– Nie, naprawdę rozumiem, że to dla ciebie bolesne, tylko w ogóle o tym nie pomyślałem.

– Nie ma sprawy.

– Tylko że...

– Dość już!

Paulina odwraca się do mnie zaciekawiona, Ania również jest zaskoczona tym tonem, nie widziała mnie jeszcze takiego.

– Wszystko okay!

Dokładnie w tym momencie mój telefon zaczyna wibrować. Nie chce mi się wierzyć. Wyjmuję go z kieszeni.

– Właśnie do mnie napisała.

– Kto, Alessia?

– Nie, Kałuża.

– No weź! Co napisała?

– Nic specjalnego, tylko: „Jesteś sukinsynem!”.

– Klasyk.

Wsiadam z samochodu i po kilku minutach jestem z powrotem.

– Okay, możemy jechać.

– Po co poszedłeś? – Rusza odrobinę spokojniej.

– Po przerwy.

Spogląda osłupiały we wsteczne lusterko.

– Serio? Czyli że doszło do czegoś między wami? – Patrzy na Anię. – Niezła z niej laska, ma tyłek jak marzenie, moja też jest w porządku, ale Ania jest po prostu zajebista.

– Stary... Żartowałem!

– No to całe szczęście.

Teraz prowadzi znacznie spokojniej. Jedziemy Braccianese w kierunku jeziora. Po obu stronach drogi rosną platany pochylone od smagającego je od lat wiatru, teraz niczym parasole chronią nas przed palącym słońcem.



Opieram głowę na zagłówku i zamykam oczy. Sięgam do kieszeni kurtki po ray-bany. Dostałem je w prezencie od taty z okazji urodzin, wiedział, jak bardzo chciałem je mieć. To był ostatni prezent, jaki mi zrobił, i na zawsze już taki zostanie. Nawet kiedy skończę studia, będę mieć dzieci czy wygram na olimpiadzie... Zakładam okulary w ostatniej chwili, by ukryć płynącą po policzku łzę. Nadal mam zamknięte oczy, gdy słyszę pierwsze dźwięki *Marmellata # 25*. Gruby włączył płytę Cremoniniego. Myśli, że robi wrażenie na dziewczynach.

„Twoje buty nadal tu są, choć ty już odeszłaś...”

Faktycznie to działa. Ania bierze mnie za rękę, mocno ją ściska i opiera się o moją pierś. Jej falujące na wietrze włosy muskają moją twarz, są nieokiełznane, momentami mam wrażenie, że jestem policzkowany, ale to mi nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Podoba mi się, że dziewczyna chce trzymać mnie za rękę, czuć moją bliskość. Przesuwa moje ramię tak, że teraz ją obejmuję, podciąga się trochę wyżej, otulona moją kurtką, głowę opiera mi o bark, a ja napawam się jej zapachem.

„Zawsze kiedy o tobie myślę, jem kilogramy marmolady... tej, którą przede mną chowałaś... znalazłem ją!”

Obie Polki z pewnością nie rozumieją słów piosenki, ale są one bardzo prawdziwe i idealnie pasują do sytuacji. Teraz mam ochotę się śmiać. Tak, właśnie szczerze się roześmiać, tak jak robił to mój tata.

– Czołem, Gruby, witaj z powrotem! Gratuluje, dziewczyny, dokonałyście słusznego wyboru, a nawet dwóch: Grubego i mojego lokalu.

– Stary, one nic nie kumają.

– Dlaczego? – Franco przypatruje im się uważnie. – Są głuche? – Robi dłonią gest, jakby pytał, czy wszystko z nimi w porządku.

– To Polki!

– Taa, jasne. – Przerzuca sobie przez ramię lekko wilgotną serwetkę. – Już ci wierzę, że nic nie rozumieją. Mówią po włosku lepiej niż ty! Rozgośćcie się na zewnątrz, zaraz was obsłużę. – Znika w środku.

Siadamy przy drewnianym stole, trochę zniszczonym i wyblakłym. Jego deski, mimo że naruszone zębem czasu i wypalone przez słońce, gdzieśgdy zachowały swój ciemnoniebieski kolor i nietkniętą fakturę. Przed nami rozpościera się płaskie jak stół jezioro Bracciano, jego taflę przecina mknąca szybko motorówka. Bliżej brzegu pływa niemrawo kilka kajaków. Dzień jest bezwietrzny. Siedzimy w cieniu drzewa. Jesteśmy jedynymi gośćmi w knajpce, choć to sobota i pora obiadowa.

– Co wam podać?

– Wino i zimną źródlaną wodę.

– To się rozumie samo przez się. Przyniosę białe wino własnej produkcji. Coś do jedzenia?

Zastanawiamy się nad menu, które skądś wzięły dziewczyny. Jest to kawałek plastikowej karty, na której brzegach brakuje kawałków słów.

– Nie czytajcie tego. Powiem wam, co mamy. Na pierwsze fettuccine z okoniem lub tagliatelle z pomidorami, na drugie smażone owoce morza albo sieja. Pasuje? Jako dodatek polecam frytki, fasolkę oraz mieszankę świeżych sałat.

Dziewczyny są trochę skonsternowane. Razem z Grubym i Frankiem nieźle się bawimy, tłumacząc im nazwy poszczególnych dań. W końcu wybierają tagliatelle, a my decydujemy się na fettuccine z okoniem.

Franco przynosi nam idealnie schłodzone białe wytrawne wino, które wypijamy z przyjemnością. Gruby wyjada cały mięsz z białego pieczywa.

– To jest specjalny chleb bez soli, nazywa się *sciocco*.

Paulina idzie w jego ślady. Sięga po kromkę chleba, wyjmując z niej cały mięsz i zaczyna jeść. Widać, że jej smakuje. Jest rozanielona i rozbawiona. Dopasowali się, przynajmniej jeśli chodzi o upodobania.

– To tradycyjny toskański chleb. Franco przywiózł recepturę ze sobą, kiedy się tu przeprowadził. Franco *tutta la vita* robi ten chleb.

Nie czekamy zbyt długo na pierwsze dania.

– Proszę. – Przed każdym z nas Franco stawia dymiący talerz. – Uważajcie, bo gorące!

Ania i Paula nie zwracają uwagi na ostrzeżenie.

– Chcesz spróbować?

Podsuwam Ani swój talerz. Bierze do ręki łyżkę, opiera na niej widelec z nałożonym makaronem i obraca go, nawijając fettuccine. Dziwne rzeczy robią ci Polacy!

– Mmh, buono.

Teraz ja próbuję jej dania. Tagliatelle są przepyszne, ugotowane idealnie. W niczym nie przypominają makaronu tamtej Angielki z Anzio!

Gruby nalewa wszystkim wino, w tej kwestii zawsze dba o swoich gości. Sięgam po niewielki stary kieliszek, który od razu przypomina mi opowieści dziadka. Widać, że ma swoje lata, ale nie jest wyszczerbiony. Ciekawe, ile razy był używany przez ten cały czas. Przez szkło kieliszka patrzę na wino, które ma żółtą, słomianą barwę. Wącham je, mocno pachnie, w końcu próbuję. Jest bardzo dobre, wytrawne, czuć, że domowe. W menu jest napisane, że jeden litr kosztuje cztery euro. Wino zostawia odrobinę gorzki posmak, ale idealnie komponuje się z naszym jedzeniem. Przed nami rozpościera się błękitne jezioro, za nami żółte wzgórza porośnięte stokrotkami, w oddali słychać świergot cykad i świerszczy. Franco stawia na środku stołu smażone owoce morza, które jemy wszyscy razem, sięgając co rusz po różne kawałki, jakby to były frytki, które również znajdują się na stole. Prawie wszystkie zjada Gruby, zarówno nasze Polki, jak i ja wolimy sałatę. Jest bardzo smaczna, z rukolą, miętą i pomidorami. Dojrzewały na słońcu, są mięsiste i pachnące. Na deser obie dziewczyny zamawiają crema catalana. Paulinie apetyt dopisuje, nie dziwi mnie jej zaokrąglona sylwetka. Natomiast nie rozumiem, jak Ania, która zjadła jeszcze więcej, zachowuje tak idealną figurę, bez grama tłuszczu! Na sam koniec zamawiamy owoce i kawę. Kiedy zjawia się Franco z zapisaną odręcznie kartką, Gruby bierze go pod ramię i odchodzi na bok.

– Ja się tym zajmę – mówi i spogląda na rachunek. – A niech cię, policzyłeś nam jak turystom!

– Obsłużyłem was lepiej niż własnego syna – śmieje się Franco.

– Przecież nie masz syna?

– No właśnie!

Wchodzą do środka. Gruby wraca po kilku minutach.

– Przemówiłem mu do rozumu, słońce mu zaszkodziło.

Wygląda na to, że naprawdę zajął się rachunkiem.

– Ile ci wiszę?

– Dzisiaj ja stawiam, już ci mówiłem.

Postanawiamy się przejść. Wzdłuż brzegu jeziora prowadzi zadbane kamienna

ścieżka, z jednej strony ograniczona niskim płotkiem z drewnianych pali. Co kilka metrów jest zejście na plażę. Korzystamy już z pierwszego.

Zdejmujemy buty, pod stopami mamy nagrzaną zieloną trawę, która ustępuje miejsca ciemnemu piaskowi. A dalej – przezroczysta chłodna woda. Ania wchodzi do jeziora, ja za nią. W oddali pod pomostem ganiają się kaczki.

Dawno nie byłem nad jeziorem. Bywają takie okresy w życiu, kiedy pewne czynności stają się przyzwyczajeniem, robisz ciągle to samo bez konkretnego powodu. Kilkanaście lat temu co niedziela przyjeżdżaliśmy całą rodziną tutaj, do Trevignano. Byłem mały, spędzałem większość dnia na małym molo, łowiąc ryby na żyłkę. Godzinami wpatrywałem się w taflę jeziora, ale o ile sobie teraz przypominam, nigdy nie złowiłem niczego znaczącego. W przeciwnym razie bym pamiętał.

Gruby i Paulina znaleźli jakąś porzuconą piłkę i teraz w nią grają. Ja z Anią leżymy na trawie, Gruby drybluje, Paula biegnie obok niego. Gruby posyła piłkę między zieleń i wznosi ręce do góry.

– Gol! – Zachowuje się jak wariat.

Paulina podbiega do niego i rzuca mu się na szyję.

– Sì, goal!!!

Jak to? Przecież grali przeciwko sobie... Ona też jest postrzelona. Podskakują radośnie jak kibice drużyny, która właśnie zdobyła mistrzostwo świata.

Zdejmuję kurtkę, kładę ją Ani pod głowę i opieram się na brzuchu dziewczyny. Niedaleko nas spaceruje kaczka, przystaje zaciekawiona, może liczy na jakieś okruszki. Ania również ją zauważa.

– Mam coś in borsa... Poczekaj...

Wyciąga z torby krakersy, kruszy je i rzuca w stronę kaczki, która troszkę wystraszona zaczyna je skubać.

Wyjmuję iPhone'a.

– Posłuchaj tej *musica*, dobrze? – Włączam *Ami ancora Elisa*. – Tak to leci, opowiada o mężczyźnie, który obserwując kaczki nad jeziorem, odnajduje spokój. Wspaniały Lucio Battisti... Śpiewa o kaczce takiej, jak ta. – Ania kręci głową. – Teraz śpiewa o tym, że on nadal kocha pewną dziewczynę, ale że w końcu udało mu się poskromić gniew i zobaczyć dobre strony życia. Chciałbym, żeby ze mną było tak samo.

Jest oczywiste, że nic nie rozumie, ale przynajmniej się do mnie uśmiecha.

– *Wariat z ciebie*. – Całuje mnie miękko, głaszcząc ją po policzkach, Ania obejmuje mnie mocniej i chowa się w moich ramionach. Gładzę jej plecy, biodra, wsuwam dłoń pod bluzkę, nie powstrzymuje mnie, więc sunę wyżej. Wtedy spogląda na mnie. – *Hej, nie jesteście soli, ktoś może nas vedere... Pocałuj mnie*.

Przed nami staje Gruby.

– Mam pomysł! – Jest cały spocony, jakby rozegrał prawdziwy mecz.

– Wszystko w porządku?

– Przegrałem! Pokażemy im zamek? Co ty na to?

Kilkanaście minut później stoimy przed Castello Odescalchi di Bracciano. Jest zamknięty. Gruby niezmordowanie wciska guzik domofonu, w końcu pojawia się jakiś mężczyzna.

Nie wygląda na zadowolonego, ma na oko sześćdziesiątkę i siwe zmierzwiłone włosy. Stoimy zbyt daleko, by słyszeć słowa Grubego, ale mówi nieprzerwanie i pokazuje na nas. Zwłaszcza na mnie. Mężczyzna patrzy bez przekonania. W końcu Gruby wciska mu coś do ręki i mężczyzna odsuwa się na bok.

– Okay.

– Hej, chodźcie, Alberto jest tak uprzejmy, że pozwolił nam wejść do środka!

Ani i Paulinie nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Biegną na spotkanie tej wyjątkowej przygody.

– Ciao! Grazie!

– Macie godzinę.

– Jasne. – Gruby klepie mężczyznę po plecach. – Za godzinę widzimy się na zewnątrz.

– Grazie.

Alberto mruczy coś pod nosem i znika za drzwiami w holu.

– Chodźmy tędy.

Wspinamy się stromą ścieżką.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic, dałem mu dwadzieścia euro.

– Widziałem. Jednak wcześniej pokazywałaś na mnie i coś mu mówiłaś.

– Odwołałem się do czegoś, co każdemu mężczyźnie jest bliskie.

– Czyli do czego?

– Do współczucia.

– Nadal nie rozumiem.

– On ogląda *C'è posta per te*.

– Co to ma do rzeczy?

– No właśnie ma, od razu wiadomo, że Alberto to człowiek o wrażliwej duszy.

– Powiesz mi wreszcie, o czym z nim rozmawiałaś?

– O tym, że rozstałaś się z Alessią, że od dawna nie umówiłaś się z żadną dziewczyną i że te dwie to twoja jedyna nadzieja... Zanim przerzucisz się na gejów.

– Jak to na gejów? Kutas z ciebie. A jeśli on jest gejem?

– Najpierw spytałem, czy jest żonaty.

– To o niczym nie świadczy.

– Oraz co myśli o naszych dziewczynach.

– Co powiedział?

– Że niezłe z nich laski. Czyli nie jest gejem.

– Możesz wytłumaczyć mi, dlaczego wszyscy muszą wiedzieć o moich sprawach?

– Widzisz ją, prawda? – Gruby wskazuje na Anię, która wyjęła przewodnik i wertuje go w poszukiwaniu informacji na temat zamku.

– Oczywiście.

– Jest piękna, no nie?

– Bardzo piękna, ale do czego zmierzasz?

– Chciałbyś pójść z nią do łóżka?

– Tak, jak na razie jestem nią zainteresowany, choć ty opowiadasz wszystkim naokoło co innego...

– Świetnie, powinieneś poświęcić trochę swojej prywatności, ludzie muszą się dowiedzieć o twoim rozstaniu z Alessią... Wzbudzasz więcej sympatii, współczucia, odmawiając ci, Ania czułaby się winna. Reasumując, jeśli ją przelecisz, będzie to zasługa Alesii!

Zostawia mnie oniemiałego, jak tylko on to potrafi. Podchodzi do Pauliny, obejmuje ją i kładzie rękę na jej pośladkach. Dziewczyna nie wygląda na oburzoną, nie strąca jego dłoni, bo jemu wszystko wolno. Niewiarygodne. Każdego potrafi urobić!

Dołączam do nich i razem przemierzamy kolejne sale zamku. Wszystkie sufity pokryte są kasetonami, w komnatach znajdują się antyczne chorągwie, wielkie stoły, stare talerze i obrazy zawieszane na ścianach, ciężkie zasłony.

Podchodzi do mnie Gruby.

– Jeszcze jedno... Jak myślisz, dlaczego Berlusconi zdobył tyle głosów w ostatnich wyborach? To zasługa Veroniki, która od niego odeszła! – Puszczą do mnie oczko. – Zaufaj mi... – Szybkim krokiem wraca do Pauli.

– Jest *castello*, a ja mam moją *principessa*... ciebie! – Całuje ją.

Ania kręci głową, bierze mnie pod ramię, wyprzedzamy ich. Czyta mi po polsku różne informacje z przewodnika. Pokazuje niektóre rozwiązania architektoniczne, stare obrazy i zbroje, przechodzimy do następnego pomieszczenia.

– Wiele osób brało tu ślub, jak Martin Scorsese i Isabella Rossellini, Tom Cruise i Katie Holmes.

– Również Eros i Michelle. Znasz go? To znany *cantante italiano*, śpiewa *Adesso tu*: „Urodzony na obrzeżach miasta, gdzie nie jeżdżą tramwaje, gdzie powietrze jest takie proste, łatwiej jest marzyć niż patrzeć życiu w twarz... – Śpiewam trochę nieudolnie kolejne zwrotki, docieram do refrenu. – Teraz jesteś ty, nadajesz sens moim dniom, odkąd się pojawiłaś, wszystko zaczęło się układać”... I jak? Poczekaj, pokażę ci w komórce na YouTube. – Szybko znajduję piosenkę i puszczam ją Ani. – Słyszałaś?

– *Nie, nigdy.* – Kręci przecząco głową. – *Fajnie wygląda.*

– Tak, jeszcze fajniej wygląda jego żona Michelle. Dużo się śmieje, ale nie są już razem! – Palcami rozszerzam ekran. – Rozstali się.

– *Tak samo jak Martin Scorsese i Isabella Rossellini oraz Katie Holmes i Tom Cruise.*

– Laura Freddi też brała tu ślub, a potem się rozstali.

Podchodzi do nas Gruby.

– Może ten zamek przynosi pecha? – Jedno jest *sure...* Jeśli będziemy się żenić, to nie tutaj!

– Tu mnie wysadź – mówię do Grubego, a on zatrzymuje się w bocznej uliczce w pobliżu mojego mieszkania. – Inaczej będziesz musiał zrobić całe kółko.

– Dobra, do zobaczenia później. Załatwiłem wszystko na wieczór, teraz odwiozę je do hotelu i spotkamy się za dwie godziny. Znalazłem miejsce na kolację, ekstra, mówię ci.

Dziewczyny patrzą na nas zaciekawione.

– *Wszystko okay, organizziamo wieczór. Do zobaczenia.*

Rusza z piskiem opon. Robię kilka kroków, skręcam w via Bologna i po chwili docieram do swojej kamienicy. Mijam furtkę, wchodzę po schodkach koło ogrodu, otwieram drzwi wejściowe na klatkę.

– Nareszcie! Gdzie, do cholery, byłeś! Szukam cię od godziny! – Valeria doskakuje do mnie jak oszalała, wymierza mi potężnego kuksańca, ale udaje mi się jakoś wybronić przed jej dalszymi atakami. – To jakieś przekleństwo, nigdy cię nie ma, kiedy jesteś potrzebny! A w ogóle to wszystko przez ciebie... Chodź szybko.

Mijamy drzwi wejściowe do piwnic, jesteśmy już na podwórku. Przed naszym garażem stoi błękitne cinquecento. Dopiero po chwili zauważam, że wszystkie boczne szyby są wybite, wsteczne lusterka roztrzaskane, wycieraczki połamane, a od maski dookoła całego samochodu idzie rysa.

– Jakiś dziwny wypadek miało to auto.

– Widzę, że humor ci dopisuje. To samochód Ernesta, rozmawialiśmy sobie spokojnie pod domem, kiedy pojawił się Pepe i tak go załatwił! Ledwo udało nam się uciec. Okrążyliśmy kamienicę i wjechaliśmy na podwórko od tyłu. Czy twoim zdaniem mamy puścić płazem taki akt wandalizmu?

– Uważasz, że to normalne? – Podchodzi Ernesto. Zwraca się do Valerii. – Na ulicy nie ma nikogo.

– No jasne, gdzieś się schował.

– Sorry, ale na co ja miałbym się wam przydać?

– Jak to, na co miałbyś się przydać? Moja koleżanka Ludovica widziała cię wczoraj z Pepem na ponte Milvio, pomógł odzyskać ci torbę jednej z tych cudzoziemek, które z Grubym obwozicie po mieście! Skoro tacy z was przyjaciele, to z nim pogadaj. W końcu teraz ty jesteś głową rodziny.

Nie znoszę tego powiedzenia! I skąd ona to wszystko wie? Brak mi słów. Rzym jest jak mała miejscina, w której nic nie umknie niczyjej uwagi... Może do Alessii też doszły te wiadomości... Byłaby to jedyna dobra strona całej sytuacji.

– Hej, o czym myślisz? Nie ma się nad czym zastanawiać! Dzwonź do Pepego!

– Nie mam jego telefonu.



– Proszę.

Podaje mi swoją komórkę z już wybranym numerem. Kurwa, chciałbym się zatroszczyć o swoje życie, a tymczasem muszę zajmować się sprawami innych, zwłaszcza tej rozrabiaki, mojej siostry. Łączę się z wyświetlonym numerem. Pepe odbiera po dwóch sygnałach.

– Jesteś. Wiesz, ile cię szukałem? Dlaczego tak robisz, kochanie?

– Hm, Pepe, tu Nicco.

– Kto?

– Nicco, brat Valerii, wczoraj pomogłeś mi z torbą.

– Daj mi ją.

– Chciałem ci powiedzieć, żebyś odpuścił.

Podchodzi Ernesto i zaczyna mi podpowiadać:

– Poinformuj go, że już zadzwoniłem na policję i do karabinierów, że nie może robić tego, co mu się żywnie podoba, żeby przestał zachowywać się jak skończony kutas.

Odwracam się do niego tyłem. Nie znoszę ludzi, którzy mówią do ciebie, kiedy rozmawiasz przez telefon, a już zwłaszcza tych, którzy udzielają ci jednocześnie świątłych rad.

– Pepe, widziałem samochód, odpuść, bo tylko pogorszysz sytuację. Znasz Valerię, wiesz, jaka jest uparta, dla niej to kwestia zasad...

– Już mi o tym mówiłeś. Wkurwiła mnie, daj ją do telefonu.

Ernesto nawija dalej:

– Nikt się go nie boi ani takich jak on, czytałem Roberta Saviano, widziałem go nawet w programie u Fabia Fazio i zgadzam się z tym, co mówił, powiedz mu to, dość już tego, trzeba zmienić ten system...

Znowu się od niego odwracam.

– Ona teraz płacze, myślę, że musi minąć trochę czasu i może któregoś dnia...

– Daj mi ją do telefonu.

Przede mną znowu staje Ernesto.

– Jego taktyka opiera się na strachu, ale kto się go boi? Czy on myśli, że coś mnie obchodzi ten samochód? Zobacz... – Kopie drzwiczki. – Powiedz mu to! Nic mnie to nie obchodzi!

Przyłącza się Valeria.

– Tak, powiedz mu. Chodzi o zasadę, nie on decyduje, jasne? To kwestia wolności, mojej wolności! No już, powiedz mu!

– Daj mi ją do telefonu. – Pepe też nie odpuszcza.

– Powiedz mu, że się go nie boimy.

– Mów, na co czekasz!

– Powiedziałem ci, żebyś dał mi ją do telefonu. Lepiej, żebyś posłuchał! – Pepe jest coraz bardziej wkurzony.

– Mam dość. Nie sądzę, bym mógł wam jakoś pomóc.

Odkładam komórkę na dach cinquecento i odchodzę. Valeria i Ernesto patrzą na mnie oniemiali, a z telefonu dochodzi jednostajny, uparty głos Pepego, który powtarza jak zdarta płyta:

– Daj mi ją do telefonu.

Wchodzę do mieszkania i zamykam za sobą drzwi. Wreszcie cisza. Idę do kuchni, odkręcam wodę w kranie. Ciekawy jestem, jak Valeria wybrnie z tych kłopotów, ale nie mam zamiaru się w to mieszać. Już straciłem koszulę, którą podarowała mi Alessia. Gdzie ona teraz może być? Co robi? Spaceruje? Bawi się? Nie, pewnie jest na zakupach z koleżanką. Przymierza spódnice albo spodnie. Przegląda się w lustrze, odsuwa zasłonę, krzywi się, nie jest zadowolona. Ile razy towarzyszyłem jej w tych eskapadach, kiedy szukała jakichś ciuchów, które zobaczyła w gazecie albo w telewizji, albo na jakiejś dziewczynie na ulicy, ale nigdy na przyjaciółce. Zawsze musiała się wyróżniać. Wsuwam palce pod strumień wody, jest chłodna, napełniam szklankę. Od miesiąca Alessia nie wysłała mi żadnej wiadomości. Wcześniej nie było dnia, żebyśmy nie słyszeli się co najmniej trzy, cztery razy. Dzwoniliśmy do siebie choćby na chwilę, zamienić parę słów, pośmiać się: „Gdzie jesteś?”, „Uczę się”, „Nie pytam, co robisz, tylko gdzie jesteś?”, „Uczę się na uniwersytecie!”, „Chciałbym tam być i kochać się z tobą”, „Na filozofii czy na prawie?”. Podobała mi się zawsze, czy się śmiała, czy płakała. Może dlatego, że nie płakała zbyt często. Właściwie tylko dwa razy, kiedy straciłem tatę i kiedy straciłem ją. Dziwne jest życie. Zostawiła mnie bez słowa, powiedziała jedynie, że jej przykro. A co ja zrobiłem? Nic, milczałem, chociaż nie, przespałem się z Kałużą i całowałem z piękną cudzoziemką. Choć nadal chciałbym być tylko z nią.

Do mych uszu dochodzi dziwny dźwięk, ledwo słyszalny, jakiś szelest, jakby coś skwierczało. Drzwi do sypialni rodziców są uchylone, mama siedzi w nogach łóżka.

– Mamo – mówię niemal szeptem, wpatrując się w nią. Obok niej leży szuflada, wokół porozrzucane albumy i zdjęcia, również na dywanie i stoliku przy łóżku. Mama płacze. Przegląda fotografie i co chwila przyciska którąś mocno do piersi. Jest na nich całe nasze życie. Pierwsze podróże do Amsterdamu, Holandii, po Europie, kiedy nas jeszcze nie było na świecie. Potem się pojawiliśmy, z każdym kolejnym zdjęciem jesteśmy starsi, a nasi rodzice są obok nas, tata roześmiany, a mama w wystudiowanej pozie. Kiedy przeglądasz stare fotografie, masz wrażenie, że należą do innego świata, to samo dotyczy sekretarki telefonicznej. Masz na niej dziwny tembr głosu, ledwo się rozpoznajesz, nagranie jest takie nierealne. Podobne uczucia towarzyszą mi, gdy widzę swoje odbicie w lustrze, zawsze coś mnie zaskakuje, nie rozpoznaję jakiegoś elementu swojego wyglądu, którego nawet nie potrafię zdefiniować. Na przykład kiedy zacząłem spotykać się z Alessią, po naszym pierwszym pocałunku, nie byłem sobą. Wszedłem do windy, zobaczyłem swoje odbicie w lustrze i zacząłem krzyczeć jak wariat: „Tak, kurwa! Jestem zajebisty!”. Wznosiłem do góry zaciśnięte pięści jak piłkarz po strzeleniu gola.

Wtedy cholernie się sobie podobałem.

Mama pociąga nosem, a ja wracam myślami na ziemię. Widzę jej odbicie w lustrze. Trzyma w dłoni chusteczkę, ociera łzy i chowa do pudełka fotografie, na których uwieczniono jej życie, nasze życie. Układa je starannie i płacze. Wydaje mi się taka drobna, a jej rozpacz ogromna.

Czuję się tak, jakbym został zdradzony i nie umiał wybaczyć, jakby ktoś zabrał część mnie. Mojego tatę, męża mamy, ojca moich sióstr, mojego przyjaciela. Tak, był również moim przyjacielem. Zaczynam płakać, mama też płacze, jesteśmy osamotnieni w naszym bólu. Czuję się jak tchórz, bo nie potrafię ukoić jej smutku, powinienem podejść do niej, wziąć ją za rękę, pocałować i przytulić, podzielić się swoją rozpaczą, choć wiem, że jej jest nieporównywalnie większa. Choćby ze względu na lata, które rodzice wspólnie przeżyli, na miłość, która ich połączyła, na dzieci, które spłodzili. Nagle dociera do mnie okrutna prawda: nigdy nie doświadczę takich zdarzeń z Alessią. Czuję się podle, że tak pomyślałem, jak złodziej i łajdak, który wykorzystuje nieszczęścia innych do własnych celów, na nikogo się nie ogląda i okrada umarłych.

Powinienem podejść do mamy i coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Na palcach wycofuję się do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Dzisiaj mama nie poszła do pracy, została w domu, by płakać. To co przed chwilą się zdarzyło, o czym mama być może nigdy się nie dowie, na zawsze zostanie w mojej pamięci, choć wolałbym, by potoczyło się inaczej.

Rozbieram się i wchodzę pod prysznic. Chciałbym umieć zachować się inaczej, powtarzam to sobie w kółko, a moje łzy mieszają się z ciepłym strumieniem wody spod dyszy prysznic. Moje życie jest równie niepokładane jak moje myśli. W końcu się odprężam i rozważam, co mogłem powiedzieć mamie, choćby zwykłe „Kocham cię”, tymczasem nic nie zrobiłem. Zakręcam wodę, wkładam szlafrok. O, przyszedł SMS. Wpatruję się w komórkę. Łazienka jest cała zaparowana. W kapturze na głowie wyglądam jak bokser albo amerykański raper. À propos, co się dzieje z Eminemem? Moje myśli uciekają czasami w przedziwnym kierunku i zaczynam martwić się o jakieś bzdury, zamiast skupić się na własnym życiu, które jest w totalnej rozsypce. SMS nie jest od dziewczyn, bo nie wymieniliśmy się numerami telefonów. Może Gruby, tylko po co? Wszystko ustaliliśmy. Może jakiś kumpel? Valeria? Nie, moim zdaniem wyłączyła komórkę. Kałuża! Tylko nie ona. Mam zbyt dużo godności, by dać sobą pomiatać. A jeśli to jednak ona? Nie słyszeliśmy się od... Nieważne, nie będę liczyć każdej minuty. Zresztą, po co zadaję sobie te wszystkie pytania? Wystarczy odczytać wiadomość.

„Czekam na ciebie na piazzale Aurelio 7 o wpół do dziewiątej. Pilne. Kłopoty. Fabiola”.

No jasne, Fabiola! Nie przyszło mi do głowy, że to ona. A może podświadomie liczyłem, że przynajmniej moja starsza siostra poradzi sobie beze mnie.

Czytam ponownie. „Czekam na ciebie na piazzale Aurelio 7...”. Pod tym adresem jest bardzo elegancka restauracja Arco Antico. Może moja siostra się pomyliła. Spoglądam na zegarek. Jest kwadrans po dwudziestej, z Grubym jestem umówiony o dziewiątej pod jego domem. Mamy jechać po Anię i Paulinę. Czekam przed wejściem, obserwuję przejeżdżające samochody, najpierw fiat panda, potem volkswagen golf, ale żaden się nie zatrzymuje. Moje siostry mają szczególnie dar do wrabiania mnie w kłopoty. Do restauracji zbliża się jakaś para, odsuwam się na bok, wchodzi i zamykają za sobą drzwi. A może ona czeka na mnie w środku? Postanawiam sprawdzić.

– Dobry wieczór, szukam kogoś.

– Ma pan rezerwację?

– Nie, chyba nie... Może na nazwisko Albini?

Kelner otwiera notes.

– Proszę, tędy.

No nie, Fabiola naprawdę chce, byśmy zjedli kolację. Jak zwykle myśli tylko o sobie, uważa, że wszyscy są do jej dyspozycji i tylko ona ma problemy. Nie wiem, co powiedzieć.

– To państwa stolik.

– Cześć, Niccolò.

Przy stole siedzi Vittorio, mąż mojej siostry, i popija białe wino. Odstawia kieliszek, ociera usta serwetką i wskazuje mi krzesło naprzeciwko siebie.

– Proszę, siadaj.

Zajmuję miejsce. Stół jest nakryty dla dwóch osób. Po mojej siostrze nie ma śladu.

– Fabiola przyjdzie?

– Nie, powiedziała, że będzie lepiej, jeśli załatwimy to między sobą.

– Jasne. – Wibruje mój telefon. – Przepraszam.

– Proszę.

SMS od Fabioli: „Nicco, wybacz, ale dalej już nie mogę. Powiedziałam Vittoriowi, że to ty masz kłopoty, opowiedz mu wszystko. Niech od ciebie usłyszy, że znowu spotykam się z Claudiem”.

Kasuję wiadomość i szybko chowam telefon. Przetykam ślinę. Vittorio widzi moją reakcję.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Mogę trochę wina?

– Oczywiście... – Sięga po butelkę i przygląda mi się uważnie, chcąc odczytać, co się dzieje. – Na pewno wszystko dobrze?

– Tak, na pewno. – Napełnia mój kieliszek, wypijam go do dna.

– Jadłeś coś? Chyba mi się nie upijesz za szybko, co?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– Wy, młodzi, dobrze znosicie alkohol.

Prawdę mówiąc, jestem pijany już po tym pierwszym kieliszku, ale chyba nie będę mu o tym mówić, o innych sprawach zresztą też nie.

– Zamówmy coś.

– Ale... – Nie wiem, jak mu powiedzieć, że zaraz mam jeść kolację w zupełnie innym miejscu. – Dla mnie coś lekkiego.

– Jasne. – Nie mam pojęcia, co ma na myśli. Otwiera menu i zagłębia się w lekturze, co jakiś czas zerka na mnie. – Więc, na co masz ochotę?

– Wezmę surową szynkę.

– Tylko tyle?

– Tak... Nie czuję się najlepiej.

– Okay. – Jest chyba trochę zawiedziony. – Też wezmę coś lekkiego. – Przywołuje kelnera, który natychmiast zjawia się przy naszym stoliku.

– Słucham panów.

– Poprosimy szynkę... Jaką chcesz?

– Jakaś łagodną.

– Mamy wyśmienitą szynkę iberyjską.

– Dla mnie w sam raz.

– A dla pana?

– Poproszę... – Rzuca raz jeszcze okiem do karty. – Maltagliati z borowikami, a na drugie gicz cielęcą.

– Świetnie.

– Aha, czy może mi pan przynieść na przystawkę mozzarellę? Jest świeża?

– Świeżuteńka. Życzy pan sobie odrobinę szynki do mozzarelli?

– Poproszę parmeńską.

– Oczywiście.

Vittorio rozkłada na kolanach serwetkę. Całe szczęście, że postanowił zamówić coś lekkiego. Patrzy na mnie w milczeniu, jest chyba trochę zakłopotany. Albo świetny z niego aktor, albo naprawdę nie wie, od czego zacząć.

– Co się dzieje, Nicco?

– Słucham?

– Co się dzieje?

Co się dzieje? Dzieje się to, że masz kłopoty, a moja siostra to suka! Macie syna i chyba nie zdajecie sobie sprawy, jak będzie cierpiał, biedny Francesco, jego jest mi najbardziej żal. Oczywiście nie mówię nic z tych rzeczy. Milczę. Vittorio patrzy na mnie wzrokiem dorosłego, wyrozumiałego człowieka. Ciekawy jestem, co miałby do powiedzenia. Chyba powinienem się odezwać.

– No...

– Nie. – Wyciąga dłoń i przymyka oczy. – Nic nie mów. – Otwiera oczy i wpatruje się we mnie intensywnie. – Wiem o wszystkim.

– Wiesz o wszystkim?

– Tak. – Oddycham z ulgą, całe szczęście, nie potrafiłbym mu o tym powiedzieć. – Przechodziłem przez to... – Vittorio kontynuuje.

Jak to? Przerabiali już to wcześniej? Chodziło o Claudia czy kogoś innego? Moja siostra to wariatka. Obie moje siostry to wariatki! Vittorio mówi dalej:

– Było mi bardzo ciężko, gdy straciłem ojca, przez pierwsze miesiące nie mogłem się odnaleźć, nie chciało mi się wychodzić z domu, rozmawiać z ludźmi, jeść. Dokładnie tak samo, jak tobie dzisiaj.

– Ach tak. – Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę i słucham.

– Musisz wiedzieć, że ojciec był dla mnie wszystkim, moim punktem odniesienia, autorytetem, chciałem być taki jak on, chciałem być lepszy, tak, był dla mnie wyzwaniem. Jako dziecko nie rozmawiałem z nim dużo, nie potrafiłem się przed nim otworzyć, ale z biegiem lat nauczyliśmy się... nie tyle szacunku, nie wiem, jak to nazwać... Mam, poważania. – Patrzy na mnie z satysfakcją, jakby niełatwo było mu znaleźć to słowo. – Myślę, że podobnie było z tobą.

– No, naprawdę...

Nie pozwala dojść mi do słowa.

– Mój ojciec był trudnym człowiekiem, zamkniętym w sobie, kiedy rozmawialiśmy, miałem wrażenie, że wcale mnie nie słucha. Czasami mi przerywał albo milczał, a kiedy czekałem na jego odpowiedź, mówił zupełnie nie na temat. Myślę, że to pragnienie wzbudzenia jego zainteresowania spowodowało, że nadal darzę go tak wielką miłością. Nie wierzę, by...

Ja też nie wierzę! Kompletnie źle mnie ocenił. Zupełnie nie pasuję do tego opisu! Mój tata mnie słuchał. Śmiał się ze mną, pomagał mi, radził, może czasami nawet śmiał się ze mnie, ale zawsze z miłością, to był jego sposób na ujarzmienie mojego charakteru, na zrobienie ze mnie lepszego człowieka.

Pamiętam, jak graliśmy z chłopakami w nogę na podwórku. Czasami się złościłem i zostawiałem ich, rezygnując z zabawy. Wtedy tata mówił mi, że postępuję jak mąż,

który na złość żonie odciął sobie siusiaka. To porównanie wydawało mi się niedorzeczne, ale trzeba przyznać, że świetnie obrazowało sytuację. Kiedyś opowiedziałem o tym Grubemu, który wyjaśnił mi, że taka historia wydarzyła się naprawdę w dziewięćdziesiątym trzecim roku, u niejakiego Bobbitta. Nie był to odosobniony przypadek, takie incydenty zdarzały się w Stanach, co podobno przyczyniło się do mniejszej liczby zdrad wśród małżeństw.

– Ale co to ma do rzeczy? To mąż odcina sobie penis, żeby ukarać żonę.

– Niemożliwe! Żaden facet nie zrobiłby czegoś takiego.

Gruby interpretował wszystko we właściwy sobie sposób, ale dzięki temu zrozumiałem wskazówkę taty. Nawet dzisiaj, kiedy gotów jestem zrezygnować z czegoś fajnego przez swój głupi upór, przypominam sobie tamtą przypowieść o mężu i często zmieniam zdanie. Tata był super, dzięki tej wariackiej historii unikałem w życiu wielu głupot.

Kelner przyniósł przystawki: iberyjską szynkę dla mnie i mozzarellę, również z szynką, dla Vittoria. Jego porcja jest ogromna. Kroi kawałek i wsuwa do buzi, z kącika ust cieknie mu strużka mleka. Wraca do przerwanego wątku.

– Mój ojciec był podobnym człowiekiem do twojego. Prostym, pracowitym, bez poczucia humoru, choć czasami odnajdywał go w codziennym życiu. – Wyciera usta serwetką, nadziewa plasterek szynki na widelec, mówi dalej z pełną buzią: – Lubiłem twojego tatę. Przed ślubem z Fabiolą nasi rodzice dość burzliwie dyskutowali, co było absolutnie naturalne. Mój ojciec nie chciał sprezentować nam domu, a koszty wesela okazały się wyższe, niż zakładaliśmy...

Opowiada o sprawach, o których nie miałem pojęcia i które w ogóle mnie nie obchodzą. Oczami wyobraźni widzę mojego tatę podczas tych dyskusji. Nie znosił rachunków, dla niego pieniądze były środkiem do życia, a nie celem samym w sobie, przez co w ogóle go nie interesowały.

– W końcu doszli do porozumienia, ale ja się sprzeciwiłem i pokłóciłem się z twoim tatą.

A jednak! Jak nudne musiały być te przygotowania do ślubu, lista gości, tyle decyzji do podjęcia, a przede wszystkim dyskusje z Vittoriem i jego ojcem. Od razu widać, że są identyczni, mówią głównie o sobie, nie słuchają innych, nie są ciekawi ich opinii.

– W końcu znaleźliśmy rozwiązanie, które jak zwykle leżało w połowie drogi. – Mówi te wszystkie banały, pałaszując kolejne danie, maltagliati z borowikami.

Spoglądam na zegarek, zrobiło się późno. Pod stołem wysyłam SMS-a do Grubego, że nie zdążę na czas. Po chwili dostaję od niego wiadomość, że on również. Wie, jak wprawić mnie w dobry nastrój. W końcu kelner podaje drugie danie. Gdy ostatni kęs giczy cielej znikają w ustach Vittoria, ponownie sprawdzam czas.

– Wybacz, ale naprawdę muszę już iść. Niebawem wróci Valeria i chcę być w domu, poza tym mama...

– Jasne, rozumiem. – Wyciera usta serwetką i dolewa sobie wina. – Nie martw się,

rachunek zostaw mnie.

Jeszcze tego brakowało, żebyśmy podzielili koszty po połowie, zważywszy na to, ile zjadł! Uwielbiam brać go pod włos.

– Dobra, dzięki.

Zbieram się do wyjścia, ale Vittorio jeszcze mnie zatrzymuje.

– Słuchaj.

– Tak?

– Co mam powiedzieć Fabioli? Bardzo jej zależało, byśmy zjedli kolację i pogadali.

– Powiedz jej, że czasami trudno jest rozmawiać, będzie wiedziała, o co chodzi.

– Oczywiście. – Kiwa głową zadowolony, jakby takiej odpowiedzi się spodziewał.

Prowadzę szybko samochód, starając się nadrobić stracony czas, kiedy dostaję SMS-a. Jestem niemal pewny, że Gruby chce wiedzieć, co się ze mną dzieje. Tymczasem to od Fabioli. Ma niezwykle wyczucie chwili.

„Jak poszło? Powiedziałaś mu?”

„Jasne!”, odpisuję natychmiast. Nie czekam długo na jej odpowiedź.

„Jak to przyjął?”

„Bardzo dobrze. Powiedział, że już przez to przechodził”.

Przecież wszystko nie może być na mojej głowie, prawda?



Gruby z dziewczynami jest u Renata i Luisy na via dei Barbieri 25, na tyłach largo Argentina.

Kiedy wchodzę, siedzą już przy stole i dobrze się bawią. Renato udaje iluzjonistę, wyciąga spod serwetki kwiaty oraz sprawia, że znikają kromki chleba.

– Renato, zostaw pieczywo! Jest zbyt dobre! Kwiatami się nie najemy.

Mój przyjaciel jest niereformowalny. Przysiadam się do nich i natychmiast zapominam o Vittorio, Fabioli i ich problemach.

– Gdzie byłeś? Co się z tobą działo? Ania się martwiła... – Puszczą do niej oczko. – Moim zdaniem szaleje za tobą. Dzisiejszy wieczór będzie jak kromka chleba posmarowana nutellą... Musisz ją tylko ugryźć!

– Na razie mam ochotę na coś słonego. – Sięgam po paluszki grissini.

– A, idź ty, tobie trudno dogodzić...

– Żartowałem.

– Wyluzuj się, stary, spróbuj tego!

Okrągły chlebek pagnotta jest wyborny, rozpływa się w ustach. Smakuje twarogiem, chyba ricottą, i miętą. Gruby, jak na konesera przystało, zamówił do przystawek białe sauvignon.

– Luisa, musisz oczarować dla mnie te dziewczyny!

– Nie, nie wezmę na siebie żadnej odpowiedzialności. – Kobieta potrząsa głową.

– Nic się nie martw. – Gruby zwraca się do Ani i Pauliny: – Kto jest bez *colpa*? Wiecie, co to *colpa*?

Obie przytakują.

– Niech pierwszy rzuci kamieniem... znacie to? Słowa Jezusa Chrystusa!

Ania się śmieje, Paula ją szturcha.

– Proszę, ser provolone zapiekany ze śliwkami. – Luisa stawia talerz na środku stołu. – Oraz cukinia nadziewana ricottą i pestkami słonecznika... Jeśli z takim menu nie stracą dla was głowy, wina będzie leżała po waszej stronie! – Zostawia nas odurzonych zapachem dań wyjętych przed chwilą z pieca.

Dziewczyny próbują potraw. Dmuchają na nie, bo są gorące, ale w smaku okazują się bardzo delikatne. Ricotta rozpływa się w ustach, a cukinia oprószone anchois jest bajeczna. Ania aż mruży oczy.

– *Fantastico*.

– Jak twoje pocałunki.

Przysuwa się i całuje mnie w usta.

– *Gdzie byłeś? Już myślałam, że nie przyjdiesz. Wiesz, czego się bałam? Że spotkałeś swoją dziewczynę.* – Przez chwilę nic nie mówi. – *Muszę przyznać, że zrobiło mi się smutno... No, ale jesteś wreszcie!* – Uśmiecham się do niej, udając, że zrozumiałem, co powiedziała. Chyba coś miłego, sądząc po tym, jak głaszcze moją rękę.

Nadzievam na widelec plasterek sera i karmię nim Anię. Odgryza połowę, odsuwa moją dłoń: mam zjeść resztę. Tak też robię. Smak sera ze śliwkami jest niesamowity, jednocześnie słony i słodki.

– To ich specjalność. – Gruby patrzy na mnie zadowolony. – Dobrze, nie? Słodkie i słone... *Dolce e salato*, jak inne dania.

– *Pycha!*

Na stół wjeżdżają kolejne smakołyki: mięsne pulpeciki, marynowane anchois z pomarańczami oraz wybór różnych makaronów, tagliolini z serem, pieprzem i cukinią, tagliolini z anchois i pecorino oraz strozzapreti z truflami i grzybami i strozzapreti all'amatriciana.

– *Ten jest niesamowity.*

– Nazywa się *strozza*.

Gruby zaciska na mojej szyi obie dłonie, udając, że chce mnie udusić. Poddaję się zabawie, wyciągam język i naśladuję agonię. Następnie składa ręce do modlitwy.

– *Preti, priest!*

– *Priest? Uduszony ksiądz? Dlaczego?* – Ania jest zdumiona taką nazwą dla makaronu.

– Nie wiem, ale makaron jest *buonissimo*. – Gruby wzrusza ramionami. – Powtórz za mną. *Strozzapreti* są dobre!

Ania powtarza ze śmiechem. Z jej polskim akcentem brzmi to bardzo zabawnie. Przychodzi mi na myśl Alberto Sordi.

– Znasz Alberta Sordiego?

– *Sordiego, nie. Kto to jest?*

– Bardzo znany, *very nice* człowiek... „Sprowokowałyście mnie? No to was zjem!” – Naśladując Sordiego, przypuszczam atak na tagliolini. W sumie to oczywiste, że go nie znają, są za młode. Po obejrzeniu *Amerykanina w Rzymie* pomyślałem, że fajnie jest podróżować, poznawać inne kraje, inne języki, kto wie, może w końcu mnie również to spotka.

– Proszę, drugie danie! – Tym razem obsługuje nas Renato, zongluje umiejętnie talerzami, które trzyma w obu dłoniach. – Drobnio siekane mięso z orzechami, zrazy z bakłażanów, pieczona golonka z ziemniakami! – Na każdym talerzu znajduje się po trochu każdego z trzech dań. Gruby wybrał czerwone wino.

– To wyborne montepulciano, powąchajcie, spróbujcie.

Nalewa wszystkim do kieliszków. Naprawdę smaczne, trochę mocniejsze od białego,

które piliśmy wcześniej.

- Czujesz, jakie jest mięsiste?
- Gdzie się tego nauczyłeś?
- Beatrice skończyła kurs dla sommelierów.
- Naprawdę? Po co?
- Jej tata jest właścicielem sklepu z winami, w którym Beatrice ma pracować.

Nauczyła mnie paru rzeczy.

- Twojej drugiej dziewczyny nie zastanawia, skąd masz taką wiedzę o winach?
- Myśli, że z internetu.

– Pewnie, już cię widzę, jak robisz kurs dla sommelierów podczas ściągania pornoli!

– No dobra, ale Deborah nie zadaje mi żadnych pytań, poza tym jej tata ma restaurację, więc uczę ją, jak dobierać wina.

– Nie wątpię, a Lucia, ta od pubu, odkrywa przed tobą tajniki piwa.

– No widzisz?! Krok po kroku i w końcu stanę się wykształconym człowiekiem. W oczach cudzoziemców będziemy uchodzić za naród, który kocha własną kulturę, również tę kulinarną. À propos, widziałeś, jakie *coolinarne* z nich laski? Jak marzenie, prawda?

Śmieje się jak wariat z własnego dowcipu.

– Musicie tego spróbować, to specjalność zakładu. – Przed nami stają razem Renato i Luisa. Nie wiem, które z nich jest szefem kuchni. Może żadne, gotuje ktoś inny, zresztą nieważne, goszczą nas jak przyjaciół we własnym domu. To chyba najlepsza rekomendacja dla restauracji.

– Proszę, czekoladowy tort z kremem z mascarpone.

Przed każdym z nas ląduje talerzyk z deserem. Paulina nie czeka na żadne wyjaśnienia, nabiera na łyżeczkę sporą porcję i pałaszuje jak rozpieszczone dziecko.

– Mmh. Buonissimo!

Gruby nie pozostaje w tyle. Wyglądają, jakby się ścigali, wiosłują łyżkami, szurając nimi hałaśliwie po talerzach, w końcu Gruby wygrywa.

– Skończyłem! – Patrzy na Paule, w jego spojrzeniu maluje się pożądanie i satysfakcja.

– Zamawiamy dokładkę? *Another one?*

Kilka minut później wychodzimy. Muszę przyznać, że kolacja była fantastyczna.

– Chodźcie, mam genialną propozycję, jestem pewny, że was zamuruje... *I have a big idea...*

Przechodzimy przez dawne getto, mijamy Bartarugę na piazza Mattei, potem mały zaułek, skręcamy w prawo i docieramy na via di Sant’Ambrogio.

– Jesteśmy na miejscu, czekają na nas.

– AcquaMadre Hammam – czytam napis nad wejściem. – Niemożliwe. Turecka

łaźnia... Nie mam kąpielówek.

– Pomyślałem o tym! – Z torby przewieszanej przez ramię wyjmuję siatkę z czterema strojami kąpielowymi. – Paulina, Ania, to dla was, to dla ciebie, a to dla mnie. Tak czy inaczej będziemy sami, moglibyśmy wykąpać się nago. – Puszczą do mnie oczko i znikają w głębi lokalu. – Cześć, Manu, oni są ze mną. Ustaliłem szczegóły z Armandem.

Manu, ładna dziewczyna z kolczykiem w nosie, jest zbyt zajęta tym, co dzieje się na ekranie komputera, nawet na nas nie spojrzy.

– Okay. Znasz drogę?

– Tak. – Gruby szybko pokonuje schodki prowadzące w dół, idziemy w jego ślady. – Wy tędy. Pasują wam kostiumy? Podobają wam się *colori*?

– *Tak, perfetto. Rozmiary też są nasze!*

– Mam dobre oko... – Puszczą oczko do Pauliny, która kręci głową z rozbawieniem.

– *Crazy z ciebie!*

– Oczywiście, *di te...*

Chwilę później jesteśmy z Grubym w wodzie. Cudowna, ma idealną temperaturę. Czekamy na dziewczyny.

– Udany wieczór, nie? Pyszna kolacja, a teraz tutaj, jak starożytni Rzymianie, choć mamy lepiej od nich.

– Dlaczego lepiej?

– Oni nie mieli cudzoziemek! Ssss! – syczy przeciągle jak grzechotnik i szczypie mnie między nogami.

– Przestań! – Szybko się odsuwam.

– Do tego wszystko jest już opłacone, czego chcesz więcej?

– Faktycznie, nie wierzę własnym oczom, to znaczy własnym kieszeniom!

– Jak ja coś mówię, to na serio! Są i dziewczyny.

Unosząca się w pomieszczeniu para tworzy delikatną mgiełkę, która towarzyszy im przez całą drogę od przeszklonych drzwi. W końcu wyłaniają się z niej, wesoło rozmawiając.

– Nie, znalazły ręczniki.

Gruby jest wyraźnie zawiedziony. Ale kiedy podchodzą do basenu, niemal jednocześnie zrzucają ręczniki na posadzkę. Paulina jest trochę skrepowana, zakrywa się dłońmi i szybko wchodzi do wody. Ania wydaje się bardziej pewna siebie, powoli zbiera włosy w kucyk, trzymając w ustach gumkę, związuje je z tyłu głowy. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie mogę oderwać oczu od jej piersi, pełnych i jędrnych, do których kostium wybrany przez Grubego idealnie przylega. Dostrzega moje zainteresowanie i wybucha śmiechem. Wchodzi do basenu i siada obok mnie, opiera plecami o ścianę, zamyka oczy i się odpręża. Woda jest bardzo gorąca. Dzwoni komórka Grubego, którą położył koło basenu. Nie słyszę, o czym rozmawia. Jestem zajęty Anią, która przysunęła

się bliżej i gładzi mnie po udzie. Usiłuję zająć myśli czymś innym.

– Podoba ci się tutaj?

– *Tak, świetne miejsce! Ty też jesteś świetny. Te wakacje są zupełnie inne. Koleżanki opowiadały mi o swoich doświadczeniach z Włochami, ale nie zawsze były to dobre wspomnienia. Zostały poderwane na piazza Navona albo w jakimś klubie i chłopaki chcieli od razu zaciągnąć je do łóżka... Ty jesteś inny.* – Nagle przerywa. – *Zrozumiałeś?* – Patrzę na nią skonsternowany. – *Zrozumiałeś?* – powtarza wolniej.

– Chyba tak... to znaczy... coś zrozumiałem!

Potrząsa głową, daje nura pod wodę i podpływa do Pauliny. Rozlega się muzyka.

„Chcesz udawać Amerykanina, Amerykanina, ale jesteś z Włoch”.

– Podoba ci się? Poprosiłem Armanda, żeby ją puścił. Dzisiejsza noc należy do nas! Sam zobaczysz. Ssss... – Gruby znowu syczy jak grzechotnik i szczypie mnie w przyrodzenie.

– Aua! – Odskakuję w bok.

Tymczasem Ania rozmawia z Paulą i co chwila na mnie spogląda, mówi o jakimś postanowieniu, że tak będzie i koniec, kropka. Paulina coś odpowiada, Ania kręci głową, w końcu Paula wzrusza ramionami, akceptując decyzję przyjaciółki. Wtedy, jak w filmowej scenie wymiany zakładników, Ania rusza w moją stronę, a Gruby płynie do Pauliny. Tylko że w filmach dzieje się to zazwyczaj na jakimś moście, zakładnicy idą powoli, a kiedy docierają do swoich wybawców, rzucają im się na szyję. Natomiast Ania zaczyna mnie całować i pieścić, szepce mi czułe słówka do ucha, potem się odsuwa i patrzy uważnie. Jest piękna. Jej dłoń wędruje w górę po moim udzie, aż w końcu czuje moje pożądanie. Przyciągam ją do siebie, kładę rękę na jej piersiach, są jeszcze pełniejsze, niż myślałem, krągłe i ciężkie. Zsuwam dłoń na jej szczupłe biodra, na których nie ma grama tłuszczu, ale w dotyku są bardzo miękkie. Sunę niżej, na podbrzusze. Jej skóra jest jedwabiście gładka i napięta, brzuch płaski. Zsuwam dłoń jeszcze niżej... Ciałem Ani wstrząsa dreszcz, rozsuwa nogi, a ja zanurzam palce pod jej kostium, tak skąpy, że po raz pierwszy doceniam geniusz Grubego.

Spoglądam w jego kierunku. Siedzi oparty o ścianę basenu na przeciwległym brzegu. Jest absolutnie zrelaksowany, ma zamknięte oczy i daje się niespiesznie całować Paulinie, zgodnie ze swoją filozofią, że na wszystko jest czas. Jak widać, ten czas jeszcze dla nich nie nadszedł.

Ania szepce mi do ucha polskie słowa, poruszam palcami w jej wnętrzu, przygryza moje wargi, potem uszy, ociera się o moje ciało, aż w końcu szczytuje. Opada na mnie i obejmuje z całych sił.

– Zamykamy! – W przeszklonych drzwiach niespodziewanie pojawia się dziewczyna z recepcji. – Macie dziesięć minut! – Znika, zostawiając drzwi otwarte.

– *W samą porę...* – szepce, całując mnie, Ania. Szybko wychodzi z wody, sięga po ręcznik, nie owija się nim jednak, i idzie w kierunku przebieralni. Natomiast Paula, która kroczy za nią, jest cała opatulona.

Gruby napada na mnie jak jastrząb.

– Niech mnie, jaka laska z tej Ani! Zajebista! Ma tyłek do dymania i cycki do miziania! Widziałem, jak jej było dobrze, cała się gotowała!

– Wydawało mi się, że spałeś.

– Akurat, nigdy nie tracę czujności!

Po raz trzeci syczy jak grzechotnik, jest zbyt szybki i nie udaje mi się uskoczyć.

– Aua, przestań!

– Pyton ujarzmiony!

Wychodzimy z przebieralni odprężeni i czekamy w holu na nasze przyjaciółki. Dziewczyna z recepcji wręcza nam foldery.

– Jeśli mielibyście ochotę wrócić do nas w ciągu dnia, mamy bardzo szeroką ofertę, robimy peeling, masaże błotne, masaże z wykorzystaniem oleju arganowego i masła karite, maseczki z gliny i wiele innych zabiegów. Jeśli wykupicie abonament, dostaniecie upust. – Po chwili dodaje: – Okay, wasze przyjaciółki też dostaną rabat.

– Dzięki, zastanowimy się, jesteśmy przyjaciółmi Armanda... – przerywa jej Gruby.

– Okay, jak chcecie.

Dziewczyna wraca do komputera. Chyba dostaje procent od sprzedanych abonamentów, w przeciwnym razie niezrozumiałe byłoby jej zainteresowanie. W końcu zjawiają się Ania i Paulina, mają miękkie wilgotne włosy i zaróżowione policzki, rozgrzane ciepłem panującym w przebieralni.

– Chodźmy... Mam dla was niespodziankę!

Gorąca woda w basenie nie rozleniwiła chyba tylko Grubego. Adrenalina buzuje mu w żyłach jak zawsze. Bierze Paulę za rękę i wychodzi z AcquaMadre.

– Proszę bardzo! Jak wam się podoba? Pojedziemy na *romantica* przejażdżkę po Rzymie.

Przed nami stoi dorożka.

– Nazywa się *botticella*!

– *Boticela*... – powtarza Paulina.

– *Bene*, ale przez dwa „t” i „l”. *Botticella*, oni kochają konie... Prawda, Cristiano?

– Ale co? – Stangret poprawia sobie na głowie cylinder i patrzy zaciekawiony na Grubego. – O czym mówisz?

– Że kochacie swoje konie.

– Pewnie, i to bardzo! Dbam, by mój nie był zmęczony, robi najwyżej dwa kursy dziennie, i zainstalowałem specjalne duże gumowe koła, które ułatwiają mu pracę! Powiedz im, że jestem miłośnikiem zwierząt. Tradycja dorożkarska musi przetrwać! W całej Europie są dorożki, a to my, Rzymianie, je wynaleźliśmy... Tymczasem właśnie w naszym mieście ich byt jest zagrożony.

– Tak, to był nasz pomysł, na który Rzymianie wpadli już w czasach cesarstwa... No, wiecie, jak gladiator, Russell Crowe, znacie ten film? To tak samo! Kochamy konie.

Pomagamy dziewczynom wsiąść do dorożki i ruszamy na objazd Rzymu.

Cristiano podaje nam butelkę szampana. Gruby zmaga się z jej otwarciem, w końcu korek strzela, kiedy przejeżdżamy przez piazza Venezia. Gruby stoi na szeroko rozstawionych nogach i łapie równowagę jak surfer na desce, nalewa nam szampana do kieliszków. Dorożka podskakuje na rzymskim bruku i mknie po via del Corso, potem po via del Tritone, po lewej stronie mijamy piazza di Spagna, a Ania i Paula wznoszą jeden toast za drugim.

– *Czy zawsze, jak będziemy tu wracać, Rzym będzie taki bello?!*

Opróżniają kieliszki do dna i podstawiają po dolewkę, teraz jedziemy via San Sebastianello, mijamy piazza Trinità dei Monti. Koń biegnie szybkim równym tempem, jakby nie czuł naszego ciężaru, koła obracają się miarowo i cicho po viale Gabriele d'Annunzio i viale di Villa Medici w Pincio. Otuleni mrokiem parku i skryci pod rozłożystymi koronami drzew, ja i Ania się całujemy. W pewnym momencie Ania odsuwa się ode mnie, bierze moje policzki w dłonie, jakby nie chciała mnie puścić, jakby chciała coś powiedzieć, i... odzywa się po włosku:

– Bardzo mi się podobasz.

Uśmiecha się niepewna, czy mówi poprawnie. Tymczasem powiedziała to jak rodowita Włoszka, a ja, mimo że znam własny język doskonale, milczę, jak tyle razy wcześniej zdarzyło mi się to z Alessią. Patrzę na Anię, jest romantycznie i pięknie, gdybym tylko potrafił powiedzieć „Kocham cię”.

– Gdzie masz samochód?

– Tam na tyłach, zatrzymaj się tutaj, będzie prościej.

Ja i Ania wysiadamy z dorożki. Gruby macha nam na pożegnanie, siedząc obok Pauliny.

– Dokąd teraz idziecie?

– Jeszcze nie wiem, dlaczego pytasz?

– Nie zmarnuj tego wieczoru, obie są napalone jak kotki!

– Nie mają przypadkiem trzeciej koleżanki? – włącza się rozbawiony Cristiano.

Gadajcie tak dalej, jestem przekonany, że one świetnie rozumieją włoski. Gruby zanoszą się rubasznym śmiechem, aż zaczyna brakować mu tchu. Nagle poważnieje.

– Nicco, nie wybierasz się czasem na via del Fico, do tego baru na tyłach piazza Navona?

– Raczej nie, a co?

– Bo dziś wieczorem Bea miała iść tam na kolację z jakąś przyjaciółką.

– Jest północ.

– Wiem, ale nie dostałem od niej żadnego SMS-a... Natomiast Debby była w Carbonara na Campo dei Fiori. Nawet planowałem zabrać tam dzisiaj Anię i Paulinę, na szczęście kelner, który nas zna, uprzedził mnie, że jest tam Debby, zresztą z nią nie będzie problemu.

– Dlaczego?

– Wysłała mi SMS-a na dobranoc. Jest w domu i pewnie już śpi.

– Okay.

– Generalnie byłoby lepiej, gdybyś nie kręcił się po mieście. Powiedziałem Beatrice, że będziemy u ciebie w biurze albo w domu rozpracowywać rewolucyjne rozwiązania internetowe.

– Co? U mnie w domu? A jeśli zadzwoni?

– To powiem, że byliśmy w biurze.

– A jeśli zadzwoni do biura?

– No dobra, poddam się.

– Możesz mi powiedzieć, o jakie rewolucyjne rozwiązania internetowe chodzi?

– Skąd mam wiedzieć! Czy nie wydaje ci się, że gdybym znalazł jakieś rewolucyjne rozwiązanie internetowe, robiłbym w życiu coś zupełnie innego? No weź! Na razie, Nicco!



Cristiano potrząsa lejcami i koń, który, jak się okazało, ma na imię Bronto, rusza. Dorożka znika za rogiem piazza Mancini.

Idziemy do mojego samochodu. Dookoła panuje cisza, z oddali dobiegają odgłosy ulicznego ruchu. Pod ponte Duca d'Aosta leniwie płynie Tyber. W głębi widać wielki uśpiony Stadion Olimpijski.

– Mam dla ciebie *surprise*, pójdiesz ze mną?

– *Pewnie, uwielbiam twoje pomysły, świetnie się bawię i myślę, że nigdy nie zapomnę tych vacanza.*

Przez chwilę nic nie mówię, następnie, naśladowując ton głosu Grubego, pytam:

– *Sicura?*

– *Pewnie!*

Wsiadamy do samochodu, otwieram dach i włączam radio... „Będzie przepięknie, ponieważ radość i cierpienie mają z Tobą ten sam smak, chciałbym tylko, aby noc teraz szybko minęła i wszystko to, co masz mojego, nagle nie wróciło, i pragnę miłości i całej uwagi, jaką potrafisz dać, i chcę obojętności, jeśli kiedyś zechcesz mnie zranić”. Całkiem przypadkiem natrafiliśmy na *Ti scatterò una foto...* Czasami myślę, że to przeznaczenie podaje nam na tacy niektóre genialne rozwiązania. Prowadzę pewnie samochód, Ania odrzuciła głowę do tyłu, zdjęła gumkę, jej włosy falują na wietrze. Czuję się tak lekko. Nie ma nic piękniejszego na świecie od muzyki, wiatru, samochodu i pięknej dziewczyny u boku. Mylę się, nie ma nic piękniejszego od Ani. Ściskam ją za rękę, siedzi z zamkniętymi oczami, opierając się o zagłówek. W pewnym momencie odwraca się powoli w moją stronę, otwiera zielone oczy i wpatruje się we mnie w milczeniu. Po jej twarzy błądzi uśmiech, w którym zawarte jest piękno chwili, którą właśnie wspólnie przeżywamy. Ja i ta Polka, ja i cudzoziemka, której w dziewięćdziesięciu procentach nie rozumiem! Może dlatego tak mi z nią dobrze? Czy dwie tak różne osoby mogą się w sobie zakochać? Co będzie z nimi potem? Zazwyczaj kiedy kogoś poznajemy, okazuje się, że mamy coś wspólnego, znajomego, szkołę, jakąś imprezę, koncert, miejsce, w którym oboje byliśmy. Z nią tego nie ma. Nie ma żadnej wspólnej przeszłości. Czy jest przyszłość? Dlaczego ludzie tak dużo myślą o przyszłości? Dlaczego nie możemy żyć chwilą obecną? Tata zawsze powtarzał, że każdy coś zaczyna od poniedziałku albo od jutra, że czeka, aż coś się wydarzy, a tymczasem traci dzień dzisiejszy.

Bato myśli podobnie, również Guido Pietra. Tylko Gruby inaczej się na to zapatruje. Ja również skupiałem się raczej na przyszłości, ale dziś wieczorem, chyba po raz pierwszy w życiu, czuję, że chcę tego, co tu i teraz.

Jedną ręką trzymam Anię, drugą prowadzę samochód, spoglądam na nią ukradkiem i czuję się jak młody bóg. Dzisiejsza noc będzie niezwykła do samego końca. Jak brzmią ta łacińska sentencja? *Carpe diem!* Parkuję bez problemu, jest środek nocy i o tej porze nie ma ludzi. Wsiadamy, zamykam dach i wyciągam torbę z bagażnika.

– Chodź.

– Dokąd?

– *Sorpresa*. – Wyjmuję z torby pęk kluczy.

– *O, mnóstwo kluczy! Czy one otwierają bramy niebios? Jesteś świętym Piotrem?* – Zalewa mnie potok jej słów, jednak jestem pewien, że opowiada o czymś zabawnym, może nawet ciekawym. Jeśli mam się zastanawiać nad przyszłością, jedno jest pewne: zacznę uczyć się języków!

Wreszcie znajduję właściwy klucz i otwieram wejściowe drzwi. Ania idzie za mną, wchodzimy do holu, który jest naprawdę imponujący.

– *Tu jest nieziemsko! To twoje? Do you live here?*

– *Sometimes*.

– *Co to znaczy „sometimes”?* – Patrzy na mnie zaskoczona.

Wsiadamy do windy, wciskam siódmą, ostatnie piętro.

– *To się nazywa *multiproprietà*. Rozumiesz?*

– *Nie, ale to bez znaczenia. Co ma być, to będzie.*

– Na pewno masz rację!

Przytakuje, wydaje mi się to najlepszym sposobem wybrnięcia z sytuacji. Wjeżdżamy na nasze piętro. Mam fart, od razu znajduję właściwy klucz. Wkładam go do zamka i przekręcam, dziwne, drzwi są otwarte. Wchodzimy do środka, w salonie palą się światła. Ktoś tu jest. Nie chce mi się wierzyć! Jak to możliwe?

– Chodź ze mną.

Kuchnia powinna znajdować się po lewej stronie. Nie mylę się, dobrze zapamiętałem rozkład apartamentu.

– Poczekaj tu na mnie. Zaraz wracam.

Zapalam światło i wskazuję Ani taboret. Rozgląda się zaskoczona po kuchni.

– *To miejsce jest niesamowite, chyba źle cię oceniłam, wyglądasz na skromnego chłopaka, tymczasem jesteś miliarderem!*

– Nie rozumiem, co mówisz. Wracam za pięć minut.

– *Dokąd idziesz?*

– Chcę ci zrobić *sorpresa*.

Zostawiam ją samą. Kto tu może być? Właściciele? Pomysł z przyprowadzeniem jej do tego wartego cztery miliony euro penthouse’a wydał mi się genialny. Widok z jego okien jest niesamowity, na Koloseum i Fori Imperiali. Chodzi nie tyle o *carpe diem*, ile o chwytnie wszystko, tymczasem ktoś zniweczył moje plany. Jak ja z tego teraz wybrnę? Mogę powiedzieć, że Ania jest cudzoziemką pracującą dla międzynarodowej agencji nieruchomości i że dzięki niej można by wynegocjować wyższą cenę przy sprzedaży, ale nie sądzę, by mi uwierzyli.

– Jest tu ktoś?

Przemierzam salon, idę w stronę sypialni.

– Halo, przepraszam, czy jest tu ktoś?

Z drzwi na końcu korytarza wyłania się Gianni Salvetti.

– Cześć, Niccolò. Widzisz...

– Niemożliwe, Gianni, co ty tu robisz?

Z tego co wiem, jest żonaty, a w biurze uchodzi za największego smutasa ze wszystkich pracowników. Kogo on tu przyprowadził?

– Słuchaj, nie widziałeś mnie tu, okay? – Podchodzi do mnie z głupim uśmiechem na twarzy. Zawsze traktował mnie jak skończonego dupka, a teraz nagle stałem się sympatyczny i inteligentny. – Nie widziałeś mnie tu. Musisz to dla mnie zrobić. Przyszedłeś pewnie ze znajomymi?

– Z przyjaciółką. Wiesz, ja nie jestem żonaty.

Salvetti zamyka oczy. Patrzę na niego z zadowoleniem. W życiu sprawy przybierają różny obrót i kiedy masz okazję się odegrać, trzeba ją wykorzystać. Nie należy oczywiście przesadzać, ale też nie unosić się dumą i zasłaniać szlachetnością, jak niejednokrotnie słyszałem w rozmowach Fabioli z koleżankami, kiedy radziła im, by były ponad pewne zachowania, gdyż „noblisse oblesse” czy jakoś tak. Nie, nie, w tym momencie wyraz twarzy Gianniego Salvettiego sprawia mi prawdziwą rozkosz. Któż by sobie tego odmówił?

– Wiesz, Nicco, ująłbym to w ten sposób: nie spotkaliśmy się, mam rację?

– Właściwie to się spotkaliśmy, ale jeśli teraz wyjdiesz stąd ze swoimi... przyjaciółmi, puszcze nasze spotkanie w niepamięć.

– Okay... Wiedziałem, że jesteś w porządku, że można na tobie polegać. Benedetta zawsze to powtarzała, doktor Bandini również. Cieszę się, że od teraz nasze stosunki się zacieśnią. Przepraszam, że często nie miałem dla ciebie czasu, byłem zbyt zajęty pracą, ale teraz to się zmieni. Jeśli czegokolwiek będziesz potrzebował, możesz na mnie liczyć.

Klepie mnie po plecach.

– Tak więc, Nicco, jeśli mógłbyś się stąd oddalić, to ja i „moi przyjaciele” po cichu wyjdziemy.

– Jasne.

Gianni Salvetti wraca do sypialni. Dopiero teraz dostrzegam, że spod marynarki wystaje mu wywleczona ze spodni koszula, a sznurowadła ma rozwiązane. On i „jego przyjaciele” zaraz sobie pójdą i nie chce, bym ich spotkał. No pewnie.

Wracam do kuchni.

– *Five minuti*. – Ania wzrusza ramionami i potakuje. Sięgam do torby, którą ze sobą przyniosłem. – Chcesz się napić *qualcosa*?

W głębi mieszkania trzaskają drzwi. Daję Ani znak, by była cicho. Wychodzę z kuchni. W ostatniej chwili sięgam po telefon i włączam kamerę. Gianni Salvetti podchodzi do głównych drzwi, jedyne wyjście poza tylnym, kuchennym. Szybko je

otwiera, stoi oświetlony blaskiem lamp z korytarza i daje znak „swoim przyjaciółom”, by się pospieszyli.

– Chodź, nikogo nie ma!

Z pokoju w głębi wyłania się Marina, dziewczyna od niedawna zatrudniona w naszej agencji. Nie wierzę własnym oczom, on, który tak ją krytykował: „Jak to się dzieje, że czasami one są równie piękne, jak głupie? To chyba kwestia montażu”.

Wygląda na to, że Gianni Salvetti uporał się z problemem głupoty i skupił się na montażu.

Dostrzega mnie w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi, stoję w korytarzu z komórką w ręku i wszystko filmuję. Blednie, ale wie, że już za późno, może jedynie zamknąć za sobą drzwi i odejść. Nie spodziewałem się po nim czegoś takiego. Wszystkich zaskoczył. Widzisz, Gianni Salvetti, życie jest pełne niespodzianek, tak samo jak ludzie.

Wracam do kuchni.

– *Hej, zaczynałam się martwić.*

– Wszystko w porządku, przepraszam... – Wyjmuję z zamrażalnika butelkę szampana, którą schowałem po przyjęciu, a z torby dwa kieliszki.

– *No, no, jesteś jedną wielką niespodzianką. Ale jeśli tak miałyby wyglądać moje życie, wchodzę w to!*

Otwieram butelkę, celując w przejście między kuchnią a salonem. Korek wyskakuje i ląduje w pobliżu białych kanap. Napęlam kieliszki.

– Chodź, obejrzymy dom.

Oglądamy apartament, popijając szampana. To miejsce jest niesamowite. Podciągam rolety, do salonu wpada światło księżyca.

– Chodź.

Wychodzimy na przestronny taras.

– *Jak tu wysoko!*

– Widzisz? Tamtędy dawno temu wjeżdżały wozy, to jedna z największych ulic Rzymu. Tu jest piazza Venezia, Palatyn...

– *Poczekaj.* – Wbiega do salonu i zaraz wraca z planem miasta.

– Okay, pokażę ci, gdzie jesteśmy...

Opowiadam jej o Rzymie, konfabulując tam, gdzie braknie mi wiedzy, pokazuję zabytki, przywołuję imiona i nazwiska dowódców i cesarzy, a nawet daty bitew. Gdybym ani razu się nie pomylił, na maturze dostałbym sto punktów, a nie sześćdziesiąt pięć! Profesor Leone Giorgi nigdy nie obniżyłby mi oceny. Popijamy szampana i zwiedzamy penthouse, który jest naprawdę duży. Nie rozstaję się z butelką i z torbą, w której mam wszystko. Wchodzimy po ślimakowych schodach prowadzących do głównej sypialni. Zdaje się, że Gianni Salvetti zbyt pobieżnie przestudiował rozkład

apartamentu, w przeciwnym razie tu przyprowadziłby „swoich przyjaciół”.

Odstawiam butelkę szampana, sięgam po pilota i podnoszę żaluzje. Jestem pewien, że w innych okolicznościach nie znalazłbym go tak szybko albo nie byłoby baterii, albo byłyby popsute, ale nie dzisiaj, dzisiejsza noc jest wyjątkowa. Ania podchodzi do mnie i zaczynamy się całować. Ona też jest wyjątkowa. Rozpina mi koszulę. Powstrzymuję ją.

– *Un momento.*

Patrzy na mnie skonsternowana i zaskoczona, chyba myśli, że nie chcę tego z nią zrobić.

– Nie, wszystko *bene*. Nie zwariowałem. – Śmieje się, gdy tymczasem ja wyjmuję z torby ciemną jak noc pościel. – Pomóż mi.

Ścielimy łóżko. Ania spogląda na mnie co chwila z błyskiem w oku, a ja przesyłam jej całusy. Następnie wyjmuję z torby małą stację dokującą i podłączam do niej iPhone’a, wybieram ulubioną playlistę i włączam muzykę. Na początek Rihanna i *Diamonds*. Podchodzę do Ani, gładzę ją po włosach, znów się całujemy. Tracę poczucie czasu, widzę jej skórę rozświetloną blaskiem księżycy i piękno jej ciała. Teraz leci piosenka Pink *Try*, opadamy na łóżko, tak samo jak bohaterowie teledysku, nawzajem rozpinamy sobie spodnie. Ania szybko je z siebie zsuwa, figi też. Pieszczę ją, znowu jest pełna pożądania, wilgotna i miękka, pachnie szampanem. Rozbiera mnie do naga, turlamy się w łóżku w czystej granatowej pościeli, sypialnię oświetla jedynie wpadający przez okno blask księżycy, w oddali słychać szum wielkiego miasta. Rozchyłam pomału jej uda i wsuwam głębiej palce, pragniemy siebie nawzajem. Nagle Ania nieruchomieje.

– *Hej, musimy stare attenti!*

– Jasne.

O tym też pomyślałem, nie chciałem wyciągać prezerwatywy od razu, by nie wyjść na zbyt pewnego siebie, albo, jak mówi Gruby, by nie zapeszać. Ale to mój szczęśliwy wieczór. Zakładam prezerwatywę i delikatnie wchodzę w Anię. Po raz pierwszy w życiu kocham się z cudzoziemką. Nigdy nie widziałem równie pięknej. Kontroluję swoje pożądanie, może to zasługa wypitego alkoholu. Nie spieszę się, całuję ją i czekam, nie muszę wcale myśleć o czymś innym. Ania szepce do mnie po polsku słowa, których nie rozumiem i których nikt nie może mi przetłumaczyć, bardzo mnie to podnieca. Całujemy się namiętnie, mówię do niej po włosku, Ania przygryza moje wargi, wygina plecy w łuk, zamyka oczy, w końcu z jej gardła wydobywa się krzyk. To najpiękniejsza chwila, już nie trzeba żadnych słów, to chwila szczęścia, która mówi sama za siebie.

Leżymy przytuleni, nic nie mówimy, dookoła panuje mrok, księżyc jest już wysoko na niebie, a ruch uliczny znacznie mniejszy. Przychodzą mi na myśl trzy sprawy: po pierwsze możliwe, że w tym chaosie językowym, jej polskich słów i moich włoskich, powiedziałem, że ją kocham. Ale nie sądzę. Po drugie chciałbym móc opowiedzieć o niej tacie, pokazać mu jej zdjęcie, żeby zobaczył, jaka jest śliczna. Po trzecie przez cały wieczór ani razu nie pomyślałem o Alessii, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ją zdradziłem.

– Cześć, Carlo!

– Cześć! – odpowiada naburmuszony.

– O co chodzi?

– Kiedyś przynosiłeś mi kawę.

– Nie złość się, wynagrodzę ci to następnym razem. Wczoraj bardzo późno wróciłem do domu.

– To widać. No cóż, młodość.

Wujek wychodzi i zostawia mnie samego pośród świeżo dostarczonej prasy, pachnącej jeszcze farbą drukarską. To młodszy brat taty. W przeszłości to tata przeważnie miał najwięcej do powiedzenia w sprawach rodzinnych, a mimo to zawsze umieli dojść do porozumienia, co nie jest łatwe. Wydaje mi się, że ludzie generalnie lubią stać na czele, być przed innymi, zajmować ich miejsce. Tak dzieje się w naszej grupie. Nigdy nie wiadomo, kto podejmuje decyzje, Gruby czy Bato, w każdej paczce jest jakiś szef, ale u nas nie został on jeszcze jednoznacznie wyłoniony.

Układam egzemplarze „Dove” i „Cioè”. Odkąd uznano, że gazety z różnymi prezentami, dodatkami i wkładkami sprzedają się lepiej, ważą prawie dwa razy tyle co kiedyś. Większość jest zafoliowana z jakimś badziewiem w środku, które następnego dnia ląduje w koszu na śmieci.

– Dzień dobry, Niccolò, jak się masz?

Wchodzi pani Adele Bandini, jak zawsze elegancka i pachnąca. Zapach kobiety jest bardzo ważny, jest jej wizytówką. Perfumy dużo nam o niej mówią, o tym, kim jest, jaki ma charakter, co zamierza. Dla mnie kobiety używające słodkich perfum są zwyczajne, natomiast uważam za interesujące i pożądane te, które używają trudnych do zdefiniowania zapachów, takich, które masz ochotę powąchać jeszcze raz. Dokładnie tak pachnie pani Bandini.

– To samo co zawsze?

– Tak, dziękuję.

Biorę „Il Tempo”, „La Repubblica”, „Dove” oraz „Ville & Casali” i wkładam wszystko do torebki. Podchodzę do pani Bandini. Tak, nie zmieniła perfum. Są delikatne, z nutką świeżości i róży, nastrajają pozytywnie i z nadzieją. Alessia też pachniała wyjątkowo, choć niejednoznacznie. Natomiast Ania pachnie sobą, prysznicem, dezodorantem i delikatnym balsamem, którym smaruje ciało...

– O czym myślisz? Masz taki rozanielony wyraz twarzy.

– O niczym szczególnym. – Podaję pani Bandini torbę z gazetami. – Myślałem o wczorajszym spotkaniu z przyjaciółmi.

– Była wśród nich dziewczyna?

– Nawet dwie.

Kobieta podaje mi dwadzieścia euro.

– Czy jedna z nich była wyjątkowo ładna?

– Tak, prześliczna. Proszę, reszta.

– Daj mi tylko pięć euro.

– Dziękuję.

– Cieszę się, że cię widzę w takiej dobrej formie. Widać, że trafiłeś na tę właściwą!

– Tak... – Wybucham śmiechem. – Mam nadzieję, że to ja okażę się tym właściwym dla niej.

– Brawo, w końcu zrozumiałeś, że to my, kobiety, dokonujemy wyboru.

Pani Bandini nie ma sobie równych. Nawet w tym wieku pachnie zabójczo.

– Jak ci się podoba w agencji?

– Bardzo.

– Zauważyłeś coś osobliwego wśród swoich kolegów?

– W jakim sensie?

– Różnie się układa w pracy, tyle czasu spędzacie razem, macie ze sobą ciągły kontakt... Pracuje tam sporo dziewczyn, no i mąż mojej córki.

– No tak, oczywiście.

Gdyby wiedziała, że przespałem się z Kałużą, jej wnuczką, i że jej zięć najprawdopodobniej zaciągnął do łóżka nową koleżankę, Marinę, pomyślałaby, że pracujemy w agencji matrymonialnej, a nie nieruchomości. Czy może raczej nazwałbym ją agencją rozwodową.

– Co oczywiście? Powiedziałbyś mi, gdybyś coś zauważył?

– To właśnie miałem na myśli.

Pani Adele kręci głową.

– Zawracam ci głowę sprawami, które cię nie dotyczą. Masz teraz wspaniały okres w życiu, to widać. – Wychodzi z kiosku z resztą w dłoni i nieobecny wyrazem twarzy.

Wspaniały okres w życiu?! Straciłem tatę, mama jest załamana, moja starsza siostra Fabiola zamierza odejść od męża, chciała nawet, bym go o tym poinformował, moja młodsza siostra rozstała się z Pepem i teraz chodzi z poetą Ernestem, również w tym przypadku miałem pośredniczyć w rozmowach, natomiast mnie bez słowa wyjaśnienia porzuciła Alessia i jakoś nie widzę nikogo, kto chciałby mi to wytłumaczyć. A jednak według pani Bandini żyje mi się cudownie. W takim razie jak wyglądałoby moje życie, gdyby mi się nie układało? Odkładam na miejsce „Il Tempo”, „Corriere della Sera” z wkładkami, „Il Messaggero” i „Il Giornale”. „Auto e Motori” ustawiam obok innych tytułów motoryzacyjnych, na środku eksponuję nowy numer „Porta Portese”. Układanie

prasy zajmuje mi cały ranek i jest bardzo odprężające.

Pracując fizycznie, możesz przez chwilę nie myśleć, nie zastanawiać się, nie zadawać sobie pytań, na które i tak nie ma odpowiedzi. Pewne rzeczy po prostu się dzieją i już. Na pogrzebie taty ksiądz Gianni miał bardzo ładne kazanie. Tłumaczył, że śmierć jest naturalnym etapem życia, że często postrzegamy ją negatywnie, a wcale tak nie musi być. Tak przynajmniej zapamiętałem. Wiem również, że tamtego dnia mój ojciec odszedł na zawsze i nie znalazłem dla tego żadnego wytłumaczenia.

Słyszę za plecami kroki, ktoś wszedł do kiosku i bardzo bym chciał, żeby to była Alessia, która przyszła powiedzieć, że się pomyliła, że jest jej przykro, że przeprasza. Chciałbym, żeby mocno mnie przytuliła, o nic bym nie pytał, nie dociekałbym, dlaczego tak postąpiła, choć raz zachowałbym się jak dorosły i może wreszcie powiedziałbym jej, że ją kocham. A może to Ania? Nie pytałbym, jak mnie tu znalazła, po prostu niechby przyszła. Obejmuje mnie od tyłu i szepce coś do ucha po polsku, a ja słucham, dopóki nie skończy, otulony jej ramionami. Potrzebuję tego, czuję się samotny, chciałbym być kochany, chciałbym zatracić się w jej zielonych pięknych oczach, które niestety nigdy nie ujrzą mojego taty. Kto dziś pojawia się w moim życiu, widzi, że czegoś w nim brakuje. A może nie widzi, może się nie domyśla. Jeśli ta dziewczyna naprawdę mnie kocha, niemożliwe, żeby niczego nie zauważyła.

– Dzień dobry! – Głos brzmi znajomo, odwracam się. Przede mną stoi Ilaria De Luca, która kilka dni temu chciała mi o czymś powiedzieć. Dziś jest spokojna, ubrana w jasne kolory – beżowe spodnie i białą koszulę. Ma zebrane z tyłu włosy, chyba trochę podcięte, odsłaniają jej rozpromienioną twarz. – Przeszkadzam?

– Nie, dzień dobry, ale nie mogę stąd wyjść.

Nie jest to chyba grzeczna odpowiedź, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Boję się tego, co ma mi do powiedzenia. Zdarzają się w życiu takie chwile, na które nie jesteśmy przygotowani... Nieustannie wracam myślami do dnia urodzin Alessii, do naszego spotkania w parku, jakbym oglądał film, jakbym sam go nakręcił i ciągle odtwarzał tę samą scenę, by zrozumieć, o co chodziło. Chciałbym powtórzyć tamto ujęcie, zmienić scenariusz, wydłużyć końcowy dialog. Próbowałem ją zatrzymać, pytałem, dokąd idzie, dlaczego płacze, co się dzieje. Dzisiaj wreszcie bym jej powiedział, że ją kocham, że przepraszam, że nie umiałem wcześniej wyznać jej miłości, że chciałbym osuszyć jej łzy swoimi pocałunkami, zatrzymać na zawsze jej uśmiech, bo bez niego wszystko dookoła jest smutne. Podarowałbym Alessii swoje serce, bo bez niej nie ma dla kogo bić.

Jednak tamtej sceny nie da się powtórzyć, życie to film z jednym tylko ujęciem, nie ma dubli. Wtedy nie byłem jeszcze gotowy, tak jak nie jestem gotowy na rozmowę z Ilarią De Luca.

– Niccolò, chciałabym z tobą porozmawiać.

Spodziewałem się tego. Najchętniej odparłbym, że nie mamy sobie nic do powiedzenia albo że wolę o niczym nie wiedzieć.



Tymczasem nie potrafię wykrztusić ani jednego słowa.

– Wiem, co sobie myślisz.

– Nic nie myślę.

Ilaria De Luca rozgląda się wokół, by upewnić się, że nikt nie nadchodzi. Splata dłoń i patrzy na mnie. Jest bardzo ładna i elegancka. Dlaczego nie weźmie gazety i po prostu stąd nie pójdzie? Jakiegokolwiek, nie musi za nią płacić, pokryję koszty. Wpatruje się we mnie i przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Przebiera palcami. Układam gazety, jakby jej tu nie było. Tak naprawdę przestawiam je z miejsca na miejsce, by się czymś zająć i nie musieć na nią patrzeć. W końcu się odzywa:

– Myślisz, że miałam romans z twoim tatą, prawda?

– Nie wiem, już powiedziałem, że nic nie myślę.

– Tak uważasz, ale jesteś w błędzie. Nie miałam z nim romansu. Twój tata był dla mnie bardzo miły w trudnym okresie mojego życia. Codziennie przychodziłam tutaj po gazety. Któregoś ranka wybuchnęłam płaczem. Natychmiast wyszłam z kiosku, ale twój tata zauważył moje łzy.

Dalej przekładam gazety. Otworzyłem paczkę z czasopismami, która leżała pod ladą. Wujek nie będzie zadowolony, to są zwroty. Powiem, że się pomyliłem. Ilaria czeka, aż na nią spojrzę, i podejmuje przerwana opowieść:

– Dogonił mnie i podał mi chusteczkę. Był bardzo miły. – Wiem o tym. Po co mi o tym mówi? Ciekawe, tata nigdy nie nosił przy sobie chusteczek. – Powiedział, że mam szczęście, bo on nigdy nie nosi przy sobie chusteczek, ale akurat jest przeziębiony. Rozbawiło mnie to, wtedy twój tata sięgnął po kolejną chusteczkę i kazał mi przestać płakać, bo za chwilę mu się skończy. Potem dodał, że żartuje, że ma jeszcze jedną paczkę, i znowu mnie tym rozśmieszył. W końcu się uspokoiłam, posadził mnie tutaj, na stercie gazet.

Wskazuje na pokaźną liczbę egzemplarzy „Porta Portese”, zawsze jest ich najwięcej i kiedy trochę już się sprzeda, Gruby również na nich siada.

– Dzień dobry. – Wchodzi Luigi ze stacji benzynowej.

– Cześć, Luigi, co ci podać?

– „Auto e Motori”, powinien być już nowy numer.

– Tak, jest, poczekaj. – Szukam magazynu, kątem oka widzę, że Luigi przygląda się Ilarii i porusza głową, jakby przytakiwał, jakby coś wiedział. Wreszcie znajduję „Auto e Motori”, Luigi płaci i wychodzi.

– Do widzenia – rzuca na odchodnym.

Znowu zostajemy sami, zalega cisza, czuję się jak zakładnik jej opowieści.

– Potem dał mi jeszcze jedną chusteczkę. – Ilaria podejmuje przerwany wątek, mówi takim tonem, jakiego używają mama i babcia, gdy opowiadają coś synkowi Fabioli. One robią to, by dać małemu Francescowi poczucie bezpieczeństwa i spokoju, tak samo postępuje wobec mnie pani De Luca. – Poczęstował mnie szklanką wody, wypiliśmy ją i

się uspokoiliam, przestałam płakać.

Pod ladą trzymamy małą przezroczystą lodówkę z wodą, piwem i oranżadą, którą zainstalował dawno temu wujek. On dba o takie sprawy. Tata pijał wodę, wujek piwo, a ja oranżadę. Spoglądam do lodówki. Butelka z wodą stoi nietknięta.

– Najpiękniejsze w twoim tacie są dłonie. – Cieszę się, że użyła czasu terazniejszego, a nie przeszłego. Siadam za ladą na wysokim taborecie. W końcu prędzej czy później musiałem wysłuchać tej historii, ale jestem dziwnie spokojny. Tato, miałaś romans z tą kobietą? – Jak on poruszał tymi dłońmi, kiedy otwierał butelkę, sięgał po papierowy kubeczek, nalewał wodę... Ręce twojego taty dawały poczucie bezpieczeństwa.

Jest piękną kobietą, rozumiem, tato, ale dlaczego teraz mi o tym opowiada? Co mam powiedzieć mamie? Nic. Muszę zachować to dla siebie.

– Tamtego dnia w ogóle się nie spieszył. Podał mi wodę i wysłuchał mojej historii. Nie będę zanudzać cię szczegółami, ale operacja mojej córki się powiodła. Teraz, dzięki twojemu tacie, Simona czuje się dobrze. Proszę... – Z torebki wyjmuję kopertę. – Tu jest pięć tysięcy euro, które pożyczył mi twój tata, przyszłam je oddać i podziękować. Przykro mi, że nie zdążyłam zrobić tego osobiście.

Zaczyna po cichutku płakać. Jestem skonsternowany, bliski płaczu, który być może uwolniłby mnie od bólu towarzyszącego mi każdego dnia. Znów nie wiem, co powiedzieć. W końcu szepczę:

– Ilario, nie płacz, no już...

Na szczęście w szufladce z pieniędzmi znajduję paczkę chusteczek higienicznych i podaję je Ilarii. Na chwilę przestaje szlochać, uśmiecha się.

– Widzisz, jesteś jak twój tata, taki dobry... Brakuje mi go, wiesz? Muszę ci to powiedzieć, strasznie mi go brakuje. Chciałabym mu podziękować, tak bardzo mi pomógł, bezinteresownie, pewnego ranka wręczył mi tę kopertę, dzięki czemu operacja mogła się odbyć. Twój tata jest wyjątkowy, to prawdziwy dżentelmen. Powiedział, że oddam, jak będę mogła. A ja nie zdążyłam! – Jej ciałem wstrząsa dreszcz, znów płacze.

– Jestem! – Wchodzi Gruby, jak zwykle w samą porę. – Ta dam! Zobacz, co mam, rogaliki i cappuccino, musimy oblać pewne spotkanie! Zaliczyłem ją!

Dopiero teraz zauważa panią De Luca, która płacze rzewnymi łzami w kącie kiosku.

– Przepraszam... Nie zauważyłem pani. – Patrzy na mnie, robi ruch ręką, jakby chciał przeprosić, i mówi: – Wczoraj byłem na rybach, no i świetnie mi poszło. Złowiliśmy ośmiornicę.

Pani De Luca daje znak dłonią, że nie trzeba, nie musi nic tłumaczyć. Gruby milknie.

Ilaria sięga po kolejną chusteczkę i wyciera nos.

– Przepraszam was, wybaczcie, to nie jest mój dzień. – Patrzy na mnie. – Jeszcze raz dziękuję, Nicco. – Szybko wychodzi z kiosku. Gruby odprowadza ją wzrokiem.

– Co ty robisz tym kobietom? Nie można cię na chwilę zostawić samego... Wzruszasz je, rozśmieszasz, doprowadzasz do łez, nawet te dojrzałe!

Kładzie torbę z rogalikami na ladzie i dostrzega kopertę wypchaną pieniędzmi.

– Co ty, bawisz się w żigolaka? A niech mnie, niezły jesteś! Tu jest kupa szmalu!

– Wariat z ciebie, daj spokój.

Wyjmuję mu z dłoni kopertę i chowam do kieszeni.

– Tam jest jakieś dwa tysiące euro!

– Pięć tysięcy. Pożyczka, którą właśnie zwróciła.

– Aha. – Wyraz jego twarzy mówi, że Gruby nic z tego nie rozumie, ale więcej pytań nie zadaje. – Przyniosłem bajeczne rogaliki dell'Ungaria i twoje ulubione cappuccino, cukier osobno.

Wyjmuję rogalik i przełamuję go na pół, jest jeszcze ciepły i pachnący. Gruby nalewa mi cappuccino do papierowego kubeczka.

– A tak na poważnie... Z tą panią wszystko w porządku?

– Tak, dzięki, że pytasz, jest okay.

– Wsypać cukier?

– Pół saszetki.

Rozrywa torebeczkę i wsypuje odrobinę cukru, porusza kubkiem, by się rozpuścił.

– Trzymaj.

Upijam łyk, kawa smakuje idealnie, nie jest za gorąca ani za słodka. Jemy śniadanie w ten piękny niedzielny poranek, słońce nie przygrzewa jeszcze za mocno, na ulicy jest mały ruch, a powietrze świeże. Co jakiś czas kiosk mijają starsze panie, pewnie idą na mszę.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– O czym?

– No wiesz. – Puszczą do mnie oczko.

– Nie wiem.

– No to jak?

– Co jak?

– No, jak było?

– Widzisz to? – Urywam kawałek rogalika, zanurzam go w kubku z kawą i wsuwam do ust. – Było tak, a nawet lepiej!

– Jak zwykle jesteś mało wylewny.

– Chciałbyś znać szczegóły?

– Oczywiście, co w tym złego? Kiedy ją rozebrałem...

Odstawia kubek na stertę czasopism.

– Uważaj, żebyś nie wylał!

– Dobra, nie marudź. – Wyciąga przed siebie ramiona i otwiera dłonie. – Ma takie

cycki!

Do kiosku wchodzi portier z pensjonatu Stellari.

– Cześć, Niccolò, poproszę „Corriere dello Sport”. – Spogląda na Grubego. – Nie przerywaj sobie, spokojna głowa, mam dobrą pamięć, coś jeszcze pamiętam.

– Rozmawialiśmy o sprawach osobistych, chodzi o jego dziewczynę... – Wskazuje na mnie. – Rozumiesz, nie mogę tak otwarcie opowiadać.

Portier wzrusza ramionami, płaci i wychodzi.

– Zwariowałeś? Dlaczego zawsze mnie we wszystko wplątujesz?

– Nic się nie stało, przecież jesteś singlem!

– Co to ma do rzeczy! Nie jesteś normalny. – Gruby oparty o egzemplarze „Porta Portese” wyjmuje tosty z kurczakiem i jajkiem. – Będziesz to jadł o tej porze?

– Lubię słońce!

– W porządku, ale rano przeważnie je się coś lekkiego!

– A jeśli mi smakują tosty?

– Poddaję się! – Śmieję się i zaczynamy rozmawiać o sporcie.

– Kiedy Kloze wróci na boisko?

– Kiedy poczuje się lepiej!

– Świetnie, świetnie. – Wskazuje na mnie palcem. – To jest technika! Odpowiadać na pytania tak, żeby nic nie powiedzieć, trzymać przeciwnika w niepewności. Od kogo się tego nauczyłeś? Od prezesa Lotito?

– Jak dotąd brakuje wam do nas czterech punktów.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu!

– Skąd się w ogóle wzięło to powiedzenie?

– Pierwotnie była w nim mowa o kocie!

– A skąd!

– Naprawdę, przysłowie narodziło się podczas jakiejś dawnej wojny, sprawdziłem w Wikicytatach.

– Widzę, że używasz komputera nie tylko do ściągania plików, dowiadujesz się z niego o jakichś bzdurach.

– To elementy kultury!

Do kiosku wchodzi atrakcyjna czterdziestolatka z sześciolatnym synkiem.

– Dzień dobry. Davide, co chciałeś kupić?

– Karty Yu-Gi-Oh.

– Ma pan takie karty?

– Proszę, Davide, zostały ostatnie dwa opakowania. Trzymałem je specjalnie dla ciebie.

Chłopczyk odbiera ode mnie paczuszki. Moje niewinne kłamstwo bardzo go ucieszyło.

– Dziękuję! – Zwraca się do mamy niepewnym głosem. – Mamo, mogę?

– Oczywiście. – Dokładnie wie, ile kosztują, podaje mi równo odliczoną kwotę.

– Dziękuję.

Już mają wychodzić, kiedy odzywa się Gruby.

– Proszę pani, mam takie pytanie. Zna pani to powiedzenie: „Dzielić skórę na niedźwiedziu”?

Kobieta najpierw spogląda na mnie, z kamienną twarzą chowam pieniądze do kasy, następnie patrzy na Grubego, który z poważną miną czeka na odpowiedź. Upewniwszy się, że nie robimy sobie z niej żartów, odpowiada:

– Oczywiście, kiedyś na konferencji prasowej użył go ten fajny trener, teraz jest w Niemczech, zapomniałam, jak się nazywa...

– Trap?

– Tak. Trapattoni!

– Widzisz? Pani też zna to porzekadło. Nie było jego wersji z kotem, prawda?

– Sama nie wiem, zbiliście mnie z tropu, ale wydaje mi się, że nie.

Bierze synka za rękę i wychodzą z kiosku.

– Mamo, co to znaczy zdjąć skórę z niedźwiedzia? To tak jak w tej naszej grze?

Odpowiedzi nie słyszymy, są już zbyt daleko.

– Zwariowałaś? Odstraszasz mi klientów! To żona znanego ortopedy, mieszkają niedaleko, na Vigna Stelluti.

– Fajnie, jak nam poprzetrąca nogi, sam je potem poskłada!

– Przestań! Skapowała się, że z niej żartujemy.

– Wcale nie, dobrze się bawiła. Dziś ludzie głównie się nudzą. Wszyscy, bez wyjątku. Widziałeś, jaką furorę robi ta gra, Ruzzle?

– No i co z tego?

– Ludzie nie mają nic ciekawego do powiedzenia, nie ma zabawnych tematów ani takich komentarzy, jak ten Trapattoniego. Dlatego nawet takie kobiety jak ona się nudzą i grają w Ruzzle. Następnym razem ją o to spytam. Jestem pewien, że gra. Wiesz, dlaczego Ruzzle jest takie popularne wśród kobiet? Bo one częściej się złością od facetów, powiem więcej, bo złością się na swoich facetów!

Spogląda na mnie, zastygłem z rogalikiem w ręku i nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Co się z tobą dzieje? Nicco?

– Alessia grała w Ruzzle.

– Aha. – On też milknie, w dłoni trzyma zjedzony do połowy tost z tuńczykiem i jajkiem. – To o niczym nie świadczy, tak tylko mówiłem. Poza tym, na początku

wszyscy mieli bzika na punkcie Ruzzle, a po jakimś czasie im spowszedniało.

– Alessia grała od samego początku, jak tylko ukazała się ta gra, i nigdy nie przestała.

– No i chuj!

Starsza kobieta, która wchodząc do kiosku, usłyszała ostatnie słowa, jest wyraźnie speszona. W końcu się odzywa:

– Macie „Famiglia Cristiana”?

– Nie! – odpowiadamy jednocześnie i wracamy do naszego skromnego śniadania. Kobieta wychodzi, kręcąc głową.

– No i chuj! – mówimy i wybuchamy śmiechem.

– Masz niezwykły dar obracania dramatycznych sytuacji w żart.

– Wiem.

– Jednak ta sprawa z Ruzzle i Alessią jest przygnębiająca.

– Racja.

– Jak to racja?

– A co mam powiedzieć, że nie jest?

Rozmawiamy o literowej grze, dla której ludzie wariują. Alessia grała czasami przez całe niedzielne popołudnie, nie odzywając się do mnie ani jednym słowem. Nie mówię mu tego. Widzę, że ma ochotę rozmawiać głównie o naszych cudzoziemkach.

– Poszedłem z nią do hotelu, wpuścili mnie bez problemu... Kiedy było po wszystkim, pewnie myśleli, że jej pokój nawiedziło trzęsienie ziemi!

– Niewątpliwie, ważysz niemało.

– Dobra, odpuść sobie.

– A może tylko tańczyłeś?

– Jasne, zumbę! – Robi kilka kroków i oczywiście do kiosku wchodzi kolejna klientka. Tym razem sprzedaję „Famiglia Cristiana”.

Cały ranek upływa nam na wygłupach, Gruby zagaduje kolejnych klientów. Zachowujemy się jak bohaterowie tego czarno-białego filmu, który kiedyś widziałem na Sky, *Clerks – Sprzedawcy*. Bardzo mi się podobał. Do mnie też przychodzi pewien napalony facet, zawsze w niedzielne południe, udaje, że interesują go najrozmaitsze tytuły, a w końcu rzuca się na pornosy. Gruby oczywiście nie może darować sobie takiej okazji. Mężczyzna ma w ręku *Paola non stop*.

– Widziałem ten film, niezły, ale polecam ci *Kobietą tajemnicę*, naprawdę ekstra, moim zdaniem Joe D’Amato jest świetnym reżyserem.

– Dzięki...

Od razu przechodzi na ty, choć mężczyzna ma na oko ponad sześćdziesiąt lat, mieszka na via Stefano Jacini i w niedzielne popołudnie wychodzi na spacer z żoną,

która wygląda jak święta, a nie jak ktoś, kto ogląda pornosy. W takim razie co dzieje się z tymi filmami, które gość kupuje co niedziela?

Gruby zatrzymuje go w drzwiach.

– Przepraszam, mogę na chwilę zobaczyć?

Mężczyzna podaje mu płytę, Gruby przygląda się jej uważnie.

– Kurczę, piętnaście euro dziewięćdziesiąt, mogę ściągnąć to panu za osiem euro, świetnej jakości, przyniosę za tydzień tutaj o tej samej porze, dobrze?

Mężczyzna kiwa głową i wychodzi, nie bardzo wie, jak potraktować tę dziwną ofertę.

– Co ty wyprawiasz? Podkradasz mi klientów?

– Wręcz przeciwnie, otwieram przed tobą nowe możliwości, podzielimy się po połowie, klient oszczędza, a my dostaniemy po cztery euro na łeb!

– Całkiem zwariowałeś!

– No dobra, dostaniesz piątaka!

– Nie o to chodzi! Co powiem wujkowi?

– On też na tym zarobi, więcej, niż dostajecie od dystrybutora.

– Jasne, skoro już tu jesteś, może będziesz sprzedawać również trawkę?

– Razem z porno? Dodam gratis, inaczej to handel narkotykami. Hej, co ty taki konserwatywny nagle się zrobiłeś? Stworzymy międzynarodową sieć, będziemy mieli forsy jak lodu, mam nawet nazwę.

– Chętnie posłucham.

– Niegrzeczny kiosk! Jak twój wujek zobaczy wpływy z pierwszego miesiąca, od razu się zgodzi!

– Jasne, szkoda, że dzisiaj mnie nie zmienia, od razu moglibyście to przedyskutować!

– Wiem, że go nie ma, dlatego mam dla ciebie niespodziankę, zobacz...

Wyglądam z kiosku i widzę zmierzającą w moim kierunku Anię.

– Zwariowałeś?

– Dlaczego? Cieszy się, że spędzi z tobą czas, potowarzyszy ci i jestem pewny, że mając ją u swego boku, więcej sprzedasz!

Macha Ani na powitanie, po czym się oddala, a ona wchodzi do kiosku.

– Hej, jak się masz?

– Stary, zapłacisz mi za to!

Ania podchodzi do kasy i mnie całuje. Jest taka ładna bez makijażu.

– Ciao, *nie jesteś contento, że mnie widzisz? Gruby powiedział mi, jak tu trafić.*

Pokazuje mi wydrukowaną kartkę z Google Maps z dokładnymi wskazówkami, jak iść, jakim metrem i autobusem jechać. Na piazza Jacini narysowane jest kółko z wykrzyknikiem i napis „Newspaper home!”. Rozpoznaję charakter pisma, ten sam,

którym podpisuje swoje DVD.

– Powiedział też, żebym ci to dała. – Wręcza mi torbę. – Odebrałam to z tego dużego sklepu obok.

Zaglądam do środka. Są tam dwie tacki zawinięte w aluminiową folię, małe papierowe torebki i list:

„Drogi Nicco, nie powiesz chyba, że o ciebie nie dbam! Czegóż można chcieć więcej? Dziewczyna taka jak Ania przynosi ci jedzenie! Wszystko opłacone! Mam maniery! Pozwól, że przedstawię ci twój plan dnia: pracujesz wraz ze swoją asystentką, do której chcesz (nie dopuść, by okoliczne klientki przyłapały cię na erotycznych akrobacjach między wilgotnymi od świeżej farby drukarskiej gazetami, choć pewnie byłoby zabawnie czytać najnowsze wiadomości odbite na pośladkach Ani. Niewykluczone, że takie egzemplarze, z odcisniętą na nich tą częścią ciała, sprzedawałyby się jak świeże bułeczki!). Na dwudziestą trzydzieści załatwiłem dla Ani i Pauliny bilety (nic się nie martw, to też jest zapłacone!) do Teatro dell’Opera na *Butterfly*. Mam nadzieję, że coś z tego rozumieją. Będą podekscytowane i gotowe na dalszy ciąg wieczoru. Tymczasem my spotykamy się u Bata na pokera, ostatnie rozdanie o wpół do dwunastej (ustalone z chłopakami), ponieważ później jesteśmy zajęci... I to jak!

PS Żadna kobieta nie może niweczyć zwyczajów panujących między przyjaciółmi, bez względu na urodę i pochodzenie! Miejmy to zawsze na uwadze, a gdybym kiedyś o tym zapomniał... skop mi tyłek! Ha, ha, ha, ups, sorry. Nie powinienem był ci tego mówić. Nazwijmy to przejęzyczeniem!!!!”.

Wyjmujemy smakołyki z przygotowanego przez Grubego piknikowego „koszyka”. Sączymy piwo i zajadamy ryżowe kulki supplì, calzone oraz trójkątne kanapeczki z tuńczykiem, łososiem, jajkiem i pomidorem.

– *To dlatego pytał się wczoraj, co lubię! On jest taki fajny. Dlaczego wszyscy mówią o nim Gruby? Because he is fat?* – Śmieje się, potem zakrywa usta dłonią. Ania jest taka słodka. Daje mi do spróbowania ryżową kulkę, jakbym nie znał na pamięć ich smaku.

– *Podoba mi się ta nazwa „supplì”. Pysznie smakują. Perché tak się nazywają?*

– *Aridanghete!* Tak się u nas mówi. *Aridanghete...* Kiedy ktoś w kółko zadaje to samo pytanie, jak ty teraz...

– *Nie jestem aridanghete!* – Szturcha mnie. – *To znaczy „silly”, co nie?*

– Chyba tak.

Na zmianę śmiejemy się i całujemy. Do kiosku wchodzi klientka.

– Przepraszam.

– Dzień dobry.

– Czy macie „Sorrisi e Canzoni”?

– Oczywiście. – Pokazuje Ani, o które czasopismo chodzi. Sięga po nie i uprzejmie podaje je kobiecie, która patrzy na nią i wychodzi z nieobecny uśmiechem na twarzy. Może przypominała sobie jakieś beztroskie chwile z przeszłości, a może tylko listę



sprawunków, które ma zrobić. Ania pomaga mi przez całe popołudnie, podaje gazety i kolorowe magazyny, mówi z tym swoim śmiesznym akcentem.

– „Il Tempo” i „Corriere”? *Oczywiście...* – Sięga po oba dzienniki.

– Nie, Ania, ten po prawej. – Bierze do ręki „Corriere” i patrzy na mnie pytająco. – Tak, ten.

Zostawiam ją na chwilę samą i idę po kawę. Kiedy wracam, wręcza mi karteczkę.

– *Dla ciebie, sorpresa.*

Odbieram ją zaskoczony. Od Grubego.

„Nie wiem, czy strzeliłeś już dzisiaj jakiegoś gola, ale zaraz złączą się mecze, a jeśli przypadkiem dostałeś kosza, przynajmniej obejrzysz swoje Lazio. Przyjaciel, który w imię przyjaźni obala zakaz postawiony przez „magicznych»!”

Ania wyjmuję z torby iPada.

– *Per te, od twójego amico! Proszę, jego iPad i wyjaśnienie.*

Postępuję zgodnie ze wskazówkami, idę na stronę Sky i dzięki bezprzewodowemu połączeniu z internetem mogę obejrzeć mecz Lazio–Inter. W pewnym momencie Ania chyba chce zrobić mi przyjemność.

– *Niee! Jak to możliwe, z powodu złego podania Milito?*

– Ania! Co ty robisz? Kibicujemy drugiej drużynie! Jesteś *tifoso* Lazio, Lazio, Lazio!

Zaczyna dopingować razem ze mną, już wie, który kolor koszulek należy do mojej drużyny. Oglądamy mecz objęci, co chwila się całujemy. Każdy pretekst jest dobry, zwłaszcza gol. Mecz kończy się wynikiem cztery zero dla Lazio.

– Hej, zawsze kiedy będzie grać Lazio, musisz być przy mnie, jesteś świetną maskotką! – Nie miałem wątpliwości, że kobieta taka jak Ania przynosi szczęście, ale żeby pobić Inter cztery do zera?! Trudno nie zgodzić się z Grubym, Ania ma również wspaniałe tyłeczki!

Mieszkanie Bata jest wyjątkowe.

Z Batem, Guidem i Grubym chodziłem do jednej klasy. Już od czasów liceum świetnie się w nim bawiliśmy, gdyż było to najbardziej swobodne miejsce, jakie znaliśmy. Mając czternaście, piętnaście lat, często zostawaliśmy tu na noc. Moi rodzice nie mieli z tym żadnego problemu. Mieszkaliśmy wtedy stosunkowo niedaleko via Maffeo Pantaleoni, więc wiedzieli, że w sytuacji awaryjnej szybko po mnie przyjadą. Innym kumplom rodzice z różnych względów nie pozwalali spać poza domem, ale my we trójkę zawsze zostawaliśmy. Te sobotnie wieczory nazywaliśmy „SaBato night”. Było bosko. We trójkę organizowaliśmy fajki i napoje, piwo, colę i, w zależności od pory roku, białe lub czerwone wino. Bato zajmował się jedzeniem. Jest wyśmienitym kucharzem, świetnie gotuje, zwłaszcza klasyczne dania kuchni neapolitańskiej. Pamiętam jego wielką patelnię do smażenia warzyw, na pierwsze serwował ugotowany na półtwardo makaron, krótki lub długi, z oliwą i czosnkiem, a na drugie kiełbaski, dziczyznę z kapustą polną *friarelli* lub obsmażaną cykorią. Każda sobota spędzona u niego była prawdziwą ucztą dla podniebienia. Z czasem, kiedy zaczęliśmy spotykać się z dziewczynami, te zabawy w męskim gronie przesunęliśmy na niedzielę. Gruby ma rację, nie możemy dopuścić, by jakakolwiek kobieta, która pojawi się w naszym życiu, zniszczyła tę przyjaźń. Mieszkanie Bata sąsiaduje z mieszkaniem jego rodziców i może tworzyć z nim jedną całość albo zachować odrębność. Jego część jest mniejsza. Najbliżej wejścia jest kuchnia, korytarz prowadzi do toalety, sypialni Bata, łazienki, małego gabinetu i na końcu znajduje się całkiem przestronny salon umeblowany aksamitnymi, trochę wysiedzianymi kanapami. Na ścianach wiszą lustra i stare obrazy, prawie wszystkie przedstawiają neapolitańskie barki. W rogu stoi rzeźba Wenus, która służy nam za wieszak na kurtki. Salon przylega do apartamentu rodziców Bata, ale drzwi łączące oba mieszkania zawsze są zamknięte na klucz. Sypialiśmy w różnych pomieszczeniach, w salonie na aksamitnych kanapach, w gabinecie, w którym stoi mała kozetka, a nad nią wisi sztuczna skóra z niedźwiedzia, albo w sypialni Bata, na podwójnym łóżku. Wszystko zależało od tego, ilu z nas paliło fajki w salonie i kto miał ochotę z kim pogadać. W czasach licealnych wszyscy spaliliśmy razem i przeważnie gadaliśmy do białego rana. Wraz z pójściem na wyższe uczelnie i podjęciem różnych drobnych prac zmienił się nam rozkład dnia i pozostały tylko niedziele na grę w pokera.

– Cześć wszystkim! Co tak pachnie?

Bato w białym fartuchu w różyczki przemierza korytarz, trzymając w dłoni wielki półmisek.

– Siema, pedale, wreszcie jesteś! – Gruby nigdy się nie zmieni.

– Pracowałem na was.

– Ktoś musi... Siedzimy już wszyscy przy stole.

Guido ma zatkniętą za golf serwetkę. Gruby, jak zwykle, poszedł na całość i wsunął obrus w dekolt swojej koszulki w serek.

– Dawaj, stary, umieramy z głodu!

– Nic wam nie będzie... Okay, szykuję makaron, a tutaj macie... – Bato stawia na stole półmisek. – Świeżą mozzarellę di bufala prosto z Neapolu oraz sery, ricotta i burrata. Czegóż chcieć więcej?

Rzucamy się na sery, bierzemy po dwa, trzy plastry mozzarelli na głowę, Gruby jest ostatni.

– Zostawiliście mi tylko jedną?

– Jedna to i tak dużo!

Usiłuje zwinąć mi jedną mozzarellę z talerza, ale osłaniam ją ramionami.

– Nie... Spadaj, musisz się odchudzać.

– Niech cię szlag, nie masz litości, dzisiaj pewnie jadłeś już polską mozzarellę z importu, co?

– Pracowaliśmy.

– Chyba ona... Dobra była?

Potrafi zachować się jak prawdziwa świnia! Nie słucham go, wiem, że mówi tak specjalnie, bo chce odwrócić moją uwagę i sprzątnąć mi ser z talerza. W liceum podczas przerwy kupowałem sobie w szkolnym sklepiku słodką bułkę, a on mnie zagadywał, pokazywał jakiś artykuł w gazecie i zanim się zorientowałem, brał takiego gryza mojej drożdżówki, że niewiele z niej zostawało dla mnie. Dlatego tak się roztył, przez moje smakołyki!

Jem mozzarellę i oba sery, są bardzo świeże. Ojciec Bata jest sędzią. Widać, że wszystkie produkty spożywcze przychodzą bezpośrednio od jakiegoś zaprzyjaźnionego neapolitańczyka. W tym domu przestrzega się zasad dotyczących spożywania mozzarelli: nigdy nie jest z lodówki, przechowywana w temperaturze pokojowej i podawana tuż po wyjęciu z mleka. Bato kiedyś mi o tym mówił.

Po chwili wyłania się z kuchni z parującym półmiskiem.

– Dawajcie talerze, chłopaki, póki gorące. Rigatoni all'amatriciana z ragoût mojej mamy! Pycha!

Nakładamy sobie po kolei, Gruby obficie posypuje makaron parmezanem i serem pecorino.

– Tak to się robi.

– Nalej sobie. – Bato podaje mi butelkę wina w słomianym koszyczku. – Młode chianti... Zobaczysz, jak dobrze wchodzi z amatriciana.

Bato ciągle żartuje i nam dokłada, sam je niewiele, myśli głównie o nas. Widać, że rola gospodarza bardzo mu odpowiada.

– Jak skończycie, odstawcie talerze, pod spodem są płaskie... – Chwilę później

przynosi z kuchni kolejne smakołyki. – Kiełbaski, sałata i frytki!

Jedzenie znika ze stołu w mgnieniu oka, jedni piją chianti, inni piwo.

– Bato, przynieś ciasto, jest w lodówce. À propos... – Gruby zwraca się do mnie. – Spodobała ci się niespodzianka?

– Ania? Bardzo!

– Sorry, a ryżowe kulki, kanapki, iPad i cała reszta? Cztery zero z Interem też jest niezłym wynikiem... Ostatnio chłopaki bardzo dobrze sobie radzą!

– No tak, ale wiesz, jak jest...

W lot łapie, co mam na myśli.

– Zobaczysz, jak tylko cudzoziemki wyjadą, ona wróci, jesteś farciarz...

Kiwam głową, ale właściwie, jeśli pominąć dzisiejsze zasłużone zwycięstwo Lazio, jako że Inter grał po prostu fatalnie, jakoś nie widzę tego farta.

– Przyniosłeś iPada?

– Położyłem przy kurtce w przedpokoju.

– Przypomnij mi o nim, jak będziemy wychodzić.

Na deser jemy pyszne ciasto, które Guido kupił w cukierni Antonini.

– Chłopaki, zrzutka po pięć euro na głowę!

– Zwariowałeś? A kasa, jaką wydał na nas Bato?

– Musimy trzymać wspólną kasę, jak na wakacjach po maturze.

– Tak, słynna WK... Choć moim zdaniem ktoś nas rolował, w życiu nie wydałem tyle pieniędzy co wtedy. Kiedy rok później pojechałem ze swoją dziewczyną na Mykonos, cały pobyt kosztował mnie o połowę mniej.

– Nic dziwnego, nie wychodziliście z hotelowego pokoju! Dajesz, Bato!

Wybuchamy śmiechem, w mgnieniu oka rozprawiamy się z deserem. Sprzątamy ze stołu w rytm muzyki, którą włączył Guido.

– Pamiętacie? – Z głośników rozbrzmiewa *RockWrok* Ultravoxu z albumu *Ha!–Ha!–Ha!*

– Pewnie, to z naszej czadowej płyty, słuchaliśmy tego przez całe wakacje!

– Przemierzyliśmy Grecję w rytm tej muzyki, nie, chłopaki?!

Tańczymy, wkładając brudne naczynia do zlewu, a sztućce do zmywarki. Guido zabiera się za zmywanie.

– Zostaw, jutro rano przychodzi sprzątaczką.

– Jakiś taki radosny jesteś, coś mi się wydaje, że ona nie tylko tutaj sprząta!

– Jasne, w cenę wliczone jest też dymanko!

Gruby i Bato są zabawni, ale czasami zbyt wulgarni. Guido nabija się z nich, udając arystokratę i wymawiając miękko słowa.

– Ależ, panowie, proszę! Gdyby słyszały was wasze panie, co by powiedziały?

Zgadzam się z nim.

– Ma rację, przy nich z nieokrzeszańców zmieniacie się w książęta. To okropne, że faceci zachowują się w towarzystwie swoich kobiet zupełnie inaczej.

– Hej, same się o to proszą, wiedzą, jacy jesteśmy, ale chcą, byśmy się zmienili, więc w końcu mówię im, chcesz innego faceta? To go sobie znajdź, jaki problem?

Rozkładamy na stole zielone sukno i zaczynamy grać.

– Wchodzę.

– Pięć.

– Podbijam do dziesięciu...

– Sprawdzam... Co masz?

– Trójkę asów.

– I zajebisty fart! Wymieniłeś aż trzy karty...

– Czekałem na strita...

– Akurat! Niech to szlag, nalej mi whisky.

– Nie ma. – Bato się śmieje.

– Jak to nie ma? To nie fair, przed chwilą zobaczyłem jego trójkę asów i nie ma whisky, żebym mógł o tym zapomnieć? Rzucacie mi kłody pod nogi!

– Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości.

– Od miesiący żadnej nie posunąłem! Wy powinniście przegrać, bzykacie się na lewo i prawo, do tego wcale niezasłużenie...

– Tak naprawdę to ja... – usiłuję przypomnieć Guidowi swoją aktualną sytuację z Alessią.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Patrzcie go, jaki biedaczek, udaje porzuconego, a tymczasem zrobił się z niego prawdziwy pies na baby!

– Ale na nas nie szczeka!

– W ten sposób wyrwał tę polską dupę i jej koleżankę!

– Nie wierzę... – Odwracam się do Grubego. – Mówiłeś im?

– Co to ma znaczyć? – wtrąca się Bato. – Wśród przyjaciół nie ma, kurwa, tajemnic! Nicco, zdumiewasz mnie!

– Widzieli nas na ponte Milvio, Nicco, wszyscy o tym mówią. – Gruby próbuje się usprawiedliwiać.

– O czym?

– Wszyscy już wiedzą... – Guido potakuje. – Sam Pepe pomógł ci wyruchać tę Polkę.

Bato wstaje i idzie do kuchni.

– Jeśli chodzi o dupy, cuda się zdarzają.

– Nieee! O Pepem też im opowiedziałeś?

– To była najlepsza część historii! Gdzie znajdziesz drugiego takiego Pepego, który wydyma swoich koleżków, byś ty mógł wydymać dziewczynę?!

– Od dzisiaj nic ci, kurwa, nie będę mówił.

– Nigdy nic mi, kurwa, nie mówiłeś!

– Nicco, wyluzuj! Zachowujesz się jak bohater filmu, którego akcja rozgrywa się w dziewiętnastym wieku, kiedy wszyscy bzykali się na potęgę, ale nikt nic nikomu nie opowiadał. No weź, nie chcesz dzielić się takimi pięknymi chwilami ze swoim przyjacielem? Przecież jestem twoim najlepszym przyjacielem, wiesz o tym, prawda?

Wstaje, obchodzi stół i obejmuje mnie.

– Musimy o siebie dbać, Nicco, no już, uszy do góry...

Opada na mnie całym ciężarem.

– Uważaj, stary... Udusisz mnie!

Nagle słyszymy dziwne skrzypienie, a po chwili trzask. Wszystkie cztery nogi krzesła rozjeżdżają się na boki, a my lądujemy na podłodze między kawałkami roztrzaskanego drewna.

– Ha, ha, ha! – Gruby leży na mnie.

Guido skręca się ze śmiechu.

– Rany, nie wytrzymam, Bato, chodź tu!

– Boli, złaż ze mnie! Wstawaj!

Do salonu wchodzi Bato.

– Kurwa, chłopaki! Krzesło mojej babci Uendaliny!

– Skąd takie dziwne imię? Uendalina? Przez Ue?

– Co to ma do rzeczy?

– Nic, tak pytam, nigdy nie słyszałem tego imienia.

Gruby unosi się nade mną i spogląda na chłopaków.

– Co to ma do rzeczy?

– Właśnie.

– Może była Europejką? UE?

Sytuacja zrobiła się absurdalna, wybucham niekontrolowanym śmiechem.

– Jezu, stary, błagam cię, wstań ze mnie, nie mogę oddychać!

Śmiejemy się wszyscy czterej jak za czasów liceum.

– Nie dam rady!

– Proszę, przestańcie!

– Wszystko mnie boli! – Im szybciej usiłuje się podnieść, tym bardziej ślizga się na kawałkach roztrzaskanego drewna. Bato i Guido ryczą ze śmiechu, też bym ryczał,

gdyby Gruby za każdym razem nie opadał z powrotem na mnie.

– Dosyć, miażdżysz mi wszystkie członki!

Naturalnie na te słowa wszyscy śmieją się jeszcze głośniej.

– Wiesz, że jeszcze mnie boli?

– Co?

– Wszystko! Jesteś strasznie ciężki, zmasakrowałeś mnie.

– Odpuść sobie, o czym tu tyle gadać?

Jedzie slalomem między samochodami po corso Francia, na pełnym gazie wchodzi w zakręt i kieruje się w stronę piazza Euclide.

– Abstrahując od Ani, wygrałeś dziś w pokera kupę kasy...

– Prawda, miałem fart, co powinno dać ci do myślenia mimo twoich ciągłych dowcipów...

– Na jaki temat?

– Że jedna cudzoziemka to za mało.

– Nie zapominaj o Kałuży!

– Kałuża też nie wystarczy!

– Jutro powinieneś zjawić się w agencji z kwiatami.

– Dlaczego? Ktoś umarł?

– Ty umrzesz, jeśli tego nie zrobisz, zaufaj mi.

– Mam swojego asa w rękawie.

– Jeśli będziesz miał taki fart jak dziś wieczorem, może wszystko dobrze się skończy...

– Przemierza z dużą prędkością piazza Euclide i jedzie via Antonelli, następnie na żółtym świetle skręca w prawo i kieruje się na via Veneto.

– Nie uważasz, że Bato był dzisiaj jakiś dziwny? – mówię.

– Nie, dlaczego?

– Ciągłe sprawdzał komórkę.

Gruby zerka na mnie i milczy dłuższą chwilę. W końcu pyta:

– Co z tego? Co to niby znaczy?

– Zawsze miał dziewczyn na pęczki, w ogóle się nimi nie przejmował, wyłączał telefon, kiedy graliśmy w karty, a dzisiaj...

– Co dzisiaj?

– Dzisiaj sprawdzał komórkę po każdym rozdaniu!

Znowu jakiś czas nic nie mówi.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, naprawdę niczego nie zauważyłem.

– Dziwne.



- Co?
- Mam wrażenie, że ty zauważasz wszystko!
- Sorry, ale skoro zwróciłeś na to uwagę, dlaczego sam go nie spytałeś?
- Nie wiem, wydawało mi się to niewłaściwe.
- Sam jesteś dziwny, do mnie przypieprzasz się bez oporów, a z Guidem i Batem cackasz się jak z jajkiem... Tak czy inaczej, szykuje się nam magiczny wieczór...
- Dlaczego?
- Obaj wygraliśmy, a teraz wydamy całą kasę na nasze cudzoziemki! Oto i one!

Ania i Paulina stoją przed Teatro dell'Opera. Mężczyźni i kobiety w najrozmaitszym wieku schodzą po głównych schodach gmachu. Jedni oddalają się szybko, inni zbici w małe grupki wymieniają entuzjastyczne lub krytyczne komentarze na temat tego, co przed chwilą obejrzeni.

„Poprzednia opera, Nos Szostakowicza w reżyserii Petera Steina, była dużo lepsza”, „Mnie również dużo bardziej się podobała”, „Po co ta przesadna ekspresja”, „Osobliwość za wszelką cenę”, „Kostiumy były piękne”, „Tak, kto je robił?”, „Jakiś Anglik”, „Dziwne, przecież oni w ogóle nie mają gustu!”.

Dziewczyny rozglądają się wokół. Wsiadamy z samochodu.

– Hej! Tu jesteśmy!

Machamy do nich, aż w końcu Paulina nas zauważa i trąca koleżankę. Twarz Ani rozjaśnia się w radosnym uśmiechu i choć dzieli nas odległość, nie uchodzi to uwagi Grubego.

– Jaka ona piękna, z daleka widać, jak się cieszy na twój widok.

– Prawda jest taka, że nie znosi jeździć metrem.

– O czym ty mówisz?

– Ani taksówką.

– Teraz rozumiem, dlaczego Alessia cię zostawiła. Jesteś strasznym cynikiem!

– Co to ma do rzeczy? Mówię ci, jak jest z Anią.

– Okay, ale co poszło nie tak z Alessią i dlaczego? Zadałeś sobie to pytanie? Przeanalizowałeś wasz związek?

Ania i Paulina zmierzają w naszą stronę.

– Gruby, czy mógłbyś mi jedno wyjaśnić? Miałeś mnóstwo okazji, żeby ze mną o tym porozmawiać, i kiedy to robisz? Dziś wieczorem! Dokładnie wtedy, kiedy nadchodzą dziewczyny. Musisz mieć w tym jakiś plan, zdradź mi go, bo naprawdę nie rozumiem.

Gruby patrzy na dziewczyny, są jeszcze dość daleko.

– Dobra, masz rację. Tylko jedno pytanie, Nicco. Czy kiedykolwiek powiedziałeś Alessii, jak wiele dla ciebie znaczy, jaka jest dla ciebie ważna... Czy powiedziałeś jej po prostu, że ją kochasz? – Patrzy na mnie przenikliwie. Rozkłada ręce i mówi: – Widzisz?

Podchodzą dziewczyny.

– Och, grazie! *Było cudownie!*

Obejmują nas i całują, wyplątując z niezręcznej sytuacji.

Ania wsiada do samochodu, cały czas coś mówiąc, siadam z tyłu obok niej, Paulina sadowi się na przednim siedzeniu obok Grubego.

– *Muzyka była przepiękna, przysięgam, popłakałam się. To było takie poruszające. Czułam, jak mocno bije moje serce.* – Ania bierze moją dłoń i kładzie ją na swojej piersi.

Gruby patrzy na mnie we wstecznym lusterku i oczywiście śmieje się dwuznacznie.

– Do tego wygrałeś w pokera! On jest bardzo *lucky man*...

– Perché? – Ania patrzy na niego zaciekawiona.

– Po pierwsze, bo spotkał ciebie, a po drugie, bo dał mi *fantastic gift* w postaci Pauliny!

– Och! – Paula jest wzruszona jego słowami, chyba się tego nie spodziewała. Zdejmuje z ramienia torebkę i rzuca mu się na szyję, mocno go obejmując.

Gruby znowu spogląda na mnie we wstecznym lusterku.

– Teraz wiesz, co miałem na myśli? Czy to tak dużo kosztuje, te kilka słów? A one są takie szczęśliwe, więc je uszczęśliwiaj! Wierz mi, ty też będziesz zadowolony! – Skreca gwałtownie, aż wpadam na Anię, na szczęście udaje mi się oprzeć dłonią o boczną szybę i jej nie przygniataam.

– Sorry...

– *Cała przyjemność po mojej stronie. Gnieć mnie con amore.* – Patrząc na mnie, mówi to w taki sposób, że w myśl wskazówek Grubego natychmiast powinienem się jej oświadczyć. Jednak nie znam jej języka, mam więc wymówkę.

– Jak będzie, idziemy w miasto czy do hotelu? – Gruby włącza muzykę.

– Noc jest długa!

– *Wieczór dopiero się zaczął!* – Ania wraz z Pauliną bujają się w rytm *Stay* Rihanny i Mikky Ekko.

– Wiesz, o czym jest ta piosenka? Mówi o nas: „*Something in the way you move, makes me feel like I can't live without you, it takes me all the way, I want you to stay!*”.

Dojeżdżamy do obelisku w Eur. Gruby znów wchodzi rozpędzony w zakręt, z piskiem opon objeżdża kilkakrotnie rondo. Ania i Paulina wciśnięte w drzwiczki krzyczą jak opętane.

– *Juhuu!*

W końcu zjeżdża z ronda w via Chopin i parkuje przed Spazio 900. Wysiada z samochodu jak Bruce Willis w najlepszym ze swoich filmów.

– Hej, Danilo... Trzymaj. – Rzuca kluczyki parkingowemu, owłosionemu trzydziestolatkowi z brzuszkiem, który widział chyba tylko filmy z Verdonem, gdyż

kluczyki przelatują mu przez ręce i lądują na ziemi. Udając, że wszystko jest w porządku, wchodzimy do Spazio 900.

– Nicco, dziś gra Coccoluto! Słyszysz, jaka muza leci?!

Gruby porusza się rytmicznie i zwinnie przechodzi pod sznurem bramki. Natychmiast zjawia się ochroniarz, by wyrzucić go za drzwi, ale gdy podchodzi bliżej, rozpoznaje go.

– Gruby, taki sam jak zawsze!

– Siema, Alceste!

– Ile osób?

– Cztery.

– Okay.

Ochroniarz podchodzi do szefa klubu. Fritz jak zwykle jest bardzo elegancki, ma starannie przycięty wąsik, bystre spojrzenie niebieskich oczu i markowe okulary na nosie. Za każdym razem zakłada inną oprawkę. Alceste wskazuje na nas, Fritz pozdrawia nas ruchem dłoni. Chłopak wraca do nas i wręcza Grubemu cztery bilety.

– Bawcie się dobrze i uważajcie.

– Na co?

– Wyrwaliście niezłe laski, a dziś wieczorem pełno tu napalonych facetów.

– Umiemy się bronić... W najgorszym wypadku ty nas obronisz.

Alceste najpierw zanoszą się śmiechem, a potem kaszlem.

– Dobrze, Gruby! Siemateraparanara!

– Zawsze!

Wchodzimy do środka.

– Co miało znaczyć to ostatnie zdanie?

Bierze Paulinę pod ramię, jakby od dawna była jego dziewczyną.

– Nic ważnego, to takie nasze własne pozdrowienie. Napisałem mu kiedyś pracę magisterską.

– Ty?

– Tak, ja! Ma dyplom z prawa. Widzisz, jakie życie bywa przewrotne? Powinien pracować w kancelarii, a z powodu kryzysu musi robić za wykidajkę!

– Wybacz, ale jeśli obronił się z twoją pomocą, nachodzą mnie pewne wątpliwości...

– W dzisiejszych czasach możesz ściągnąć z internetu absolutnie wszystko! Nasza umowa była taka: ja mu dostarczę pracę dyplomową, w zamian będę miał darmowy wstęp do każdego lokalu, w którym on robi za ochroniarza.

– *Idziemy potańczyć...*

– No raczej...

Obie przerzucają sobie torby przez ramię, zdejmują kurtki i chowają je do toreb, by

nie trzymać ich w ręku. Hm, dziwne zwyczaje mają te cudzoziemki.

– Nie, nie, kiedy jesteście *with us*, nie musicie się o nic martwić! – Gruby wyciąga kurtki, kładzie na pobliskim stoliku i wraca do Alceste. Wskazuje na stolik, Alceste kiwa głową i mówi mu coś na ucho. Po reakcji Grubego odczytuję, że propozycja jego znajomego była raczej niekorzystna, więc znowu wymieniają się uwagami na ucho. W końcu Gruby klepie Alceste po plecach i przy dźwiękach *Get Lucky* Daft Punku wraca do nas.

– Zajebisty ten Coccoluto, wiesz, że za wieczór zgarnia co najmniej dwa patyki? Zasluguje, kurwa, na nie!

– W kółko gadasz o kasie. Co powiedział Alceste?

– Co? – Prowadzi mnie do stolika. – Usiądźmy, nic nie słyszę...

– Co ci powiedział?!

– Wyluzuj...

– Dałeś mu coś?

Całym ciężarem ciała opada na kanapę, pociągając mnie za sobą między skórzane poduszki o osobliwym zapachu.

– Dziś idziemy na całość... Spokojna głowa! Hej... – Zatrzymuje kelnera z tacą. – Możesz przynieść nam dwa rummy z colą?

– Nie mam ochoty na rum z colą! – Chłopak czeka na dalsze zamówienie. Gruby klepie mnie po udzie. – Aua!

– Jakiś ty delikatny, chce mi się pić, oba rummy są dla mnie. Myślisz, że zamówiłbym dla ciebie drinki, nie spytawszy, na co masz ochotę?

– W takim razie co dla ciebie? – niecierpliwi się kelner.

Gruby wyłania się spomiędzy poduszek.

– Hej, spokojnie! Cała noc przed nami, jesteśmy gośćmi księcia Colonny. Bądź miły, bo ci przepadnie napiwek!

– Dla mnie dżin z tonikiem – składam zamówienie lekko zażenowany.

– Przynieś też butelkę szampana i cztery kieliszki!

Chłopak oddala się bez słowa.

– Ci smarkacze nie mają za grosz szacunku! – Gruby ponownie opada na kanapę.

– Jest prawie w naszym wieku.

– Dwa lata, których mu do nas brakuje, robi wielką różnicę. Poza tym my mamy świat u stóp, a on jeszcze raczkuje... – przekrzykuje coraz głośniejszą muzykę. – Kieliszki do szampana powinny być wąskie i wysokie czy płytkie i szerokie? Hm...

Wstaje i zaczyna tańczyć przy stoliku.

– Naprawdę za wszystko płaci książę?

Puszcza do mnie oczko i kiwa głową. Tanecznym krokiem rusza w stronę Pauliny i

Ani. Ludzie ustępują mu miejsca, wita się z kilkoma osobami, po czym całuje Paulę, jakby to była jego jedyna dziewczyna, jakby nie spotykał się z innymi!

– Tu postawić drinki? – Kelner stawia na stoliku dwa rummy z colą, mój dzin z tonikiem, wiaderko z lodem i butelką szampana oraz cztery kieliszki.

– Tak, dzięki.

– Podpisz się tutaj. – Podsuwa mi bloczek.

Usiłuję nawiązać kontakt wzrokowy z Grubym, ale on tańczy jak szalony w otoczeniu Polek i innych zabawowiczów. Odwracam się zatem w stronę ochroniarza, który na całe szczęście patrzy na mnie i ruchem głowy daje przyzwolenie. Biorę od chłopaka bloczek i podpisuję się tak, że ani trochę nie przypomina to podpisu Nicca Marianiego. Kelner nawet nie sprawdza, chowa bloczek do tylnej kieszeni spodni i znika wśród roztańczonego tłumu. Ruchem dłoni dziękuję Alceste. Chciałbym mu również powiedzieć „siemateraparanara”, ale nie daje mi ku temu okazji, gdyż spogląda teraz obojętnie w przeciwnym kierunku.

Nie pozostaje mi nic innego, jak napić się dzinu. Jest zimny, smaczny, dobrze wymieszany, gładko wchodzi, więc wypijam całość do dna, co mi tam, czuję się jak książę, w końcu przed chwilą podpisałem się jak sam książę Colonna! Wstaję i ruszam na parkiet.

Podchodzę do Grubego i krzyczę mu do ucha:

– Gruby!

– O co chodzi? Wszystko zapłacone!

– Wiem, chcę cię o coś spytać! Nie boisz się, że cię przyłapią?

– Kto? – Patrzy na mnie skonsternowany.

– Jak to kto? Twoje dziewczyny!

– Nie zapeszaj!

Wykonuje taneczny krok i dyskretnie chwyta się za przyrodzenie.

– Wiedzą, że dziś wieczorem gramy u Bata, obie już śpią, wysłałem im SMS-a na dobranoc... Poza tym tu jest ponad trzy tysiące osób! Musiałbym mieć naprawdę niefart...

Z niezwykłym spokojem tańczy dalej. Muzyka jest fantastyczna, a didżej niezrównany, łagodnie przechodzi od house’u przez latynoskie rytmy do techno i muzyki elektronicznej. Po jakimś czasie wracamy do stolika. Gruby wypija oba rummy, po czym otwiera butelkę szampana, napełnia kieliszki i unosi swój do góry.

– Dzięki, książę Colonna!

– *Książę? Ekstra, grazie!* – Stukają się z nami kieliszkami i opróżniają je do dna. Wypijamy jeszcze kilka lampek i wracamy na parkiet. Pod sufitem obraca się dyskotekowa kula, rozbłyskując feerią barw, tańczymy z zamkniętymi oczami i rozpostartymi ramionami w rytm *Feel This Moment*.

– Pitbull jest zajebisty!

– *Uwielbiamy tę piosenkę!*

Tańczymy jeszcze przez chwilę do kawałka naszego ulubieńca. Znowu robimy przerwę, odpalamy kolejną butelkę szampana, tym razem to Ania i Paulina wznoszą toast jako pierwsze.

– Grazie, principale Colonna!

– Nie, nie ksiądz... Książę... Zresztą ksiądz też dobrze brzmi!

Znowu tańczymy do przebojów Mengoniego, Pink, Bruna Marsa, Maxa Gazzè, Oli. Między jednym kawałkiem a drugim popijamy szampana. W pewnym momencie tracę Grubego z oczu. Co też wymyśli tym razem? W końcu widzę go przy konsolcie didżeja, Coccoluto kiwa głową, Gruby unosi otwartą dłoń. Nieee! Przybijają sobie piątkę. Ten facet jest dla mnie zagadką. Kiedy rusza w naszym kierunku, zaczyna śpiewać Eros Ramazzotti.

„Czego oczekujesz od nas... Kto wie, czy w ogóle o nas myślisz... Wiesz, że nawet najciemniejsze morze...”

Wszyscy na parkiecie zdają się pochwalać wybór Grubego, łączą się w pary, przytulają i tańczą powoli, jakby od początku czekali na tę chwilę. W całej dyskotecie przygasają światła, Paulina stoi z opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami, a łzy spływają jej po policzkach.

– Sì...

Podchodzi do niej Gruby.

– To *canzone* z wczorajszej nocy...

Paula przytula się do niego mocno, zanurza twarz w wiszących mu na szyi łańcuszkach i świecidełkach, a ja zastanawiam się, czy to wszystko jest prawdą. Może od dawna żyję we włoskim *Truman Show* reżyserowanym przez mojego kumpla. Ktoś mnie obejmuje. Jeśli to *Truman Show*, to byłby to najpiękniejszy żart, bo Ania jest wyjątkowa. Zamykam oczy, daję się poprowadzić na parkiet, tańczymy, a piosenka Erosa jest wspaniała: „Ta nasza pora wspólnego życia, by rozkochać nas w sobie, jest idealna, ale nie ma prawdziwej miłości, która nie potrzebowałaby odrobiny troski...”. Przy tych słowach Ania mnie całuje. Jest cudownie. Po chwili odsuwa się i przytula do mojej piersi. Kiedy ostatni raz byłem w klubie? Czy moje życie z Alessią było tak monotonne? Ja zrobiłem się monotony. Teraz rozumiem, może po prostu *jestem nudy*? Spoglądam na Anię, kołysze się wtulona we mnie w rytm piosenki. Jest naprawdę śliczna, ale co może wiedzieć taka Polka? Widywaliśmy jej rodaczki w towarzystwie samych prostaków, traciły głowę dla szpanerów, wariowały na punkcie snobów. Dlaczego cudzoziemki mają inny gust niż Włoszki? Niejednokrotnie śmialiśmy się z chłopaków na piazza Navona, którzy prowadzali się z turystkami, uważaliśmy, że Włoszki ich nie chciały, potraktowały jak śmieci i wyrzuciły na bruk! Ale Gruby ma dwie dziewczyny i tylko ja zostałem porzucony, więc jestem takim śmieciem! Moje rozmyślenia zostają brutalnie przerwane. Ktoś odciąga mnie od Ani, szarpie za ramię i

słyszę wrzaskliwy głos, który usiłuje przekrzyczeć muzykę.

– Jesteś taki sam jak wszyscy! A nawet gorszy, jesteś jeszcze większym sukinsynem!

Nie wierzę własnym oczom! Przede mną stoi Kałuza wsparta pod boki, w jej spojrzeniu maluje się żądza mordy, przenosi wzrok na Anię i jest jeszcze bardziej wkurwiona.

– Co masz mi do powiedzenia? – Kręci głową. – Obrzydlistwo...

– Ale Kał... hm... Benedetto, dlaczego się tak złościł?

– Dlaczego? Ty się pytasz dlaczego?

– No, tak...

– Dlatego, że po tym wszystkim, co między nami zaszło, nawet nie wysłałeś mi SMS-a! Co więcej, ja do ciebie napisałam, a ty nie odpowiedziałeś!

– Może do mnie nie dotarł?

– Wysłałam ci go pół godziny temu!

– Naprawdę nie widziałem.

– Nieważne, baw się dobrze, popełniłam błąd... na całej linii. – Chce odejść, ale ją przytrzymuję. – Daj mi spokój! – Odpycha mnie. – Niestety, zobaczymy się w biurze, prawda? – rzuca na odchodne, a w jej głosie czai się groźba: jeszcze jej za to zapłacę.

– Wiedziałem! – Szturcham Grubego. – Jak to było? Tu jest ponad trzy tysiące osób, nie sposób na kogoś wpaść... – Łączę kciuk i palec wskazujący i w powietrzu rysuję nimi prostą kreskę. – Dokładnie tak.

Wzrusza ramionami.

– Sam ściągnąłeś na siebie pecha, ale lepiej, że masz to już za sobą, wierz mi, wszystko wyjaśniłeś i wyszedłeś obronną ręką. Ona zrozumiała, że było to jednorazowe bzykanko, w przeciwnym razie miałybyś mnóstwo kłopotów.

Zaczyna tańczyć do zremiksowanego na potrzeby dyskoteki kawałka *Tutto il resto è noia* Califana. Chyba specjalnie go puścili, by odczynić zły urok tego, co się przed chwilą stało. Podchodzi Ania.

– *Hej, wiem, że bardzo cierpiełeś po rozstaniu z tą dziewczyną, choć inaczej sobie wyobrażałam Alessię. Tym bardziej doceniam twoje uczucia do takiej dziewczyny, jak ona...*  
– Mocno mnie obejmuje.

Gruby, który słyszał słowa Ani, krzyczy mi do ucha:

– Nie wierzę, ona myśli, że Kałuza to Alessia, i dlatego jeszcze bardziej jej się podobasz! Czaisz? Dziś wieczorem możesz prosić ją o wszystko. Nie dość, że masz fart, to jeszcze laskę ze wspaniałym tyłkiem u boku!

Zrywam się gwałtownie, ledwo łapię oddech wśród pościeli, jestem w nią zaplątany i nie mogę się wydostać, w końcu mi się udaje.

– Uff! – Siedzę z dłońmi opartymi o materac, cały spocony, i nieprzytomnym wzrokiem rozglądam się wokół. Aha, jestem u siebie w pokoju. Co się stało? Miałem sen? Widzę porozrzucone dookoła ubrania, wszystko sobie przypominam. Alkohol, wieczór, spotkanie z Kałużą i to, co było później... Może Gruby odwiózł mnie do domu. Coś tam pamiętam. Czuję się jak w *Kac Vegas 23*! Byliśmy tak pijani, że Gruby zamówił taksówkę albo kogoś, kto poprowadził jego samochód. Jedno wiem na pewno, że żadne z naszej czwórki nie siedziało za kierownicą.

Wstaję i wlokę się do łazienki. Spoglądam w lustro, wyglądam jak własny cień pozbawiony kolorów, blady. Obmywam wodą twarz. Mam gigantycznego kaca. No tak, pomieszałem różne alkohole, rum, na który w końcu się skusiłem, gin z tonikiem, szampan i znowu rum. Odkręcam wodę. Polewam nią kark i jeszcze raz myję twarz, pomалу odzyskuję formę.

Na szczęście w domu nie ma nikogo. Mama gdzieś wyszła, a Valeria jest pewnie na uniwerku. Nie zniósłbym ich codziennej kłótni. Zawsze chodzi o to samo, a one się na siebie wydzierają. Odkąd nie ma taty, krzyczą chyba jeszcze głośniej.

Nastawiam kawę i siadam przy stole. Przez uchylone okno wpada gorące poranne słońce. Jak dobrze, że dzisiaj nie muszę być rano w kiosku.

Kawa bulgoce, nalewam ją do dużej filiżanki, dodaję odrobinę zimnego mleka i biorę zbożowy herbatnik posypany cukrem – z kawą smakuje idealnie. Pomалу odtwarzam ostatnie godziny minionej nocy.

Pamiętam *Niewierną* Adriana Lyne'a z Richardem Gere'em i Diane Lane. Zwłaszcza scenę, w której Diane wraca pociągiem do domu i wspomina namiętne chwile spędzone w ramionach Paula granego przez Oliviera Martineza. Fantastyczny montaż. Tak samo ja teraz odtwarzam swoją noc z Anią. Rozpina spodnie. Ściemnienie. Pochyla się do przodu roześmiana. Ściemnienie. Zdejmuję koszulę. Ściemnienie. Obejmuje mnie mocno i całuje. Ściemnienie. Zsuwa mi spodnie i opada na kolana. Ściemnienie. Przewracam ją na łóżko i całuję między udami. Ściemnienie. Jęczy, gdy rozchylam jej uda. Ściemnienie. O cholera! Zatrzymuję się w połowie swojego filmu, odstawiam filiżankę i pędzę do pokoju. Szukam wśród porozrzuconych fragmentów garderoby, wyciągam koszulę, slipki, skarpetki, wreszcie dokopuję się do spodni, wkładam rękę do kieszeni i wydaję paczuszki. Jedna, druga, trzecia! Uff... jednej brakuje. Użyłem prezerwatywy! Ale czy w pijanym widzie dobrze ją założyłem? A może Gruby ją ode mnie wziął?

– Cześć, Niccolò!

– Cześć, mamó. – Nie słyszałem, jak wchodziła.



– Wszystko w porządku?

– Tak, właśnie jadłem śniadanie... – Chowam gumki z powrotem do kieszeni.

– I co się stało?

Nic jej nie umknie.

– Nie pamiętałem, gdzie schowałem kluczyki od samochodu.

– Aha. – Postanawia mi uwierzyć. – Dzisiaj wychodzisz później?

– Tak... – Wracam do kuchni i zajmuję swoje miejsce przy filizance kawy. – Wróciłem dopiero nad ranem.

– Dobrze, że mogłeś dłużej pospać.

– Na całe szczęście.

Mama zdejmuje kurtkę, odkłada ją na oparcie krzesła i myje pozostawione w zlewie naczynia. Odkłada je na suszarkę. Valeria powinna była to zrobić, bo to ona nie posprzątała po sobie. Moja siostra jest wstrętna. Jeśli kiedykolwiek nakręcę film, dam mu taki tytuł.

– Co się dzieje z twoją siostrą?

O rany, czy ona czyta w myślach?

– Nie wiem, chyba teraz ma innego...

– Co? Jak to ma innego?

– No wiesz, mammo, czasami tak się dzieje.

– A nie powinno! Wychodzisz za męża, masz dziecko, różnie się później układa, ale to nie powód, żeby wszystko niszczyć! Dla was to takie łatwe! Macie za dużo wolności, internetu, komórek! Te reality show, gdzie wszyscy mieszkają w jednym domu i każdy chodzi z każdym, wykreowaliście świat chaosu!

– Mammo, nie zrozumieliśmy się, myślałem, że pytasz o Valerię.

– Skąd, ona od zawsze jest jedną wielką katastrofą! Przestałam się nią przejmować. Mówiłam o Fabioli. Byłeś na kolacji z Vittorioem, prawda?

Moje siostry są naprawdę wyjątkowe, pakują się w kłopoty, opowiadają o nich mamie, ale nie mówią wszystkiego, a potem liczą, że ja ułożę za nie puzzle do końca.

– Powiesz mi, co się dzieje z Fabiolą? Teraz ty jesteś głową rodziny!

Nienawidzę tego zdania.

– Mammo, a co miałyby się dziać, nic ponad to, co po jakimś czasie spotyka wszystkie pary. Kłócą się, dyskutują, oddalają od siebie, ty i tata też pewnie przez to przechodziliście...

Mama przez chwilę się nie odzywa, patrzy na mnie.

– Nie. Nigdy się od siebie nie oddaliliśmy. Nawet jeśli nie byliśmy blisko fizycznie, zawsze pozostawaliśmy sobie bliscy emocjonalnie.

Idzie do swojego pokoju, wokół zapada cisza. Przez uchylony balkon słychać odgłosy

dochodzące z podwórka. Jeden z mieszkańców coś naprawia. Uświadamiam sobie, że w życiu zawsze ktoś jest górą.

Idę do siebie. Kładę się na łóżku i wpatruję w sufit. Czy miłość między moimi rodzicami nigdy nie napotkała trudności? Wątpliwości? Oddalenia? Ze słów mamy wynika, że tak właśnie było, a ja nie mogę spytać drugiej strony. Ta myśl powoduje ucisk w brzuchu i na chwilę pozbawia mnie tchu. Nigdy nie pogodzę się z tym, że taty już nie ma, że nie opowie mi o sobie i mamie. Wiem, że powiedziała by mi prawdę. A przecież w jego życiu pojawiła się Ilaria De Luca. Nagle wstaję i znowu przeszukuję kieszenie spodni, tym razem co innego wzbudziło mój niepokój. Jest. Koperta z pieniędzmi. W środku znajduje się cała kwota, pięć tysięcy euro, nie wydałem ani centa. Byliśmy jednak gośćmi księcia Colonna. Zastanawiam się, czy Ilaria nie kłamała. Może powiedziała to, co chciałem usłyszeć? Stoję z kopertą w ręku. Jeśli między nimi do czegoś doszło, musieli ponieść tego konsekwencje, pieniądze wszystko kalają. Ale jeśli nic się nie stało, gest mojego taty nabiera innego znaczenia. Co ja mam teraz zrobić?

– Mamo? Mogę? – Jest w salonie, sprzęta rzeczy porozrzucane przez Valerię.

– Tak, słucham. – Nie patrzy na mnie, może czuje się niezręcznie po tym, co mi powiedziała.

– Chciałem ci powiedzieć, że ostatnio bardzo dobrze szło mi w kiosku...

Odwraca się i dostrzega kopertę, którą trzymam w dłoni.

– Co to jest?

– Pieniądze.

– Jakie pieniądze?

– Pięć tysięcy euro, mogą się nam przydać.

– Niccolò, co zrobiłeś?

– Nic złego, powiedziałem ci, że mieliśmy sporo wpływów, trochę zaoszczędziłem, trochę popracowałem tu i ówdzie.

– Tu i ówdzie? – W jej głosie pobrzmiwa powaga. – Z twoim przyjacielem? Skąd są te pieniądze? Nie przysparzaj mi zmartwień, Niccolò, proszę cię...

Głos zaczyna jej drżeć, twarz tężeje.

– Mamo, zapewniam cię... – Widzę, że wcale jej to nie przekonuje. – Okay. – Poddaję się. – Wygrałem zdrapkę!

Oddycha z ulgą.

– Naprawdę? Nie kłamiesz?

– Nie, mamo. Kupiłem zdrapkę „Maxi Cash” i wygrałem dziesięć tysięcy euro. Z przyjemnością oddam ci połowę. – Podaję jej kopertę. – Weź.

Wpatruje się w pieniądze.

– Nie, Nicco, dziękuję, jesteś kochany... – Jest wzruszona, ale po chwili znowu poważnieje. Uśmiecham się w duchu, bo po raz pierwszy nazwała mnie Nicco. –

Zatrzymaj je. Któregoś dnia mogą ci się przydać. Nie mam teraz żadnych potrzeb, naprawdę.

– Jak chcesz, mamó. – Chowam je do kieszeni. – Ale pamiętaj, że jeśli będziesz ich potrzebować, są twoje.

– Przez chwilę myślałam, że zacząłeś sprzedawać marihuanę. – W jej głosie słysząc ulgę.

– Mamó, mówi się handlować marihuaną.

– Nieważne, jak się mówi, wiesz, co mam na myśli. Po twoim przyjacielu można się wszystkiego spodziewać, nikt nie wie, czym się dokładnie zajmuje.

– Tworzy strony internetowe, takie platformy w internecie. Kojarzysz Marka Zuckerberga?

– Tego, o którym widzieliśmy film w telewizji?

– Tak, jego! Gruby zajmuje się podobnymi rzeczami.

– Ale on zawsze chodził w klapkach, nawet zimą. Był, jak to wy mówicie, fajtłapą!

– Obyśmy wszyscy byli takimi fajtłapami jak on, mamó. Idę pod prysznic, a potem do pracy.

Całuję ją w policzek i wciągam w nozdrza kojący zapach kremu, którego używa, odkąd pojawiłem się na świecie.

Mam dosyć! Człowiek stara się być dobry, solidny, uczciwy, tymczasem rozejrzy się wokół i co widzi? Że wszystko jest jedną wielką ściemą, nic się nie zmienia. Weźmy taką politykę: na całym świecie społeczeństwo traktowane jest jak banda głupków, chodzimy na wybory tylko po to, by dwa miesiące później znaleźć się z powrotem w punkcie wyjścia, wszyscy kombinują, jak nachapać się jeszcze więcej forsy. Księżę Salina, główny bohater powieści *Lampart*, mawiał: „Trzeba wiele zmienić, żeby wszystko zostało po staremu”. Politycy są tacy sami jak ich poprzednicy i następcy. Miał rację szalony Paolino, który kręcił się od niepamiętnych lat po piazza Barberini z dziwnymi nadajnikami umocowanymi do uszu i w kółko powtarzał, że diabeł jest wśród nas, że diabeł jest w pieniądzach, we władzy i w łatwości, z jaką wszystko nam przychodzi.

Wskazywał na przechodniów i krzyczał: „Ty! Tak, właśnie ty! Też byś się sprzedał! Jesteście jak piłkarze! Tydzień mija, a oni grają już w drużynie przeciwnej, której ostatnio strzelili gola. Robią to dla pieniędzy, wszystko robi się dla pieniędzy, dziwki są uczciwsze, one przynajmniej nie udają!”. Kręcił się po placu tam i z powrotem, do każdego miał jakieś anse, jeździł na dziwnym rowerze, na brzegu fontanny stawiał włączone na maksa radio i zaczynał tańczyć. Poruszał się kompletnie nie do rytmu. Był w sumie bardzo sympatycznym wariatem. Któregoś dnia po prostu zniknął. Gruby, Bato i Guido chodzili czasami wieczorem na piazza Barberini wypić piwo i posłuchać jego inwektyw. Pewnego razu go nie zastali i zrobiło im się smutno. Od razu zaczęły krążyć na jego temat różne historie, ktoś powiedział, że wygrał w lotto, ktoś inny, że pochodził z bardzo bogatej rodziny i wszystkich nas nabrał, natomiast Gruby, który jest realistą, a nie romantykiem, uznał, że Paolino nie żyje. Nie wiem, co naprawdę go spotkało, ale myślę, że nie był szaleńcem, za jakiego wszyscy go brali, według mnie mówił prawdę. Kiedyś nasza nauczycielka od historii sztuki, opowiadając o van Goghu, powiedziała, że szaleńcy przecierają szlaki, którymi potem kroczą mędracy, cytowała Carla Dossiego. Rzadko jej słuchałem, ale czasami zdarzało jej się mówić ciekawe rzeczy.

Mój wzrok pada na nasze zdjęcie z Anzio. Cholera, wszystko niszczy, nawet morze, nad które zabierał mnie tata, kiedy byłem mały, dziś nie jest tak czyste jak wtedy. Całe szczęście, że istnieją jeszcze takie miejsca z przezroczystą wodą, jakie pokazują w internecie. Chociaż... Nigdy tam nie byłem. Może nie są prawdziwe? Może fotografie poprawiono w Photoshopie, jak zdjęcia modelek w gazetach albo niektórych dziewczyn na profilach facebookowych? Jak im się lepiej przyjrzyysz, widać, że są sztuczne i nieudolnie wyretuszowane. Świat jest skażony, jedzenie jest niezdrowe, mozzarella też nie taka jak kiedyś, a wszyscy desperacko usiłujemy zapewnić sobie przyszłość, której być może nie będzie.

Takie rozmyślania to w moim przypadku klasyczny efekt nadużycia alkoholu. Na kacu łapię doła, choć poprzedni wieczór był bardzo udany i świetnie się bawiłem! Najgorsze, że puszczają mi również wszelkie hamulce, mówię, co myślę, prosto z mostu.

Właśnie wchodzę do siedziby naszej agencji nieruchomości, co również jest nieprzyjemne. Ściągam windę. Już mam wcisnąć guzik, gdy dołącza do mnie Kałuża. Idealna synchronizacja w czasie.

– Cześć, Benedetto.

– Cześć? Masz czelność się do mnie odzywać?

Otóż to. Może nie powinienem był pić wczoraj wieczorem, ale gdybym dziś nie był na kacu, nie dałbym rady. A tak uśmiecham się spokojnie, bo wiem, co zaraz powiem.

– Ach tak? Moja droga Kałužo...

– Kałužo?

– Tak, jak w nią wdepniesz, klniesz na czym świat stoi! Czy ja cię zgwałciłem? A może zmusiłem cię do czegoś? Wręcz przeciwnie! Może to ja powinienem mieć pretensję? Przyszedłem do ciebie w dobrej wierze, by cię wspierać w trudnych chwilach, a ty co robisz? Wykorzystujesz moją dobroć i ocierasz się o mnie cyckami i gołym tyłkiem w taki sposób, że nawet zdeklarowany gej mógłby pomyśleć, że pomylił się co do swojej orientacji...

– Hm...

Dopiero teraz orientuję się, że drzwi za moimi plecami są otwarte. Winda dojeżdża bezpośrednio do recepcji. Tu znajduje się sekretariat, wisi tablica z tygodniowym kalendarzem spotkań, a pod nią stoją koledzy, którzy, sądząc po ich zaskoczonych minach, wszystko słyszeli. Wychodzę z windy dziarskim krokiem.

– Okay, Benedetto, masz rację. Zobaczysz, że jeśli zejdziemy z ceny, jak sugerujesz, sprzedaż pójdzie szybciej...

Przemierzam salę, szukając czegoś w torbie.

– Cześć wszystkim – witam się i siadam za swoim biurkiem. Włączam komputer, sprawdzam pocztę, chowając się za monitorem, zsuwam się na fotelu odrobinę niżej, jakbym szukał w sieci nie wiadomo czego. Spoglądam na komórkę, żadnej wiadomości. Otwieram Facebooka, idę na stronę Alessii, ale nie znajduję niczego, co powiedziałyby mi coś o jej życiu. Żadnych nowych fotografii. Pewnie, jak w każdą sobotę, poszła na kolację z przyjaciółkami. Oglądam zdjęcia po kolei. Na jednym wygląda bardzo ładnie. Niedawno umieszczone, ciekawe, kto je zrobił. Może Alessandra, uwielbia fotografować i ciągle robi zdjęcia swoją komórką. Kupiła sobie iPhone'a 5 tylko dlatego, że miał lepszą rozdzielczość od modelu 4S. Przyglądam się uważniej. „Struktura...”, jakiś napis widnieje za jej plecami, chyba go znam. Może widziałem w jakimś klubie. Ależ oczywiście, to Settembrini na piazza Mazzini, księgarnia, w której można zjeść. Fajny pomysł, połączyć kulturę z jedzeniem. Dziwi mnie jednak, że Alessia tam wróciła. Pamiętam, co mówiła, kiedy poszliśmy tam ze znajomymi:

– Wyobrażasz sobie, jak te książki przesiąkną zapachem potraw? Czujesz? – Powąchała swoje włosy. – Po powrocie do domu wezmę prysznic. – Ruszyła między półki. – A ta? – wskazała *Zbrodnię i karę*. – Dzieło Fiodora cuchnące smaźalnią? Proszę cię!

– Prawdziwa zbrodnia i kara, usmażyć taką powieść. – Usiłowałem być dowcipny, ale jej nie rozśmieszyłem.

– Zachowujesz się jak twoi kumple.

– Daj spokój, żartowałem.

– Dupek z ciebie.

– Alessio, przesadzasz. – Wyszła z kawiarni. Wzruszyłem ramionami i spokojnie sączyłem białe wino, które zamówił Guido.

– Ma charakterek... – skomentował Pietra jej zachowanie. Nic nie odpowiedziałem. Gdyby nie było ze mną chłopaków, na pewno bym za nią pobiegł. Jakże inaczej się zachowujemy, kiedy nie jesteśmy sami, jak inny obrót przybiera nasze życie pod wpływem obcych ludzi.

Kiedyś zobaczyłem obraz, który bardzo mi się spodobał. Przedstawiał siedzącą tyłem kobietę, pod spodem był napis, trochę rozmyty, ale czytelny: „Zresztą, jacy inni?”. Tylko tyle. Byliśmy na piazza di Spagna w galerii sztuki w Ca' D'oro, którą prowadziła Gloria, koleżanka Alessii. Świetnie się wtedy bawiliśmy, kiedy pokazałem ten obraz Alessii, nie wyśmiała mnie, wręcz przeciwnie, bardzo jej się spodobał.

– To prawda... – powiedziała. – Zresztą, jacy inni? Zajebisty tekst!

Wyszliśmy w połowie imprezy, chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła na samą górę Schodów Hiszpańskich. Kupiła sobie piwo i zaczęła tańczyć wśród muzyków, którzy zebrali się w tym miejscu na osobliwą jam session. Jeden z nich, z długimi włosami jak Kusturica, czy jak tam nazywa się ten reżyser, w którego filmach zawsze jest taka niesamowita muzyka, nie odrywał od Alessii wzroku. Wtedy nie zwracała na nikogo uwagi, liczyłem się tylko ja, całowała mnie namiętnie, jakbyśmy byli sami, jakby inni nie istnieli. Zresztą, jacy inni? Uśmiecham się na tamto wspomnienie. Już wiem, co miała na myśli. Dlatego tak jej się spodobał ten napis i dlatego tak się zachowywała tamtego wieczoru. A może to była wiadomość dla mnie, której nie potrafiłem odczytać.

Nie ma do mnie żadnych e-maili ani SMS-ów. Z drugiego końca sali Kałuza wpatruje się we mnie intensywnie. Zsuwam się na krzesło jeszcze niżej i zagłębiam w lekturze wiadomości na [affaritaliani.it](http://affaritaliani.it). Trzy informacje zwracają moją uwagę. Po pierwsze wszyscy krytykują artykuły zamieszczane w „Affari Italiani”, po drugie jest bardzo wiele atrakcyjnych ofert na podróżowanie po Włoszech, z których żal nie skorzystać. Trzecia informacja zmusza mnie do podjęcia ważnej decyzji. Wstaję zza biurka i ruszam przez salę. Kałuza podnosi się ze swojego krzesła i wychodzi mi naprzeciw.

– Posłuchaj, Niccolò, jeśli chodzi o ten penthouse, pomyślałam, że...

– Spokojna głowa, nie będę zajmował się jego sprzedażą, nie ma sprawy, zostawiłem klucze na swoim biurku.

– Aha. – Nie wie, co odpowiedzieć. – Chodziło mi o coś innego...

Nie daję jej skończyć i po chwili stoję w gabinecie Gianni Salvetiego.

– Cześć, Niccolò.

- Mogę?
- Oczywiście, proszę.
- Ostatnio obaj znaleźliśmy się w niecodziennej sytuacji...

W drzwiach staje Marina, która na mój widok peszy się i szybko odchodzi.

– Zamknąć drzwi? – Nie czekam na odpowiedź i je zamykam. – Widzisz, Gianni, w pewnym sensie zostałem... Jak by to ująć... – Kładę na blacie biurka swoją komórkę. Gianni spogląda najpierw na telefon, potem na mnie. – Właśnie, niezamierzenie stałem się świadkiem pewnej sytuacji. Wolałbym nie znaleźć się w tym mieszkaniu i nie dowiedzieć się o sprawach, o których nie miałem pojęcia... Ale niestety teraz już wiem i stanowi to dla mnie pewien problem.

Gianni rozpira się w fotelu. Jest blady, marszczy brwi, splata dłonie na brzuchu. Mojej uwagi nie uchodzi lśniąca obrączka na serdecznym palcu. Gianni szybko ją zasłania.

– Co chciałbyś mi powiedzieć, Niccolò?

Kilka minut później wychodzę z jego gabinetu bardzo zadowolony. Alessia miała rację, czytanie gazet podsuwa nam rozwiązania, które same nie przyszłyby nam do głowy. Gianni zgodził się natychmiast, w najbliższych dniach będę podróżować po Włoszech i szukać nowych możliwości rozwoju dla naszej agencji, dzięki czemu uniknę codziennego widywania Kałuży, będę mniej myśleć o Alessii i, co najważniejsze, pokażę dwóm Polkom jakąś część naszej pięknej ojczyzny, dokładnie tak, jak sugerował artykuł w „Affari Italiani”. A jaka była trzecia informacja, która zwróciła moją uwagę? Ach tak, że w pracy rośnie liczba szantaży.

Wracam do domu i pakuję walizkę.

– Mamo, mam niespodziankę, jesteś?

Nikogo nie ma w domu, może poszła po zakupy. Zostawię jej karteczkę, a potem zadzwonię, bo wiem, że będzie się niepokoić.

– Halo, wujek? Chciałem cię uprzedzić, że wyjeżdżam służbowo na kilka dni.

– W porządku.

– Sergio może mnie zastąpić?

– Wiesz, że twój kuzyn nawet nie chce o tym słyszeć, dla niego praca w kiosku nie jest cool. – Wybucham śmiechem. – Rozumiesz, co mam na myśli, tak się teraz mówi, prawda? Nie jest fajna, jest dla wieśniaków!

– Wujku, cool idealnie pasuje...

– Skąd się właściwie wzięło to cool? Bo wielu młodych gra w nogę, strzelają goole?

– Nie, wujku, to taka amerykańska moda.

– Rozumiem. Kiedy wracasz?

– Nie wiem dokładnie, za parę dni. Dam ci znać telefonicznie. Na razie. – Rozłączam się.

Podjeżdżam pod dom Grubego. Wciskam dwukrotnie dzwonek, słyszę kroki i zgrzyt przesuwanego wizjera.

– Kto tam?

– Ja.

– Jaki ja?

– Twój najlepszy przyjaciel.

– Nie wierzę... Mark Zuckerberg!

Otwiera w samych slipkach, totalnie zmordowany, nie zamyka za mną drzwi, tylko rusza z powrotem do sypialni.

– Mark, zostaw tysiąc swoich akcji na kuchennym stole, teraz nie mam czasu...

Pada na łóżko.

– Zmarnujesz je – mówię i zamykam drzwi. – Spałeś aż do teraz?

– Tak.

– Gdzie twoi starzy?

– W pracy.

– Nie wracają na obiad?



– Dzisiaj nie. Co to, przesłuchanie? Jeszcze nie jadłem śniadania, a w domu mam gestapowca, który podszył się pod Zuckerberga!

– Skąd ci przychodzą do głowy takie porównania? Zaraz do siebie dojdiesz, zobacz, co ci przyniosłem. – Wyjmuję zza pleców torbę z różnymi smakołykami. – Rogaliki maślane, z czekoladą i kremem, bułeczki z bitą śmietaną, trójkątne kanapki z łososiem i z kurczakiem, tosty z szynką i serem...

– Nie sugerowałaś ostatnio, bym przeszedł na dietę?

– Owszem, to zakupy na cały tydzień. Zaraz wyjeżdżamy.

– Myślałem, że już się obudziłem, ale chyba nadal śnię.

– Mówię poważnie, zobacz... – Podchodzę do jego biurka i otwieram komputer.

– Stój! – Zrywa się z łóżka i zabiera mi z ręki myszkę. – Możesz skorzystać z tego... – Przesuwa krzesło, na którym siedzę, do innego komputera. – Na tamtym są świeżo ściągnięte filmy.

– Prędzej czy później doczekasz się policyjnej obławy!

Rozglądam się wokół: pokój Grubego wygląda jak wielka wypożyczalnia blockbustów, od podłogi do sufitu stoją płyty DVD. Podąża za moim wzrokiem.

– To, na co patrzysz, jest w wersji oryginalnej, niektórzy lubią w ten sposób oglądać filmy.

– Chcą je w wersji oryginalnej, ale skopiowane!

– Ludzie są dziwni.

Pod jedną ścianą wszystkie płyty mają czerwone okładki.

– To są pornosy, dzięki tym okładkom nikt ich nie pomyli! Przypomnij mi, żebym w niedzielę około południa przyniósł do kiosku ten film. Albo zostawię ci go dzień wcześniej. Na ile umówiłem się z tym facetem?

– Na osiem euro.

– Proszę, jaka pamięć! Jeszcze trochę i wezmę cię do spółki! – Píše coś na samoprzylepnej karteczce i przykleja ją do płyty. – Daję mu jeden z pierwszych filmów z Sashą Grey, nie jest bardzo mocny, ale masz ochotę obejrzeć kolejne z jego udziałem. Porno powinno być jak czereśnie, jesz jedną po drugiej i nie możesz przestać.

Opowiada te głupoty, a ja tymczasem znajduję to, czego szukam.

– Zobacz. – Odwracam w jego stronę komputer i pokazuję mu ofertę.

– Super... – Zjadł croissanta, oblizuje sobie palce oblepione czekoladą i kremem, upija łyk cappuccino, sięga po papierową serwetkę i ociera sobie usta. – Wygląda ekstra, ale co my mamy z tym wspólnego?

Kilkoma kliknięciami ustalam szczegóły wyjazdu: godzinę, dzień i liczbę osób.

– Jedziemy tam z Polkami!

– Ale... na ile dni? – Gruby nie jest przekonany.

– Trzy.

– Na trzy dni to ja nie mogę, muszę ściągać filmy, w czwartek pojawiają się wszystkie nowości.

– Gdzie tu problem? Zaprogramuj ściągnięcie.

– Ale ja mam dziewczynę!

– I to niejedną! Zostaw je wszystkie w spokoju na jakiś czas, dobrze im to zrobi.

– Co im powiem?

– Prawdę, zawsze należy mówić prawdę. Powiedz, że jedziesz ze mną w służbową podróż, w poszukiwaniu nowych nieruchomości, i że wszystko jest już opłacone.

– Serio?

– Cóż, to część prawdy.

– A jaka jest druga część?

– Że trochę jest zapłacone, a trochę nie, że czasami będziemy pracować dla agencji, a czasami nie.

Gruby zabiera się za kolejnego croissanta, spogląda to na komputer, to na mnie.

– Wiesz, że podobna koncepcja jest teraz mocno forsowana w Stanach? Żeby co jakiś czas robić sobie wakacje. Dzięki temu twój umysł odpoczywa i potem jesteś bardziej produktywny. Świetny pomysł, a ponieważ to, co ci właśnie powiedziałem, jest prawdą, tak też przedstawię ten wyjazd swoim dziewczynom.

– Git! Teraz, jak już się zdecydowałeś, kliknij tutaj i zapłać.

– Jak to? Mówiłeś, że wszystko zapłacone!

– Częściowo! Podróż nie jest opłacona i ty się tym zajmiesz.

– Dlaczego?

– Bo masz dostęp do PayPal i twierdzisz, że jest bezpieczny. – Gruby wygląda na skonsternowanego. – No weź, jaki to problem, potem ci zwrócę, dołączę do listy wydatków i przekażę w biurze... – W końcu daje się przekonać. – Nad czym ty się jeszcze zastanawiasz?

– Ty się zastanów nad kolportażem w kiosku moich „specjalnych” DVD w atrakcyjnej cenie, okay? Poczekaaj, nie odpowiadaj od razu! Nie spiesz się. Pomyśl o tym w czasie naszej podróży, dobrze? – Upija łyk cappuccino z szelmowskim uśmiechem, po czym siada przed komputerem, śmiga po klawiaturze i w kilka minut kończy całą operację. – Zrobione, wykorzystałem wszelkie możliwe zniżki, wyszło czterysta trzydzieści osiem euro.

– Gdyby nie te zniżki...

– Dwieście dziewiętnaście na głowę czy dzielimy na cztery?

– Zwariowałeś! Przeleciałeś ją, to teraz będziesz kutwił? No już, zbieraj się!

Popycham go w stronę łazienki.

– Poczekaj, nie wypilem jeszcze kawy! – Każę mu ją zostawić na stole, nie daję czasu na odpowiedź i odkręcam wodę pod prysznicem. – Lodowata!

– Szybciej się obudzisz!

Wracam do sypialni, otwieram okno, podciągam roletę i padam na fotel. Pokój Grubego wypełniają najnowsze modele głośników firmy Bose, trójekranowych komputerów, ruterów Apple'a airport express, bezprzewodowych drukarek i halogenowych lamp. Pozostałe pokoje idealnie wpasowują się w stylistykę włoskich filmów, takich jak *Gomorra*. Rodzice Grubego, Mario i Enrica, są zupełnie inni niż ich latorośl. Oboje szczupli, nie potrafią używać komputera, pracują w gminie i mają lewicowe poglądy. Moim zdaniem go zaadoptowali.

– Jestem gotowy, idziemy?

Kiedy widzę go z naželowanymi włosami, ubranego w czarne spodnie, z grubym jak mój nadgarstek łańcuchem na szyi i w czarnej koszulce z napisem „Jem jak sęp. Niestety, na tym nie kończą się podobieństwa. Groucho Marx”, nie mam wątpliwości. Mało, że adoptowany, to musi być z Ameryki albo Rosji, z któregoś z tych sprzeciwiających się wszelkim systemom regionów, o których tyle czytam w gazetach. Jest to nie tyle wychowanie syberyjskie, ile złe wychowanie w stylu Grubego.

Podjeżdżamy pod hotel. Ania i Paulina siedzą w pobliskim barze i się opalają, na stoliku stoją do połowy opróżnione butelki aquariususa.

– Tam są!

– Ciao! – Dziewczyny witają nas jak rodowite Włoszki.

– Jak się macie? Wyglądacie rewelacyjnie!

Ania mnie całuje, Paula wydaje się uradowana na widok Grubego.

– *I jak?* – Ania wpatruje się we mnie. – *Jaką macie sorpresa?*

Gruby wyjmuję bilety z kieszeni walizki.

– Proszę bardzo, *three* dni na zwiedzanie *most beautiful* miast Włoch: *Firenze, Venezia* i *Napoli*!

– *Yuhuu!* – Ania rzuca mi się na szyję, omal mnie nie przewracając. – *Który z was to wymyślił?*

– Chyba pyta, czyj to był pomysł.

– Jego! – Mówimy jednocześnie, wskazując siebie nawzajem, i wybuchamy śmiechem.

Pomagam Grubemu dźwignąć walizkę do pociągu.

– Co ty tam masz?

– Coś do czytania, coś do słuchania, parę filmów na wypadek jakichś nocnych perypetii...

– Nie wierzę!

– To uwierz, oraz kilka podkoszulków i slipków.

– Przynajmniej tyle.

Wstawiam również bagaże dziewczyn. Plecak Pauliny nie jest wcale ciężki, ale Ani jest lekki jak piórko!

– Wiesz, że wyjeżdżamy na *three days*...

– *Tak. Spakowałam tylko szczoteczkę do zębów i Chanel... fa caldo – wygłupia się. – Żartuję, chciałabym kupić dużo souvenir z Włoch i zamierzam zrobić to podczas tej podróży...*

– *Ania jest bardzo znaną modelką w Varsavia – wtrąca Paulina.*

– *Paulina! Jego to nie interesuje – nie daje jej skończyć.*

Doskonale zrozumiałem ostatnie słowa.

– Nieprawda, *non è vero*, interesujesz mnie.

Patrzy na mnie w taki szczególny sposób... Jakbym znalazł właściwą kombinację, jak w filmie *Prestiż* albo w teleturnieju *Gilotyna*, kiedy natrafisz na odpowiednie słowo, od razu o tym wiesz, gdyż pasuje jak ulał do pozostałych, nawet jeśli nie do końca je rozumiesz. Docieramy do naszych miejsc i pociąg od razu rusza. Zajmuję fotel przy oknie. Ania wyjmuję z plecaka butelkę wody, siada obok mnie i opiera się o moje ramię. Pociąg nabiera prędkości, krajobraz za oknem zmienia się coraz szybciej. Dopiero co opuściliśmy stację, a już mijamy liczne estakady, samochody stojące w korku wydają się takie ciche, choć pewnie wcale nie są. Przejeżdżamy przez *via Tiburtina*, między brudnymi starymi kamienicami widać przemykające auta, tu i ówdzie prześwituje kawałek zieleni, fragment Tybru, zakręt Aniene, a potem już tylko żółte pola słoneczników i wzgórze, na których pasą się owce. Pozdrawiam je ruchem dłoni, po czym chowam ją do kieszeni.

– *Co robisz? – Ania podnosi głowę i patrzy na mnie z ciekawością. – Kto tam jest? Un amico?*

– Nie, nie... *saluto le pecore*, pozdrawiam owce, to taki żart... – Wskazuję na zwierzaki. – Jeśli pozdrowisz owce i włożysz dłoń do kieszeni, będziesz mieć *lot of money*...

– *Co za dziwny przesąd.*

– Nie, to przynosi *luck*... i pieniądze!

Gruby wyjmuję iPada.

– To też wzięłeś?

– Oczywiście, Google Translate. Zobaczmy... „*Saluta le pecore che portano bene e soldi!*”. – Natychmiast pojawia się tłumaczenie. – „Pozdrów owce, które dadzą ci szczęście i pieniądze”.

Ania i Paulina pękają ze śmiechu. W końcu Ania się odzywa:

– *Po polsku nie ma takiego powiedzenia, my łapiemy się za guzik na widok kominiarza, chimney sweep.* – Zabiera Grubemu iPada, szuka w Google Translate. – Spazzacamino. – Usiłuje poprawić moją wymowę. – *Kominiarza. Rza.* – Powtarza kilkakrotnie, a ja na próżno usiłuję naśladować intonację.

– Sia... Sia...

– *Niezupetnie tak, ale niech będzie...*

Ponownie pokazuje mi, jak trzymać język między zębami. Przypominam sobie film, który bardzo mi się podobał: *Gusta i guściki*. On jest pozbawionym dobrego smaku bogaczem, a ona biedną nauczycielką angielskiego z wyrobionym gustem. W jednej ze scen uczy go angielskiego dokładnie tak samo, jak teraz Ania próbuje zapoznać mnie z polską wymową. Patrząc na nią i ledwo ją słysząc, pociąg huczy, mknąc coraz szybciej.

Byliśmy na tym filmie z Alessią, po wyjściu z kina powiedziała:

– Historia podobna do naszej, nigdy na nic nie zwracasz uwagi, dla ciebie gwiazdy mogłyby nie istnieć.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Dogoniłem ją, przytrzymałem i obróciłem w swoją stronę.

– Zwróciłem uwagę na ciebie. Jesteś czymś więcej niż zwykłą gwiazdą.

– Och, wreszcie powiedziałeś mi coś miłego! Całe szczęście! Co ci zrobili w dzieciństwie?

Mocno się do mnie przytuliła, potem się odsunęła i spojrzała mi w oczy.

– Mów mi zawsze takie rzeczy, proszę cię, nigdy nie odpuszczaj, wymyślaj je sobie, ściągaj z książek lub piosenek, jak chcesz! – Zaczęła się śmiać. – Po prostu mów! Tylko nie o poglądach lewicowych ani tym bardziej prawicowych, ale o miłości!

Mocno ją objąłem, ale nie powiedziałem nic więcej. Szliśmy w milczeniu, dookoła panowała całkowita cisza, niezakłócana przez samochody, autobusy, karetki, nie słychać było przechodniów ani psów i kotów, nawet świecące nad nami gwiazdy wydawały się czekać na moje słowa. Nie odezwałem się.

– Po prostu mów o miłości.

Milczałem tak jak teraz. Patrząc przez okno na przesuwane się szybko pola.

Ania odpuściła desperackie próby nauczania mnie poprawnej wymowy i znów oparła

mi głowę na piersi. Bawi się guzikami mojej koszuli, a ja głaszczę ją po włosach. Wygląda przez okno, co jakiś czas przymyka oczy. Czubek jej prostego nosa jest delikatnie opalony. Siedzący naprzeciwko nas Gruby i Paulina oglądają coś w komputerze, każde z nich ma na uszach słuchawki podłączone do rozgałęziacza. Co chwila wybuchają śmiechem. Ludzie siedzący w tym samym rzędzie co oni, po drugiej stronie przejścia, zerkają z zainteresowaniem na ekran. Mam nadzieję, że nasi przyjaciele nie oglądają pornosów.

Florencja. Wsiadamy na dworcu Santa Maria Novella. Anię i Paulinę zatyka z wrażenia.

– *Tu jest magicznie...*

Natychmiast sięgają do przewodnika, ale je powstrzymuję.

– *Andiamo* do hotelu, zostawimy bagaże i pójdziemy w miasto!

– Perfetto!

W moim głosie pobrzmiwa rozbawienie, radość i satysfakcja. I pomyśleć, że normalnie teraz siedziałbym w kiosku i że całą wycieczkę zawdzięczam Gianniemu Salvettiemu.

Idziemy na postój taksówek. Dziewczyny rozmawiają o czymś, ale nie bardzo rozumiem o czym. Kiedy podchodzimy do pierwszej wolnej taksówki, Ania zwraca się do mnie:

– *Nicco, nie jesteśmy już w Rzymie, pozwól nam zapłacić za biglietti i taxi...*

– Co one mówią? – pyta Gruby.

– Chyba chcą zapłacić...

Podchodzi taksówkarz, młody florentczyk, z chytrym wyrazem twarzy.

– Tak, chcą zapłacić za pociąg, albo przystaniecie na ich propozycję, albo przyjdzie wam jechać autobusem. – Robi przemądrzałą minę. Nosi małe okulary, ma kręcone włosy, niewielki zarost, jest mniej więcej w naszym wieku i strasznie zadziera nosa. Uśmiecha się do naszych przyjaciółek.

– Zastanawiają się.

– Sorry, szefie... Ogranicz się do włożenia naszych bagaży do swojej taksówki, okay? Dziękuję.

– One starają się nauczyć włoskiego...

Wzrusza ramionami i bierze nasze torby. Po raz pierwszy cieszę się, że Gruby wziął ze sobą tyle maneli. Spoglądam na niego, uśmiecha się, unosi do góry dłoń i przybijamy piątkę.

– Tak trzymaj, Nicco! – mówi do mnie szeptem. Spogląda na dziewczyny. – Niemniej jednak mogłyby za coś zapłacić, nie uważasz?

– Nie ma mowy!

– Same nalegają!

– Myślisz, że zgodzę się na wspólną kasę, jak podczas naszej podróży do Grecji z Batem i Guidem? Okoliczności są trochę inne, nie sądzisz?

– Szczerze mówiąc, nie. Podróżujemy razem, jemy razem, co więcej, Paulina czasami je więcej od nas... Jak dla mnie jest tak samo!

– Nie jest tak samo! One są kobietami!

– Sorry, ale czy w Polsce nie ma feministek?

– Odpuść sobie... – Ręce mi opadają. – Wszyscy do taxi. – Otwieram przed nimi drzwi. – Jesteście w *our country, Roma, Firenze, Venezia*, nieważne, to to samo, *nostro paese, nostra casa! E voi* jesteście naszymi... – Patrzę na Grubego. – Jak się mówi „invitati”?

Natychmiast wpisuje słówko do Google Translate.

– *Goście...*

– Właśnie, jesteście nasi *goście*, więc *no money!*

Ładujemy się całą czwórką do taksówki, florentczyk przez całą drogę nie odzywa się w żadnym języku. Wsiadamy.

– Dałeś taksjarsowi napiwek? – Gruby miewa zdumiewające pomysły.

– A jak myślisz?

– Myślę, że... – Obserwuje mnie spod przymkniętych powiek, dokładnie tak samo jak szacuje moje karty podczas pokera. Otwiera oczy gwałtownie, jakby poznał odpowiedź.

– Myślę, że nie!

– Brawo! Oto dlaczego zawsze ze mną przegrywasz w pokera, nie rozgryzłeś jeszcze kontrblefu! Weź swoją walizkę, bo ja nie dam rady. – Podchodzę do recepcji, za kontuarem stoi sympatyczny pięćdziesięciolatek ze starannie ułożonymi włosami i rumianymi policzkami.

– Dzień dobry, czym mogę służyć?

– Dzień dobry, mamy rezerwację na dwa pokoje, jesteśmy z agencji nieruchomości B&B.

Sprawdza dane w komputerze.

– Zgadza się! Doktor Salvetti do nas dzwonił i prosił, by o was zadbać. Przygotowałem najlepsze pokoje, na ostatnim piętrze, mam nadzieję, że będziecie zadowoleni. – Wkłada dwie magnetyczne karty do specjalnego urządzenia i po chwili mi je podaje. – W jakiegokolwiek sprawie kontaktujcie się ze mną. Mam na imię Osvaldo i jestem na miejscu do jutra rano. Poprosić bagażowego, żeby wniósł wam walizki?

– Nie, dzięki, nie są ciężkie.

Ruszam w kierunku windy, w lustrze widzę odbicie Grubego, kręci głową i ciągnie za sobą swoją walizkę. Wciskam czwórkę.

– Zostawiamy w pokojach rzeczy i spotykamy się na dole. – Wyraz twarzy Grubego mówi, że miałby inny pomysł. – Daj spokój, jeśli zostaniemy, nie zobaczymy miasta.

– Pokażalbym jej gwiazdy.

– Pokażesz, niebo jest bezchmurne. Za dziesięć minut na dole.

Dokładnie godzinę później stawiamy się wszyscy czworo w holu.

– Naprawdę dobrze się znamy, co nie?

– No.

– Wszystko w porządku? – Osvaldo wychodzi z pokoju przylegającego do recepcji.

– Tak, dzięki... Chcielibyśmy wiedzieć, czy dziś we Florencji dzieje się coś ciekawego, zwłaszcza ze względu na charakter naszej pracy, dokąd warto pójść na kolację, może jakiś spektakl...

Na marmurowym blacie Osvaldo rozkłada przed nami kartkę.

– Każdego dnia przygotowujemy coś takiego dla naszych gości. Wykaz najciekawszych wydarzeń. – Po chwili dodaje: – W promocyjnych cenach.

Składam kartkę na pół i chowam do tylnej kieszeni dzinsów.

– Proszę się nie martwić, doktor Salvetti bardzo dba o naszą pracę i pracowników, wszystko wlicza w koszty!

Wychodzę z hotelu, trzymając Anię za rękę.

Spacerkiem docieramy do ponte Vecchio.

– *Zobaczcie... Tu jest tak samo jak na Ponte Milvio a Roma!*

Kilka kłódek jest zawieszonych na środku mostu.

– Mam pomysł... – Podchodzę do Marokańczyka, który prowadzi obok mały stragan. Sprzedaje również kłódki. Pokazuję na nie. – *Yes, two...*

– Jesteś cudzoziemcem? Wyglądasz na Włocha... – Patrzy na mnie zaskoczony.

– Tak... – Śmieję się. – Pomyliłem się. Poproszę te dwie kłódki... Można coś na nich wygrawerować?

– Jasne! – Pokazuje duże zęby w szerokim uśmiechu.

Po chwili wracam do naszej grupki.

– Proszę, dla was wzięłem trochę większą, Gruby będzie zadowolony.

Ania i Paulina odbierają ode mnie kłódki.

– *Meraviglioso, z naszymi nomi!*

– Tak, to była *my idea!*

Przypinamy kłódki do łańcucha oplatającego centralną latarnię.

– Hej, ty! Zrobisz nam zdjęcie? – Marokańczyk podchodzi do nas, podaje mu iPhone'a Grubego. – Umiesz się nim posługiwać?

– Jasne, sprzedaję takie!

– Pewnie, to jak będzie z tym zdjęciem?

Ustawiamy się tyłem do rzeki i na „uno, due, tre, amore!” rzucamy za siebie klucze i



się całujemy. Marokańczyk robi całą serię zdjęć.

– Dzięki.

Oddaje mi iPhone'a, Gruby bierze go ode mnie i natychmiast oglądamy zdjęcia.

– Kurwa, ale szybki jest ten sprzęt! Zobacz, ile fotek zdążył pstryknąć! – Ukazuje się sekwencja zdjęć przedstawiająca każdy nasz ruch. Ruszamy w dalszą drogę. Idziemy na drinka do Note di Vino na Borgo dei Greci.

– Spróbujcie tych, według mojego przepisu, są wyjątkowe... – Właściciel lokalu, Lorenzo, stawia przed nami na drewnianym stole talerz małych bruschettek z pikantnym sosem, olejem, serem i rukolą. Następnie podaje nam deskę serów i wędlin.

– Możesz przynieść nam również cztery kieliszki czerwonego wina, montepulciano? – zwraca się do niego Gruby.

Bruschetty są jeszcze ciepłe. Ania zjada je ze smakiem.

– *Mmm, super...*

Palcem wyciera strużkę oliwy, która wyciekła jej z kącików ust. Nawet w takim prostym geście jest niewiarygodnie zmysłowa. Patrzy na mnie, marszczy brwi, jakby odczytała moje myśli, kręci głową rozbawiona i sięga po serwetkę. Wyciera usta i posyła mi zgorzone spojrzenie.

– To chyba kościół Santa Croce, prawda? Mam tu znajomego, może potem pójdziemy go odwiedzić? Pokazałby nam kościół, dla nich to nie lada okazja... – Gruby wskazuje dziewczyny.

Pomysł wydaje mi się świetny. Usiłuję przedstawić go naszym przyjaciółkom, gestem proszę o rachunek.

– *Sì, è una cosa molto bella* tylko dla was...

Lorenzo przynosi nam rachunek. Sprawdzam kwotę, sięgam do kieszeni po portfel, ale Gruby wyjmuję mi kwit z ręki.

– Trzydzieści dwa euro? – Myśli przez chwilę. – No tak, cztery kieliszki wina, dwa półmiski pełne jedzenia, uczciwa cena. Możesz płacić.

Oddaje mi rachunek. Ania sięga do torebki.

– *Non ti preoccupare*. Za nic nie płacimy, *paga Salvetti!*

– *Sì...* – dodaje Gruby. – Jak książę Colonna!

Patrzą na siebie zakłopotane, nie rozumieją do końca, o co chodzi. W końcu Ania sięga po swój kieliszek i unosi go do góry.

– *Grazie, Salvetti!*

Bawi mnie jej polski akcent, kiedy mówi różne słowa po włosku. Stukamy się kieliszkami.

– *To miłe z ich strony, jeśli przyjadą kiedyś do Warszawy, też ich ugościmy!* – Paulina zwraca się do Ani, a potem obdarza nas czarującym uśmiechem.

Niewiele później pukamy do drzwi klasztoru Santa Croce.

– Sorry, ale... – Nie muszę kończyć pytania, Gruby wie, o co mi chodzi.

– Kopiowałem dla nich filmy...

– Jakie? Te filmy?

Zanim zdąży mi odpowiedzieć, drzwi się otwierają.

– Dzień dobry, państwo w jakiej sprawie?

Ubrany w mundur strażnik ma około pięćdziesięciu lat i bardzo przypomina woźnego z mojej podstawówki.

– Szukamy ojca Fiasconaro.

– Poczekajcie tutaj.

Nie zamyka drzwi i się oddala. Widać dziedziniec z idealnie utrzymanym trawnikiem.

– Powiesz mi, o jakie filmy chodzi? Chyba nie o te, o których myślę? – Gruby odwraca się do mnie, unosi brwi i nie mówi ani słowa. Wygląda jak John Belushi w *Blues Brothers*. – Proszę cię, powiedz, że nie. Idę stąd!

Biorę Anię za rękę i ruszam z powrotem, ale Gruby mnie zatrzymuje.

– Nie wygłupiaj się! Wypaliłem mu sto kopii jednego filmu na DVD.

– Co to był za film?

– Nagranie, na którym opowiada o świętym Franciszku, pokazany jest na nim kościół i obrazy w nim się znajdujące, potem mówi o Sorella Arte, to jakaś ich fundacja...

– Nic ponad to?

– Oczywiście, że nie.

– Tak z ciekawości, ile od niego wzięłeś?

– Nic. Zrobiłem to za darmo... – Wznosi oczy ku niebu. – Z przyjemnością... – Podnosi głos. – Dobrze jest się choć w minimalnym stopniu przysłużyć, prawda? Może odpuszczone mi zostaną drobne grzeszki...

Patrzę na niego oniemiały.

– Niewiarygodne, targujesz się z samym panem Bogiem?! – W *Poradniku pozytywnego myślenia* padają fantastyczne słowa: „Kiedy się rodziłem, pan Bóg miał inne sprawy na głowie”. Może zresztą to było w innym filmie.

– Gruby! – Nadchodzi proboszcz, otwiera ramiona ze szczerym uśmiechem na twarzy.

– Jak się cieszę, że cię widzę! Co za niespodzianka!

Przytula Grubego, choć nie udaje mu się objąć go całego. Spogląda na nas.

– Dzień dobry, jestem Niccolò, a to nasze przyjaciółki.

– Chodźcie, zapraszam do środka, nazywam się Paolo Fiasconaro.

Zamyka za nami drzwi i prowadzi nas w głąb przepięknej bazyliki. Ania i Paula zaglądają do przewodnika. Okazuje się, że ojciec Fiasconaro mówi świetnie po angielsku

i troszeczkę po polsku. Wyjaśnia dziewczynom, że kościół jest już zamknięty, więc wejdziemy od zakrystii. Mówi na zmianę po włosku i po angielsku, wtrąca polskie słowa, więc wszyscy rozumiemy mniej więcej jego opowieść.

– Widzieliście, jak duży jest plac przed kościołem, w czasach renesansu grano na nim w piłkę nożną. Teraz co roku w czerwcu organizowane są mecze, a piłkarze grają w kostiumach z epoki.

– Ojcie Paolo, przyjadę zagrać!

– Piłka jest szmaciana, podobna do rugby.

– Nawet lepiej, byłby ze mnie świetny napastnik i filar drużyny. Filarem tej bazyliki też mógłbym być!

Ojciec Fiasconaro wybucha śmiechem. Otwiera drewniane drzwi, które prowadzą do głównej nawy.

– Kiedyś kościoły budowano na planie wydłużonego prostokąta, franciszkanie pierwsi uznali, że świątynia powinna być miejscem spotkań, dlatego nasza bazylika ma układ centralny, wzniesiono ją na planie egipskiego krzyża, który wygląda jak drukowana litera T. To typowe rozwiązanie w wielu dużych zakonnych kościołach. Przez siedem wieków od założenia bazyliki niejednokrotnie zmieniał się jej charakter. Powstała jako kościół Franciszkanów, kiedyś była także pracownią artystyczną.

Dziewczyny słuchają ojca Fiasconaro, zaglądają do przewodnika i potakują. W końcu chowają książkę i postanawiają tylko słuchać. Zadzieramy głowy.

– Widzicie, światło wpada przez okna z kolorowymi witrażami, umieszczone wysoko w ścianach nad rzędami kolumn, i rozprasza się, zabarwiając wnętrze nawy. Zwróćcie uwagę na rzeźby. – Otaczają nas obrazy i popiersia. – Są tu pochowani Michał Anioł, Galileusz, Machiavelli... Pamiętajcie ich, prawda? – Patrzy na nas z niepokojem.

– Tak, oczywiście – zapewniam go.

– On się dobrze uczył w liceum, ja trochę gorzej. – Gruby klepie mnie po plecach.

Ojciec Fiasconaro kiwa głową.

– Wyobrażam sobie... Widzicie rzeźbę Dantego? On też miał być tu pochowany, ale władze Rawenny zdecydowały inaczej. A tę kobietę pochyloną nad sarkofagiem? To poezja, która rozpacza. – Ania i Paulina są wzruszone tą historią. – Zamierzchłe czasy... – podsumowuje ojciec Fiasconaro i wyprowadza nas z kościoła. Zwiedzamy stołówkę franciszkanów i próbujemy nalewki, którą sami produkują.

– Smakuje wam?

Ania upija łyk.

– *Niesamowite.*

– Sekretna receptura... – tłumaczy jej zakonnik.

Teraz prowadzi nas na rusztowania, by pokazać, jak postępują prace renowacyjne. Wchodzimy na samą górę pod krucyfik. Z niepokojem patrzę na Grubego, ledwo łapie

oddech po tej wspinaczce. Zastanawiam się, czy rusztowanie wytrzyma, ale nic nie mówię.

– Powinieneś częściej mnie odwiedzać, twoja figura zmieniałaby się bardzo szybko...

– Racja. – Tylko tyle jest w stanie z siebie wydusić. Schodzimy do podziemi, gdzie oglądamy stare rysunki, dokumenty i pradawne butelki.

– *Dziękujemy!* – Ania i Paula żegnają się z ojcem Fiasconaro, który odprowadza nas do drzwi.

– Nie ma sprawy. Wracajcie, kiedy chcecie, będę się za was modlił. – Podaje każdej z nich dłoń, a w jego głosie słychać ciepłą nutę.

Zmierzamy w stronę Palazzo Vecchio.

– Tu nikomu nie wyświadczałeś przysługi? Żadnych DVD, pirackich kopii, prac magisterskich?

– Nie, nikogo stąd nie znam. – W związku z tym czeka nas stanie w dwudziestominutowej kolejce, by wejść do Galerii Uffizi. Gruby nie przestaje mnie zaskakiwać. Wyjmuje iPhone'a i śmiga po jego ekranie. Kiedy docieramy do kasy, wyjaśnia mi swoje poczynania.

– Zarezerwowałem cztery bilety, dzięki czemu zapłacimy po cztery euro, a nie po sześć pięćdziesiąt. Postaliśmy trochę w kolejce, ale zaoszczędziłem.

Ania i Paulina wypożyczają przewodniki audio i zwiedzają całą galerię.

Później idziemy na kolację do Latini na via dei Palchetti. Tu również Gruby staje na wysokości zadania.

– Mam rezerwację, przepraszam, dziękuję... – Omijamy trzydziestoosobową kolejkę.

Siadamy przy wielkim stole obok kilku niemieckich turystów. Gruby, który wszystko przeczytał w TripAdvisor, uspokaja nas.

– Tak tu jest, to *normale*, jemy *all together*, ale każdy zamawia własne *piatto*!

Dziewczyny są rozbawione, tylko Paula przy składaniu zamówienia traci na chwilę rezon.

– *Bistecca **dobrze** wysmażona...*

Kelner patrzy na nią i usiłuje być miły.

– Niemożliwe, Fiorentina musi być krwista.

W końcu Paula postanawia zaufać kelnerowi. Kiedy ten stawia przed nią stek, próbuje mięsa, jest idealnie wysmażone, rozpływa się w ustach. Jemy same dania kuchni toskańskiej i pijamy chianti: szynkę krojoną nożem, kielbasę *finocchiona* w plasterkach, chrupiące kanapeczki *crostini*, polentę z grzybami oraz pyszny krem z pomidorów. Dziewczyny są zachwycone.

– Dobrze, prawda? – pytam je, kiedy maczają paluszki *grissini* w winie.

– *Buonissimo!* – Wypijają kilka kieliszków i kiedy wychodzimy, są trochę wstawione.

Gruby całuje Paulinę, potem rozgląda się wokoło.

– Mam nadzieję, że ojciec Fiasconaro mnie nie przyłapie i nie każe pokutować.

– Za to? Jeśli opowiedziałbyś mu całą resztę, kazałby ci wstąpić do zakonu!

– Ha, ha, ha... – Gruby pęka ze śmiechu, a Paula pyta zaciekawiona:

– *Co on parlare?*

– Nic, taki żart...

Obok nas przechodzi grupa młodych ludzi, Gruby zaczepia ich i o coś pyta.

– Okay, dzięki. – Potem zwraca się do nas: – Chodźcie, zaraz ruszają!

– Dokąd?

– Jakie to ma znaczenie? Zabawimy się!

Kupuje w kiosku bilety i wsiadamy do autobusu, który właśnie podjechał. Jedziemy w milczeniu, lekko wstawieni, rozkoszując się spokojem. Tylko Gruby i Paulina o czymś rozmawiają. Patrzymy z Anią na siebie i w naszym spojrzeniu zawarty jest milion słów w różnych językach.

Dojeżdżamy na piazzale Michelangelo. Panorama Florencji jest przepiękna. Chłoniemy ten widok, trzymając się za ręce, wyglądamy jak cztery posągi. Ciepły wietrzyk mierzwi włosy Ani, leciutka sukienka przywiera do jej ciała, podkreślając fantastyczne kształty. Stoi na lekko rozstawionych nogach, jej profil rysuje się na tle świateł Florencji.

W pobliskiej dyskotecie Flò rozbrzmiewa muzyka. Chyba *L'immenso* Negramaro. Wiatr ucichł, nagle docierają do mnie wyraźnie słowa piosenki: „Gdybym mógł zawrócić świat, sprawiłbym, żebyś to ty wróciła”.

Ania odwraca się w moją stronę i obejmuje mnie. Oświetla ją blask pięknego księżyca w pełni.

– *Obejmij mnie... To viaggio jest wspaniałe, nigdy tego nie zapomnę. Będiesz la mia Italia, zapamiętam każdy bacio.*

Obejmuję ją mocno, jej polskie słowa podobają mi się bardziej niż zazwyczaj. To chyba miłosne wyznanie, na które ja sam nigdy się nie zdobyłem. W dyskotecie zmienia się muzyka, teraz leci Alicia Keys, *Girl On Fire*. „*This girl is on fire, This girl is on fire, She's walking on fire, This girl is on fire, Looks like a girl, but she's a flame So bright, she can burn your eyes, Better look the other way, You can try but you'll never forget her name*”.

Ania spogląda na mnie.

– *Ta canzone jest bardzo prawdziwa. Nie zapomnij o mnie, per favore.*

– Jasne. – Zrozumiałem, że mam czegoś nie zapominać. Jak na przykład tej chwili. Nigdy nie słuchałem tej piosenki z kimś, teraz słucham jej z Anią, trzymając ją w ramionach. To nowe i wyjątkowe doświadczenie. Nad dachami Florencji przelatuje helikopter, oświetla je na chwilę, potem gasi reflektory i odlatuje. Na murek wskakuje kot, przez plac przejeżdża kobieta na rowerze. Miasto wygląda niezwykle poetycko,

widok pasuje do dźwięków muzyki. Tej chwili, tego tu i teraz, nigdy nie doświadczę z Alessią, na zawsze zostanie jako piękne wspomnienie, choć może bez znaczenia. Kiedy przestajemy się z kimś spotykać, przeżywamy nowe sytuacje, które oddalają nas coraz bardziej. Te chwile nigdy nie będą nasze, choćbym nie wiem jak starał się je zapamiętać, uwiecznić i któregoś dnia jej o nich opowiedzieć, nie dam rady. Kiedyś rozmawiałem z nią kilka razy dziennie. „Alessio, jaki fantastyczny zachód słońca nad corso Francia, też widziałaś?”, „Szkoda, że tego nie widzisz, co za spektakl, od strony jeziora Bracciano nadlatują żółte samoloty Canadair, transportują wodę, by gasić pożar na wzgórzach Monte Mario”, „Pada śnieg! U ciebie też? Co za widok!”, „Jestem na viale Giulio Cesare, stado jaskółek harcuje na niebie, tworzą przeróżne figury, kółko, trójkąt, wyglądają jak ptasia trąba powietrzna... Nakręciłem je komórką, potem ci pokażę”. Natomiast to, co widzę teraz, jak i cała masa innych chwil, które spędziłem i spędzę bez ciebie, jest dla nas, Alessio, stracona. Dopiero teraz zrozumiałem, że naprawdę się rozstaliśmy.

Następnego dnia wcześniej rano wsiadamy do pociągu i jedziemy do Wenecji.

– Jesteśmy w mieście *d'amore*... Całe *per noi*! – Gruby jak zwykle jest w formie. – Mam *tutto* okay. – Wszystko zorganizował.

– Dzień dobry, czekaliśmy na was – mówi na powitanie portier w hotelu, który zarezerwował nam Salvetti. Ma na imię Pietro. Zostawiamy bagaże w pokojach i „zatracamy się” w Wenecji.

– *Zagubieni w Wenecji... To mógłby być tytuł filmu!* – Ania przedstawia sytuację na swój sposób. Spacerujemy zgodnie ze wskazówkami Grubego i w efekcie się gubimy. W związku z tym idziemy po prostu przed siebie, mijamy uliczki i place, natrafiamy na mały bazar, gdzie Ania kupuje pamiątki. Jak przystało na prawdziwe turystki, dziewczyny ciągle robią zdjęcia: na tle kamienic, pomników, mostów, starych weneckich świątyń. Niektóre kościoły są bardzo niepozorne, ale wewnątrz skrywają niezwykle skarby, od antycznych obrazów po grobowce znanych osobistości. Nasze towarzyszkę śledzą każdy napotkany zabytek w przewodniku.

– *Bazylika Santa Maria Gloriosa dei Frari! San Rocco, po obu stronach organów są drzwi namalowane przez Tintoretta! A tu, w kościele pod wezwaniem Madonny dell'Orto, Tintoretto został spalony!* – Idziemy za głosem cudzoziemek, Gruby ustawił w zasięgu ich głosu swój iPhone, tak że dzięki aplikacji *Dragon dictation* mamy na bieżąco tłumaczenie ich słów. Odkrywamy, że centrum handlu w Wenecji znajdowało się w Rialto, tutaj miały siedziby „banki”, tu rejestrowano operacje finansowe, tu odbywały się negocjacje między weneccjanami a cudzoziemcami. Następnie kościół San Giacomo, zwany San Giacometo, ze względu na swoje niewielkie wymiary, co jednak nie ujmuje mu piękna. Uważany jest za najstarszy kościół w Wenecji, powstał przed założeniem miasta. W nim papież Aleksander III zawarł pokój z Fryderykiem Barbarossą. Potem odkrywamy smaki lokalnej kuchni: *castronze*, czyli karczochy, *bruscandoli*, czyli chmiel, z którego robione są różne niezwykle potrawy, i w końcu *sparesi*, podobne do dzikich szparagów. W końcu wsiadamy do wodnego tramwaju i opływamy Canal Grande. Opieramy się o poręcz i obserwujemy codzienne życie weneccjan. Na wodzie jest całkiem spory ruch, łódki wszelkiego rodzaju mijają się na głównej „drodze”, by po chwili zniknąć w zaułkach po lewej lub prawej stronie.

– *O czym are you thinking?*

– O niczym.

– *Naprawdę?* – Ania spogląda na mnie z zaciekawieniem, jedną ręką mnie obejmuje, a drugą wyciąga przed siebie, by zrobić nam zdjęcie telefonem. Pstryka i od razu je ogląda. Nie widzę, jak wyszła, ale sądząc po jej minie, całkiem nieźle. Płyniemy bez słowa. Tu, w Wenecji, razem z Anią, czuję się jak turysta i wiem na pewno: jest to jedno z tych doświadczeń, które przeżywam bez Alessii i które na zawsze zapamiętam. Ania,

jakby rozumiała moją zadumę, całuje mnie w policzek i o nic nie pyta. Oglądamy domy o kolorowych ścianach i ciemniejszych oknach, które wynurzają się z wody i wznoszą ku niebu, małe mosty, wodne garaże obmywane falami.

– Może byśmy coś zjedli? *Ho fame*. – Gruby masuje się po wydatnym brzuchu.

Paulina bierze go za rękę.

– *Tak, uwielbiam to, jesteśmy zsynchronizowani, ja też ho fame!*

– Możemy *andare do ombra...* – Tym razem ja mam coś do zaproponowania, przeczytałem o tym na odwrocie mapy, którą Pietro dał nam przed wyjściem z hotelu.

– *Co?*

– Chodzi o lunch, a *ombra, shadow*, wziął się stąd, że kiedyś mieszkańcy stawiali wino w cieniu *campanile di San Marco...* Tu jest ten *ombra*, znajdziemy mnóstwo *bacari*, małych *ristoranti*, bardzo *buono*.

Chwilę później docieramy do Al Ponte na Calle Larga Giacinto Gallina. Ze szwedzkiego stołu napełniamy talerze różnymi pysznościami: suszonym tartym dorszem, sardynkami, małżami, morskimi ślimakami, gotowanymi ośmiorniczkami, i zajmujemy miejsce przy stole.

– *Co to jest?*

– *Piovra...* – Gruby rozkłada na boki ręce i porusza nimi, naśladując ośmiornicę. – Ale bardziej *piccola!*

– *Delizioso!* – Siedzimy na zewnątrz w cieniu, wieje lekki wiatr, sączymy wyborne białe wino, jest cudownie.

– Znacie to *piatto?*

Przebiegam wzrokiem menu, ale nie znajduję odpowiedzi. Gruby sprawdza w iPhone.

– Jakieś *nervi*, ale nie jak człowiek *molto nervoso...* – Z rozdziawioną buzią udaje wariata. – Raczej *molto dolce!*

Ania i Paulina śmieją się i ze smakiem zajadają gotowaną jagnięcinę, podaną z octem i oliwą. Naszym następnym przystankiem jest wysepka Murano. Spacerujemy po małych uliczkach, w końcu wchodzimy do jednej z pracowni. Zafascynowani przyglądamy się pracy rzemieślnika, który dmucha w długą żelazną rurkę. Na jej końcu powstaje szklana kulka. Gruby szepce mu coś do ucha, mężczyzna przytakuje. Zaczyna obrabiać szkło, podgrzewa je, formuje, zmiękcza, co jakiś czas układa je na obracającej się kuli i w końcu podaje Ani i Pauli dwa małe szklane serduszka. Zrobił nawet malutkie oczko, by można było przez nie przeciągnąć rzemyk.

Wychodzimy z pracowni. Dziewczyny zawiesiły sobie na szyi serduszka i wyglądają na bardzo szczęśliwe. W ich wakacyjnych planach nie było Wenecji.

– *Andiamo, piszą, że stamtąd jest bella vista.* – To akurat prawda. Wdrapujemy się na dzwonnice Świętego Marka, skąd widać całą bazylikę, plac, a w oddali lagunę, stały ląd i nawet góry.



– Kiedyś musimy *andare insieme* tam, gdzie niebo spotyka się z ziemią! – mówi Gruby, pokazując je dziewczynom.

– Sì, *następnym razem*.

– Kiedy *tornate* do *Varsavia*? – pyta z ciekawością.

Dziewczyny wymieniają się spojrzeniami, po czym Ania szybko odpowiada:

– *Jeszcze nie zdecydowałyśmy, mamy open biglietto*.

– Okay. – Następnie wchodzimy do bazyliki Świętego Marka. Wejście jest bezpłatne, a Gruby zrobił rezerwację, dzięki czemu nie musimy stać w kolejce. Po zwiedzaniu wracamy do hotelu i bierzemy prysznic. Z radia przy łóżku rozlegają się słowa piosenki Emmy Amami. „Kochaj mnie jak ziemia deszcz latem, kochaj mnie, jakbym była światłem latarni morskiej, kochaj mnie bezboleśnie, jakby miało nie być jutra, a teraz kochaj mnie, jakby po nas był tylko wiatr, co zabiera miłość...” Stoimy w szlafrokach przy oknie, które wychodzi na mały kanałek, pijemy piwo na spółkę i przyglądamy się przepływającej gondoli z grupką turystów na pokładzie. Patrząc na Anię z rozbawieniem.

– Chcesz pojechać na przejażdżkę *in gondola*?

– *To dobre dla starszych ludzi...*

– Dlaczego? *Romantico...*

– *Wcale nie, jest bardzo drogo, nie możesz się zatrzymać ani wysiąść tam, gdzie chcesz, gondolier cały czas cię obserwuje. Najbardziej romantico jest tylko we dwoje.* – Mówiąc to, patrzy mi w oczy. Jej skóra i włosy są rozświetlone blaskiem odbijającego się w wodzie zachodzącego słońca. Ania powoli rozwiązuje mi szlafrok, trudno się z nią nie zgodzić, jest bardzo romantycznie.

Kiedy schodzimy na dół, portier Pietro jakby na nas czekał, od razu nas zagaduje.

– *Tutto bene?*

– Tak, dziękuję, wszystko w porządku.

– Proszę powtórzyć panu Salvettiemu, że poprawiliśmy jakość naszych usług, tramwaj wodny zatrzymuje się tuż przed naszym hotelem i mamy taksówki ze zniżką dla naszych gości.

– Oczywiście, wszystko przekażę.

Pietro uśmiecha się z zadowoleniem, spełnił swój obowiązek.

– Pański przyjaciel czeka na zewnątrz.

– Dziękuję. – Wychodzimy do ogrodu. Gruby stoi na końcu mostka.

– Jesteście. Tym razem nie zgrałeś się ze mną w czasie, jak mam to rozumieć?

– Jak chcesz... Gdzie Paulina?

– Tutaj.

Dopiero teraz zauważam, że pod mostkiem stoi wodna taksówka. Pokryta laminatem, wewnątrz wykończona w beżowych barwach, ze skórzanymi brązowymi poduszkami.

Bardzo elegancka.

– Ciao. – Paula ma związane włosy, na sobie błękitną marynarkę z poduszkami w stylu lat osiemdziesiątych zapinaną na suwak wszyty na ukos, jasnoniebieskie spodnie, buty na sznurkowych koturnach z biało-granatowego płótna i białą lakierowaną torebkę przerzuconą przez ramię. Podchodzę do Grubego.

– Możemy sobie pozwolić na takse? Raczej nie będę mógł wrzucić jej w koszty. Wolałbym nie przeginać z Salvettim.

– Spoko. – Puszczą do mnie oczko, kierując się w stronę schodków. – Przejazdźka gratis w obie strony.

– Jakim cudem? – Podążam za nim.

– Fausto jest wielkim fanem moich płyt!

– Dobry wieczór – wita mnie Fausto, marynarz. Siadamy razem z Anią na tylnym siedzeniu motorówki, na szerokiej kanapie. No tak, obok drążka sterowniczego leży kilkanaście płyt DVD w czerwonych okładkach.

Gruby siada obok Pauliny naprzeciwko nas i znowu puszcza do mnie oczko.

– Nigdzie się nie ruszam bez moich płyt... Nic na to nie poradzę, Rocco ma rzeszę fanów!

Motorówka odbija od mostka, bierze duży zakręt i wpływa do kanału, wyprzedzając wolniejsze łódki.

Dziewczyny obserwują ślad pozostawiony przez motorówkę, wiatr owiewa ich twarze, ale nie mierzwi włosów, ponieważ wysokie burty są świetną ochroną.

– Szybko płynie!

– Pewnie spieszy mu się do *casa*... Nie może doczekać się porno! – Te ostatnie słowa Gruby kieruje oczywiście tylko do mnie. Wkrótce nasza taksówka z niezwykłą zwinnością parkuje przy pomoście, Fausto cumuje linę i wysiadamy. Umawiamy się z nim na powrót i chwilę później siedzimy w restauracji. Podchodzi kelner.

– Co państwu podać?

– Poprosimy wodę mineralną, a my tymczasem zerkniemy do menu.

– Oczywiście.

– Dziękuję.

Ania i Paulina przysłuchują się naszej rozmowie z zaciekawieniem.

– To miejsce nazywa się „Zabójcy”!

– *Naprawdę?*

Udają przerażenie.

– *Właściciel wydaje się simpatico...*

– *I bello...*

– Co? – Gruby odgrywa zazdrosnego. – Wolisz jego? Giusy alias Giuseppe Galandi, bo

tak się nazywa. Wybierasz takiego starucha, a nie mnie?!

Wygłupiają się i poszturchują, kiedy podchodzi właściciel knajpy, wyglądają, jakby naprawdę się kłócili.

– Hej, co tu się dzieje? Kłóćcie się? Tutaj macie się dobrze bawić, w przeciwnym razie pozostali goście pomyślą, że to moja wina!

Gruby i Paula wybuchają śmiechem, a Giuseppe robi obrażoną minę, ale zaraz się rozchmurza.

– Wiecie, dlaczego nasza knajpa nazywa się Osteria ai Assassini? Od wyznawców Hasana ibn Sabbaha, tego od haszyszu... – Gruby naśladuje palenie skręta. – Wyobraźcie sobie, że nasze stoły zrobione są z kawałków dawnego kontuaru, który stał w weneckim urzędzie stanu cywilnego. Kiedyś, by okazać wierność człowiekowi, mówiło się: „Jestem twoim zabójcą”, innymi słowy, jestem tutaj tylko dla was.

Przy wyborze dań zdajemy się na jego sugestie. Gruby i Paulina dalej się wygłupiają, ona wodzi wzrokiem za Giuseppem, on daje jej dyskretnego kuksańca pod stołem.

W końcu zamawiamy polecane przez Giuseppego okrągłe ravioli z krewetkami, gnocchetti z krabami, talerz smażonych kawałków dorsza i innych ryb. Do tego piwo dla Grubego, a dla naszej trójki butelka wyśmienitego domowego wina specjalnie dla „zabójców lokalu”. Na deser pyszne weneckie ciastka. Rachunek, który płacimy na końcu, wcale nie jest wysoki.

Po romantycznej nocy opuszczamy miasto na wodzie.

– Jest! Czeka na końcu peronu! – Gruby szybko wysiada z pociągu, a my idziemy za nim. – Dzieńcioł!

– Gruby!

Wybiegają sobie naprzeciw, ściskają się na powitanie. Chłopak ma na sobie taką samą czarną koszulkę jak Gruby, nażelowane ciemne włosy związane opaską, kolczyk w lewym uchu, szerokie czarne spodnie, które nieznacznie go wyszczuplają, i sportowe buty bez sznurówek. Wygląda jak lustrzane odbicie Grubego.

– Poznajcie Dzieńcioła, mojego neapolitańskiego brata! – Gruby, dumny jak paw, przedstawia nam swojego kumpla.

– Bez żartów proszę... – Dzieńcioł klepie się po klacie. – Dzisiaj jesteście moje ziomy, wszystko macie z bańki.

– *Co on mówi?* – Ania patrzy na mnie zaciekawiona.

– Nie mam pojęcia.

Idziemy za nim rozbawieni. Upychamy się w jego starym białym garbusie z otwieranym dachem. Prowadzi samochód tak samo jak Gruby. Gwałtownie bierze zakręty i wyprzedza wszystkie taksówki.

Siedzę z tyłu między Anią i Paulą, co chwila rzuca nas na jedną albo drugą stronę.

– Pod każdym względem jesteście tacy sami!

Gruby odwraca się do nas.

– On jest moim przedstawicielem w Neapolu. Co tydzień podsyłam mu DVD i całą resztę.

Dzieńcioł również się do nas odwraca.

– Tutejszy rynek jest dużo trudniejszy ze względu na ogromną konkurencję.

Gruby klepie go po plecach.

– Jasne, mówi tak, żeby nie płacić mi tantiem... Nikt nie dostarczy ci takiego towaru jak ja.

– Akurat!

– Mam na myśli jakość!

– Zawsze tak mówi... – Dzieńcioł znowu się do nas odwraca.

Krzyczę do niego:

– Patrz przed siebie!

W ostatniej chwili udaje mu się wyminąć motocyklistę, który wjeżdża na skrzyżowanie na czerwonym świetle. We wstecznym lusterku widzi, że sprawdzam nasze

walizki w bagażniku.

– W porzo, Nicco, ze mną jesteście bezpieczni!

– *Motocykliści nie jeżdżą w kaskach? Zobacz, tam jedzie tre persone z dzieckiem...* – dziwi się Ania.

Dziękuję znowu zerka do tyłu.

– Szanowni państwo, firmy produkujące kaski... zamknięte, *finito, kaputt!* Za bardzo kochamy wiatr we włosach, szum fal w oddali, zapach morza...

– Kolejny poeta! – Gruby klepie go po ramieniu.

– Ja wszystkie cudzoziemki... – przykładła palce do ust, jakby chciał posłać całusa, ale w końcu wkłada je sobie do ust i zaczyna ssać – ...mógłbym zjeść, nawet te paskudne!

Śmieją się jak wariaci, naprawdę mają nie po kolei w głowach. Na wzmiankę o poecie przypomniały mi się moje siostry i ich kłopoty, pomyślałem o Alessii i własnych problemach, które jeszcze nie do końca rozgryzłem. Biorę do ręki komórkę, uruchomiłem profil bez dźwięku, choć wcale nie musiałem, mam tylko jedną wiadomość od mamy: „Kiedy wracasz?”. Wydawało mi się, że już jej odpowiedziałem, na wszelki wypadek piszę jeszcze raz: „Wkrótce”. Chowam telefon do kieszeni, wkładam ray-bany i daję się ponieść wiatrowi. Powinienem odczuwać radość. Jestem w towarzystwie pięknej dziewczyny, jedziemy przez dzielnicę Mergellina wzdłuż morza, świeci słońce, przed nami dzień pełen wrażeń. Jednak czegoś mi brakuje. Wiem, dobrze się bawię, dużo rozmawiam, ale kiedy przestaję i odwracam głowę, w głębi duszy odczuwam pustkę. Może dlatego, że teraz jestem głową rodziny, choć wcale tego nie pragnąłem. Chciałbym uspokoić mamę, powiedzieć jej, by się nie martwiła, że znalazłem rozwiązanie. Ale nie potrafię, to mnie przerasta, poza tym nie mam żadnego rozwiązania.

Garbus mknie wzdłuż wybrzeża, jakimś cudem nie ma korków. Paula włożyła na głowę kapelusik, a Ania usiłuje poskromić swoje włosy obiema rękami, ale ciągle opadają jej z powrotem na twarz. W pewnym momencie odwraca się do mnie.

– *Wszystko okay?*

– Tak... *grazie.*

– *Nie, to ja dziękuję za wszystko.*

Docieramy do hotelu w Neapolu. Bierzemy szybki prysznic i wychodzimy na miasto. Dziękuję stoi przy samochodzie i pali papierosa, na nasz widok wyrzuca go pstryknięciem palców w stronę morza.

– Chodźcie, Wezuwiusz na nas czeka!

Wsiadamy do samochodu, a on przedstawia nam plan wycieczki.

– To jest ulica Spaccanapoli. Ruszamy stąd, z dzielnicy hiszpańskiej, i jedziemy do Forcella.

Prowadzi szybko, co jakiś czas wystawia rękę przez okno i kogoś pozdrawia. Po drodze opowiada nam o mijanych kościołach, starych kamienicach albo wyjątkowych

potrawach.

– Czujecie ten zapach? To neapolitańskie ciacha i pomidory, potem ich spróbujecie. – Zatrzymuje się na piazza San Gaetano. – Widzicie tamtą dziewczynę? Ma na imię Marianna, oprowadzi was. Spotkamy się później.

– Hej, czekałam na was! – Ma niebieskie oczy i blond włosy, wita się z Anią i Pauliną. Jest bardzo ładna, w stylu francuskiej Marianne. – Chodźcie za mną.

– Dokąd idziemy?

– Jak to, Dziecioł nic wam nie powiedział? Zobaczycie podziemny Neapol.

Schodzimy czterdzieści metrów pod ziemię, przemierzamy korytarze, magiczne, tajemnicze, raz jest cieplej, raz chłodniej.

Gruby, widząc jedno ze zwężających się przejść, pyta z niepokojem w głosie:

– Nie utknę w nim?

– Nawet jeśli, mocno cię popchnę – chichoć.

Marianna mówi po włosku i tłumaczy na angielski.

– Słyszycie te głosy? To duszek *munaciello*, który, jak mówi neapolitańskie przysłowie, jednemu daje swawolę, drugiemu niewolę. Nie ma obawy, wraca do siebie do wieży Montalto, która znajduje się w Marina del Cantone... Jeśli go zobaczycie albo on was znajdzie, nikomu o tym nie mówcie, zostawcie mu trochę jedzenia... Jeśli zechce, zaprowadzi was do skarbu...

– Marianno, a jak my go rozpoznamy? – Gruby zainteresował się opowieścią.

– Bardzo łatwo, jest niski, pokraczny, nosi habit i srebrne klamry na butach.

Gruby otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie, no, jasne, ktoś posuwa laskę i nagle do jego pokoju wchodzi duch, już widzę, jak się cieszy na jego widok!

Po jakimś czasie znowu siedzimy w samochodzie Dziecioła.

– Podobało wam się?

– *Bardzo, tylko było zimno...* – Ania rozciera sobie ramiona, próbując się rozgrzać.

Ma gęsią skórę i cała drży. Przytulam ją mocno do siebie.

Dziecioł patrzy na nas we wstecznym lusterku.

– Hej, gołąbeczki, ostrożnie z tym gruchaniem! Włączę ciepły nawiew. – Uruchamia klimatyzację i zaczyna opowiadać nam o niełatwym życiu w Neapolu z camorrą w tle, o łatwych zarobkach, jakie lokalna mafia proponuje młodym chłopakom, i o tym, jak trudno jest się temu oprzeć, kiedy nie ma widoków na normalną pracę. Dojeżdżamy na miejsce.

– Poczekam na was. Teraz się rozgrzejecie.

Wsiadamy na rowery i przemierzamy całą via Caracciolo. Przejazdźka jest cudowna, przed nami majaczy Wezuwiusz i zamek Castel dell'Ovo. Zachodzące słońce naprawdę

nas rozgrzewa.

– Stąd można *andare a* Procida, Ischia, Capri!

– Sì... – Ania kiwa głową, czuje się lepiej i żwawo pedałuje obok swojej przyjaciółki. Może któregoś dnia wybierzemy się na jedną z tych wysp. W końcu wracamy głodni jak wilki do samochodu.

– Zabiorę was w fantastyczne miejsce, zobaczycie. – Dziecioł znowu prowadzi jak szalony, wyprzedzając wszystkie samochody na corso Umberto. Skręca w kolejne uliczki, coraz mniejsze, i wreszcie dojeżdżamy do Matteo na via dei Tribunali 94. – Jesteśmy na miejscu. Wejdźcie do środka, zrobiłem rezerwację.

– Dzień dobry, jesteśmy w piątkę, nasz kolega rezerwował stolik...

Mężczyzna wygląda przez szybę.

– Ach, tak, Dziecioł, dałem wam najlepszy stolik, na piętrze w rogu!

Wchodzimy na antresolę, zajmujemy miejsca, po chwili dołącza do nas Dziecioł.

– Moim zdaniem to najlepsza knajpka w całym Neapolu! Siema, Nunzio. – Do stolika podchodzi sympatyczny kelner. – Jedna smażona pizza, jedna margherita, jeden calzone z pieca i jedna marinara oraz pięć piw.

– Robi się, Dziecioł, tymczasem podam wam omlet z makaronu z pasztecikami i ryżowymi kulkami.

– Okay.

– Dam wam też do spróbowania pizzy bianca z rukolą, szynką i płatkami parmezanu. Waszym *girls* bardzo posmakuje!

– Ekstra!

Faktycznie jedzenie w tej knajpie jest bajeczne. Kiedy dostajemy rachunek, nie możemy wyjść ze zdumienia.

– Pizza kosztuje tylko dwa euro? Marinara dwa i pół, a margherita, najdroższa, trzy pięćdziesiąt?

Gruby wyjmuję mi z ręki paragon.

– Czyli w PizzaRe i w innych lokalach w Rzymie nas naciągają?

Idziemy na spacer po dzielnicy Chiaia. Zupełnie inny świat: piękne dziewczyny, mężczyźni starannie ubrani, jedni i drudzy wyraźnie dbają o szczegóły, pasek od Hermès, buty od Prady, kapelusz od Gucciego, torebka od Louisa Vuittona. Przyszli tu, by się lansować, a my spacerujemy między nimi lekko skonsternowani. Takiego uczucia doświadczysz tylko w obcym mieście.

Gruby rozmawia z Pauliną, jego sobowtór Dziecioł idzie kilka kroków przed nim, a Ania co rusz przystaje zaciekawiona przy jakimś straganie. Przyglądam się jej i czuję niezwykłą lekkość – nic nie zaprzęta mi głowy, nic mnie nie martwi, bez konkretnego powodu odczuwam satysfakcję, nie mam nic do zrobienia następnego dnia. Biorę głęboki oddech i uśmiecham się z zadowoleniem. To jest właśnie chwila szczęścia. Nagle

pojawia się refleksja: wystarczy tak niewiele, by ta chwila uleciała. Za moment już jej nie ma, straciłem ją i nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze odnajdę.



Następnego dnia wracamy do Rzymu. Docieramy na miejsce w porze obiadowej.

Parkujemy samochód przed hotelem. Dziewczyny, zmęczone, ale zadowolone, żegnają się z nami i biegną w stronę wejścia.

– Do zobaczenia wieczorem.

– Okay!

– Sì! – Machają nam ręką na pożegnanie i znikają za drzwiami hotelu.

– Nieźle się bawiliśmy, prawda? – Gruby podjeżdża pod mój dom.

– Super! Dziękuję jest w porządku, miło, że tak się nami przez cały czas zajmował. Ostatni raz byłem w Neapolu na meczu Lazio, ale nigdy nie widziałem tych wszystkich wspaniałych miejsc.

– Pewnie, że nie widziałeś, przegraliście z kretelem!

Gruby i ta jego ślepa wiara w piłkarzy Romy.

– Na razie, widzimy się później.

– Idziesz do biura?

– Zwariowałeś? Dostałem urlop do poniedziałku.

– Poszedłeś na całość! Moglibyśmy kiedyś spróbować pracować razem. Tak sobie pomyślałem, cudzoziemki, podróże, porno, kiosk z kasetami...

– Oczywiście, Gruby, czemu nie? Na razie!

– Poczekaj... Trzymaj. – Wyjmuje z kieszeni bilety. – Są dla ciebie. Kumpel mi je załatwił, ale tylko dwa.

– O rany, ekstra, uwielbiam ich!

– Wiem, ja natomiast znam ich kawałki na pamięć, ciągle ściągam ich muzykę. To ich pierwszy występ w Rzymie, zobaczysz, Ania oszaleje... Potem daj jej to. – Z walizki wyjmuje skopiowaną płytę CD. – Wyszło lepiej niż oryginał nagrany w Paryżu, będzie pod wrażeniem. – Klepie czule swoją walizkę. – Narzekasz na nią, a zobacz, jakie kryje w sobie niespodzianki, nie masz pojęcia, ile ich wyciągnąłem w ciągu ostatnich kilku dni.

– Wyobrażam sobie. Całe szczęście, że nas nie aresztowali! Dzięki raz jeszcze.

– Później idziemy na kolację do Francesca na vicolo del Fico, jeśli będziecie chcieli, wpadnijcie, zarezerwowałem stolik na zewnątrz.

– Nie boisz się? Tamtędy chodzi mnóstwo ludzi.

– Rozmawiałem już ze swoimi panienkami, jedna idzie na babską imprezę do kuzynki, jakiś koszmar, i minutę przed północą nasze Kopciuszki od siedmiu boleści idą

spać. Natomiast drugą trzeba wcześniej odwiedzić do domu, inaczej moja Calineczka się zgubi.

– Skąd ty je wytrzasnąłeś? Ze sklepu Disneya na via del Corso?

– Dobrze, Nicco. Na razie! – Odjeżdża jak zwykle z piskiem opon, trudno byłoby go nie zauważyć. Otwieram bramę i zmierzam do klatki. Słyszę znajomy głos.

– Zejdz, powiedziałem, żebyś zesła.

Rozpoznaję również głos dochodzący z domofonu.

– Nie, nie rozumiesz? Powiedziałam, że nie.

– A ja powiedziałem, żebyś zesła.

Jeśli sądzić po jego znudzonym głosie, ta rozmowa toczy się od dłuższego czasu.

– Powtarzam, zejdz...

– Cześć, Ernesto.

Ledwo go rozpoznaję. Ma podrapaną twarz i podbite oko. Auć. Chyba zjawił się Pepe, wykorzystując moją kilkudniową nieobecność. Zdejmuje palec z domofonu i wymierza go we mnie.

– Świetnie, wiedziałeś o tym i nic mi nie powiedziałeś... Brawo, brawo.

Macha mi rękami przed nosem, co strasznie mnie irytuje.

– Słuchaj... – Wreszcie udaje mi się otworzyć wejściowe drzwi. – Nie zamierzam mieszać się w wasze sprawy.

Zostawiam Ernesta po drugiej stronie, ściągam windę i słyszę, że ciągle coś wykrzykuje. Kręcę głową. Co zrobić, moja siostra nie ma sobie równych w ściąganiu na siebie kłopotów. Pepe okazał wielkie miłosierdzie, bardzo łagodnie potraktował Ernesta.

– Cześć! – Valeria czeka na mnie przy windzie na górze, skacze na mnie i mocno przytula. – Usłyszałam twój głos w domofonie, jak witałeś się z tym dupkiem. Widziałeś, jaki on jest ograniczony? Co za kretyn, jak śmiał!

– Racja. Nie został jakoś mocno poturbowany!

Wyraz twarzy Valerii mówi, bym uważał na słowa, i chwilę później rozumiem dlaczego.

– Poznaj Giorgia Palliniego, jest mistrzem Włoch w windsurfingu.

– Cześć.

– Cześć.

Podajemy sobie dłoń. Faktycznie jest pokryta odciskami, to efekt wykonanych milionów zwrotów przez rufę. Ma opaloną twarz i kiedy się śmieje, uwydatniają się bruzdy.

– Mogłeś widzieć mnie na reklamie Esso, wykorzystali mój wizerunek.

– Raczej nie, tankuję zawsze u Luigiego na Cammiluccia, a on ma benzynę IP.

– Okay.

Chyba jest zawiedziony, ale naprawdę mało mnie to obchodzi. Valeria idzie za mną do pokoju. Kładę plecak na łóżku.

– Hej, nie złość się. Wiesz, co on zrobił? Obronił mnie. Miałam burzliwą dyskusję z tym kretynem Ernestem i w pewnym momencie wykręcił mi rękę, bo chciałam już iść do domu. Rozumiesz, taki z niego poeta! A wszystkie piękne słowa, które do mnie pisał, kopiował z piosenek. Ale dupek!

Otwieram walizkę i wyjmuję z niej brudne ubrania.

– Giorgio akurat przejeżdżał, zatrzymał samochód, wysiadł, żeby mi pomóc, i panowie trochę się pobili... Potem nalegał, że mnie odwiezie do domu.

Odkładam plecak na miejsce, idę do łazienki i wrzucam brudy do kosza na bieliznę.

– Rozumiesz, że Giorgio nie chciał się kłócić, został zmuszony.

Wracam do pokoju, kątem oka widzę mistrza windsurfingu, który udaje, że nic nie słyszy. Z niewiarygodną uwagą przygląda się obrazowi Magritte'a.

– To kopia kupiona w Isola del Sole na via Ripetta. Mają tam wszystkich, Botera i Matisse'a również! – wołam do niego. Nie sądzę, by znał te nazwiska, bądź co bądź nie pracuje w kiosku. Zamykam drzwi do pokoju, ale Valeria blokuje je stopą.

– Hej. – Przysuwa się bliżej, szepce z poważną miną: – Niczego nie robiliśmy...

– Super, ale czego chcesz ode mnie? Sorry.

Wypycham ją za drzwi i zamykam je. Valeria odwraca się do windsurferowca i bezradnie wzrusza ramionami.

– Mój brat docenia, co zrobiłeś, ale jest zazdrosny. Jestem najmłodsza.

– Rozumiem go.

– Chodź, zrobię ci coś do picia. – Valeria bierze Giorgia za rękę i prowadzi do kuchni.

– Dzięki.

– Nicco jest teraz głową rodziny, to normalne, że tak się zachowuje, czuje ciężar odpowiedzialności. – Otwiera lodówkę, w której niestety niewiele jest.

– Masz ochotę na zieloną herbatę? Możemy również gdzieś pójść, ale Ernesto nadal tkwi przy domofonie.

– Chętnie się napiję.

– Kiedy masz następne zawody? – Valeria nalewa mu herbatę.

– Już się nie mogę doczekać. – Giorgio bierze do ręki szklanekę i siada okrakiem na krześle. – Nie wcześniej niż w grudniu. Teraz mam tylko treningi.

– Za twoje kolejne zawody, może przyjadę pokibicować. – Stukają się szklankami z zieloną herbatą.

– Dlaczego nie, odbędą się w Honolulu.

– Wow, w takim razie przyjadę na pewno!

Valeria siedzi przy stole obok niego. Ktoś otwiera drzwi.

– To my!

Rozpoznaję głos mamy, wychylam się z pokoju.

– Cześć!

Mama odstawia na podłogę torby z zakupami, za nią stoją Vittorio, Fabiola i Francesco.

– Cała rodzina w komplecie!

– Cześć, Francesco. – Głaszczę go po głowie.

– Cześć, Nicco. – Trzyma w dłoniach jakieś elektroniczne urządzenie i nie zwraca na mnie uwagi.

– Wróciłeś. – Mama patrzy na mnie z zaciekawieniem. Mam wrażenie, że ciągle sprawdza, czy u mnie wszystko w porządku. – Chodź, daj mi buziaka. – Mama rozkłada ramiona, całuję ją przelotnie, a ona zarzuca mnie pytaniami: – Jak było? Spędziliście fajnie czas? Wszystko dobrze? Jak poszło z pracą?

– W porządku.

– Z jaką pracą? – Fabiola patrzy na mnie zdumiona.

– Wysłali mnie z agencji nieruchomości do Florencji, Wenecji i Neapolu.

– Fajnie, pogoda chyba też była ładna...

Upewnia się, że Vittorio siedzi w fotelu i czyta gazetę, i podchodzi do mnie bliżej.

– Byłeś z nim na kolacji i nic mu nie powiedziałaś.

– Rozumiem, że ty z nim już rozmawiałaś.

– Wisisz mi kolację. – Fabiola daje mi kuksańca.

– Nie wspomnę, ile ty mi wiesz.

Z kuchni wyłania się mama.

– Zostaniesz na obiedzie? Dzisiaj są urodziny Francesca.

– Prawda, zapomniałem.

Mama wyjmuje z paczki makaron i zaczyna go odmierzać.

– Dlatego wszyscy postanowiliśmy przyjść tutaj. Zostań.

– Nie mogę, muszę wpaść do biura.

– Okay. Przynieś mi torebkę, zostawiłam ją w salonie.

Idę do salonu, torebka stoi na stoliku pod lustrem. Vittorio przerywa lekturę, składa gazetę i wpatruje się we mnie.

– Myślisz, że o niczym nie wiem? Sam się domyśliłem.

Zastygam, tęsknym wzrokiem spoglądam na drzwi, szukając ratunku.

– Pewne rzeczy po prostu się wyczuwa, myślałem, że tamtego wieczoru chciałeś o tym pogadać.

– Tak... – Milknę na chwilę. – Chciałem to zrobić, ale...

Dłonią daje mi znak, bym nic więcej nie mówił.

– Oduść, Nicco, czasami tak się dzieje. Nigdy nie mieliśmy okazji pobyć tylko we dwóch, może tego nie widać, ale naprawdę mi przykro.

– Noo...

– Szczerze przykro mi z twojego powodu.

– Z mojego?

– Tak, że rozstałeś się z Alessią.

– Aha. – Zaniemówiłem. Kto mu, kurwa, o tym opowiedział? Fabiola? Zamiast powiedzieć mu o swoich kłopotach, ona opowiada o moich!

Vittorio odkłada gazetę na oparciu fotela.

– Kiedy byłem w twoim wieku, miałem dziewczynę, za którą szalałem, moi przyjaciele nie znosili jej, ale ja ją uwielbiałem. W końcu zerwaliśmy ze sobą, ciągle się kłóciliśmy, byliśmy o siebie zazdrośni, ja wręcz zaborczy... Któregoś dnia doszło nawet do rękoczynów. Kiedy się rozstaliśmy, było mi bardzo źle, myślałem, że już nigdy się nie zakocham. Potem jednak poznałem Fabiolę i o tamtej dziewczynie więcej nie myślałem... – Rozkłada ręce. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Rozumiem.

– Dzięki, Vittorio.

Nie wiem, kiedy Fabiola z nim porozmawia i czy w ogóle to się stanie, ale tego dnia wolałbym być daleko stąd.

– Znalazłeś? – Mama staje w drzwiach salonu.

– Rozmawialiśmy... – tłumaczy się Vittorio.

– O, jest. – Szuka czegoś w torebce. – Przepraszam, jeśli w czymś wam przeszkodziłam.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nicco, możesz pójść do Caffè Fleming albo gdzieś indziej i kupić tort? Zapomniałam o tym.

– Ja pójdę z tobą!

Francesco, uśmiechnięty od ucha do ucha, wychyla się zza babci.

– Chcę iść z Niccolò. – Mówi zdecydowanie, zuchwale, z przekonaniem, że jak się tylko chce, można zrobić wszystko. Trzy lata pewności.

– Dobra, chodźmy.

Podchodzi Fabiola.

– Pamiętaj, trzymaj go za rękę, nie puszczaj, uważaj i ani na chwilę nie zostawiaj samego. – Mówi zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Silna, zdecydowana, kochająca, wie, czego chce, bez żadnych półśrodków. Fabiola mama.

– Jasne. – Nie przychodzi mi do głowy z tego żartować. Ja też czasami zachowuję się

inaczej niż zwykle.

– Ja wcisnę, ja... – Wsiadamy do windy.

Chcę go podnieść, ale opędza się ode mnie rękami.

– Dosięgnę! – Staje na palcach, ledwo sięga do najniższego guzika z literką P i wciska go. Ruszamy. – Widziałeś?

Stoi taki mały, około metra wzrostu, oparty o ścianę windy, wybija stopą jakiś rytm. Przyglądam mu się z wysokości swojego metra osiemdziesięciu. Pomału podnosi głowę i patrzy na mnie z dołu.

– Dziś są moje urodziny.

– Wiem.

– Nie chcę, żeby klaskali.

– Powiem im.

Znowu wpatruje się w swoje stopy, ale jest spokojniejszy. Wychodzimy na dwór. Nie ma Ernesta, co bardzo mnie cieszy. Chwilę później docieramy do baru. Oglądam torty i w końcu wybieram jeden.

– Poproszę ten za szesnaście osiemdziesiąt.

Kobieta stojąca po drugiej stronie kontuaru usiłuje odnaleźć właściwy produkt w tej cenie.

– Tak, torta della nonna, z kremem i orzechami. Podoba ci się, Francesco?

Jednak on nie zwraca na ciasta uwagi, zaabsorbowany czymś innym.

– Tak. Chcę w to zagrać.

Stoi z nosem przy szybie sporego pojemnika. W środku ramię małego dźwigu porusza się w górę i w dół. Co jakiś czas opada między maskotki, samochodziki i lizaki, zamyka kleszcze, zgarnia jakiś przedmiot, podnosi się do góry i upuszcza go.

– Chcę w to zagrać! – powtarza Francesco, uderza dłońmi o szybę.

– Okay. – Podchodzę bliżej, sprawdzam, ile kosztuje, wydaję z kieszeni pięćdziesięciocentową monetę i wsuwam ją do szczeliny. Słyszę odgłos wpadającej monety i dźwig rusza, tym razem na serio.

– Poruszaj nim... – Kładę jego dłonie na joysticku. – Dalej, dalej, Francesco...

Dźwig dociera do miejsca, gdzie leży bardzo wiele przedmiotów.

– Super, teraz wciśnij czerwony przycisk, wtedy dźwig ruszy w dół. – Francesco patrzy na mnie. – Tak, ten.

Wciska guzik, metalowe kleszcze dźwigu otwierają się i zaczynają opadać. Na samym dole zamykają się pomału, szurając po dnie, zagarniają cukierki, paczki gum, lizaki chupa-chups, zamierają na chwilę i zaczynają się podnosić.

– Tak! – Francesco podskakuje uszczęśliwiony. Dźwig chwycił lizak i powoli kieruje się w stronę wyjściowego otworu, ale w ostatniej chwili upuszcza go, lizak spada z

powrotem między pozostałe smakołyki. Francesco gwałtownie odwraca się do mnie i nie wie, co powiedzieć. Chciałby usłyszeć ode mnie wyjaśnienia, zrozumieć, dlaczego nie dostał tego lizaka, który już prawie był jego, dźwig miał go tylko wrzucić do otworu.

– Przykro mi... – Nie wiem, co więcej mógłbym mu powiedzieć, a słowa, których użyłem, przypominają mi mój osobisty dramat i choćby dlatego dorzucam szybko: – Czasami tak się zdarza...

Nie jest zadowolony z mojej odpowiedzi, faktycznie nie jest zadowolająca.

– Chodźmy stąd.

– Moglibyśmy spróbować jeszcze raz.

Nie mówi już nic więcej i kieruje się do wyjścia. Na szczęście sprzedawczyni zapakowała już tort, płacę i wychodzimy. Francesco idzie przede mną, pozwalam mu, ale nie spuszczam go z oka. Dziś kończy trzy lata. Czasami patrzy na człowieka tymi wielkimi oczami i ma się wrażenie, że wszystko rozumie. Jednak wiem, że to nieprawda. Zastanawiam się, jak bardzo będzie cierpieć w życiu, kiedy spotka go pierwsze rozczarowanie, kiedy rozminie się bez konkretnego powodu z własnymi oczekiwaniami, ze złożonymi mu obietnicami.

– Francesco, zobacz...

Zatrzymuje się i czeka na mnie zaciekawiony.

– Co się stało?

Stawiam tort na masce jakiegoś golfa i chowam ręce za plecy.

– Prawa czy lewa?

– Ta.

Pokazuje na moją prawą rękę. Wyciągam ją zza pleców i pomału otwieram zaciśniętą dłoń.

– Ooo! – Jest przeszczęśliwy. – Mój lizak.

– Odpakuję ci. – Nie może się doczekać, niemal wyrywa mi go z ręki, wkłada do buzi, rozchmurza się. To jego małe zwycięstwo nad dźwigiem i brakiem precyzji tego urządzenia.

Wsiadamy do windy.

– Chcesz wcisnąć guzik? – Kręci głową. – W takim razie ja wcisnę.

Jedziemy w milczeniu, w końcu odzywam się:

– Smakuje ci?

Potakuje.

– Wiesz, co dostałem od rodziców na urodziny?

– Nie, co?

– Piękny rower. Dzisiaj z mamą uczyłem się jeździć.

– Jak ci poszło?

– Świetnie, mama wszystko mi wyjaśniła i już umiem.

Winda dojeżdża na nasze piętro, wciskam dzwonek. Ciekawe, jak mama wyjaśni mi całą resztę.

– Jesteście, bałam się, że już nie wrócicie.

– Poszliśmy na krótki spacer. – Francesco wchodzi do mieszkania i od razu szuka Fabioli. – Proszę, mamó, tort i reszta.

– Jaki kupiłeś?

– Torta della nonna, z kremem i orzechami, jeszcze ciepły.

Mama zanurza twarz w siatce.

– Mmm, pachnie pięknie. – Zwraca się do mnie: – Może jednak zostaniesz?

– Nie, mamó, naprawdę nie mogę. Mam obowiązki.

– Poczekaj chwilę. – Odstawia tort na kredens w salonie i podchodzi do mnie. Nie mam pojęcia, co chce mi powiedzieć, czy czegoś się domyśla. Przez chwilę nic nie mówi, po czym mnie obejmuje. – Dziękuję.

Ścisza mnie bardzo mocno, zamykam oczy, tego się nie spodziewałem. Łzy napływają mi do oczu, strasznie głupio się czuję.

– Za co, mamó? Za tort?

– Za wszystko. – Odsuwa się ode mnie i patrzy mi prosto w oczy.

Za chwilę pękne.

– Pa, mamó. – Wychodzę szybko z mieszkania, wsiałam do winy i zamykam za sobą drzwi.

Nie mam ochoty widzieć się z Fabiolą i Vittorioem, który będzie opowiadać mi o Alessii. Ani patrzeć na nich, jak udają, że wszystko jest w porządku. A może tylko Fabiola udaje? W takim razie nie chcę patrzeć na Vittoria, który żartuje, śmieje się, nie ma o niczym pojęcia i zachowuje się jak kretyń. Czy to właśnie czuje Bóg, patrząc na nas? Co myśli sobie o naszej niewinności? Albo o naszych śmiesznych podstępach? O naszej podłości? Czy ktokolwiek z nas jest w stanie go zaskoczyć? Bardzo chciałbym to wiedzieć. Choć kiedy się nad tym zastanowię, wcale mnie to tak bardzo nie interesuje. Ale jedno mnie ciekawi: czy Giorgio Pallini, poznany dziś mistrz świata w windsurfingu, został u nas na obiedzie? Valeria jest zdolna do wszystkiego.



Parkuję samochód i ostatni odcinek przemierzam na piechotę. Pełno tu turystów z całego świata. Jakiś Marokańczyk sprzedaje dziwne maskotki, rzuca jedną na rozłożony na ziemi karton, ta rozpada się na kawałki, by po chwili pomału znów złożyć się w całość. Może ktoś ją kupi.

Wchodzę do Fontana Hotel Rome. Ania stoi w lobby przy kontuarze. Rozmawia z Robertem.

– Niccolò, ciao! – Wybiega mi naprzeciw, obejmuje mnie i całuje w usta. Kierujemy się w stronę wyjścia, Ania odwraca się i żegna z Robertem: – Ciao! A dopo.

Wsiadamy do samochodu. Prowadzę spokojnie przez centrum miasta, via del Corso, piazza Venezia. Ania jest w wyśmienitym nastroju.

– *Dokąd jedziemy? Jaką masz dla mnie sorpresa?*

Widząc, że nie zrozumiałem wszystkiego, powtarza pytanie wolniej.

– *Dokąd andiamo?*

– Znasz ich? – Podaję jej bilety.

Spogląda na nie, lewą ręką odgarnia włosy z twarzy.

– *Coldplay! Uwielbiam ich! Grazie!* – Rzuca mi się na szyję, omal nie tracę panowania nad kierownicą, ale na szczęście plac jest duży i żaden samochód nie nadjeżdża z naprzeciwka.

Mijamy Campidoglio i jedziemy w stronę Teatro di Marcello. Ania opowiada mi o Coldplay, że są super i że ich lider, Chris Martin, jest mężem Gwyneth Paltrow, i że mają dwójkę dzieci.

– Wiem, mają na imię Apple i Moses! – Proszę, oto jak praca w kiosku staje się twoim asem w rękawie! – Wiem też, że ona miała *problemi*, spodziewała się trzeciego *bambino* i straciła je...

– *Naprawdę? Nie wiedziałam...* – Patrzy na mnie zaskoczona i zaciekawiona, że wiem takie rzeczy. Kontynuuje opowieść o Coldplay, że mają fantastyczne piosenki i że od dawna chciała iść na ich koncert, ale jak dotąd nie miała okazji.

– *Są fantastyczni!* – Mówi, że o ile się nie myli, muzycy zostali oskarżeni o plagiat. – *Serio! Czytałam w gazetach! Podobno Viva La Vida jest identyczna jak Foreigner Suites śpiewana przez Cat Stevens. Inny piosenkarz, Joe Satriani, też uważa, że przypomina ona jego If I Could Fly. Wszystkie trzy są belle, moim zdaniem z piosenkami jest jak z miłością. Całujemy się z różnymi osobami w ciągu życia i za każdym razem jest wyjątkowo.*

Chyba mówi coś o pocałunkach, może naszych, i o tym, że my ich nie kopiujemy, jesteśmy wyjątkowi i niepowtarzalni.

– Mówisz, że jesteśmy jak piosenka... jedyna w swoim rodzaju?

– Sì... – Jestem pewny, że powiedziała znacznie więcej, ale to było w jej wypowiedzi najważniejsze. Tak czy inaczej, spodobały jej się moje słowa, opiera się o mnie i pozwala spokojnie prowadzić aż do Circo Massimo.

Alessia była zupełnie inna. Jeśli nie wiedziałem, kto coś napisał, namalował, zagrał czy zrobił cokolwiek innego, ona wcale nie obracała tego w żart, zwłaszcza w ostatnim czasie. Jednak jedno je łączy, Alessia również знаła cały dorobek Coldplay i marzyła, by zobaczyć ich na żywo.

– Obiecuj, że jeśli przyjadą do Włoch, pójdziemy na ich koncert, bez względu na koszt, nawet jeśli przyjadą do Turynu!

– Obiecuję.

– Yuhuuu! Zobaczysz, spodobają ci się.

Tymczasem życie napisało inny scenariusz.

Parkuję samochód, wysiadamy. Alessio, dotrzymałbym danego ci słowa, kupiłbym bilety, zrobiłbym ci niespodziankę, nie zapomniałbym o tym, pewnie od tygodnia byś mi przypominała o koncercie. Jednak nie mogłem tego zrobić, ponieważ odeszłaś.

Jakaś para przebiega obok nas, może nie mają biletów, a może chcą dostać się pod scenę.

– *Szybko!*

– Nie trzeba. Gruby jest *incredibile*... – Pokazuję jej bilety. – Mamy najlepsze miejsca, możemy *toccare* Coldplay!

– Fantastico!

Gruby załatwił nam najlepsze miejsca w VIP-owskim sektorze, pod samą sceną. On jest niesamowity, nie mam pojęcia, jak to zrobił ani co przehandlował. Kto wie, jak daleko zajdzie, może pewnego dnia zasiądzie w parlamencie, a jego przeciwnicy zostaną jego klientami. Taki jest Gruby.

Przechodzimy obok Bocca della Verità – Ust Prawdy. Przed wejściową bramą, która jest otwarta, stoi strażnik.

– Można wejść?

– Oczywiście, dziś jest Noc Muzeów.

– Nie wiedziałem.

– Nie ty jeden. – Pokazuje na ludzi, którzy przechodzą obok, ale się nie zatrzymują.

– Nawet lepiej. – Wchodzimy z Anią do środka. Przystajemy naprzeciwko antycznego marmurowego medalionu wmurowanego w ścianę kościoła.

– Wiesz, *cosa* to jest?

– *Mężczyzna, który zrobił something bad?!*

– Nie, nic z tych rzeczy! Słyszałaś o filmie *Vacanze Romana*? Wszystko zaczęło się od *Rzymskich wakacji*, prawda? Od tego filmu z Audrey Hepburn? – pytam uprzejmie strażnika, który zaczyna się śmiać.

– Film rozświetlił to miejsce, ale ten medalion w czasach imperium rzymskiego służył jako pokrywa wjazdu do wodociągu, zobacz... – Pokazuje mi wykutą w marmurze twarz. – To jest rzeczne bóstwo, które pochłaniało wodę, a właściwie zwykła ściekowa kratka! Teraz turyści wkładają tu dłonie! Wyobraź sobie, że w przedsionku bazyliki Santa Maria in Cosmedin Usta Prawdy znajdują się od tysiąc sześćset trzydziestego drugiego roku, jednak przed powstaniem filmu nikt się nimi nie interesował! – Kręci głową i się oddala.

– Widziałaś te *Rzymskie wakacje*?

– Sì, *ale nie pamiętam...*

– *È la storia* młodej księżniczki, która przyjeżdża *a Roma* i przez parę dni zwiedza incognito miasto.

– *Już wiem, jest taka scena...* – Wyciąga przed siebie rękę.

– Jeśli włożysz tam dłoń, musisz powiedzieć prawdę...

– *To nie dla mnie, jestem kłamczucha...*

Posyła mi łobuzerski uśmiech, odwraca się i odchodzi. Idę za nią, wydaje mi się inna niż dotąd. Również strażnik uważniej się jej przygląda, Ania wygląda jeszcze piękniej.

– Do widzenia.

– Dobranoc.

Biorę Anię za rękę i idziemy razem, noc jest przepiękna. Ludzi przybywa, wszyscy zmierzają do Circo Massimo. Jakiś samochód trąbi, kierowca pomylił drogę i utknął w tłumie. Ze sceny dobiegają dźwięki muzyki, pewnie technicy sprawdzają instrumenty. Księżyc świeci wysoko na niebie, od morza wieje delikatna bryza, w sam raz na ten wieczór. Mijamy kontrolę bezpieczeństwa, wchodzimy na teren Circo Massimo, pokazujemy bilety i kierujemy się do sektora dla VIP-ów. Jest mnóstwo ludzi, niektórzy siedzą na swoich kurtkach na ziemi, inni stoją, ktoś przyszedł z dzieckiem, które trzyma na barana. Ciekawe, co taki maluch zapamięta z tego koncertu, co z niego zrozumie, zwłaszcza że śpiewają po angielsku! Ania jest w wyśmienitym nastroju, wesoła, zaciekawiona, piękna, rozgląda się wokół, obserwuje zgromadzony tłum, pożera go wzrokiem, sprawia wrażenie szczęśliwej.

– Podoba ci się?

– Molto! *Super jest być na tym concerto z tobą! Noc, ja, ty i Coldplay!*

Dokładnie w tym momencie, jakby ktoś słyszał naszą rozmowę, gasną wszystkie światła, nad sceną wybuchają fajerwerki. Bransoletki, które założono nam przy wejściu, zaczynają się świecić. W górę ruszają balony, a zza kurtyny światła wyłania się on.

– Chris Martin!

Ania krzyczy na całe gardło, tańczy do dźwięków *Us Against the World*. Zna tekst na pamięć i śpiewa, patrząc mi w oczy.

– „*Oh, morning come bursting, the clouds, Amen. Lift off this blindfold, let me see again. And bring back the water, let your ships roll in. In my heart she left a hole...*”

Ostatnie słowa tłumaczy mi niepewnie na włoski, ale bardzo mi się to podoba.

– „W moim sercu... zostawiłeś dziurę...”

Ania nie przestaje tańczyć, jest piękna, szalona, wolna, unosi ręce do nieba, patrzy to na gwiazdy, to na mnie, w końcu też daję się ponieść chwili i tańczę razem z nią. Leci druga piosenka, *Yellow*.

– „*Look at the stars... look how they shine for you! And everything you do...*”

Tę też zna. Zaczęła się dokładnie wtedy, kiedy patrzyliśmy na gwiazdy. Ach, te przypadki. Tańczę wokół Ani, jestem szczęśliwy, otwieram oczy... Co za przypadek! Kogo, oprócz gwiazd, widzę przed sobą?

– Benedetta!

– Cześć! – Posyła mi wymuszony uśmiech. – Ty też tutaj?

Patrzy na Anię, która niczego nie zauważyła, tańczy dalej, jakby świat wokół niej nie istniał. Bądźmy szczerzy, w końcu nic się takiego ważnego nie dzieje. Ale Benedetta ma inne zdanie na ten temat, taksuje ją wzrokiem od stóp do głów, potem spogląda na mnie.

– Jasne... – Nie wiem, co to miało znaczyć. – Miałam rację. Ach, to jest Domenico, z naszej agencji, pewnie się nie znacie, bo on pracuje rano.

– Nie, nie, wiem, kim jest. – Pozdrawiam go.

– Na razie.

– Do poniedziałku.

– No raczej.

Dziwny uśmiech wypełza jej na twarz, jakby dawała mi do zrozumienia, że moja pozycja w pracy jest zagrożona. Wiesz co? Może to absurdalne, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Tańczę dalej.

– „*When she was just a girl, she expected the world... but if flew away from her reach, so she run away in her sleep...*” – Ania przytrzymuje mnie za ramię. – *Co się stało? To twoja dziewczyna? Przykro mi...*

– Nie, Ania! To nie moja *amore*! Moja *amore* jest lepsza od niej!

Śmieję się, nie chcę o tym myśleć. Chociaż z drugiej strony, gdyby cały mój ból, kłopoty, zły humor spowodowane były rozstaniem z Kałużą, może nie cierpiałbym tak bardzo! Bardzo podoba mi się ta piosenka, ludzie dookoła nas też tańczą. Chciałbym znać angielski i śpiewać razem z Anią.

– „*And dreams of para-para-paradise, para-para-paradise... para-para-paradise...*”

Ten tekst jest łatwy, mówi o raj. Całujemy się. Do moich nozdrzy dociera zapach skręta, ktoś nam go podaje, bierzemy po dwa machy i przekazujemy dalej. Ania całuje mnie przeciągle, potem odsuwa się, spogląda na mnie i wraca do tańczenia. Patrząc na nią i czując się spełniony, to taka wyjątkowa chwila, dookoła gwiazdy, księżyc, ona, muzyka, ale nagle brakuje mi ojca, i ta chwila szczęścia pryska jak mydlana bańka.

Zamykam oczy i widzę mamę krzątającą się po kuchni. Stoi do mnie tyłem, nagle zamiera, opiera dłonie o zlew. Sięga po ręcznik papierowy, odrywa jeden listek i wydmuchuje nos. Płacze, ale kiedy się do mnie odzywa, usiłuje to ukryć.

– Jak było? Udany wieczór? – Jednak nie odwraca się do mnie, wie, że jej oczy nie potrafią kłamać.

– „*This could be para-para-paradise... para-para-paradise oh, oh, oh, oh, oh, oh*”.

Chciałbym znaleźć się w rajku na jedną krótką chwilę, tylko by go przytulić, na sekundę, obiecuję... Ale to tak nie działa.

– Nie, mammo, nie był udany.

Dlaczego? Bo chciałbym, żebyś była szczęśliwa, żeby moje siostry uporały się ze swoimi kłopotami, żeby tata był znowu z nami. Tak, tato, chciałbym, żebyś znowu był głową rodziny, zajął się wszystkim, pogadał z nimi, dodał im otuchy, podpowiedział, co trzeba albo czego nie należy robić. A potem spojrzalbyś na mnie i porozmawiał ze mną, jak tylko ty potrafisz.

Zaczyna się *Viva la vida*. Z tyłu sceny pojawia się ogromny obraz Eugène’a Delacroix, spod spodu wypływają obłoki jasnego dymu, jesteśmy uwięzieni, tańczymy wraz z Chrisem Martinem i Coldplay. Światła gasną, nad głowami muzyków rozjaśnia się kula słońca, jej blask jest tak jaskrawy, że niemal nas oślepia. Ania krzyczy mi do ucha:

– *Zobacz, Chris będzie grał na starym keyboardzie, który należał do ojca Gwyneth, Bruce’a Paltrow. – Obejmuje mnie w pasie od tyłu i kontynuuje opowieść. – Nikt nigdy na nim nie grał... Bruce kupił go tuż przed swoją śmiercią. Ta piosenka mówi o miłości, jaką Chris darzy Gwyneth.*

Zaczyna się wolne *Sparks*. Patrzę na Anię, która niczego się nie spodziewa.

– Piękna jest ta ballada. Zatańczysz *con me*?

Przytulamy się. Ludzie obok nas idą w nasze ślady, jakby powiedzieli sobie dokładnie to samo. „*My heart is yours, it’s you that I hold onto, yeah that’s what I do*”. Ania próbuje nieporadnie przetłumaczyć mi słowa na włoski.

– „*Moje serce jest twoje, trzymaj mnie z tobą*”. – Przytula się do mnie mocniej. Coldplay grają jedną piosenkę po drugiej. *Speed of Sound, Strawberry Swing*. Ania całuje mnie w usta, przygryza delikatnie wargi, ssie je. – *Jesteś moją strawberry, jak raz zaczęję jeść, nie mogę przestać.*

– Następnie lecą *We Found Love, Run This Town, The Scientist* i kawałki z albumów *X&Y* i *Mylo Xyloto*. Ten koncert to prawdziwy spektakl, ale nagle wszystko się urywa i muzycy schodzą ze sceny. Tu i ówdzie zapalają się światła, zaczynamy skandować „*Bis, bis*”. Po jakimś czasie światła znowu gasną, a Coldplay wraca z *Everything’s Not Lost*. Przepiękna, przejmująca, ale optymistyczna, daje nadzieję, że nie wszystko stracone. Dziś wieczorem patrzę na Anię inaczej niż zwykle, jej życie w Warszawie nie wydaje mi się tak odległe, a bariera językowa nie do pokonania. Kto wie, może któregoś dnia będę potrafił wyrazić wszystko, co czuję. Teraz leci *Charlie Brown*. Uśmiecham się sam do siebie, bo ta piosenka zdaje się mówić o mnie. *Charlie Brown* to chłopiec, któremu

ciągle coś nie wychodzi, ale jest uparty i nigdy się nie poddaje. O ile pamiętam, gra w baseball też mu nie idzie, ale któregoś razu udaje mu się zaliczyć zwyczajski *home run*. Tą ostatnią piosenką, którą odbieram jak wysłaną mi wiadomość, kończy się cały koncert. Zapalają się światła, kilka osób skanduje jeszcze „Bis, bis”, ale wiadomo, że żadnego bisowania już nie będzie. Trzymamy się z Anią za ręce, by nie zgubić się w tłumie, co chwila ktoś nas potrąca.

– *Nicco, naprawdę lubię Chrisa Martina, mógłby mieć mnóstwo kobiet, ale rozumiał, jakie to wyjątkowe być tylko z jedną. Może na zawsze zostaną z Gwyneth razem... Fajnie by było, gdybyś myślał tak jak ja...*

Coś zrozumiałem, przynajmniej usiłowałem.

– Ale ja nie umiem śpiewać jak Chris Martin!

Ania wybucha śmiechem.

– *Nie ma znaczenia, możesz nawet fałszować.* – Zauważa stoisko z koszulkami, czapczkami i gadżetami Coldplay. – *Fantastico. Hej, poczekaj moment!* – Nie daje mi czasu na odpowiedź, przedziera się w stronę stoiska. Nie spuszczam jej z oczu, upewniając się, czy wszystko w porządku, czy nikt nie kradnie jej znowu portfela, który ma chyba w tylnej kieszeni dzinsów. Ktoś mnie potrąca.

– Przepraszam bardzo.

– Nicco?

– Alessia. – Jestem tak zaskoczony, że nie wiem, co powiedzieć.

– Cześć! – Wygląda, jakby ucieszył ją mój widok. – Jak się masz? – Obejmuje mnie i czuję się dziwnie, nic z tego nie rozumiem, w końcu się odsuwa. – Świetny koncert, prawda? Fantastyczny.

Mówi, jakbyśmy ostatni raz widzieli się wczoraj.

– Dali niesamowity show.

Zaskakuje mnie własne opanowanie i spokój.

– Wybacz... – Alessia patrzy przed siebie. – Jeśli mnie tu zostawią, zgubię się w tym tłumie...

Ale kto? Facet? Niewiele myśląc, gwałtownie się odwracam. Nie, to jej przyjaciółki, które pozdrawiają mnie ruchem dłoni.

– Dobra, Nicco, spadam, dzwoniemy się, jeśli masz ochotę. – Całuje mnie w policzek i biegnie do koleżanek. Ubrana jest w dzinsy i koszulkę w moim ulubionym jasnoczerwonym kolorze. Może dostała ją ode mnie. Ma związane włosy, trochę więcej bransoletek niż zazwyczaj i naszyjnik, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Natomiast skórzany pasek rozpoznaję. Za chwilę już jej nie dostrzegam, straciłem ją z oczu. Znowu.

– *Podoba ci się?* – Odwracam się, przede mną stoi Ania w jasnoniebieskim podkoszulku z błyszczącym napisem „Coldplay”. Tak samo lśniące są jej oczy.

– Sì, molto. – Ale chyba nie jestem zbyt przekonujący.

– Na pewno?

– Sì.

– *W takim razie dla ciebie też mam!* – Wyjmuje zza pleców identyczną koszulkę, tylko większą. – Prego... grazie za concerto!

Całuje mnie, bierze pod ramię i kierujemy się do wyjścia. To było takie miłe z jej strony, ale nie potrafię się ucieszyć. Czy Alessia pamiętała, że mieliśmy ten koncert obejrzeć razem? Tyle razy o tym mówiliśmy. Może przypomniała sobie, kiedy mnie zobaczyła. Czy całą resztę również pamięta? „Zdzwońmy się, jeśli masz ochotę”. Co to w ogóle znaczy? Jaki ma sens? Czy ona zdaje sobie sprawę, ile razem przeżyliśmy, jak bardzo się kochaliśmy? A gdyby Ania podeszła do mnie wcześniej? Spoglądam na nią, jak idzie powoli z rękami w kieszeniach. Chciałbym, żeby się spotkały. Może coś bym z tego zrozumiał. Alessia nawet nie spytała, z kim przyszedłem. Może mi się przyśniła? Chyba wolałbym, żeby spotkanie z nią było tylko snem.

Gruby siedzi przy stole u Francesca w vicolo del Fico. Okala go wianuszek kelnerów zasłuchanych w jego opowieści. Paulina przysłuchuje się z ciekawością i choć niewiele rozumie, śmieje się z innymi.

– Więc tutaj odbywa się aftershow Coldplay!

– Siema, Nicco! Jak koncert?

– Fantastico! *Strasznie długo grali!*

– Niesamowity, bardzo nam się podobał. – Siadamy z Anią obok Grubego.

– Co wam podać? – Kelner szybko przechodzi do konkretów, nie interesują go piosenki zespołu. Zamawiamy jedną margheritę, jedną diavolę i piwo. Na przystawkę bruschettę, ryżowe kulki supplì i krokiety.

– Woda gazowana czy niegazowana?

– Niegazowana, dzięki.

– Opowiadaj, jak koncert? – Gruby wydaje się szczerze zainteresowany. – Jakie kawałki zagrali?

Zostawiam relacjonowanie Ani, która zna je wszystkie na pamięć.

– Nie zagrali *In My Place*?

– Sì!

– Byłoby dziwne. *A Rush Of Blood to the Head* to jeden z ich najlepszych albumów!

Kelner przynosi napoje, nalewam Ani wodę, a sobie piwo. Jest gorąco, ale przyjemnie, w zaułki na tyłach piazza Navona dotarł orzeźwiający wietrzyk. Gruby, dzięki temu, że ciągle siedzi w internecie, ściągając pliki i przeglądając różne strony, jest świetnie poinformowany. Nagle odwraca się do mnie.

– Dużo było ludzi na koncercie? – Jakby sobie o czymś przypomniał.

– Bardzo dużo... – Odstawiam szklanę.

– Nikogo nie spotkałeś?

Najpierw muszę się znowu napić.

– Nic nie mów. To był koncert spotkań. Mimo że było tam około czterdziestu tysięcy ludzi, jakbyśmy się umówili. Spotkałem Kałużę!

– Nieee! Niemożliwe! – Gruby jest rozbawiony. Daje znak ręką kelnerowi. – Podasz mi piwo? – Pokazuje na moją szklanę. Chce się w pełni rozkoszować tą chwilą. – Co ci powiedziała?

– Nic specjalnego, była wkurwiona...

– Nie dziw się, dałeś klasyczny pokaz muzyki i magii...



– O czym ty mówisz? – Patrzę na niego zdumiony.

– Najpierw bzykasz, potem znikasz!

Tak dobrze go znam, a mimo to zawsze wpuści mnie w maliny. Dwie dziewczyny siedzące przy stoliku obok patrzą na nas niechętnie. Wszystko słyszały. Jedna mówi do drugiej:

– Tacy mogą spotykać się tylko z cudzoziemkami...

– Nic dziwnego, gdyby ich rozumiały, omijałyby ich szerokim łukiem.

Gruby nic nie słyszał, więc kontynuuję:

– Była z Domenikiem, takim jednym nieudacznikiem z pracy.

– Uważaj, bo tylko żeby zrobić ci na złość, uczyni go twoim szefem!

– Moim zdaniem już o tym myśli.

Kelner przynosi piwo. Gruby upija duży łyk, odstawia kufel na stół i zamyka oczy.

– Tego mi było trzeba, strasznie dziś gorąco.

Chwilę później na stole lądują bruschetty, supplì i krokiety.

– Uważaj... – mówię do Ani. – Gorące.

Ania sięga po bruschettę, bierze gryza i puszcza do mnie oczko, co nie uchodzi uwagi Grubego.

– Czy ciebie też tak zjada?

– Przestań!

Spoglądam na dziewczyny siedzące przy sąsiednim stoliku, ale na szczęście zajęte są czymś innym.

– I jak?

– Z czym?

Jem bruschettę, jest pyszna. Najbardziej lubię te restauracje, w których pomidory kroi się tuż przed podaniem, a nie po południu i potem leżą przez parę godzin w lodówce.

– Nie spotkałeś nikogo więcej? – Gruby nalega, jakby coś wiedział. Wpatruję się w niego przez dłuższą chwilę, nic nie mówi, trzyma piwo w dłoni. – O co chodzi?

– O nic.

– No to mów.

Biorę gryza bruschetty.

– Spotkałem Alessię.

– No coś ty! To jakieś szaleństwo! Kałużę i ją. Życie potrafi z nas zakpić...

– Z ciebie jakoś nie kpi!

Gruby natychmiast odstawia kufel i chwyta się pod stołem za przyrodzenie.

– Zwariowałeś, kurwa?! Chcesz zapeszyć? Z tym nie ma żartów! – Spogląda na telefon. – Dzisiaj faktycznie jest jakoś inaczej... Żadna z nich nie odebrała ode mnie

telefonu i nie dostałem żadnej wiadomości...

– Na twoim miejscu poszedłbym do domu.

– A ty dalej swoje! – Znowu łapie się za przyrodzenie. – Nicco, odpuść już sobie, dobrze? Opowiedz mi lepiej o Alessii.

Patrzę na Anię, która rozmawia z Pauliną. Może mówi o koncercie.

– Co mam ci opowiedzieć? Nie ma o czym...

– Co o niej pomyślałeś?

– Sam nie wiem, była trochę inna, może dojrzała. Sorry, co to za pytanie?

– Tak mi przyszło do głowy.

– To źle ci przyszło!

– Fajna jak kiedyś?

– Nie rozumiem.

– Ładna?

– Oczywiście, że ładna, jak miała się zmienić w trzy i pół tygodnia! – Gruby się śmieje. – O co chodzi tym razem?

– O nic, sorry, przyszło mi coś głupiego do głowy: trzy i pół tygodnia, film, w którym robią tylko jedną laskę!

Tym razem dziewczyny z sąsiedniego stolika usłyszały słowa Grubego. Jedna z nich sięga po torebkę i zwraca się do nas:

– Gratuluję... Przynajmniej to było zabawne!

Gruby nie pozostaje jej dłużny.

– Dzięki. Wyobraź sobie, że dziś wieczorem nie jestem w formie! – Dziewczyna kręci głową i wraz z przyjaciółką się oddala. Gruby puszcza do mnie oczko. – Widziałeś? Wyrwaliśmy kolejne dwie laski, nie można nam się oprzeć...

– Akurat. – Sięgam po krokiet, tymczasem Gruby bierze moją ryżową kulkę. – Sorry, chyba już jadłeś?

– Owszem, ale to supplì jest przepyszne.

– To sobie zamów!

– Dobra, tobie też później zamówię...

– Później będę miał pizzę...

– Co ma piernik do wiatraka? Supplì zawsze schodzą! – Zastanawia się nad czymś przez chwilę. – Rozmawialiście?

– Przywitaliśmy się.

– Widziała, z jaką laską przyszedłeś? – Wskazuje brodą na Anię, która zajada supplì.

– Nie, Ania akurat odeszła na chwilę.

– Z kim była Alessia?

- Z dwiema przyjaciółkami.
- Tylko z nimi? – Wydaje się zaskoczony moją odpowiedzią.
- Tak, a co?
- Nic, tak tylko pytam...

W tym momencie kelner przynosi pizzę.

- Margherita?
- Dla niej!
- Diavola?
- Dla mnie, dziękuję.

Kelner stawia przed nami talerze i odchodzi.

– Mmm... – Patrzę na Anię i wdycham zapach stojącej przede mną pizzy. – Ta pizza musi być *incredible!*

– *Pewnie!* – Ania odkraja kawałek widelcem i nożem. Jeszcze nie zacząłem jeść, a Gruby już częstuje się moją pizzą.

– Mmm, dobra ta diavola! Pachnie fantastycznie, musi być przepyszna, mogę ten kawałek?

– Trzymasz go już w ręku...

– Niezbyt dobrze to brzmi! Szkoda, że te dwie już poszły... – Wybuchając śmiechem i wgryza się w pizzę. – *Mmm, molto buono!* – Zwraca się do Pauliny. – Chcesz?

– Sì!

Odrywa jej kawałek pizzy, ale kiedy Paula wyciąga po nią rękę, Gruby ją zabiera.

– Nie rękami... Ustami. – Paulina posyła mu dwuznaczne spojrzenie, Gruby unosi brew i patrzy na nią pożądliwie.

Im Paula przysuwa się bliżej, tym dalej Gruby odsuwa od niej pizzę, która w końcu znajduje się na wysokości jego twarzy. Dziewczyna najpierw całuje go w usta, a potem wgryza się w pizzę, naśladując ryk tygrysa.

– *Roar...*

Gruby gwałtownie cofa dłoń, udając, że się jej boi.

– Smakuje ci? Pizza z szynką. Wiem, że lubisz... – Znowu unosi brwi. Wtem na jego twarzy ląduje torebka. – Aua, kurwa! Kto to? Co ty, kurwa, robisz?

Odwraca się. Przed nim stoi Beatrice.

– Wreszcie powiedziałeś coś mądrego. Rzeczywiście, co ja, kurwa, z tobą robiłam?

– Ale, Bea, mylisz się... – Gruby wstaje.

– W czym się mylę? Zadzwoiłam do ciebie, powiedziałeś, że idziesz grać w pokera, ale to rozdanie ci nie wyszło. Wraz z przyjaciółkami... – pokazuje dwie przygnębione koleżanki, które patrzą na nas poważnie, potępiając, mam wrażenie, nawet wybór

pizzy – ...postanowiłyśmy się przejść. Wiedziałaś, że poszłam do Gusto, prawda? Mimo to zaryzykowałeś i tym razem przegrałeś!

– Bea, nie mów tak. – Usiłuje ją objąć, ale ona strąca z szyi jego dłoń.

– Nie dotykaj mnie.

– Proszę cię, nie złość się, o niczym ci nie mówiłem, bo nie chciałem, żebyś była zazdrosna... Umówiliśmy się z tymi cudzoziemkami, bo Nicco był w kiepskiej formie...

Dopiero teraz Beatrice spogląda na mnie. Mam usta pełne jedzenia, ale usiłuję przyjacielsko się do niej uśmiechnąć, ona nawet nie podejmuje takiej próby.

– Powiedz jej, Nicco, powiedz... – Gruby patrzy to na mnie, to na Beatrice.

– Co?

– Jak to co? Że byłeś w kiepskiej formie!

– Tak, on ma rację, byłem w kiepskiej formie.

Tymczasem ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach zaczynają nam się przyglądać, kilkoro przechodniów przystanąło, niektórzy dobrze się bawią. Gruby nie traci nadziei, chyba wierzy, że moja deklaracja rzuci zupełnie nowe światło na zaistniałą sytuację. Brnie dalej:

– Przecież mówiłem ci, że Nicco rozstał się z Alessią... – Część osób przysłuchująca się rozmowie spogląda na mnie z zaciekawieniem. Jedna dziewczyna mówi coś na ucho przyjaciółce, która przytakuje, jakby się co do czegoś zgadzały. Dobra, okay, ale co do czego? Kim one są? O co tutaj chodzi? Kurwa, Gruby i jego problemy... Dlaczego zawsze musi mówić o mnie? Ania spokojnie je pizzę, jakby nic się nie działo, Paulina dolewa sobie wody, usiłuje zachować obojętność.

– A więc to prawda!

Słyszę ten głos i nie wierzę własnym uszom, ale widzę bladą jak ściana twarz Grubego i wiem, że się nie mylę. Za nami stoi Deborah, druga dziewczyna Grubego, w towarzystwie jakiegoś chłopaka i koleżanki. Patrzy na nas.

– Jak idzie partyjka pokera? Nie widzę kart... tylko laski!

Ona jest przynajmniej sympatyczniejsza.

– Zadzwonili do mnie przyjaciele, którzy przechodząc, widzieli cię tutaj u Francesca, ale nie chciałam im wierzyć. – Gruby patrzy na mnie, wzruszam ramionami. Deborah rzuca okiem na swoich znajomych. – Mieliście rację! To on!

Beatrice przenosi wzrok z Grubego na Deborah.

– Sorry, kim ona jest?

Deborah stoi oniemiała.

– Do jasnej cholery, kim ty jesteś?

– Tak się składa, że jestem jego dziewczyną!

Deborah przeszywa wzrokiem Grubego, który skulił się na krześle.

– Co takiego? Ciekawe, bo od ponad roku JA jestem jego dziewczyną, dobrze mówię, Gruby?

– Ja też spotykam się z nim od roku. – Beatrice podchodzi do Grubego. – Co to za historia? Mógłbyś mi wyjaśnić?

Gapiów jest coraz więcej, obleżyli nasz stolik. Któż by sobie odpuścił taką scenę?

– Co ci mam wyjaśnić? – Gruby wstaje z krzesła.

– Czeka, czeka, mnie też się wytłumacz, skoro już tu jestem... – Deborah dolewa oliwy do ognia.

– Dziewczyno, co tu mówić, zakochałem się! – Bierze Paulinę za rękę, podnosi ją z krzesła i zbiera się do wyjścia. Na odchodnym pochyla się do mnie i szeptem: – Zajmij się resztą, Nicco...

Nie zdążył skończyć, ktoś sprzątnął mi piwo sprzed nosa i chlusnął nim w Grubego.

– Sukinsyn! – To była Beatrice.

– Hej! Moje piwo, do jasnej cholery!

Deborah sięga po kufel Grubego i rzuca, na szczęście nie trafia.

– Tak, kawał sukinsyna z ciebie!

– Aua! Zwariowałyście?

Ludzie wokół nas zaczynają klaskać.

– Dajeesz!

– Tak trzymaj, Gruby! Jesteśmy z tobą.

Mężczyźni mu kibicują, a kobiety szturchają swoich partnerów. Tymczasem Gruby oddala się z Paulą, ostatnią kobietą, która mu została.

Proszę o rachunek. Beatrice i Deborah zatopione są w rozmowie o Grubym.

– Nie, niemożliwe, naprawdę? Kiedy?

– Latem.

– Teraz rozumiem... – Kręci głową z niedowierzaniem.

Kelner przynosi mi rachunek.

– Nie policzyłem za stłuczony kufel. Twój kumpel zrobił nam niezłą reklamę.

– No raczej.

Płacę i wraz z Anią opuszczamy restaurację. Idziemy w milczeniu, nie wiem, od czego zacząć. W końcu Ania bierze mnie pod rękę i wybawia z niezręcznej sytuacji.

– *Twój amico jest miły, czy naprawdę kocha Paulinę? Czy tylko tak powiedział, bo te dziewczyny były rozżłoszczone?*

– Myślę, że to prawda, Paulina jest bardzo fajna...

Ania mocniej ściska mnie za ramię. Idziemy dalej.

– *Na concerto widziałam tamtą dziewczynę... Też masz tyle kobiet co Gruby?*

– Nie, nie aż tyle. – Chciałbym powiedzieć coś więcej, coś innego, ale nieznajomość języka jest moim usprawiedliwieniem.

Wczesnym rankiem siedzimy już w pociągu. Rozmawialiśmy o wczorajszym zajściu między Grubym i jego dziewczynami i o Paulinie. W końcu udało mi się uspokoić Anię, ale nie było łatwo.

– Nie jestem jak Gruby, teraz z nikim się nie spotykam.

Rozchmurzyła się, ale niewiele brakowało, by się rozplakała. Spuściła głowę i milczała. Widziałem, jak drży jej podbródek, po lewym policzku spłynęła łza. Starłem ją kciukiem z czułością. Stałem bez słowa z wilgotnym palcem i przyszła mi do głowy absurdalna myśl: „To pierwsza polska łza w moim życiu”.

Delikatnie uniosłem jej podbródek. Z początku miała zamknięte oczy, ale kiedy je otworzyła, zaparło mi dech w piersiach. Były wilgotne od łez, zielonobrazowe, czułe, wrażliwe, niewinne, pełne życia. Zobaczyłem w nich bezgraniczną miłość. Czy naprawdę da się to wszystko wyczytać z jednego spojrzenia? Czy po prostu to chciałem w nim dojrzeć?

Pamiętam, że kiedyś z Alessią wybraliśmy się na wystawę *Metafisica* do Scuderie del Quirinale, gdzie było mnóstwo obrazów. Powiedziała, że wszystkie przyjechały z nowojorskiej galerii MoMA, że są tu dzieła włoskie i inne, od dadaizmu po surrealizm i amerykańskich ekspresjonistów.

Spędziliśmy tam mnóstwo czasu, oglądając wszystkie prace. Na końcu Alessia spytała mnie:

– Który podoba ci się najbardziej?

– Ten.

– Nic dziwnego, przypomina ci reklamę benzyny!

– Nie, lubię Magritte’a, bo kwestionuje rzeczywistość.

Podeszła do mnie nauczycielka, która była na wystawie z klasą, i zaskoczona spytała:

– Gdzie pan o tym przeczytał?

– Nie przeczytałem.

– Skąd pan to wie?

– Tak to rozumiem.

Nauczycielka odeszła nie do końca przekonana.

– Naprawdę sam na to wpadłeś?

– Oczywiście, co w tym dziwnego? Każdy obraz, każda rzecz zmusza do zastanowienia, jeśli używasz mózgu.

Alessii również nie przekonałem. Wieczorem wysłałem jej SMS-a: „*Szczęście to nie fart, to sztuka w najczystszej postaci René Magritte. O tym przeczytałem, ale się nie zgadzam.*”

Ciebie spotkałem przypadkiem”.

Jednak ani słowa Magritte’a, ani moje nie wystarczyły, może Alessia już wtedy podjęła decyzję, bo mi nie odpisała. Spoglądam na Anię, trzymam w dłoniach jej twarz, a w oczach dziewczyny maluje się prośba o jakąś odpowiedź, słowo, cokolwiek, co dałoby jej poczucie pewności i bezpieczeństwa. Jednak jedyne, co przechodzi mi przez gardło, to że nie jestem taki jak Gruby. Całuję ją, jej wargi są miękkie i wilgotne, mają posmak słonych łez, z początku drżą, by po chwili zatracić się w pocałunku. Ania mocno mnie przytula, jakby bała się, że mogę jej uciec, że mogłaby mnie stracić. Czuję, że ten pocałunek był inny. Miał w sobie jakąś rozpacz, oznaczał jakąś tajemnicę, ale na tyle skrytą, że nie jestem w stanie jej rozgryźć. Odsuwa się ode mnie, patrzy mi w oczy i pociąga nosem.

– *Jutro chciałabym zobaczyć mare.*

Nie chciałem zostawić jej samej. Znaleźliśmy malutki hotelik. Pokój okazał się całkiem miły. Wtuliliśmy się w siebie i szybko zasnęliśmy. Czuliśmy się sobie bardzo bliscy, tak jakbyśmy spędzili już razem wiele lat.

Tak oto znaleźliśmy się w pociągu. Ania przestudiowała przewodnik i wybrała tę formę podróży.

– *Tu jest opisanych piętnaście różnych wycieczek, wszystkie godzinę drogi od Rzymu.* – Wybrała miejsce. – *Chciałabym andare do... Anzio!*

Poczułem ucisk w sercu, niespodziewanie to ona odkryła moją tajemnicę.

– *Dlaczego Anzio...?*

– *Chciałabym zobaczyć miejsce, w którym alianci wylądowali podczas drugiej wojny światowej. Poza tym myślę, że tam może być ładnie. Znasz Anzio?*

– *Sì, jeździłem tam często z rodzicami, kiedy byłem piccolo...* – Nie mówię nic więcej.

Pociąg mknie szybko. Siedzimy naprzeciwko siebie, Ania czyta coś w przewodniku. Przez uchylone okno wpada morska bryza, znak, że zbliżamy się do celu. Nigdy nie jechałem do Anzio pociągiem. Jeździliśmy zawsze razem samochodem. Mój tata śpiewał, a my razem z nim, jak na amerykańskich filmach, kiedy reżyser chce pokazać rodzinę. Tylko że my byliśmy prawdziwą rodziną. Pociąg się zatrzymuje. Hamulce, całe w soli, z rykiem blokują zardzewiałe koła. Z okna widać już morze, jest całkiem blisko. W oddali łożoce niebieska flaga ze słońcem, za nią sterczy latarnia morska. Niemożliwe, jesteśmy na miejscu.

– *Chodź!* – Zdejmuję nasze plecaki. – *Wysiadamy!*

– *Jesteśmy na miejscu?*

Nie mam czasu na odpowiedź, chwytam ją za rękę i biegniemy korytarzem w stronę wyjścia.

– *Szybko!*

Wysiadamy w ostatniej chwili, drzwiczki zamykają się za nami z suchym łoskotem i pociąg rusza powoli. Patrzymy za nim, jak nabiera prędkości i znika za zakrętem.



– *Gdzie jesteście?*

– To jedno z najładniejszych miejsc w Anzio. Chodź *con me...* – Biorę ją za rękę. Chwilę później idziemy przez łąkę, która prowadzi nas do skał. Pokazuję latarnię morską. – *Capo d'Anzio...* A tu jest *Grotta di Nerone...* – Po schodkach docieramy na plażę. – *Leggenda* mówi, że Neron uciekał na statku i... – Pokazuję jaskinie w skałach. – ...dobił do tych *incredible Villa di Nerone!*

Spacerujemy po plaży, morze jest wzburzone, fale rozbijają się o brzeg, wieje wiatr i oprócz nas nie ma nikogo. Pełno tu kamieni w różnych kształtach: okrągłe, trójkątne, kwadratowe, małe i duże, są też kawałki butelek i szkła, wszystkie oszlifowane przez morze, nie mają ostrych krawędzi. Opowiadam jej swoją łamaną angielszczyzną o tym, jak przyjeżdżałem tutaj z tatą, jak zbierał kamyki, które przechowywał w dużym czerwonym pojemniku, i każdego lata, po powrocie do Rzymu, uzupełniał swoją kolekcję. Mówię, jak bardzo tęsknię za jego ciepłymi, dużymi dłońmi, którymi głaskał mnie po głowie albo brał w nie moją twarz, czasami dla żartu, a czasami, by mi podokuczać. Opowiadam o tacie i nie wiem, dlaczego zaczynam płakać. Siadamy na niewielkiej skale, Ania mnie obejmuje, głaszcząc po głowie, a ja słucham szumu morza zatopiony w jej ramionach. Czuję jej zapach, biorę jej dłonie w swoje i całuję je, przygryzam nadgarstki. Przenosimy się wyżej, między skały, i chowamy przed całym światem. Wyjmuję z plecaka duży plażowy ręcznik i rozkładam go na płaskim glazie. Ania od razu się na nim wyciąga. Podłączam komórkę do małej kolumny. Leci *She*, nasza piosenka, przy której się poznaliśmy. Ania kręci głową, zmieszana chowa twarz w dłoniach, potem wyciąga w górę nogi i ze szczęścia zaczyna nimi pedałowac w powietrzu. Kładę się obok i nie mogę oderwać od niej oczu. W końcu opiera nogi o skałę, zaczynam je pieścić, czuję ich gładką nagą skórę. Ania nadal zakrywa dłońmi twarz, na chwilę rozsuwa palce i łapie jej przelotne, trochę prowokacyjne spojrzenie. Wędruję ręką w górę jej ud, dotykam gumki majtek, wsuwam pod nie dłoń. Ania odchyła do tyłu głowę, głęboko oddycha, czuję ją pod swoimi palcami i napawam się rozkoszą, którą przeżywa. Przygryza dolną wargę, jest coraz bardziej rozgrzana, wygina w łuk plecy. Zdejmuję jej figi. Leży z rozchylonymi nogami i zadartą spódnicą, jej pokryte kręconymi włoskami łono owiewa delikatna morską bryza. Podciągam wyżej spódnicę, całuję płaski i miękki brzuch, potem pępek i w końcu schodzę niżej i zatracam się w niej. Nasza piosenka dobiegła końca. Zaczyna się kolejna, wybrana losowo. *Sailing* Christophera Crossa. Ach ten Gruby i jego składanki. W tej muzyce jest coś niezemskiego, nawet fale zdają się uderzać rytmicznie o brzeg. Ania otwiera oczy, w których odbija się niebo i chmury. Unoszę wyżej jej nogi i wchodzę w nią głęboko. Obejmuje mnie mocno. Jej uścisk jest coraz mocniejszy, czuję jej rozkosz. Zostajemy tak spleceni przez chwilę, leżę na niej, patrzę na morze, słyszę muzykę, huk fal rozbijających się o brzeg i bicie jej serca, które powoli się uspokaja. Ogarnia mnie melancholia. Nigdy nie przypuszczałem, że wrócę na tę plażę i przeżyję coś tak wyjątkowego. Spoglądam na niemal bezchmurne niebo i nie potrafię opisać tego, co czuję. Tyle razy byłem tutaj z tatą, nie sądziłem, że potrafię cieszyć się tym miejscem bez niego, a tymczasem jestem tu z Anią, z Polką. Desperacko usiłuję znaleźć

wyjaśnienie dla tych zdarzeń, z pomocą przychodzi mi piosenka Vasca Rossiego *Un senso*, w której autor próbuje odnaleźć sens naszego istnienia na świecie.

Przecież to wszystko musi mieć jakieś znaczenie, to niebo i morze były świadkami mojego dzieciństwa, moich spacerów z tatą, wspólnie spędzonych chwil, miłości. Co straciłem, tego już nie odzyskam. Może odnalazłem dzisiaj to miejsce, by zrozumieć coś ważnego: że Ania nie jest przypadkową dziewczyną, że kiedy jedno tracisz, znajdujesz coś innego... Ta słodka iluzja ofiarowuje mi kolejną chwilę szczęścia.

Trochę później, radośni i półnaczy, wchodzimy do wody.

– *Brrrrrr, lodowata woda!*

Niestraszne nam zimno, pozbywamy się resztek ubrań i dajemy nura. Jesteśmy przy Arco Muto. Morze jest spokojniejsze, wiatr też ustał, unosimy się obok siebie na powierzchni wody, czerwone słońce pomału zachodzi. Nie mam wątpliwości: ta chwila na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako jedna z najpiękniejszych.

Po jakimś czasie wychodzimy z wody i się wycieramy. Zanim Ania się ubierze, masuję jej nogi i ramiona. Jej włosy wysychają w ostatnich promieniach słońca, ale są trochę napuszone i trudno je ujarzmić.

– Zobacz, co znalazłem... Podoba ci się?

– *Bardzo.*

Podaję jej kamyk. Ściska go mocno i przykładą do serca, trzepocząc zabawnie rzęsami.

– *Moje serce...*

– Nie, to moje serce, które skradłaś.

Ania patrzy na mnie rozbawiona. Kamyk jest w lekko niebieskawym odcieniu i kształtem przypomina serce, wygląda jak mała rzeźba. Ania całuje go i chowa do torebki.

Idziemy na kolację do Romolo al Porto.

– Gruby do mnie dzwonił. Chciał się upewnić, że dobrze was będę traktować! Zrobiłbym tak i bez jego telefonu!

Walter, który wraz z bratem prowadzi tę restaurację, jest bardzo sympatycznym facetem. Na przystawkę podaje nam mnóstwo smacznych potraw.

– To były zimne przekąski, teraz czas na ciepłe...

Świetnie się bawi, podsuwając nam kolejne wyśmienite dania.

– Anchois nadziewane mozzarellą, ośmiorniczki w pomidorach na gorąco, zapiekanka ziemniaczana z kawałkami lekko solonego dorsza... Pozwólcie, że wam naleję... Wyborne wino z kontrolowanych winnic. – Serwuje kolejne smakołyki: zupę rybną i spaghetti z małżami i brokułami. Kolej na drugie danie. – Skosztujcie żabnicy z pomidorami i cebulą, do obsmażanych warzyw pasuje fragolino... Choć do tych dań powinniście napić się Gewurztraminer Sanct Valentin. – Wymienia nam szybko kieliszki

i napełnia je winem. Nagle pyta z niepokojem w głosie: – Czym przyjechaliście?

– Pociągiem.

– Świetnie się składa. – Dolewa do pełna. – W tej sytuacji twoim jedynym zmartwieniem po tej kolacji będzie to, żeby nie zostać ojcem... – Patrzy na Anię. – Chociaż... – Oddała się rozbawiony.

Ania patrzy na mnie zaciekawiona.

– *Co on parlare?*

– Nic takiego... Kocha swoją rodzinę!

– Ach... – Nie wygląda na przekonaną, ale stuka się ze mną kieliszkiem i opróżnia go do dna. – *Buonissimo!*

– Tak. Masz rację... – Ocieram usta serwetką i myślę o tym, co powiedział mi Walter.

Na deser jemy tartę z gruszkami w czekoladzie i siekanymi migdałami oraz nugatowo-pistacjowy deser lodowy z piętnastoletnim rumem.

– Koniecznie musicie spróbować jeszcze lodowego koktajlu limonkowego, który przygotowujemy według własnej receptury.

Delektujemy się tym wybornym deserem i smakiem zmrożonej wódki.

Ania szybko rozprawia się ze swoim koktajlem i długą łyżeczką wydłubuje resztki z dna.

– Smakowało?

– Molto! – Oblizuje łyżeczkę i zamyka oczy. – *Fantastico.*

Patrzymy na kołyszące się w porcie łódki i łopocące na wietrze żagle. Nagle Ania bierze mnie za rękę, gładzi ją, nadal patrząc przed siebie.

– Grazie, Nicco... – W jej oczach maluje się szczęście. – *Za wszystko...*

Zaczyna mówić bardzo szybko.

– *Chciałabym, żebyś naprawdę mnie kochał, żeby ten weekend nigdy się nie skończył, żebym nie była dla ciebie zwykłą cudzoziemką, piękną dziewczyną na jedną noc...* – Z wyrazu mojej twarzy chyba odczytała, że niewiele z tego zrozumiałem. – *Nieważne. Możemy zapłacić po połowie?*

– Nie! – To zrozumiałem. – Przepraszam, mogę prosić rachunek?

Walter podchodzi do naszego stolika.

– Smakowało wam?

– Tak, było pyszne, naprawdę, wyśmienite jedzenie.

– Cieszę się, jesteśmy rozliczeni, Gruby się tym zajął.

– Jak to? – Nie mogę wyjść ze zdumienia.

– Łączy mnie szczególna więź z tym łajdakiem... – Walter uśmiecha się na te słowa. – Dzwonił, kiedy jedliście, sto razy przypominał, by obsłużyć was po królewsku, wiesz, jaki jest, prawda?

– Wiem jak mało kto! Jest jak kropla drążąca skałę!

– Dokładnie! Powiedział, że płaci, że musi wynagrodzić wam wczorajszy wieczór, nie mam pojęcia, w co was wpakował!

– No cóż...

Żegnamy się również z bratem Waltera i jego mamą Luisą, która gotuje w restauracji.

– Do widzenia pani, dziękujemy, jedzenie było pyszne!

Odprowadzają nas do drzwi razem z ciocią Francescą, która z kolei odpowiada za desery.

Łapiemy pociąg do Rzymu o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt sześć. Podróż mija nam błyskawicznie, zanim się obejrzymy, stoimy przed hotelem.

– Zatem... – Przystaję przed wejściem. – Do jutra. Idę do pracy, ale możemy spotkać się na lunch, o ile masz ochotę... I oczywiście wieczorem... Jeśli nadal masz takie życzenie...

Ania spuszcza wzrok, potem patrzy na mnie, otwiera usta, jakby chciała mi coś zakomunikować, ale zmienia zdanie i mówi coś dziwnego.

– *Kiedyś widziałam taki film, Igraszki losu. Zawsze wierzyłam, że to jest possible...*

Całuje mnie w usta i znika w drzwiach hotelu. Nie rozumiem, co miała na myśli. Widzę, jak odbiera z recepcji klucz i nie oglądając się, zmierza w stronę schodów. Pocałowała mnie przelotnie i uciekła – jakby chciała uniknąć łez. Może powinienem był się domyślić...

– Jestem, jestem... Już się niecierpliwiłeś, co?

Wujek przyszedł zmienić mnie w kiosku. Nie mogłem się go doczekać, są takie dni, kiedy czas zdaje się stać w miejscu.

– Aż tak widać?

– Wyszędłbyś, zanim bym się pojawił!

– Nigdy bym tak nie zrobił.

Kładzie kurtkę na krześle.

– Wujku, „Il Tempo” i „Di Più” sprzedały się wszystkie, kolejne egzemplarze „Porta Portese” leżą pod ladą.

– Okay. – Sprawdza pod kontuarem. – Bądź jutro na czas.

– Jak zawsze.

– Tak, jak zawsze...

Gruby podjeżdża pod kiosk, wskakuje do samochodu, a on rusza z piskiem opon. Nie zwracam na to uwagi, strasznie jestem ciekawy, co u niego.

– I jak?

– Co i jak?

– Przede wszystkim dziękuję za fantastyczną kolację w Romolo, a teraz opowiadaj...

– O czym?

– Po ostatnich wydarzeniach nie masz mi nic do powiedzenia?

– O czym tu mówić?

– O czym rozmawiały Beatrice i Deborah?

– Myślisz, że podzieliłyby się ze mną swoimi przemyśleniami? Obie wysłały mi mnóstwo agresywnych, niczym nieuzasadnionych SMS-ów i dwa maile, po których przeczytaniu powinienem strzelić sobie w łeb!

– Cóż, sam się o to prosiłeś.

– Przynajmniej w hotelu wpuścili mnie do pokoju Pauliny. Niestety, napięcie związane z wieczornymi wydarzeniami okazało się za duże. Jaki pech! Straszne, że obie znalazły się jednocześnie w tym samym miejscu – a przecież cały rok udawało mi się bezbłędnie między nimi lawirować! Słowem, nie stanąłem z Paulą na wysokości zadania.

– Nie wierzę! Ty, legendarny Gruby, wyczyniający Bóg wie co z Beatrice i zaraz potem z Deborah... Tak się skompromitowałeś? Co powiedzą o nas cudzoziemki? A mieliśmy dbać o reputację Włochów, dzierżyć sztandar wysoko...

– Nie tylko sztandar musimy trzymać wysoko!

– Świntuch!

– Sam byś to powiedział, gdybym cię nie ubiegł.

– Akurat.

– Dzisiaj rano usiłowałem dodzwonić się do Pauliny, ale jej telefon był poza zasięgiem, dziwne...

– Który telefon?

– Włoski, znam tylko ten numer. Dałem jej kartę SIM. Jeśliby gadała ze swojego, koszty roamingu by ją zrujnowały!

– Racja.

Podjeżdżamy pod hotel, parkujemy i wysiadamy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Podchodzi do nas portier Roberto. Rozpoznaje Grubego, może to jemu wczoraj zapłacił mój przyjaciel, by spędzić noc w pokoju Pauliny. Roberto patrzy na nas, ale nic nie mówi. Gruby jest trochę zaskoczony, pyta:

– Możesz po nie zadzwonić?

– Po kogo?

– Po Polki.

– Nie mogę.

– Wyszły?

– Tak, dzisiaj rano.

– Paula nic mi nie powiedziała. – Gruby zwraca się do mnie.

– Pewnie zaraz wróca.

– Raczej nie, wyjechały.

– Wyjechały?

Patrzymy na siebie zdumieni.

– Jak to wyjechały? Dokąd? – Może się pomylił, może wyszły na chwilę, a on nie zrozumiał dobrze.

– Wróciły do Polski. Miały samolot o dwunastej.

– Dzięki. – Stoimy chwilę oniemiały, wreszcie wychodzimy.

– Paulinę też straciłem, nie ma co, świetnie mi się układa.

– Na pewno nic o tym nie wiedziałaś?

– Nic mi nie powiedziała, niczego się nie domyśliłem.

– Czy to możliwe, że portier jest w błędzie?

– Sprawdził w komputerze, naprawdę wyjechały.

– Tak po prostu, bez pożegnania?

– Na to wygląda.

Jestem zaskoczony, ogarnia mnie dziwne, niespodziewane uczucie, to chyba panika. Brakuje mi tchu, serce bije mi coraz szybciej, nie mogę nad nim zapanować. Po chwili się uspokajam. Ania bardzo mi się podobała. Jej nagły wyjazd, bez słowa wyjaśnienia, bez pożegnania, jest dla mnie jak cios.

– Gruby, myślisz, że portier spełniłby naszą prośbę?

– Jaka?

– Chciałbym wejść na chwilę do ich pokoju.

Gruby oczywiście to załatwia. Pokojówka prowadzi nas do apartamentu, kartą magnetyczną otwiera drzwi i oddala się, zostawiając nas na progu. Wchodzę do środka. Wokół panuje bałagan, niezasłane łóżka, otwarte okna, porozrzucane ręczniki. Biorę do ręki jeden z nich, jest jeszcze wilgotny, zastanawiam się, czy należał do Ani, czy do Pauliny. Rozglądam się. Jedno łóżko jest kompletnie rozgrzebane, drugie trochę mniej. Zakładam, że to na nim spała Ania. Podchodzę, biorę do ręki poduszkę i wącham. Czuję jej zapach. Zamykam oczy i przypominam sobie wspólnie spędzone chwile, zwłaszcza te intymne, kiedy była tylko moja. Teraz zostałem z niczym. Odkładam poduszkę na miejsce, na prześcieradle widzę długi brązowy włos. Może pachnie jeszcze morską solą. Szuflady w komódkach przy łóżku są zamknięte. Otwieram je, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniały. Pierwsza jest pusta, druga również. Jednak kiedy ją zamykam, słyszę, że w środku coś się przesuwają. Wkładam do środka rękę i natrafiam na niego. To znak. Na pewno o nim nie zapomniała.

– Hej, Gruby, boisz się latać samolotami?

– Bardzo. Dlaczego pytasz?

– Będziesz musiał sobie jakoś z tym poradzić.

– Co? Nie ma mowy! Zwariowałeś, najpierw zawracasz mi głowę, bo rzuciła cię Alessia, a teraz, po tygodniu spędzonym z tą dziewczyną, owszem, piękną, chcesz, bym przeleciał pół Europy albo tłuł się pociągiem lub samochodem? Nieee, zapomnij, nie ma mowy!

– Gruby, to ważne...

– Ważne? Moje życie jest ważne, dwie koszarne godziny ze sporym hakiem, które miałbym spędzić w samolocie, jest ważne, to, że kocham Rzym, że świetnie się tu czuję i że nigdy w życiu bym się stąd nie wyprowadził, jest ważne... – Jego słowa nie robią na mnie żadnego wrażenia. – Dobrze mówię?

– Nie.

– Super. W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego mielibyśmy jechać do Warszawy.

– Ania o czymś zapomniała.

Pokazuję mu kamyk w kształcie serca, który znalazłem na plaży w pobliżu jaskiń Nerona.

– Mamy lecieć do Warszawy, bo Ania zapomniała kamyka?

– To jest serce.

– Niech sobie będzie cokolwiek!

Opowiadam mu, w co wierzę... Że nic nie dzieje się bez przyczyny, że Ania mogła nawet zapomnieć o tym sercu, czy jak woli, kamieniu, ale fakt, że tak się stało, jest dla mnie znakiem. Że nigdy nie widzieliśmy Warszawy i może nigdy byśmy jej nie zobaczyli. Że życie trzeba brać garściami, sięgać wzrokiem poza Stadio Olimpico i Tyber, dotrzeć do via Salaria, a potem do Orte i jeszcze dalej. Że te doświadczenia nas zmieniają, staniemy się dojrzalsi, może wpadniemy na nowe pomysły, podobne do tych, jakie ma jego przyjaciel Zuckerberg, zaczniemy myśleć inaczej. Że nasze codzienne życie nie musi pozostać na zawsze takie samo.

Gruby mi nie przerywa, nie wspomina o swoich lękach, słucha, a ja nie przestaję mówić, bo czuję, że coś do niego dociera i że jeśli się zatrzymam, on zmieni zdanie, a wcale tego nie chcę. Prawda jest taka, że potrzebuję marzeń, bo światu, w którym żyję, daleko do ideału. Straciłem coś i to spowodowało, że przestałem marzyć, a jednego jestem pewien: bez marzeń nigdzie nie dojdiesz.



Chwila szczęścia... Kiedy dopiero co przestało padać, a ty musisz wyjść i postanawiasz nie brać parasola. Jesteś już na zewnątrz, a na niebie pojawia się tęcza i zaraz po niej słońce. Rozumiesz, co znaczy wiara.

Chwila szczęścia... Kiedy opowiadasz jej przez telefon, jak minął dzień. Ona pyta, gdzie teraz jesteś. Tłumaczysz, gdzie się znajdujesz, a tymczasem ona podjeżdża do ciebie samochodem.

Chwila szczęścia... Kiedy stoisz w supermarkecie w kolejce do kasy, nie spieszysz się, ale osoba stojąca przed tobą widzi, że masz znacznie mniej rzeczy od niej, i chce cię przepuścić. Mówisz, że nie trzeba. Ale czujesz, że zyskałeś przyjaciela do grobowej deski. Choć nigdy więcej go nie spotkasz.

Chwila szczęścia... Kiedy czekasz z nadzieją na SMS-a od niej, sprawdzasz tysiąc razy komórkę, ale nic nie przychodzi. W końcu zajmujesz się czymś innym... i jest! Otwierasz kopertkę i czytasz, a wiadomość jest właśnie taka, jaką chciałeś otrzymać.

Chwila szczęścia... Kiedy po miesiącach obmyślania, jaki prezent jej kupić, dochodzisz do wniosku, że tym prezentem powinien być cały wspólnie spędzony dzień. Planujesz wszystko, od rana do wieczora, tak, aby każda chwila była dla niej fantastyczną niespodzianką. Masz nadzieję, że ona będzie kochać cię jeszcze bardziej.

Chwila szczęścia... Kiedy skończyłeś coś, nad czym długo pracowałeś i nie byłeś pewny końcowego efektu. Udało ci się. Czujesz się jak mistrz świata, ale taki, który wygrywa w tajemnicy, biegnąc nocą po pustym torze, bez udziału publiczności.

Chwila szczęścia... Kiedy niezauważenie wypada ci coś z kieszeni, a ktoś, kto to podniósł, woła cię, by oddać zgubę. Z początku nie wiesz, o co chodzi, nie ufasz tej osobie, ale patrzysz jej w oczy i widzisz szczerą intencję. Nawet jeśli chodzi o dwadzieścia groszy, masz wrażenie, że zwrócono ci bezcenny skarb.

Chwila szczęścia... Kiedy zmarnowałeś już kilka okazji i wreszcie udaje ci się przechwycić piłkę, dobiegasz do bramki i strzelasz gola. Koledzy skaczą na ciebie, przewracają na murawę, nie możesz złapać tchu, ale czujesz się tak, jakbyś wygrał mundial, chociaż przegrywacie jeden do czterech.

Chwila szczęścia... Kiedy po całym dniu czekania i sprawdzania ikonki powiadomień na Facebooku wreszcie się doczekasz jej reakcji. Odpowiedziała i napisała coś, co sprawia, że czujesz się najważniejszy na świecie.

Chwila szczęścia... Kiedy wiesz, że zaraz rozładuje ci się bateria w telefonie, dzwoni ona. Zdążyła ci jeszcze powiedzieć, że cię kocha, i chwilę później komórka pada. Chciałbyś odpowiedzieć jej podobnym wyznaniem, tymczasem stoisz bez słowa z głupkowskim uśmiechem na twarzy.

# W powieści zacytowano następujące utwory:

*Ti scatterò una foto*: słowa i muzyka Tiziano Ferro, © Copyright 2006 by NISA S.r.l./EMI MUSIC PUBLISHING ITALIA S.r.l. – Mediolan, © Copyright 2007 by NISA S.r.l./EMI MUSIC PUBLISHING ITALIA S.r.l. – Mediolan/PANDAR ITALIA S.r.l. – Latina.

*Questa nostra stagione*: słowa L.P. Chiaravalli–S. Grandi–E. Ramazzotti, muzyka L.P. Chiaravalli–S. Grandi–E. Ramazzotti – Wyłączność na wszystkie kraje: Edizioni Curci S.r.l. – Galleria del Corso, 4 – 20122 Mediolan. Music Union S.r.l. – Galleria del Corso, 4 – 20122 Mediolan. Viameda Edizioni Musicali S.r.l. – Via G. Meda, 45 – 20141 Mediolan. © Copyright 2012 by Edizioni Curci S.r.l./Music Union S.r.l./Viameda Edizioni Musicali S.r.l. – Mediolan. Wszelkie prawa zastrzeżone.

*She*: tekst oryginalny H. Kretzmer – muzyka C. Aznavour, © 1974 Standard Music Ltd. – Londyn – Wydawca oryginalny. Edizioni Musicali Aromando S.r.l. – Galleria del Corso, 4 – Mediolan – Wydawca na Włochy. Dzięki uprzejmości: Edizioni Musicali Aromando S.r.l. – Galleria del Corso, 4 – Mediolan – Wydawca na Włochy.

*Marmellata # 25*: słowa i muzyka C. Cremonini, © 2005 Tutti e Nessuno S.r.l. – Rzym/Warner Chappell Music Italiana S.r.l. – Mediolan/Double–Face Edizioni Musicali – Castel Maggiore (Bo), © 2009 Mascheroni Edizioni Musicali S.r.l. – Galleria del Corso, 4 – Mediolan/Warner Chappell Music Italiana S.r.l. – Piazza Della Repubblica 14/16 – Mediolan/Double – Face Edizioni Musicali – Via A. Gramsci, 302/F – Castel Maggiore (Bo) – Wyłączność na Włochy. Dzięki uprzejmości: Mascheroni Edizioni Musicali S.r.l./Warner Chappell Music Italiana S.r.l./Double-Face Edizioni Musicali.

Wydawca usiłował wszelkimi sposobami odnaleźć właścicieli praw autorskich cytowanych w powieści utworów, jednak nie we wszystkich przypadkach to się udało, niemniej, w razie potrzeby, pozostaje do ich dyspozycji.

# Podziękowania

Kiedyś pewien autor w podziękowaniach dołączonych do swojej książki napisał, że wyraża komukolwiek swoją wdzięczność po raz ostatni, więcej nikomu nie będzie za nic dziękować. Nie wiem, czy tak faktycznie zrobił, ale pamiętam, że jego decyzja bardzo mnie poruszyła. Zastanawiałem się, jak muszą czuć się te osoby, którym przed chwilą dziękował, i przede wszystkim dlaczego postanowił nie okazywać nikomu więcej wdzięczności. Uważam, że każdemu wolno postępować według własnego uznania i że powinien z tego czerpać wręcz egoistyczną przyjemność. Jak wtedy, kiedy robimy prezent przyjacielowi lub ukochanej osobie. Wierzę, że za każdą stronicą powieści stoją ludzie, którzy coś do niej wnieśli. Co więcej, za pośrednictwem książki autor ma okazję wyjaśnić różne sprawy, poprosić o wybaczenie osoby, których być może nie ma już w jego życiu.

Abstrahując od powyższych rozważań, z ogromną przyjemnością dziękuję następującym osobom:

Antonio Riccardi. Kiedyś rozmawiałem z nim o pewnym autorze i kilka dni później zrobił mi wspaniałą niespodziankę. To jedna z wielu rzeczy, za które chciałbym mu podziękować, w porównaniu z innymi ta jest małym drobiazgiem.

Dziękuję Gabrielli Ungarelli za jej hojność i pasję i za to, że mnie przekonała, oraz Chiarze Scaglioni za wykonaną pracę i za entuzjizm, jaki wzbudził w niej pomysł z pastą alla gricia (mam nadzieję, że się nie rozczaruje) i z jakim słuchała moich opowieści. Przysięgam, że wszystkie były prawdziwe.

Dziękuję Andrei Delmonte za jego precyzję i jasny umysł, dzięki niemu trudne sprawy wydają się łatwe.

Dziękuję Marcie Treves za jej niezwykłą intuicję oraz, co za tym idzie, dziękuję Giacomowi Callo. Ogromna wdzięczność dla Susanny Tosatti za jej cierpliwość i ogarnięcie tego „morza spraw”!

Dziękuję Robercie Scarabelli i wszystkim, którzy do późnej nocy poprawiali rękopis.

Dziękuję Giovanniemu Dutto za przekonujące rozwiązania i Emanueli Russo za jej entuzjizm i radość, z jaką podchodzi do swojej pracy.

Podziękowania za sprawną komunikację: dla biura prasowego, Franceski Gariazzo, Chiary Giorcelli, Mary Samaritani, Camilli Sica, Cristiany Renda i Valerii De Benedictis, która wraz ze skrupulatną Evą Evangelistą bardzo pomogła mi w „sztafecie Rzym–Mediolan”! Ponadto dziękuję Federice Saleri i Raffaelli Roncato za nowoczesne rozwiązania w komunikacji między nami!

Dziękuję Nadii Focile i Nancy Sonsino za nasz pierwszy wspólny event i za wszystkie

kolejne.

Dziękuję Valeriowi Giuntiniemu za poczucie bezpieczeństwa, które mi dał podczas naszego pierwszego spotkania, dziękuję Dariowi De Giacomo, dzięki jego podkoszulkowi nie było ono tak oficjalne, oraz Giancarlovi Guidanemu, który niestety się rozchorował, ale już czuje się lepiej. Dziękuję również Luisie Brembilli, którą przepraszam za niedokończoną rozmowę. Dziękuję Vitowi Leone i Goffredowi Battellemu oraz całemu prężnemu działowi sprzedaży, który poznałem w Pietrasanta. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili i sprawili, że poczułem się jak ich przyjaciel.

# Specjalne podziękowania dla:

Kylee „Ked”, która wraz z Laurą i Anną wiernie towarzyszy mi w każdej przygodzie, zarówno włoskiej, jak i zagranicznej.

Chciałbym również podziękować pewnemu chłopakowi, którego imienia nie znam. Jechałem ze swoim przyjacielem Mimmo na motorze po Lungotevere. Kiedy staliśmy na światłach, podjechał do nas i powiedział do mnie: „Wypadło ci to po drodze...”. Wręczył mi zgubę i odjechał, nie dając okazji do podziękowania. Kimkolwiek jesteś, teraz ci dziękuję.

Chciałbym podziękować wszystkim, którzy nawet o tym nie wiedząc, w taki czy inny sposób przyczynili się do powstania tej książki. Uważam, że przyjemność z pisania jest wprost proporcjonalna do tego, co spotyka nas w życiu: spotkania, sukcesy, niesprawiedliwość, rozczarowania, niespodzianki, radość, miłość, chwile szczęścia. Tylko ten, którego nic w życiu nie spotyka, nie ma o czym pisać.

Dziękuję mojemu przyjacielowi Giuseppemu, który nadal potrafi mnie zaskoczyć i który bardzo mi kibicował podczas pracy nad tą powieścią. On umie mnie rozbawić jak nikt.

Dziękuję Luce, Fabianie i Valentinie, które nieustannie towarzyszyły Niccowi. Podziękowania dla cioci Annamarii!

Ostatnie podziękowania pełne miłości kieruję do Giulii, która podarowała mi dwa piękne prezenty: Alessandra i Marię Lunę, te chwile szczęścia, które pozostaną na zawsze.

[\*] Scapigliatura – w wolnym tłumaczeniu „bohema”, ruch literacko-artystyczny, który narodził się w północnych Włoszech w drugiej połowie XIX wieku (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz